

HERMANN HESSE



NARCYZ I ZŁOTOUSTY



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

HERMANN HESSE

NARCYZ I ZŁOTOUSTY

OPOWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁ
MARCELI TARNOWSKI

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału
Narziss und Goldmund

Opracowanie graficzne serii
Teresa Kawińska

Na okładce wykorzystano
fragment obrazu Hermanna Hessego

© Copyright 1957 by Hermann Hesse. Alle Rechte bei und
vorbehalten durch Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958

ISBN 83-06-02900-3

Rozdział pierwszy

Przed wspartym na podwójnych kolumnach lukiem drzwi wejściowych klasztoru Mariabronn, tuż przy drodze, stał kasztan, samotny syn Południa; przyniesiony przed laty przez jakiegoś pielgrzyma z Rzymu, szlachetny kasztan o grubym pniu. Czułe zwisała jego okrągła korona nad drogą, pełną piersią oddychając na wietrze; wiosną, gdy wszystko dokoła było już zielone i nawet orzechy klasztorne przystroiły się w swe czerwone, młode listki, długo jeszcze dawała czekać na swoje liście, potem w okresie najkrótszych nocy wystrzelała z kępek listowia matowymi, białozielonymi promieniami swego osobliwego kwiecica, pachnącego z tak kuszącą i oszałamiającą cierpką mocą; a w październiku, gdy owoce i wino były już sprzątnięte, z żółknącej korony spadały na wietrze jesiennym kolczaste kasztany, nie każdego roku dojrzewające, o które bili się malcy klasztorni i które pochodzący z Południa przeor Grzegorz piekł w swojej izdebce na kominku. Obco i czule powiewało piękne drzewo swoją koroną nad wejściem do klasztoru, subtelny i z lekka marznący gość z dalekiej strefy, tajemnym pokrewieństwem złączony z wysmukłymi, ciosanymi z piaskowca,

podwójnymi kolumnkami portalu i kamiennymi ozdobami łuków okiennych, gzymsów i filarów; lubili go południowcy i Latynowie, tubylcy gapili się na niego jak na cudzoziemca.

Kilka pokoleń uczniów klasztornych przeszło już pod tym cudzoziemskim drzewem; z tabliczkami pod pachą, gawędząc, śmiejąc się, bawiąc, swarząc, zależnie od pory roku bosy lub w obuwiu, z kwiatem w ustach, z orzechem między zębami lub z kulą śnieżną w rękach. Przybywali coraz nowi, co kilka lat zjawiały się inne twarze, przeważnie podobne do siebie, o jasnych i kędzierzawych włosach. Niektórzy pozostawali tam na zawsze, zostawali nowicjuszami, zostawali mnichami, golono im głowy, nosili habity i sznury, czytali księgi, uczyli chłopców, starzeli się, umierali. Inni, gdy skończył się czas nauki, odjeżdżali z rodzicami do zamków rycerskich, do domów kupieckich i rzemieślniczych, rozbiegali się po świecie i uprawiali swoje zabawy i rzemiosła, przybywali niekiedy znowu do klasztoru w odwiedzinach, już jako mężowie: przywozili ojcom klasztornym małych synków jako uczniów, z uśmiechem, w zadumie spoglądali przez chwilę na kasztan, znikali znowu. W celach i salach klasztoru, między krągłymi, ciężkimi łukami okien i prostymi, podwójnymi kolumnami z czerwonego kamienia spędzano życie, uczono, studiowano, administrowano i rządzono; najrozmaitsze sztuki i nauki były tu uprawiane i przekazywane z pokolenia na pokolenie, pobożne i świeckie, jasne i ciemne. Pisano i komentowano księgi, wymyślano systematy, zbierano pisma przodków, iluminowano manuskrypty, pielęgnowano wiarę ludu, uśmiechano się nad wiarą ludu. Uczoność i pobożność, prostota i przebiegłość, mądrość Ewangelii i mądrość Greków, biała i czarna magia - wszystko to kwitło tu

po trosze, na wszystko było miejsce; było miejsce zarówno na życie pustelnicze i pokutę, jak na życie towarzyskie i używanie; od osoby każdorazowego opata i od panujących w owym czasie prądów zależało, czy przeważało i panowało jedno, czy drugie. Niekiedy klasztor był słynny i odwiedzany dla jego egzorcystów i ojców posiadających wiedzę o demonach, niekiedy dla swojej wyśmienitej muzyki, dla jakiegoś świętego ojca, który czynił cuda i uzdrawiał, niekiedy znów z powodu swoich zup ze szczupaka i pasztetów z jeleniej wątroby - wszystko o swoim czasie. A zawsze pośród gromady mnichów i uczniów, pobożnych i obojętnych, poszczących i otyłych, pośród wielu, którzy tu przybywali, żyli i umierali, był ten czy ów wyjątkowy i szczególny, ktoś, kogo wszyscy kochali lub kogo się wszyscy lękali, ktoś, kto wydawał się wybranym, o kim długo jeszcze mówiono, kiedy współcześnie jego byli już zapomniani.

I teraz było w klasztorze Mariabronn dwóch takich wyjątkowych i szczególnych, jeden stary i drugi młody. Pośród wielu braci, których rój wypełniał dormitoria, kaplice i sale szkolne, było dwóch, o których każdy wiedział, na których każdy zwracał uwagę. Był starzec, opat Daniel, i wychowanek klasztorny, Narcyz, który dopiero rozpoczął nowicjat, ale dzięki swoim szczególnym zdolnościom, wbrew wszelkim zwyczajom, pełnił już czynności nauczyciela, zwłaszcza greki. Ci dwaj, opat i nowicjusz, posiadali największe znaczenie, byli szanowani i budzili ciekawość; podziwiano ich i zazdrozczono im, a potajemnie także oczerniano.

Opatu kochali prawie wszyscy, nie miał wrogów, był pełen dobroci, prostoty, pokory. Tylko uczeni klasztorni mieszały do swojej miłości odrobinę pobłażania, gdyż opat Daniel mógł sobie być

świętym, ale uczonym nie był. Właściwa mu była owa prostota, która jest mądrością, ale łacina jego była skromna, a greki w ogóle nie znał.

Owi nieliczni, którzy niekiedy wyśmiewali nieco prostotę opata, tym bardziej oczarowani byli Narcyzem, cudownym dzieckiem, pięknym młodzieńcem władającym wytworną greką, o rycersko nienagannym zachowaniu, wnikliwym spojrzeniu myśliciela i wąskich, pięknie i surowo zarysowanych ustach. Za to, że cudownie znał grekę - lubili go uczeni. Za to, że taki był szlachetny i wytworny - lubili go niemal wszyscy, a wielu adorowało go nawet. Że taki był cichy i opanowany i tak dworskie posiadał maniery - brali mu niektórzy za złe.

Każdy z nich, i opat, i nowicjusz, niósł na swój sposób los wybrańca, panował na swój sposób, na swój sposób cierpiał. Każdy z nich dwu czuł mocniejsze pokrewieństwo i silniejszy pociąg w stosunku do drugiego niż wobec całego pozostałego ludu klasztornego; a jednak nie znajdowali drogi do siebie, a jednak żaden z nich nie potrafił zagrzać się przy drugim. Opat traktował młodzieńca z najwyższą troskliwością, z największymi względami, roztaczał nad nim pieczę jako nad rzadkim, subtelnym, może przedwcześnie dojrzałym, może wystawionym na niebezpieczeństwa bratem. Młodzieniec przyjmował każdy rozkaz, każdą radę, każdą pochwałę opata w sposób doskonały, nie oponował nigdy, nigdy nie był skwaszony, a jeśli sąd opata o nim był słuszny i jedyną przywarą nowicjusza była pycha, to umiał tę przywarę cudownie ukrywać. Nie można mu było nic zarzucić, był doskonały, przewyższał wszystkich. Tylko że niewiele miał prawdziwych przyjaciół prócz uczonych, tylko że wytworność jego otaczała go niby mrozącą atmosferą.

- Narcyzie - rzekł mu raz opat po spowiedzi
- wyznaję, że zawiniłem wobec ciebie sądząc cię zbyt

surowo. Uważałem cię często za pysznego i może wyrządziłem ci przez to krzywdę. Jesteś bardzo sam, młody bracie, jesteś samotny, masz wielbicieli, ale nie masz przyjaciół. Miałbym może ochotę zganić cię niekiedy, ale nie mam powodu. Chciałbym może, abyś był czasem niesforny, jak się często zdarza młodzieńcom w twoim wieku, ale nie jesteś nim nigdy. Trapię się chwilami trochę o ciebie, Narcyzie.

Młody wznosił ciemne oczy ku staremu.

- Pragnę bardzo, przewielebny ojcze, nie sprawiać wam troski. Może być, że jestem pyszny, przewielebny ojcze. Proszę was, ukarście mię za to. Sam czuję niekiedy pragnienie ukarania siebie. Wyślijcie mię do pustelni, ojcze, albo kaźcie mi spełniać niższe posługi.

- Na jedno i drugie jesteś za młody, kochany bracie - rzekł opat. - A poza tym posiadasz w wysokim stopniu znajomość języków i myślenia, mój synu; marnotrawstwem tych darów bożych byłoby, gdybym ci chciał narzucić niższe posługi. Prawdopodobnie będziesz nauczycielem i uczniem. Czy sam tego nie pragniesz?

- Wybaczcie, ojcze, nie jestem tak bardzo świadom swoich pragnień. Zawsze będę znajdował upodobanie w naukach, jakżeby mogło być inaczej! Ale nie sądzę, aby nauki były moją jedyną dziedziną. Nie zawsze przecież chyba pragnienia decydują o losie i posłannictwie człowieka, lecz coś innego, co jest przeznaczone z góry.

Opat słuchał i spoważniał. A jednak na starej jego twarzy był uśmiech, gdy odpowiedział:

- O ile zdołałem poznać ludzi, wszyscy my, zwłaszcza w młodości, skłaniamy się nieco do uważania naszych pragnień za zrządzenie Opatrzności. Ale ponieważ sądzisz, że znane ci jest twoje przeznaczenie, powiedz mi coś o tym. Jak ci się wydaje, do czego jesteś predestynowany?

Narcyz przymknął ciemne oczy, aż znikły pod długimi czarnymi rzęsami. Milczał.

- Mów, synu - napomniał go opat po długim milczeniu.

Cichym głosem i ze spuszczoneymi powiekami począł Narcyz mówić:

- Zdaje mi się, iż wiem, wielbny ojcze, że przede wszystkim przeznaczony jestem do życia klasztornego. Zostanę - tak sądzę - mnichem, zostanę kapłanem, przeorem, a może i opatem. Sądzę tak nie dlatego, że tego pragnę. Pragnienia moje nie dotyczą godności. Ale zostaną mi one nałożone.

Długo milczeli oboje.

- Dlaczego masz to przekonanie? - zapytał starzec z wahaniem. - Jaka właściwość twoja, poza uczonością, wzbudza w tobie tę pewność?

- Jest to ta właściwość - rzekł Narcyz powoli - że posiadam przecucie charakteru i przeznaczenia ludzi, nie tylko swego własnego, ale i innych. Ta właściwość zmusza mię do służenia ludziom przez to, że będę panował nad nimi. Gdybym nie był zrodzony dla życia klasztornego, musiałbym zostać sędzią albo mężem stanu.

- Możliwe - skinął opat głową. - Czy wypróbowałeś tę swoją zdolność poznawania ludzi i ich losów?

- Wypróbowałem ją.

- Czy gotów jesteś wymienić mi przykład?

- Jestem gotów.

- Dobrze. Ponieważ nie chciałem przenikać tajemnic naszych braci bez ich wiedzy, może zechcesz mi powiedzieć, co wiesz o mnie, twoim opacie Danielu.

Narcyz wznosił powieki i spojrzał opatowi w oczy.

- Czy to wasz rozkaz, przewielebny ojcze?

- Mój rozkaz.
- Ciężko mi jest mówić, ojcze.
- I mnie ciężko jest, młody bracie, zmuszać cię do mówienia. A jednak czynię to. Mów!

Narcyz pochylił głowę i rzekł szeptem:

- Mało wiem o was, czcigodny ojcze. Wiem, że jesteście sługą bożym, który wolałby pasać kozy albo w pustelni dzwonić dzwoneczkiem i wysłuchiwać spowiedzi wieśniaków, niżeli rządzić wielkim klasztorem. Wiem, że żywicie szczególną miłość do Matki Bożej i najczęściej modlicie się do niej. Modlicie się niekiedy o to, aby greka i inne nauki, uprawiane w tym klasztorze, nie stały się zamętem i niebezpieczeństwem dla powierzonych wam dusz. Modlicie się niekiedy, aby nie opuszczała was cierpliwość wobec przeora Grzegorza. Modlicie się niekiedy o lekką śmierć. I będziecie - tak mi się zdaje - wysłuchani, będziecie mieli lekką śmierć.

Cisza zapanowała w małej rozmównicy opata. Wreszcie starzec przemówił:

- Jesteś marzycielem i miewasz widzenia - powiedział łagodnie. - Pobożne i łagodne widzenia także mogą łudzić; nie polegaj na nich, jak i ja na nich nie polegam. Czy możesz widzieć, bracie marzycielu, co ja o tej sprawie myślę w skrytości serca?

- Widzę, ojcze, że myślicie o tym bardzo życzliwie. Myślicie tak: „Ten młody uczeń jest trochę narażony na niebezpieczeństwo, miewa widzenia, za wiele może medytował. Mogę mu nałożyć pokutę, nie zaszkodzi mu to. Ale pokutę, którą mu nałożę, odbędę i ja również.” Oto co przed chwilą myśleliście.

Opat wstał. Z uśmiechem odprawił nowicjusza.

- Dobrze - rzekł. - Nie bierz swoich widzeń zbyt poważnie, młody bracie; Bóg wymaga od nas czegoś innego jeszcze, nie tylko widzeń. Przypuść-

my, że pochlebiłeś starcowi, obiecując mu lekką śmierć. Przypuśćmy, że ten stary człowiek przez chwilę rad słuchoł takiego przyrzeczenia. Ale teraz dość. Odmówisz różaniec jutro po mszy porannej, odmówisz go z pokorą i oddaniem, a nie niedbale, ja zaś uczynię to samo. Idź teraz, Narcyzie, dość już rozmawialiśmy ze sobą.

Kiedy indziej musiał opat Daniel załagodzić spór między najmłodszym z nauczających ojców a Narcyzem, kiedy nie mogli uzgodnić jakiegoś punktu w planie nauki: Narcyz z wielkim zapałem nalegał na wprowadzenie do wykładów pewnych zmian i potrafił też bronić ich przekonywającymi argumentami; zaś ojciec Wawrzyniec, przez pewnego rodzaju zazdrość, nie chciał się z tym zgodzić, a po każdej rozmowie następowały dni skwaszonego milczenia i nadąsania, aż Narcyz, przekonany o słuszności swych żądań, raz jeszcze poruszył tę sprawę. Wreszcie ojciec Wawrzyniec rzekł urażony:

- No, Narcyzie, połóżmy kres sporom. Wiesz przecież, że decyzja zależy ode mnie, nie od ciebie, nie jesteś moim kolegą, lecz pomocnikiem, i musisz mi być posłuszny. Ale że sprawa wydaje ci się tak ważna, a ja przewyższam cię tylko władzą, ale nie wiedzą i zdolnościami, nie rozstrzygnę jej sam, lecz przedstawimy swój spór ojcu opatowi i poprosimy go o decyzję.

Tak też uczynili, a opat Daniel cierpliwie i uprzejmie wysłuchał sporu dwóch uczonych co do ich metody wykładu gramatyki. Kiedy obaj wyłożyli szczegółowo i uzasadnili swoje poglądy, starzec spojrział na nich wesoło, potrząsnął z lekka sędziwą głową i rzekł:

- Drodzy bracia, nie sądzicie chyba obaj, że ja znam się na tych rzeczach tyleż co wy. Chwalebne to dla Narcyza, że szkoła tak bardzo leży mu na sercu i że dąży do poprawienia planu nauczania.

Ale jeżeli przełożony jego jest innego zdania, Narcyz musi milczeć i słuchać, zaś wszystkie reformy szkoły nie mają takiej wagi, aby dla nich wolno było mieć porządek i posłuszeństwo w tym domu. Ganię Narcyza, że nie potrafił ustąpić. I życzę wam, młodzi uczeni, aby nigdy nie zbrakło wam przełożonych, którzy byliby głębsi od was; nie ma nic lepszego na pychę.

Z tym dobrodusznym żartem zwolnił ich. Ale nie zapomniał bynajmniej baczyć podczas następných dni, czy między dwoma nauczycielami znowu panuje przykładowa zgoda.

I oto zdarzyło się, że nowa osoba zjawiła się w klasztorze, który widział tyle przybywających i odchodzących osób, i że ta nowa osoba nie należała do zaledwie spostrzeżonych i zaraz zapomnianych. Był to młodzieniec, który - dawno już zapowiadany przez swego ojca - przyjechał pewnego wiosennego dnia, aby studiować w szkole klasztornej. Ojciec i syn uwiązali konie do kasztana, a z portalu wyszedł im naprzeciw furtian.

Chłopiec spojrział na zimową jeszcze nagość drzewa.

- Takiego drzewa - rzekł - nigdy jeszcze nie widziałem. Piękne, osobliwe drzewo! Chciałbym wiedzieć, jak się nazywa.

Ojciec, starszy człowiek o zatroskanej i nieco skrzywionej twarzy, nie zwrócił uwagi na słowa syna. Ale furtian, któremu chłopiec spodobał się od razu, dał mu odpowiedź. Młodzieniec podziękował uprzejmie, podał mu rękę i rzekł:

- Na imię mi Złotousty i mam chodzić tutaj do szkoły.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego uprzejmie i poprowadził przybyłych przez portal i szerokie

schody kamienne, zaś Złotousty przekroczył próg klasztoru bez wahania i z uczuciem, że spotkał już w tym miejscu dwie istoty, z którymi gotów jest zawrzeć przyjaźń: drzewo i furtiana.

Przybyłych przyjął najpierw ojciec przełożony szkoły, a pod wieczór także sam opat. Obu przełożonym starszy człowiek, urzędnik cesarski, przedstawił swego syna Złotoustego i otrzymał zaproszenie, aby pozostał przez pewien czas gościem klasztoru. Ale on na jedną noc tylko skorzystał z gościnności i oświadczył, że rano musi odjechać. Ofiarował klasztorowi jednego ze swoich koni i dar ten został przyjęty. Rozmowa z duchownymi miała przebieg uprzejmy i chłodny; ale zarówno opat, jak przełożony szkoły z przyjemnością spoglądali na milczącego z szacunkiem Złotoustego; ładny, delikatny młodzieniec spodobał im się od razu. Ojcu jego bez żalu pozwolili odjechać naza-jutrz, syna zatrzymali chętnie.

Złotousty został przedstawiony nauczycielom i otrzymał łóżko w sypialni uczniów. Ze cziłą i z zaszępioną twarzą pożegnał odjeżdżającego ojca, stał i spoglądał za nim, aż znikł między szpichrzem a młynem w wąskiej, sklepionej bramie zewnętrznego dziedzińca klasztorowego. Łza wisiała mu na długiej, jasnej rzęsie, kiedy się odwrócił; ale furtian powitał go już pieszczotliwym uderzeniem w ramię.

- Paniczu - rzekł pocieszająco - nie powinieneś być smutny. Większość tęskni trochę na początku za ojcem, za matką i rodzeństwem. Ale przekonasz się rychło: można tutaj żyć, i to nawet wcale nieźle.

- Dziękuję, bracie furtianie - rzekł chłopiec.
- Nie mam rodzeństwa ani matki, mam tylko ojca.

- Ale za to tutaj znajdziesz kolegów i wiedzę, i muzykę, i nowe gry, jakich jeszcze nie znasz, i to i owo, sam zobaczysz. A gdyby ci było potrzeba kogoś życzliwego, przyjdź do mnie.

Złotousty uśmiechnął się do niego.

- O, dziękuję wam bardzo. A jeśli chcecie mi sprawić przyjemność, pokażcie mi, proszę, gdzie stoi nasz konik, którego ojciec pozostawił tutaj. Chciałbym go powitać i zobaczyć, czy mu się dobrze dzieje.

Furtian zabrał go zaraz ze sobą i poprowadził do stajni obok spichlerza. W ciepłym mroku pachniało mocno końmi, nawozem i jęczmieniem, a w jednej z przegródek ujrzał Złotousty gniadosza, na którym tu przyjechał. Obydwoma ramionami otoczył szyję zwierzęcia, które go już poznało i wyciągnęło do niego łeb, przytulił policzek do szerokiego czoła z białą gwiazdką, pogłaskał konia czule i szepnął mu do ucha:

- Witaj, Gwiazdochu, koniku mój dzielny, dobrze ci się wiedzie? Kochasz mnie jeszcze? A masz co żreć? Czy myślisz jeszcze o domu? Gwiazdoszu, koniczku mój kochany, jak to dobrze, że tutaj zostałeś, będę często przychodził do stajni i zaglądał do ciebie.

Wyciągnął z rękawa kawał chleba ze swego śniadania, który tam schował, i dawał go po kawałeczku koniowi. Potem pożegnał się z nim i poszedł za furtianem przez dziedziniec, który był szeroki jak rynek w dużym mieście i częściowo porosły lipami. Przy bramie wewnętrznej podziękował furtianowi i podał mu rękę, potem spostrzegł, że nie pamięta już drogi do swojej sali szkolnej, którą mu wczoraj pokazano, roześmiał się lekko i poczerwieniał, poprosił furtiana, aby go zaprowadził, a ten uczynił to chętnie. Potem wszedł do sali, gdzie siedziało na ławkach tuzin chłopców i młodzieńców, a pomocnik nauczyciela, Narcyz, odwrócił się do niego.

- Jestem Złotousty - powiedział młodzieniec - nowy uczeń.

Narcyz powitał go krótko, bez uśmiechu, wskazał mu miejsce na jednej z tylnych ławek i natychmiast podjął znowu wykład.

Złotousty usiadł. Był zdumiony widokiem tak młodego nauczyciela, starszego zaledwie o kilka lat od niego, i zdumiony, a zarazem głęboko uradowany, że ten młody nauczyciel jest taki piękny, wytworny, poważny, a przy tym tak ujmujący i godny miłości. Furtian był dla niego dobry, opat powitał go tak uprzejmie, tam w stajni stał Gwiazdoch, jak gdyby częśćka domu rodzinnego, a tu oto był ten zdumiewająco młody nauczyciel, poważny jak uczonec i wytworny jak książę, i przemaszający takim opanowanym, chłodnym, rzeczowym, czarującym głosem! Z wdzięcznością przysłuchiwał się nie rozumiejąc jednak należycie, o czym była mowa. Poczucił się dobrze. Przybył do dobrych, godnych miłości ludzi i gotów był kochać ich i zabiegać o ich przyjaźń. Rano w łóżku, po przebudzeniu, czuł się onieśmielony, był przy tym także zmęczony po długiej podróży, a przy pożegnaniu z ojcem trochę popłakał. Ale teraz było dobrze, teraz był zadowolony. Długo i raz po raz spoglądał na młodego nauczyciela, zachwycał się jego zgrabną, wysmukłą postacią, jego chłodno połyskującym okiem, jego twardo, jasno i mocno kształtującymi sylaby wargami, jego opanowaniem, rzeczowym, zniewalającym głosem.

Ale gdy lekcja skończyła się i uczniowie wstali hałaśliwie, Złotousty zdrygnął się i spostrzegł, trochę zawstydzony, że spał przez dłuższą chwilę. I nie tylko on to spostrzegł, także sąsiedzi jego z tej samej ławki zauważyli to i szeptem podali wieść dalej. Zaledwie młody nauczyciel opuścił salę, koledzy poczęli szarpać i popychać Złotoustego ze wszystkich stron.

- Wypałeś się? - zapytał jeden ze śmiechem.

- Ładny uczeń! - szydził drugi. - Piękna z niego będzie podpora Kościoła! Zasnął zaraz na pierwszej lekcji!

- Zanieście malca do łóżka - zaproponował któryś i chłopcy chwycili go pod ramiona i nogi, aby go wynieść wśród śmiechów.

Rozgniewało to Złotoustego; bił dokoła siebie, starał się wyswobodzić, dostawał szturchańce i wreszcie został przewrócony, a jeden z uczniów trzymał go jeszcze za nogę. Silnym ruchem uwolnił się od niego, rzucił się na pierwszego lepszego, który się nadarzył, i po chwili zwarł się już z nim w zapalczą bójkę. Przeciwnik jego był silnym chłopcem i wszyscy z zaciekawieniem przyglądali się walce. Gdy Złotousty nie uległ i zadał silniejszemu kilka dobrych ciosów pięścią, miał już przyjaciół pośród kolegów, zanim jeszcze którego z nich osobiście poznał. Ale nagle wszyscy rozpierchli się, w największym pośpiechu, a zaledwie pouciekali, wszedł ojciec Marcin, przełożony szkoły, i stanął naprzeciw jedyne pozostałego ucznia. Zdumiony, spojrzął na chłopca, którego niebieskie oczy ze zmieszaniem spoglądały z czerwonej i posiniaczonej nieco twarzy.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał. - Ty przecież jesteś Złotousty, prawda? Czy ci hultaje coś ci zrobili?

- O, nie - rzekł chłopiec - rozprawiłem się z nim.

- Z kim?

- Nie wiem. Nie znam jeszcze żadnego. Jeden walczył ze mną.

- Tak? To on zaczął?

- Nie wiem. Nie, zdaje mi się, że ja sam zacząłem. Drażnili mię, więc się rozzłościłem.

- No, doskonale zaczynasz, mój chłopcze. Więc zapamiętaj sobie: jeżeli jeszcze raz rozpocznesz tu,

w klasie, bijatykę, będziesz ukarany. A teraz ruszaj na podwieczorek, biegiem!

Z uśmiechem spoglądał za Złotoustym, jak uciekał, zawstydzony, starając się po drodze rozczesać palcami zwichrzone jasne włosy.

Złotousty sam był zdania, że pierwszy jego czyn w tym życiu klasztorным był niegrzeczny i głupi; dość skruszony, odszukał swoich kolegów przy podwieczorku. Potraktowany z szacunkiem i życzliwością, pojednał się rycersko ze swoim wrogiem i od tej chwili czuł się przyjęty do grona uczniów.

Rozdział drugi

Chociaż jednak ze wszystkimi żył w przyjaźni, prawdziwego przyjaciela nie znalazł tak rychło; pośród współuczniów nie było takiego, z którym by się czuł szczególnie bliski, dla którego by miał szczególną sympatię. Oni zaś zdumiewali się, że w dzielnym pięściarzu, którego skłonni byli uważać za godnego miłości zawadiakę, odkryli bardzo spokojnego kolegę, dążącego widocznie raczej do sławy wzorowego ucznia.

Dwóch było w klasztorze ludzi, ku którym Złousty czuł sympatię, którzy mu się podobali, którzy zajmowali jego myśli, dla których miał podziw, miłość i cześć: opat Daniel i pomocnik nauczyciela Narcyz. Opata skłonny był uważać za świętego, jego prostota i dobroć, jego czyste i troskliwe spojrzenie, jego sposób wydawania rozkazów i pełnienia rządów pokornie, niby służby, jego dobrotliwe, ciche obejście - wszystko to silnie pociągało chłopca. Najchętniej byłby został osobistym sługą tego pobożnego męża, byłby mu towarzyszył, zawsze posłuszny i gorliwy, byłby mu składał w nieustannej ofierze cały swój chłopięcy pęd do uwielbienia i oddania i uczył się od niego czystego, szlachetnego, świątobliwego życia. Gdyż

Złotousty zamierzał nie tylko ukończyć szkołę klasztorną, ale, jeśli to będzie możliwe, zupełnie i na zawsze pozostać w klasztorze i poświęcić życie Bogu; taka była jego wola, takie było życzenie i nakaz jego ojca, i tak pewnie było przeznaczone i wymagane przez Boga samego. Nikt nie byłby poznał tego po pięknym, promiennym chłopcu, a jednak ciążyło na nim brzemię, brzemię pochodzenia, tajemne przeznaczenie do pokuty i ofiary. I opat nie widział tego, chociaż ojciec Złotoustego napomknął o tym i wyraźnie wypowiedział życzenie, aby syn jego na zawsze pozostał w klasztorze. Jakieś tajemne piętno ciążyło snadź na narodzinach Złotoustego, coś przemilczanego domagało się snadź pokuty. Ale ojciec chłopca nie bardzo się opatowi podobał; na słowa jego i pyszałkowane nieco zachowanie odpowiedział uprzejmym chłodem, a do napomknień jego nie przywiązywał wielkiej wagi.

Ów drugi, który zbudził miłość Złotoustego, widział bystrzej i przeczuwał więcej, ale zachował się powściągliwie. Narcyz spostrzegł od razu, jaki to złoty ptak przyfrunął do niego. On, odosobniony w swojej wytworności, rychło zwietrzył w Złotoustym pokrewnego ducha, chociaż we wszystkim wydawał się jego przeciwieństwem. Jak Narcyz był ciemny i szczupły, tak Złotousty jasny i kwitnący. Jak Narcyz był myślicielem i analitykiem, tak Złotousty marzycielem i dziecięcą duszą. Ale przeciwieństwa te łączyło coś wspólnego: obaj byli ludźmi wytwornymi, obaj wyróżniali się spośród innych widocznymi cechami i zdolnościami i obaj otrzymali od losu jakieś szczególne powołanie.

Gorąco zainteresował się Narcyz tą młodą duszą, której rodzaj i los poznał niebawem. Pełen zachwyty podziwiał Złotousty swego pięknego,

mądrego nauczyciela. Ale Złotousty był lękliwy; nie widział innego sposobu zabiegania o przyjaźń Narcyza, jak starać się, co sił starczyło, być uważnym i pojętym uczniem. I nie tylko lękliwość powstrzymywała go. Powstrzymywało go także jakieś przecucie, że Narcyz stanowi dla niego niebezpieczeństwo. Nie mógł stawiać sobie jednocześnie za ideał i wzór dobrego, pokornego opata i arcymądrego, uczonego, przenikliwego Narcyza.

A jednak wszystkimi siłami swej młodej duszy dążył do tych obu nie dających się zespolić ideałów. Często bolał nad tym. Niekiedy w pierwszych miesiącach swego pobytu w szkole doznawał Złotousty takiego zamętu w sercu, czuł się tak szarpany na wszystkie strony, że opadała go silna pokusa, aby uciec lub w obcowaniu z kolegami dać upust swojej udręce i swemu wewnętrznemu gniewowi. Często, łagodny z natury, wskutek jakiejś drobnej zwady lub figla uczniowskiego stawał się nagle tak płomiennie dziki i zły, że z największym tylko wysiłkiem potrafił się opanować i z zamkniętymi oczyma, błądy jak trup, odwracał się w milczeniu. Potem odszukiwał w tajni Gwiazdocha, opierał głowę o jego szyję, całował go, płakał przy nim. Z wolna cierpienie jego wzrastało i stawało się widoczne. Policzki jego zapadły się, wzrok bywał często zgaszony, ulubiony przez wszystkich śmiech stał się rzadki.

On sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Szczerze, z własnej woli pragnął być dobrym uczniem, zostać niebawem przyjętym do nowicjatu, a potem stać się pobożnym, cichym bratem ojców klasztornych; wierzył, że wszystkie jego siły i zdolności zmierzają ku temu pobożnemu i łagodnemu celowi, nie wiedział nic o innych dążeniach. Jakże więc dziwnym i smutnym musiało mu się wydać, gdy ujrzał, że ten prosty i piękny cel tak trudny jest do

osiągnięcia. Z jakim zniechęceniem i zdumieniem dostrzegał niekiedy u siebie naganne skłonności i stany: roztargnienie i niechęć przy nauce, marzycielstwo i fantazjowanie albo senność w czasie lekcji, opór, antypatię do nauczyciela łaciny, porywczosć i gniewną niecierpliwość wobec współuczniów. A najbardziej oszałamiające było to, że miłość jego do Narcyza tak trudno dawała się pogodzić z jego miłością do opata Daniela. A przy tym z najgłębszą pewnością zdawał się niekiedy dostrzegać, że i Narcyz kocha go, interesuje się nim i czeka na niego.

Daleko bardziej, niż chłopiec przypuszczał, zajęte nim były myśli Narcyza. Pragnął przyjaźni tego pięknego, jasnego, miłego chłopca, przeczuwał w nim swój biegun przeciwny i swoje uzupełnienie, chciałby się nim zająć, kierować nim, oświecać, wznieść i doprowadzić do pełni rozwoju. Ale powściągał się. Czynił to z wielu pobudek, uświadamiając sobie niemal wszystkie. Przede wszystkim powstrzymywała go i hamowała odraza, jaką wyczuwał do owych nierzadkich nauczycieli i mnichów, którzy zakochiwali się w uczniach lub nowicjuszach. On sam dość często z niechęcią czuł spoczywający na sobie pożądlivy wzrok starszych mężczyzn, dość często bronił się niemo przeciw ich uprzejmościom i pieścizotom. Teraz rozumiał ich lepiej - i on także miał pokusę pokochania ładnego Złotoustego, rad byłby wywołać jego wdzięczny uśmiech, głaskać czulą dłonią jego jasne włosy. Ale nigdy by tego nie uczynił, nigdy. Poza tym jako pomocnik nauczyciela, sprawujący obowiązki nauczyciela, ale pozbawiony jego urzędu i autorytetu, przyzwyczajony był do szczególnej ostrożności i czujności. Przyzwyczajony był odnosić się do młodszych o niewiele lat uczniów, jakby był o dwadzieścia lat od nich starszy, suro-

wo zabraniać sobie wszelkiego darzenia przywilejami któregoś z nich, zmuszać się do szczególnej sprawiedliwości i pieczołowitości wobec każdego niemiłego sobie ucznia. Służba jego była służbą dla ducha, służbie tej poświęcone było jego surowe życie, i tylko potajemnie, w chwilach najmniejszej czujności, pozwalał sobie na rozkoszowanie się pychą, świadomością, że umie więcej i jest mądrzejszy od innych. Nie, choćby przyjaźń ze Złotoustym najbardziej była kusząca, była jednak niebezpieczeństwem, nie wolno mu było dopuścić, aby dotknęła rdzenia jego życia. Rdzeniem i sensem jego życia była służba dla ducha, służba dla słowa, było ciche, rozważne, rezygnujące z własnej korzyści przewodzenie swoim uczniom - i nie tylko swoim uczniom - ku wyższym celom duchowym.

Rok i dłużej był już Złotousty w szkole klasztornej w Mariabronn, setki razy bawił się już z kolegami pod lipami na dziedzińcu i pod pięknym kasztanem w gry uczniowskie, w gonitwę, w piłkę, w zbrojów, w wojnę kulami śnieżnymi; teraz była wiosna, ale Złotousty czuł się zmęczony i niezdrów, często bolała go głowa, a w szkole trudno mu było zachować trzeźwość i uwagę.

Pewnego wieczora zagadnął go Adolf, ów uczeń, z którym pierwsze spotkanie skończyło się wtedy walką na pięści i z którym tej zimy zaczął studiować Euklidesa. Było to w porze pokolacyjnej, podczas wolnej godziny, kiedy dozwolone były zabawy w dormitoriach, gawędy w izbach uczniowskich, a także spacer po zewnętrznym dziedzińcu klasztoru.

- Złotousty - rzekł ściągając go z sobą ze schodów - opowiem ci coś, coś wesołego. Ale ty przecież jesteś wzorowym chłopcem i na pewno chcesz kiedyś zostać biskupem - więc daj mi najpierw słowo, że będziesz dobrym kolegą i nie zdradzisz mnie przed nauczycielami.

Złotousty bez wahania dał mu słowo. Istniał honor klasztorny i istniał honor uczniowski, a niekiedy popadały one w kolizję; Złotousty wiedział o tym, ale jak zwykle prawa nie pisane silniejsze były od pisanych, i póki był uczniem, nigdy nie wyłamałby się spod uczniowskich praw i pojęć honoru.

Szepcząc pociągnął go Adolf do portalu pod drzewa. Jest, opowiadał, kilku dobrych, odważnych kolegów, do których i on należy, a którzy przeszli od poprzednich pokoleń zwyczaj przypominania sobie od czasu do czasu, że przecież nie są zakonnikami; opuszczają więc na jeden wieczór klasztor i udają się do wsi. Jest to figiel i przygoda, której by się żaden zuch nie wyrzekł; w ciągu nocy powrócą.

- Ale wtedy brama jest zamknięta - wtrącił Złotousty.

Oczywiście, brama jest zamknięta, ale na tym właśnie polega cały figiel. Już oni potrafią wrócić potajemną drogą, nie zdarza się to po raz pierwszy!

Złotousty przypomniał sobie. Zwrot „iść do wsi” słyszał już, rozumiano pod tym nocne wyprawy wychowanków na rozmaite potajemne rozrywki i przygody, czego prawo klasztorne zabraniało pod surowymi karami. Przeraził się. „Iść do wsi” było grzechem, było zabronione. Rozumiał jednak doskonale, że w szkole właśnie dlatego uchodziło wśród zuchów za zaszczyt odważyć się na tę niebezpieczną rzecz i że niejakim wyróżnieniem było zostać zaproszonym do udziału w takiej przygodzie.

Najchętniej byłby odmówił, uciekł i położył się do łóżka. Był taki zmęczony i czuł się tak źle, przez całe popołudnie bolała go głowa. Ale wstydził się trochę Adolfa. I kto wie, może tam za murami, na

wyprawie, będzie coś pięknego i nowego, coś, wobec czego można by zapomnieć o bólu głowy i otepieniu i rozmaitych dolegliwościach. Była to wycieczka w świat, potajemna wprawdzie i zabroniona, niezupełnie chwalebna, ale jednak wyzwolenie, jednak przeżycie. Stał ociągając się, gdy Adolf namawiał go; nagle roześmiał się i powiedział: „Dobrze.”

Niepostrzeżenie prześliznął się z Adolfem pod lipami przez szeroki, ciemny już dziedziniec, którego zewnętrzne wrota o tej porze były zamknięte. Kolega poprowadził go do młyna klasztornego, gdzie w mroku i w nieustannej wrzawie kół łątwo było wykraść się bez zwrócenia czyjejs uwagi. Przez okno dostali się, w ciemności już, na wilgotny, śliski stos tarcic, jedną z nich wyciągnęli i przerwali przez strumień, aby się przez niego przeprawić. A teraz byli na wolności, na połyskującym matowo gościńcu, znikającym w czarnym lesie. Wszystko to było podniecające i tajemnicze i spodobowało się chłopcu bardzo.

Na skraju lasu stał już jeden z kolegów, Konrad, a gdy poczekali chwilę, nadszedł jeszcze jeden, wysoki Eberhard. We czterech ruszyli młodzieńcy przez las, ponad nimi zrywało się ptactwo nocne, kilka gwiazd zamigotało jasno i wilgotno między cichymi chmurami. Konrad gadał i stroił żarty, niekiedy inni śmiali się wraz z nim, mimo to jednak unosiło się nad nimi trwożne i uroczyste odczucie nocy, a serca ich były żywiej.

Z drugiej strony lasu, po godzinie drogi, dotarli do wsi. Wszystko spało tam już widocznie, blade połyskiwały niskie szczyty dachów, przerośnięte ciemnymi żebrami belkowania, nigdzie nie było światła. Adolf szedł przodem; skradając się w milczeniu minęli kilka domów, przeleźli przez jakiś płot, stanęli w ogrodzie, nogi ich zanurzyły się

w miękką ziemię grządek, potknęli się o stopnie schodów, zatrzymali się przed ścianą domu. Adolf zapukał w okiennicę, zaczekał, zapukał jeszcze raz; wewnątrz rozległ się szmer, potem błysnęło światło, okiennica otworzyła się i weszli jeden za drugim do jakiejś kuchni z czarnym kominem i glinianą podłogą. Na kominie stała mała lampka oliwna, na cienkim knocie migotał słaby płomyk. Stała tu dziewczyna wiejska, która podała przybyszom rękę; za nią wynurzyła się z mroku druga, młodziutka dziewczyna z długimi, ciemnymi warkoczami.

Adolf przyniósł podarunki: pół bochenka białego chleba klasztornego i coś w torebce papierowej; Złotousty domyślał się, że było to trochę skradzionego kadzidła albo wosk na świece, albo coś podobnego. Młoda dziewczyna z warkoczami wyszła, bez światła namacała drzwi, nie było jej długo, potem wróciła z dzbanem z szarej gliny, na którym wymalowany był niebieski kwiat; podała go Konradowi. Chłopiec napił się i podał dzban dalej, wszyscy pili, był to mocny jabłecznik.

Przy blasku maleńkiego płomyka lampy usiedli, obce dziewczyny na małych twardych zydlach, popijając jabłecznik; Adolf i Konrad kierowali rozmową. Czasami któryś z nich wstawał, głaskał włosy i kark chudej dziewczyny, szeptał jej do ucha; małej nie tykano. Prawdopodobnie, myślał Złotousty, wysoka była służąca, a ładna mała córka właścicieli domu. Było to zresztą obojętne, nic go nie obchodziło, gdyż nie wróci tu już nigdy. Potajemna ucieczka i droga nocna przez las była piękna, była niezwykła, podniecająca, tajemnicza i jednak nie niebezpieczna. Była wprawdzie zabroniona, ale przekroczenie tego zakazu niezbyt obarczało sumienie. Ale to tutaj, ta nocna wizyta u dziewcząt, było bardziej niż zabronione, czuł to,

było grzechem. Dla tamtych może i to było tylko drobnym wybrykiem, ale nie dla niego; jemu, który czuł się przeznaczony do życia zakonnego i ascezy, nie dozwolona była żadna zabawa z dziewczętami. Nie, nigdy już tutaj nie przyjdzie. Ale serce biło mu mocno i tęskno w półmroku ubogiej kuchni.

Koledzy jego grali przed dziewczętami role bohaterów i dodawali sobie powagi łacińskimi zwrotami wtrącanymi do rozmowy. Wszyscy trzej byli widocznie w łaskach u służącej, raz po raz zbliżali się do niej ze swymi drobnymi, niezgrabnymi pieśczołami, z których najczulszą był lęklawy pocałunek. Wiedzieli widocznie dokładnie, na co mogą sobie tutaj pozwolić. A że cała rozmowa musiała być prowadzona szeptem, scena ta miała w sobie właściwie coś komicznego, lecz Złotousty nie odczuwał tego w ten sposób. Siedział cicho na podłodze i nieruchomym wzrokiem patrzył w płomień lampki nie mówiąc ani słowa. Niekiedy podchwytывał nieco pożądlwym spojrzeniem z ukosa jakąś pieśczołę wymienianą między tamtymi. Nieruchomo patrzył przed siebie. Najchętniej nie patrzyłby na nic, tylko na małą z warkoczami, lecz właśnie tego zabraniał sobie. Ale za każdym razem, gdy woła jego słabła i spojrzenie zabłąkało się ku cichej, słodkiej twarzy dziewczęcej, niechybnie spotykał się ze spojrzeniem jej ciemnych oczu, utkwionym w jego twarzy; wlepiła w niego wzrok jak urzeczona.

Minęła może godzina - nigdy nie przeżył Złotousty tak długiej godziny - gdy frazesy i pieśczoły uczniów wyczerpały się; zapanowała cisza, wszyscy siedzieli nieco zakłopotani, Eberhard zaczął ziewać. Służąca przypomniała, że czas odejść. Wszyscy wstali, wszyscy podali służącej rękę - Złotousty ostatni. Potem wszyscy podali rękę

młodszej dziewczynie - Złotousty ostatni. Potem Konrad pierwszy wyszedł przez okno, za nim poszli Eberhard i Adolf. Kiedy i Złotousty wychodził, uczył, że jakaś ręka przytrzymuje go za ramię. Nie mógł się cofnąć; dopiero gdy stanął za oknem na ziemi, odwrócił się z wahaniem. Z okna wychyliła się dziewczyna z warkoczami.

- Złotousty! - szepnęła.

Zatrzymał się.

- Czy przyjdiesz znowu? - zapytała. Lękliwy jej głos był jak tchnienie.

Złotousty potrząsnął głową. Wyciągnęła obydwie ręce, ujęła jego głowę, czuł ciepło małych dłoni na skroniach. Wychyliła się tak nisko, że ciemne jej oczy znalazły się tuż przed jego oczyma.

- Przyjdź znowu! - szepnęła, a usta jej dotknęły jego warg w dziecięcym pocałunku.

Szybko pobiegł za kolegami przez mały ogród, zataczał się po grządkach, wdychał woń wilgotnej ziemi i gnoju, zadrapał sobie rękę o krzak róży, przełaził przez płot i popędził za tamtymi na skraj wsi, w stronę lasu.

„Nigdy już!” - rzekła rozkazująco jego wola.

„Jutro znowu!” - błagało łkając jego serce.

Nocne ptaszki nie spotkały nikogo, bez przeszkód powróciły do Mariabronn, przez strumień, przez młyn, przez plac z lipami, i okrężnymi drogami po okapach i przez podzielone kolumniakami okna do klasztoru i do sypialni.

Rano trzeba było długiego Eberharda budzić szturchańcami, tak twardo spał. Wszyscy przybyli w porę na mszę poranną, na polewkę w auli, ale Złotousty wyglądał tak źle, że ojciec Marcin zapytał go, czy nie jest chory. Adolf rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, a Złotousty odpowiedział, że nic mu nie jest. Ale na grece, około południa, Narcyz nie spuszczał go z oka. I on widział, że Złotousty

jest chory, ale milczał i obserwował go pilnie. Pod koniec lekcji zawołał go do siebie. Aby nie wzbudzić podejrzeń uczniów, wysłał go z jakimś poleceniem do biblioteki. Tam poszedł za nim.

- Złotousty - rzekł - czy mogę ci w czym pomóc? Widzę, że coś ci dolega. Może jesteś chory. W takim razie położymy cię do łóżka i przyślemy ci polewki dla chorych i szklanę wina. Nie masz dzisiaj głowy do greki.

Długo czekał na jego odpowiedź. Błady chłopiec spoglądał na niego stropionymi oczyma, schylił głowę, podniósł ją znowu, wargi drgnęły mu, chciał coś powiedzieć, nie mógł. Nagle pochylił się na bok, wsparł głowę o pulpit, między dwiema małymi główkami anielskimi rzeźbionymi w dębowym drzewie po obu stronach pulpitu, i wybuchnął takim płaczem, że Narcyz uczuł się zmieszany i na chwilę odwrócił wzrok, zanim ujął łkającego i podniósł.

- No, tak - rzekł tonem tak przyjaznym, jakiego Złotousty nigdy jeszcze odeń nie słyszał - no, tak, *arnice*, płacz, zaraz będzie ci lepiej. Tak, usiądź, nie potrzebujesz mówić. Widzę, że masz dość; prawdopodobnie już przez cały ranek trudno ci było panować nad sobą i nie dać po sobie nic poznać; bardzo to dzielnie zrobiłeś. Płacz teraz, to najlepsze, co możesz uczynić. Nie? Już po wszystkim? Już znowu opanowany? No tak, w takim razie chodźmy teraz do izby chorych, położysz się na łóżku, a wieczorem będzie ci już o wiele lepiej. Chodź już!

Poprowadził go, ominąwszy izby uczniowskie, do pokoju chorych, wskazał mu jedno z dwóch pustych łóżek, a gdy Złotousty posłusznie zaczął się rozbierać, wyszedł, aby zawiadomić przełożonego o jego chorobie. Zamówił mu też, jak przyrzekł, polewkę i szklanę wina dla chorych; te dwa

beneficja klasztorne bardzo były wśród większości lekko chorych popularne.

Złotousty leżał w łóżku i starał się opanować zamęt swych myśli. Przed godziną może potrafiłby sobie uświadomić, co sprawiło, że poczuł się dzisiaj tak niewystłowienie zmęczony, co to było za śmiertelne wyczerpanie duszy, od którego głowa jego była pusta, a oczy płonęły. Był to ów gwałtowny, co chwila ponawiany, co chwila chybiany wysiłek, aby zapomnieć o wczorajszym wieczorze - a raczej nie o wieczorze, nie o głupiej i ślicznej wycieczce z zamkniętego klasztoru, nie o wędrówce przez las ani o śliskiej kładce nad czarnym strumieniem młyńskim, ani o przełożeniu przez płot, przez okna i ganki, lecz jedynie o chwili przy owym ciemnym oknie kuchennym, o oddechu i słowach dziewczęcia, o uścisku jej ręki, o pocałunku jej warg.

Ale teraz przyłączyło się do tego jeszcze coś, nowa zgroza, nowe przeżycie. Narcyz zaopiekował się nim. Narcyz kochał go. Narcyz troszczył się o niego - on, subtelny, wytworny, mędrzec o wąskich, lekko drwiących ustach. A on sam, on sam stracił w jego obecności panowanie nad sobą; był zawstydzony i jąkał się, a wreszcie stał przed nim becząc! Zamiast zdobyć tego rozumnego człowieka najszlachetniejszą bronią: greką, filozofią, bohaterstwem ducha i godnym stoicyzmem, załamał się przed nim, słaby i nędzny! Nigdy sobie tego nie wybaczy, nigdy nie będzie mu mógł bez wstydu spojrzeć w oczy.

Ale wraz z płaczem wyładowało się wielkie napięcie, zaś cicha samotność izby, dobre łóżko niosło ulgę, rozpacz straciła więcej niż połowę siły. Wkrótce przyszedł jeden z posługujących braci, przyniósł polewkę mleczną, kawałek pszennego chleba i do tego mały kubek czerwonego wina,

jakie uczniowie otrzymywali tylko w święta; Złotousty jadł i pił, opróżnił talerz do połowy, odstawił go, znowu począł myśleć, ale nie szło mu; sięgnął znowu po talerz, zjadł jeszcze kilka pełnych łyżek. A gdy nieco później drzwi otwarły się cicho i wszedł Narcyz, aby zajrzeć do chorego, chłopiec leżał i spał, a na policzkach jego znowu kwitł rumieniec.

Długo obserwował go Narcyz, z miłością, z badawczym zaciekawieniem i odrobiną zazdrości. Widział: Złotousty nie był chory, jutro nie trzeba będzie przysyłać mu wina. Ale wiedział, że czar został przełamany, że zostaną przyjaciółmi. Dzisiaj Złotousty mógł być tym, który potrzebował pomocy, któremu mógł wyświadczyć przysługę. Kiedy indziej on sam będzie może słaby, sam może potrzebować będzie pomocy, miłości. A od tego chłopca będzie ją mógł przyjąć, gdyby sprawy miały wziąć taki obrót.

Rozdział trzeci

Osobliwa nawiązała się przyjaźń między Narcyzem a Złotoustym: niewielu tylko ludziom podobała się, a niekiedy mogło się wydawać, jakoby się im samym nie podobała.

Narcyzowi, myślicielowi, było z tym początkowo najtrudniej. Wszystko było dlań duchem, nawet miłość; nie było mu dane bezmyślnie oddawać się jakiemuś uczuciu. W przyjaźni tej był wiodącym duchem, a przez długi czas tylko on jeden świadomie rozpoznawał los, zasięg i znaczenie tej przyjaźni. Przez długi czas pozostawał samotny w kochaniu i wiedział, że przyjaciel wtedy dopiero rzeczywiście będzie do niego należał, gdy doprowadzi go do poznania. Żarliwie i płomiennie, igrając, nieświadomie oddawał się Złotousty nowemu życiu; świadomie i z poczuciem odpowiedzialności przyjmował Narcyz wzniosły los.

Dla Złotoustego było to początkowo wyzwolenie i ozdrowienie.

Jego młodzieńcza potrzeba miłości została dopiero co, przez widok i pocałunek ładnej dziewczyny, gwałtownie zbudzona, a zarazem beznadziejnie spłoszona. Gdyż to jedno wyczuwał w głębi duszy, że całe dotychczasowe marzenie jego

życia, wszystko, do czego się czuł przeznaczony i powołany, zostało przez ów pocałunek w oknie, przez spojrzenie owych ciemnych oczu do samego rdzenia zagrożone. Przeznaczony przez ojca do życia zakonnego, całą swoją wolą przyjąwszy to przeznaczenie, z żarem pierwszego zapału młodzieńczego zapatrzony w pobożny i ascetyczno-bohaterski ideał - przy pierwszym przelotnym spotkaniu, przy pierwszym obudzeniu się jego zmysłów, przy pierwszym powitaniu kobiecości odczuł nieprzeparcie, że tutaj jest jego wróg i demon, że kobieta to jego niebezpieczeństwo. A oto los dawał mu ratunek, oto w najpilniejszej potrzebie szła mu naprzeciw ta przyjaźń, darząc pragnienia jego nowym kwitnącym ogrodem, uwielbienie - nowym ołtarzem. Tutaj wolno mu było kochać, wolno mu było, nie popadając w grzech, darować serce podziwianemu, starszemu, mądrzejszemu przyjacielowi, zmienić niebezpieczne płomienie zmysłów w szlachetny ogień ofiarny, uduchowić je.

Ale już o pierwszej wiosnie tej przyjaźni natknął się na osobliwe hamulce, na nieprzewidziane, zagadkowe oziębienia, na przerażające żądania. Gdyż daleki był od tego, aby wyobrazić sobie przyjaciela jako przeciwnika i biegun przeciwległy. Wydawało mu się, że potrzeba wszak tylko miłości, tylko szczerego oddania, aby z dwojga uczynić jedno, aby zatrzeć różnice i przerzucić most nad przeciwieństwami. Ale jakże szorstki i pewny, jak jasny i nieubłagany był ten Narcyz! Zdawało się, że niewinne oddanie się, wdzięczna wspólna wędrówka po krainie przyjaźni jest dlań rzeczą nie znaną i niepożądaną. Zdawało się, że nie zna, że nie znosi dróg bez celu, marzycielskiego kroczenia w dal. Wprawdzie gdy Złotousty wydawał się chory, okazał troskę o niego, wprawdzie pomagał mu i radził wiernie we wszelkich sprawach szkoły

i wiedzy, wyjaśniał mu trudne ustępy w książkach, otwierał oczy na królestwo gramatyki, logiki, teologii, ale nigdy nie wydawał się zupełnie zadowolony z przyjaciela, zupełnie w zgodzie z nim, ba, zdawał się często wyśmiewać go i nie traktować poważnie. Złotousty czuł wprawdzie, że nie jest to tylko szkołarstwo, nie tylko wywyższanie się starszego i rozumniejszego, że tkwi poza tym coś innego, coś głębszego, ważniejszego. Ale nie potrafił tego czegoś głębszego pojąć, i dlatego przyjaźń ta czyniła go często smutnym i bezradnym.

W istocie Narcyz wiedział dobrze, co się dzieje z jego przyjacielem, nie był ślepy na jego kwitnącą piękność ani na jego przyrodzoną energię życiową i barwną pełnię. Nie był bynajmniej szkołarzem, który chciałby żarzącą się duszę karmić greką, na niewinną miłość odpowiadać logiką. Raczej nazbyt kochał jasnowłosego młodzieńca, a dla niego stanowiło to niebezpieczeństwo, gdyż miłość nie była jego stanem naturalnym, tylko cudem. Nie wolno mu było zakochać się, zadowalać się błogim wpatrywaniem się w te piękne oczy, przebywaniem w pobliżu tej kwitnącej, świetlistej jasności, nie mógł pozwolić tej miłości na chwilę choćby zabawić w świecie zmysłów.

Bo jeśli Złotousty czuł się przeznaczony na mnicha i ascetę, przeznaczony do dążenia przez całe życie ku świętości - to Narcyz był do takiego życia istotnie powołany. Miłość była mu dozwolona w jednej tylko, najwyższej formie. Ale w powołanie Złotoustego do ascezy Narcyz nie wierzył. Wyraźniej niż ktokolwiek inny potrafił czytać w ludziach, a tutaj, gdzie kochał, czytał ze wzmożoną jasnością. Widział naturę Złotoustego, którą, mimo jej przeciwieństwa ze swoją, najgłębiej pojmował, gdyż była ona drugą, utraconą połową jego własnej natury. Widział tę naturę, opancerzoną

przez twardą skorupę, przez wmówienia, błędy wychowania, słowa ojcowskie, i dawno domyślał się całej nieskomplikowanej tajemnicy tego młodego życia.

Zadanie jego było dlań jasne: odsłonić przyjacielowi tę tajemnicę, uwolnić go od skorupy, przywrócić mu jego istotną naturę. Ciężkie to zadanie, a najcięższe w nim to, że może utracić przy tym przyjaciela.

Nieskończenie powoli zbliżał się ku celowi. Miesiące minęły, zanim jakieś poważne natarcie, sięgająca głębiej rozmowa stała się między nimi możliwa. Tak bardzo byli mimo całej przyjaźni oddaleni, tak szeroko rozpięty był łączący ich łuk. Widzący i ślepy - tak kroczyli obok siebie; a to, że ślepy nie wiedział nic o własnej ślepcocie, nie ułatwiało sprawy nikomu prócz niego samego.

Pierwszy wyłom uczynił Narcyz, starając się wybać owo przeżycie, które wówczas w chwili słabości przywiodło do niego wzburzonego chłopca. Badanie było mniej trudne, niż się spodziewał. Złotousty czuł dawno potrzebę wypowiedzenia się z przeżycia owej nocy; ale prócz opata nie było nikogo, do kogo by miał dość zaufania, zaś opat nie był jego spowiednikiem. Gdy więc Narcyz w chwili, która mu się wydała odpowiednia, przypomniał przyjacielowi ów początek ich przyjaźni i łagodnie dotknął tajemnicy, chłopiec rzekł bez wykrętów:

- Szkoda, że nie posiadasz jeszcze święceń i nie możesz słuchać spowiedzi; chętnie uwolniłbym się od tej rzeczy na spowiedzi i chętnie odpokutowałbym ją. Ale spowiednikowi swojemu nie mogłem o niej powiedzieć.

Ostrożnie, przebiegle posuwał się Narcyz dalej. Ścieżka była znaleziona.

- Przypominasz sobie - spróbował - ów ranek, kiedy wydawałeś się chory; nie zapomniałeś go,

gdyż wtedy zostaliśmy przecież przyjaciółmi. Ja często o tym myślałem. Może tego nie zauważyłeś, ale byłem wówczas dość bezradny.

- Ty bezradny?! - zawołał przyjaciel niedowierzająco. - Ależ bezradnym byłem przecież ja! Ja to przecież stałem przed tobą i łykałem ślinę, i nie mogłem wykrztusić słowa, i wreszcie jak dziecko zacząłem płakać! Fe, dziś jeszcze wstydzę się tej chwili; zdawało mi się, że nigdy już nie będę ci się mógł pokazać na oczy. Że też widziałeś mię tak żałośnie słabego!

Narcyz posuwał się naprzód po omacku.

- Rozumiem - rzekł - że było ci to niemiłe. Taki stanowczy i dzielny chłopak jak ty - a tu płakać przed obcym, przed nauczycielem, to rzeczywiście nie odpowiadało twemu charakterowi. I dlatego właśnie uważałem cię wtedy za chorego. I Arystoteles zachowa się dziwnie, kiedy nim trzęsie gorączka. Ale potem okazało się, że nie byłeś wcale chory! Nie miałeś wcale gorączki! I tego się właśnie wstydziłeś. Nikt się nie wstydzi, że uległ gorączce, prawda? Ty się wstydziłeś, ponieważ uległeś czemuś innemu, ponieważ coś cię przemogło. Czy stało się coś szczególnego?

Złotousty ociągał się przez chwilę, potem rzekł wolno:

- Tak, stało się coś szczególnego. Przypuśćmy, że jesteś moim spowiednikiem; kiedyś musi to przecież być powiedziane.

Ze spuszczoną głową opowiedział przyjacielowi historię owej nocy.

Z uśmiechem rzekł na to Narcyz:

- No, tak, „chodzenie do wsi” jest rzeczywiście zabronione. Ale można czynić wiele rzeczy zabronionych i śmiać się z tego albo można się z tego wypowiadać i sprawa jest załatwiona, i nic już człowieka nie obchodzi. Dlaczego i ty nie miałbyś

raz jeden, jak każdy prawie uczeń, popełnić tego małego głupstwa? Czyż jest to aż tak złe?

Nie hamując się, gniewnie wybuchnął Złotousty:

- Mówisz rzeczywiście jak nauczyciel! Wiesz przecież dobrze, o co idzie! Oczywiście nie widzę w tym wielkiego grzechu, że splątałem raz figła regułem szkolnym i wziąłem udział w uczniowskiej psocie, chociaż nie należy to naturalnie do praktyk wstępnych życia klasztornego.

- Stój! - zawołał Narcyz ostro. - Czyż nie wiesz, przyjacielu, że wielu pobożnym ojcom potrzebne były właśnie te wstępne praktyki? Czyż nie wiesz, że jedną z najkrótszych dróg do życia świętego może być życie rozpustnika?

- Ach, przestań! - bronił się Złotousty. - Chciałem powiedzieć: nie ta odrobina nieposłuszeństwa zaciążyła tak mojemu sumieniu. Było to coś innego. Była to owa dziewczyna. Było to jakieś uczucie, którego ci nie potrafię opisać! Uczucie, że jeśli ustąpię tej pokusie, choćby rękę tylko wyciągnę, aby dotknąć dziewczęcia, nigdy się już więcej nie potrafię cofnąć, grzech połknie mnie wtedy niby czeluść piekielna i nigdy już nie wypuści. Koniec byłby wtedy ze wszystkimi pięknymi marzeniami, z całą cnotą, z całą miłością Boga i dobra.

Narcyz skinał głową zadumany.

- Miłość Boga - rzekł powoli, szukając słów - nie zawsze jest połączona z miłością dobra. Ach, gdyby to było tak proste! Co jest dobre, wiemy, napisane to jest w przykazaniach. Ale Bóg jest nie tylko w przykazaniach, widzisz, są one tylko najmniejszą Jego częścią. Możesz wypełniać przykazania, a być bardzo dalekim od Boga.

- Czyż ty mnie nie rozumiesz? - uzałił się Złotousty.

- Oczywiście, że cię rozumiem. Odczuwasz w kobiecie, w płci, uosobienie wszystkiego, co

nazywasz „światem” i „grzechem”. Do wszystkich innych grzechów, tak ci się zdaje, jesteś albo zupełnie niezdolny, albo też, gdybyś się ich dopuścił, nie przyłoczyłyby cię one, mógłbyś się z nich wyspowiadać, naprawić je. Tylko tego jednego grzechu nie!

- Tak, to właśnie czuję.

- Widzisz, że cię rozumiem. I nie jesteś też tak bardzo w błędzie, historia z Ewą i węzem nie jest tylko pustą bajką. A jednak jesteś w błędzie, mój drogi. Miałbyś rację, gdybyś był opatem Danielem albo swoim patronem, świętym Chryzostomem, gdybyś był biskupem czy księdzem albo choćby małym, prostym mnichem. Ale nie jesteś nim. Jesteś uczniem, a chociaż żywisz pragnienie pozostania na zawsze w klasztorze albo chociaż ojciec twój żywi co do ciebie to pragnienie, to jednak nie złożyłeś jeszcze ślubów, nie otrzymałeś jeszcze święceń. Gdybyś został dzisiaj czy jutro uwiedziony przez piękną dziewczynę i uległ pokusie, nie złamałbyś żadnej przysięgi, nie sprzeniewierzył się żadnemu ślubowi.

- Żadnemu pisanemu ślubowi! - zawołał Złotousty w wielkim podnieceniu. - Ale niepisanemu, najświętszemu, który noszę w sobie! Czyż nie widzisz, że co może uchodzić dla wielu innych, nie uchodzi dla mnie? Czyż i ty sam, który nie posiadasz jeszcze święceń, który nie złożyłeś jeszcze ślubów, czyż ty sam pozwoliłbyś sobie kiedyś dotknąć kobiety?! Czyż też ja się mylę? Może nie jesteś wcale taki? Może nie jesteś wcale tym, za kogo cię uważałem? Czy i ty nie złożyłeś dawno w sercu owej przysięgi, której nie wypowiedziałeś jeszcze słowami i przed zwierzchnikiem, i czyż nie czujesz się na zawsze przez nią związany? Czyż nie jesteś taki jak ja?

- Nie, Złotousty, nie jestem taki jak ty, nie taki, jak sądzisz. Wprawdzie i ja dotrzymuję nie wypo-

wiedzianego ślubowania, pod tym względem masz rację. Ale taki jak ty bynajmniej nie jestem. Powiem ci dzisiaj coś, o czym sobie kiedyś przypomnisz. Powiem ci: przyjaźń nasza nie ma w ogóle innego celu ani innego sensu, jak pokazać ci, jak zupełnie inny jesteś niż ja!

Złotousty przystanął stropiony: spojrzenie i ton głosu Narcyza były takie, iż niepodobna było mu się oprzeć. Milczał. Ale dlaczego Narcyz mówił takie słowa? Dlaczego nie wypowiedziany ślub Narcyza miał być świętszy niż jego? Czyżby go w ogóle nie traktował poważnie, czyżby w nim widział tylko dziecko? Powikłania i smutki tej dziwnej przyjaźni zaczęły się na nowo.

Narcyz nie miał już wątpliwości co do natury tajemnicy Złotoustego. Stała poza nią Ewa, stała poza nią pramacierz. Ale jakże to było możliwe, że w tak pięknym, zdrowym, kwitnym młodzieńcu budząca się płeć natrafiła na tak zażartą nieprzyjaźń? Musiało to być dziełem jakiegoś demona, jakiegoś ukrytego wroga, któremu udało się tchnąć rozterkę w tego wspianiałego człowieka, wykoślawić jego wrodzone popędy. Dobrze, trzeba odnaleźć tego demona, trzeba go zakląć i uczynić widzialnym, a wtedy będzie go można pokonać.

Tymczasem koledzy coraz bardziej unikali Złotoustego i odsuwali się od niego, a raczej uważali, że to on odsunął się od nich i poniekąd zdradził ich. Nikt nie patrzył chętnym okiem na jego przyjaźń z Narcyzem. Złośliwi oczerniali ją jako przeciwną naturze; byli to ci właśnie, którzy sami zakochani byli w jednym z młodzieńców. Ale i inni, którzy pojmowali, że nie należy tu podejrzewać występku, potrzęsali głowami. Nikt nie życzył sobie związku tych dwu ludzi; przez swoją przyjaźń, tak się zdawało, usunęli się oni wyniośle jak arys-

tokraci od innych, którzy im nie wystarczali; nie było to koleżeńskie, nie było to klasztorne, nie było to chrześcijańskie.

Do uszu opata Daniela dochodziły o obu młodzieńcach różne wieści, pogłoski, oskarżenia, oszczerstwa. W ciągu przeszło czterdziestu lat życia klasztornego widział on wiele przyjaźni między młodzieńcami, należały one do obrazu klasztoru, były ładnym dodatkiem, niekiedy żartem, niekiedy niebezpieczeństwem. Trzymał się na uboczu, miał oczy otwarte, nie wtrącając się jednak. Przyjaźń o takiej sile i wyłączności była czymś rzadkim, niewątpliwie była czymś nie pozbawionym niebezpieczeństwa, ale że nie wątpił ani chwili w jej czystość, pozostawił sprawę jej biegowi. Gdyby Narcyz nie zajmował wyjątkowego stanowiska pośród uczniów i nauczycieli, opat nie zawahałby się oddalić od siebie tych dwu jakimiś zarządzeniami. Niedobrze było dla Złotoustego, że usuwał się od współpracowników i obcował bliżej jedynie ze starszym, z nauczycielem. Ale czyż można było Narcyzowi, niezwykłemu, utalentowanemu, uważanemu przez wszystkich nauczycieli za równego im duchowo, ba, za wyższego nawet - czyż można było Narcyzowi przeszkadzać w jego uprzywilejowanej karierze i usunąć go znowu od działalności nauczycielskiej? Gdyby Narcyz nie stał jako nauczyciel na wysokości zadania, gdyby przyjaźń jego zwiodła go do niedbalstwa lub stronniczości, opat odwołałby go natychmiast. Ale nie istniało nic, co można by mu było zarzucić, nic prócz pogłosek, nic prócz zazdrosnej nieufności innych. Poza tym opat wiedział o wyjątkowych zdolnościach Narcyza, o jego dziwnie przenikliwej, może nieco zarozumiałej, znajomości ludzi. Nie przeceniał takich talentów, inne talenty milsze by mu były w Narcyzie; ale nie wątpił, że Narcyz musiał do-

strzec w uczniu Złotoustym coś szczególnego i że zna go daleko lepiej, niż zna go on lub ktokolwiek inny. On sam, opat, nie dostrzegł w Złotoustym, prócz ujmującego wdzięku jego osoby, nic więcej poza nieco przedwcześnie dojrzałą gorliwością - gorliwością człowieka, który przynależy już do klasztoru i jest niemal współbratem wszystkich, jaką objawiał Złotousty, choć był tu uczniem zaledwie i gościem. Sądził, iż nie ma powodu obawiać się, że Narcyz będzie tę wzruszającą, ale niedojrzałą gorliwość pochwalał lub bardziej jeszcze podniecał. Obawiać się raczej należało ze względu na Złotoustego, że przyjaciel jego zarazi go pewną zarozumiałością duchową i pychą uczonego, ale niebezpieczeństwo wydawało mu się właśnie w stosunku do tego ucznia niewielkie, można je było zaryzykować. Kiedy pomyślał o tym, o ile prościej, spokojniej i wygodniej jest dla przełożonego rządzić ludźmi przeciętnymi zamiast wyższymi i silnymi naturami, musiał westchnąć i uśmiechnąć się jednocześnie. Nie, nie pozwoli się zarazić nieufnością, nie okaże się niewdzięcznym za to, że dwaj wyjątkowi ludzie zostali mu powierzeni.

Narcyz zastanawiał się wiele nad swoim przyjacielem. Szczególne jego uzdolnienie do dostrzegania i wyczuwania charakteru i przeznaczenia ludzi dawno już oświeciło go co do Złotoustego. Wszystko żywe i promienne w tym młodzieńcu przemawiało tak wyraźnie: nosił wszelkie cechy mocnego człowieka, bogatego zmysłami i duchem, może artysty, ale w każdym razie człowieka o wielkiej sile miłości, którego przeznaczenie i szczęście polegało na tym, by mógł się cały oddać gorącym i zapalnym sercem. Dlaczegoż więc ten człowiek uczucia, ten człowiek o subtelnych, bogatych zmysłach, który tak głęboko potrafił odczuwać i kochać zapach kwiatu, słońce poranne, konia, lot

ptaka, muzykę, dlaczego ten człowiek uparł się, aby być mężem oddanym sprawom ducha i ascetą? Wiele zastanawiał się nad tym Narcyz. Wiedział, że ojciec Złotoustego sprzyjał temu uporowi. Ale czy on go wywołał? Jakimi czarami urzekł syna, że wierzył w takie przeznaczenie i obowiązek? Jakim mógł być ten ojciec człowiekiem? Chociaż rozmyślnie bardzo często sprowadzał na niego rozmowę i Złotousty mówił o nim niemało, jednakże Narcyz nie mógł sobie tego ojca wyobrazić, nie widział go. Czyż nie było to dziwne i podejrzanе? Kiedy Złotousty opowiadał o pstragu, którego złapał jako chłopiec, kiedy opisywał motyla, naśladował krzyk ptaka, opowiadał o koledze, psie lub żebraku, wówczas powstawały obrazy, wówczas widziało się coś. Gdy mówił o ojcu, nie widziało się nic. Nie, gdyby ten ojciec istotnie był w życiu Złotoustego tak ważną, potężną, władczą postacią, potrafiłby go inaczej opisać, dostarczyć innych jego obrazów! Narcyz niezbyt cenił tego ojca, nie podobał mu się; wątpił nawet niekiedy, czy jest on rzeczywiście ojcem Złotoustego. Był przecież pustym bożkiem. Ale skąd posiadał tę potęgę? Jak mógł wypełnić duszę Złotoustego marzeniami, które w istocie były tak obce tej duszy?

I Złotousty rozmyślał wiele. Chociaż tak pewny czuł się serdecznej miłości przyjaciela, ciągle jednak doznawał dręczącego uczucia, że Narcyz nie traktuje go zupełnie poważnie i obchodzi się z nim trochę jak z dzieckiem. I co to znaczyło, iż przyjaciel ciągle na nowo dawał mu do zrozumienia, że nie są podobni do siebie?

Ale rozmyślania te nie wypełniały dni Złotoustego. Długo rozmyślać nie potrafił. Miał co innego do roboty w ciągu długiego dnia. Siedział często u brata furtiana; żył z nim bardzo dobrze. Zawsze potrafił sobie wyprosić albo zdobyć podstępem

sposobność do przejechania się przez godzinę czy dwie na Gwiazdochu, a bardzo lubiany był także u kilku sąsiadów klasztoru, zwłaszcza u młynarza; z parobkiem jego czatowali często na wydrę albo piekli podpłomyki z przedniej mąki pszennej, którą Złotousty z zamkniętymi oczyma, tylko po zapachu, poznawał wśród wszystkich gatunków mąki.

Chociaż wiele przebywał z Narcyzem, pozostawiały mu jednak godziny, w których oddawał się swoim dawnym nawyknieniom i przyjemnościom. Także nabożeństwo było dla niego przeważnie przyjemnością, chętnie śpiewał w chórze uczniowskim, odmawiał różaniec przed ulubionym ołtarzem, słuchał pięknej, uroczystej łaciny liturgii, lubił patrzeć na połyskujące w obłokach kadzideł złoto naczyń i ozdób i spoglądać na ciche, czcigodne postacie świętych na kolumnach, na ewangelistów ze zwierzętami, na Jakuba z kapeluszem i torbą pielgrzymią.

Postacie te pociągały go, wyobrażał sobie chętnie te kamienne i drewniane figury w tajemniczym związku ze swoją osobą, niby nieśmiertelnych, wszechwiedzących ojców chrzestnych, obrońców i przewodników swego życia. Podobnie czuł miłość i tajemniczy, wdzięczny stosunek do filarów i kapteli okien i drzwi, do ornamentów ołtarzy, do tych pięknie sprofilowanych lasek i wieńców, do tych kwiatów i rozrostłych jak chwasty liści, które wytryskały z kamieni kolumn i spletały się tak wymownie i przenikliwie. Cenną, żarliwą tajemnicą wydawało mu się, że prócz natury, jej roślin i zwierząt istniała jeszcze ta druga, niema, przez ludzi stworzona natura, ci ludzie, te zwierzęta i rośliny, i kamienie, i drzewa. Nierzadko spędzał wolną godzinę na kopiowaniu tych figur, głów zwierzęcych i wiązek liści; próbował też niekiedy rysować rzeczywiste kwiaty, konie, twarze ludzkie.

Lubił też bardzo pieśni kościelne, zwłaszcza maryjne. Lubił mocny, surowy rytm tych pieśni, ich powracające ciągle błagania i wysławiania. Pobożnie śledził ich czcigodną treść albo też, zapominając o treści, upajał się tylko uroczystym rytmem tych wierszy i chłonał je, chłonał te przeciągłe, głębokie tony, te pełne, dźwięczne samogłoski, te pobożne inwokacje. W głębi serca nie kochał uczoności, gramatyki i logiki, chociaż i one miały właściwe im piękno, a kochał świat obrazów i dźwięków liturgii.

Raz po raz przerywał też na chwilę obcość, jaka zapanowała między nim a współuczniami. Gniewało go i nudziło, kiedy przez dłuższy czas otoczony był niechęcią i chłodem; raz po raz pobudzał jakiegoś mrukliwego sąsiada przy pulpicie do śmiechu, jakiegoś milczącego sąsiada w sypialni zmuszał do gawędy, zadawał sobie przez godzinę trud, zabiegał, był miły i odzyskiwał znowu na chwilę kilka par oczu i kilka twarzy, kilkoro serc. Dwa razy dopiął przez takie zbliżenie, zupełnie wbrew swemu zamiarowi, że zaproponowano mu znowu, aby „poszedł do wsi”. Przeraził się wówczas i cofnął szybko. Nie, nie pójdzie już do wsi, udało mu się zapomnieć o dziewczynie z war-koczami, nie wspominać jej już nigdy, a przynajmniej prawie nigdy.

Rozdział czwarty

Przez długi czas wysiłki Narcyza zdobycia tajemnicy Złotoustego nie zdołały nic wskórać. Przez długi czas starał się, na pozór daremnie, zbudzić go, nauczyć go języka, w którym tajemnicę tę dałoby się wyrazić.

Wszystko, co przyjaciel opowiadał o swoim pochodzeniu i stronach rodzinnych, nie dawało obrazu. Był tam ojciec, cień pozbawiony określonej postaci, ale czczony, a dalej opowieść o jakiejś matce, przed wielu laty zaginionej czy zmarłej, która była już tylko bladym imieniem. Z wolna zrozumiał Narcyz, obeznany z czytaniem w duszach, że przyjaciel jego należy do ludzi, którzy utracili szmat swego życia, którzy pod naciskiem jakiejś niedoli czy urzeczenia musieli się zdecydować na zapomnienie jakiejś części swojej przeszłości. Zrozumiał, że samo wypytywanie i pouczanie nie wystarczy tutaj; zrozumiał, że zbyt silnie wierzył w potęgę rozumu i daremnie tak wiele mówił.

Ale niedaremna pozostała miłość, która wiązała go z przyjacielem, i nawyknięcie przebywania wiele razem. Mimo głęboko różniących się charakterów wiele nauczyli się od siebie wzajem: z wolna powstała pomiędzy nimi obok mowy rozumu tak-

że mowa dusz i znaków, jak między dwiema miejscowościami może wprowadzić biec droga, po której jeżdżą wozy i konni, ale niezależnie od tego powstaje wiele małych ścieżek, bocznych drózek, manowców: drózek dla dzieci, ścieżek dla zakochanych, niedostrzegalnych niemal dróg psów i kotów. Z wolna przedostała się ożywiona siła wyobraźni Złotoustego po magicznych drogach do myśli przyjaciela i jego mowy, a ten znowu nauczył się rozumieć bez słów i odczuwać niejedno w duszy i usposobieniu przyjaciela. Z wolna dojrzewały w świetle miłości nowe związki między duszą a duszą, potem dopiero przyszły słowa. I oto pewnego dnia, nieoczekiwana przez żadnego z nich nawiązała się między nimi przyjacielska rozmowa - pewnego dnia wolnego od nauki, w bibliotece - rozmowa, która nagle przeniosła ich w samo jądro i sens ich przyjaźni i rzuciła nowe światło na wiele rzeczy.

Rozmawiali o astrologii, której w klasztorze nie uprawiano i zabraniano, a Narcyz powiedział, że astrologia jest próbą wprowadzenia między licznymi, różnymi rodzajami ludzi, losów i przeznaczeń porządku i systemu. Na to wtrącił Złotousty:

- Zawsze mówisz o różnaitości - poznałem z wolna, że jest to twoja najosobliwsza właściwość. Kiedy mówisz o wielkiej różnicy, jaka istnieje na przykład między tobą a mną, wydaje mi się zawsze, że różnica ta polega właśnie tylko na twoim opętaniu na punkcie wyszukiwania różnic!

Narcyz: - Oczywiście, trafiasz w samo sedno. Istotnie: dla ciebie różnice nie są bardzo ważne, mnie jednak wydają się one jedyną ważną rzeczą. Z usposobienia jestem uczonym, przeznaczeniem moim jest nauka. Zaś nauka jest, aby użyć twoich

słów, niczym innym właśnie, jak „opętaniem na punkcie wyszukiwania różnic”. Nie można by lepiej scharakteryzować jej istoty. Dla nas, ludzi nauki, nic nie jest ważne prócz stwierdzenia różnic, naukę zwie się sztuką rozróżniania. Na przykład odnajdywać w każdym człowieku cechy, które go różnią od innych, znaczy to poznawać go.

Złotousty: - Owszem. Jeden nosi chłopskie buty i jest chłopem, drugi ma koronę i jest królem. Są to bez wątplenia różnice. Ale widzą je nawet dzieci, zupełnie bez nauki.

Narczyz: - Ale gdyby chłop i król ubrani byli jednakowo, wówczas dziecko nie odróżniłoby ich.

Złotousty: - Nauka także nie.

Narczyz: - Może jednak tak. Nie jest ona co prawda mądrzejsza od dziecka, ale jest cieplejsza, zwraca uwagę nie tylko na najgrubsze znaki.

Złotousty: - Tak czyni też każde mądre dziecko. Pozna ono króla po spojrzeniu albo postawie. Słowem: wy uczeni jesteście zarozumiali, zawsze uważacie nas innych za głupszych. Można być bardzo mądrym zupełnie bez nauki.

Narczyz: - Ciesz mi, że zaczynasz to pojmo-
wać. A teraz zrozumiesz też rychło, że nie mądrość mam na myśli, gdy mówię o różnicy między tobą a mną. Nie powiadam przecież: ty jesteś mądrzejszy czy głupszy, lepszy czy gorszy. Powiadam tylko: jesteś inny.

Złotousty: - Łatwo to zrozumieć. Ale mówisz nie tylko o różnicy cech, mówisz często także o różnicy losów, przeznaczeń. Dlaczego, na przykład, ty miałbyś mieć inne przeznaczenie niż ja? Jesteś jak ja chrześcijaninem, jesteś jak ja zdecydowany wieść żywot klasztorny, jesteś jak ja dziecięciem dobrego Ojca w niebiesiech. Cel nas obydwu jest ten sam: wieczne zbawienie. Przeznaczenie nasze jest to samo: powrót do Boga.

Narczyz: - Doskonale. W podręczniku dogmatyki jeden człowiek jest co prawda zupełnie taki sam jak drugi, ale w życiu nie. Wydaje mi się, że ulubiony uczeń Zbawiciela, na którego piersi spoczywał, i ów drugi uczeń, który Go zdradził, nie mieli chyba obaj jednakowego przeznaczenia?

Złotousty: - Jesteś sofistą, Narczyzie! Na tej drodze nie zbliżymy się do siebie.

Narczyz: - Nie zbliżymy się do siebie na żadnej drodze.

Złotousty: - Nie mów tak!

Narczyz: - Mówię poważnie. Nie jest naszym zadaniem zbliżyć się do siebie, tak samo jak nie zbliżają się do siebie słońce i księżyc albo morze i ląd. My dwaj, drogi przyjacielu, jesteśmy słońcem i księżycem, jesteśmy morzem i lądem. Celem naszym nie jest przeniknąć w siebie wzajemnie, ale poznać się wzajem i nauczyć się jeden w drugim widzieć i czcić to, czym on jest: przeciwieństwo i uzupełnienie drugiego.

Stropiony pochylił Złotousty głowę, twarz jego posmutniała.

Wreszcie rzekł:

- Czy dlatego tak często nie traktujesz myśli moich poważnie?

Narczyz zawahał się chwilę z odpowiedzią. Potem rzekł jasnym, twardym głosem:

- Dlatego. Musisz się przyzwyczaić do tego, kochany Złotousty, że tylko ciebie samego traktuję poważnie. Wierz mi, że każdy ton twego głosu, każdy z twoich ruchów, każdy twój uśmiech traktuję poważnie. Ale myśli twoje traktuję mniej poważnie. Traktuję w tobie poważnie to, co dostrzegam jako istotne i konieczne. Dlatego chciesz, aby właśnie myślom twoim poświęcono szczególną uwagę, kiedy posiadasz tyle innych darów?

Złotousty uśmiechnął się gorzko.

- Powiedziałam przecież, uważałeś mię zawsze tylko za dziecko!

Narcyz pozostał stanowczy.

- Część twoich myśli uważam za myśli dziecięce. Przypomnij sobie, mówiliśmy poprzednio o tym, że mądre dziecko bynajmniej nie musi być głupsze od uczonego. Ale jeżeli to dziecko zechce mówić o nauce, uczony nie będzie go traktował poważnie.

Złotousty zawołał porywczo:

- Nawet kiedy nie mówię o nauce, śmiejesz się ze mnie! Masz, na przykład, zawsze taką minę, jakby cała moja pobożność, wszystkie moje wysiłki w celu czynienia postępów w nauce, moje pragnienie zostania zakonnikiem były tylko dzieciństwem!

Narcyz spojrzął na niego poważnie:

- Traktuję cię poważnie, kiedy jesteś Złotoustym. Ale nie zawsze jesteś Złotoustym. Nie pragnę niczego innego, jak tylko abyś stał się całkowicie Złotoustym. Nie jesteś uczonym, nie jesteś mnichem - uczonego lub mnicha można zrobić z lichszego drzewa. Sądzisz, że uważam cię za zbyt mało wykształconego, zbyt miernego logika lub zbyt mało pobożnego. O, nie, jesteś mi zbyt mało sobą.

Chociaż Złotousty po rozmowie tej usunął się stropiony i nawet urażony, to jednak już po kilku dniach sam okazał chęć kontynuowania jej. Tym razem udało się Narcyzowi dać mu obraz różnicy ich charakterów, który mógł łatwiej przyjąć.

Narcyz rozgadał się na dobre, czuł, że Złotousty przyjmuje dziś jego słowa otwarciej i chętniej, że ma nad nim władzę. Dał się skusić sukcesowi do powiedzenia więcej, niżeli zamierzał, dał się porwać własnym słowom.

- Widzisz - mówił - istnieje tylko jeden jedyny punkt, w którym cię przewyższam: czuвам, pod-

czas gdy ty tylko na wpół czuwasz, a niekiedy zupełnie śpisz. Czuwaniem nazywam stan człowieka, który rozumnie i świadomie zna swoje najtajniejsze nierozumne siły, popędy i słabości i potrafi się z nimi liczyć. Nauczyć się tego - oto sens, jaki może mieć dla ciebie spotkanie ze mną. W tobie, Złotousty, duch i natura, świadomość i świat marzeń bardzo są od siebie oddalone. Zapomniałeś swego dzieciństwa, a ono zabiega o ciebie z głębin twej duszy. Tak długo będzie ci zadawało ból, aż je wysłuchasz. - Dość o tym! W czuwaniu, jak powiedziałem, jestem silniejszy od ciebie, pod tym względem przewyższam cię i dlatego mogę ci być użyteczny. We wszystkim innym, kochany, ty przecie mnie przewyższasz - a raczej będziesz przewyższał, gdy tylko odnajdziesz siebie.

Złotousty przysłuchiwał się zdumiony, ale przy słowach „zapomniałeś swego dzieciństwa” wzdrygnął się jak trafiony strzałą, jednak Narcyz, który wycyzajem swoim podczas mówienia często miewał oczy długo zamknięte lub wlepiął wzrok przed siebie, jakby w ten sposób łatwiej znajdował słowa, nie spostrzegł tego. Nie widział, jak twarz Złotoustego drgnęła nagle i poczęła wędznąć.

- Przewyższać ja ciebie! - wybełkotał Złotousty, tylko by coś powiedzieć, był jak tknięty bezwładem.

- Oczywiście - ciągnął Narcyz. - Natury twojego rodzaju, o silnych i subtelnych zmysłach, natchnieni, marzyciele, poeci, kochankowie, prawie zawsze przewyższają nas, ludzi rozumu. Wasze pochodzenie jest macierzyste. Życie pełnią, dana wam jest siła miłości i zdolności przeżywania. My, ludzie ducha, chociaż na pozór często kierujemy i rządymy wami, nie żyjemy pełnią, żyjemy w posusze. Do was należy pełnia życia, do was sok owoców, do was ogrody miłości, piękna kraina

sztuki. Waszą ojczyzną jest ziemia, naszą idea. Waszym niebezpieczeństwem jest zatonięcie w świecie zmysłów, naszym uduszenie się w pozabawionej powietrza przestrzeni. Ty jesteś artystą, ja - myślicielem. Ty śpisz na piersi matki, ja czuвам na pustyni. Mnie świeci słońce, tobie księżyc i gwiazdy, ty śniesz sny o dziewczynach, ja o młodzieńcach...

Z szeroko rozwartymi oczyma przysłuchiwał się Złotousty, jak Narcyz mówił w jakimś krasomówczym oszołomieniu. Wiele z jego zdań trafiało go jak ostrze miecza; przy ostatnich słowach pobladł i przymknął oczy, a gdy Narcyz spostrzegł to i przerażony zapytał o przyczynę, pobladły przyjaciel odpowiedział zgasłym głosem:

- Zdarzyło mi się raz, że załamałem się przed tobą i musiałem płakać, pamiętasz przecież. Nie powinno się to po raz drugi zdarzyć, nigdy bym sobie tego nie wybaczył, i tobie także nie! Odejdź teraz szybko i pozostaw mnie samego, powiedziałaś mi straszliwe słowa.

Narcyz był bardzo stropiony. Słowa porwały go, miały wrażenie, że mówi lepiej niż zwykle. Teraz widział z przerażeniem, że któreś z tych słów głęboko wstrząsnęło przyjacielem, że trafił gdzieś w żywe ciało. Ciężko mu było pozostawić go w tej chwili samego, zawahał się na sekundę; zmarszczone czoło Złotoustego napomniało go, zmieszany uciekł, aby użyczyć przyjacielowi samotności, której potrzebował.

Tym razem naprężenie w duszy Złotoustego nie wyładowało się w łzach. Czuł się głęboko, beznadziejnie zraniony, jakby przyjaciel pchnął go nagle nożem w pierś, stał w miejscu oddychając ciężko, ze śmiertelnie ściśniętym sercem, z woskowo bladą twarzą, bezwładnymi rękoma. Było to znowu dawne cierpienie, tylko o kilka stopni sil-

niejsze, było to znowu owo dławienie we wnętrzu, uczucie, że musi spojrzeć w oczy czemuś straszliwemu, czemuś wprost nie do zniesienia. Ale wyzwajające łkanie nie dopomogło tym razem do opanowania cierpienia. Święta Matko Boża, co to było? Czyż coś się stało? Czy go zamordowano? Czy on zabił? Co tu powiedziano tak straszliwego?

Dyszząc wyrzucał z siebie oddech, jak ktoś zatruty, przejęty był na wskroś uczuciem, że musi się uwolnić od czegoś zabójczego, co tkwiło głęboko w jego wnętrzu. Poruszając się jak pływak, wybiegł z pokoju, uciekał nieprzytomnie po najcichszych, najodludniejszych zakątkach klasztoru, przez korytarze, przez schody - na wolność, na powietrze. Znalazł się w najdalszym zakamarku klasztoru, na krużganku; nad kilkoma zielonymi grządkami stało przejrzyste słoneczne niebo, przez chłodne, kamienne powietrze piwniczne sunęła słodkimi, chwiejnymi pasmami woń róż.

Nieświadomie uczynił Narcyz w tej godzinie to, co dawno już było jego upragnionym celem: zawołał po imieniu demona, przez którego przyjaciel jego był opętany, wyzwał go. Jedno z jego słów dotknęło tajemnicy w sercu Złotoustego, które wspięło się w obłądnym bólu. Długo błąkał się Narcyz po klasztorze, szukając przyjaciela, ale nie znalazł go nigdzie.

Złotousty stał pod jednym z krągłych, ciężkich łuków kamiennych, prowadzących z krużganków do wirydarza; z filarów podpierających łuki spoglądały na niego po trzy głowy zwierzęce, kamienne głowy psów czy wilków z wybałuszonymi ślepiami. Przerażliwie szarpała się w nim rana, nie znajdując drogi do światła, nie znajdując drogi do rozumu. Śmiertelna trwoga ścisnęła mu gardło i żołądek. Podniósłszy automatycznie głowę, ujrzał nad sobą jeden z kapitelów z trzema głowami zwierzęcymi

i już miał wrażenie, jakby trzy dzikie głowy siedziały, wybałuszały ślepie i szczekały w jego trzewiach.

„Zaraz umrę - poczuł z dreszczem. I w chwilę później, dygocząc z trwogi, pomyślał: - Teraz stracę rozum, teraz pożą mnie te paszcze zwierzęce.”

Drżąc padł u stóp filaru, ból był zbyt wielki, osiągnął najdalszą granicę. Omdlenie spowiło go; twarz mu się zapadła i pogrążył się w upragnionym niebycie.

Opat Daniel miał niezbyt radosny dzień; dwaj spośród starszych mnichów przyszli dzisiaj do niego, podnieceni, gderający, oskarżający, znowu poróżnieni zaciekle o prastare zawistne błahostki. Wysłuchiwał ich aż nazbyt długo, napominał, ale bezskutecznie, odprawił wreszcie surowo, nałożył każdemu dość dużą karę i w sercu zachował wrażenie, że starania jego były bezużyteczne. Wyczerpany schronił się do kaplicy niższego kościoła, modlił się, wstał od modlitwy nie czując się orzeźwiony.

Teraz zwabiony przez nadpływający z zewnątrz lekki zapach róż, wyszedł na chwilę na krużganek, aby zaczerpnąć powietrza. Tam znalazł ucznia Złotoustego, leżącego bez przytomności na flizach. Ze smutkiem spojrzął na niego, przerażony bladocią zgaszonej, tak ładnej zwykle, młodej twarzy. Niedobry był dzisiaj dzień, a teraz jeszcze to! Usiłował podnieść młodzieńca, lecz ciężar przerasła jego siły. Z głębokim westchnieniem odszedł starzec, chcąc zawołać dwóch młodszych braci, by wnieśli Złotoustego na górę, i posłać po ojca Anzelma, który był lekarzem. Posłał też po Narcyza, który wnet został znaleziony i zjawił się przed nim.

- Czy wiesz już? - zapytał opat.
- Co do Złotoustego? Tak, przewielebny ojcze, słyszałem przed chwilą, że jest chory czy też uległ wypadkowi, że go przyniesiono.

- Tak, znalazłem go w krużganku, gdzie właściwie nie miał nic do roboty. Nie uległ wypadkowi, zemdlął. Nie podoba mi się to. Mam wrażenie, że musiałeś mieć z tą sprawą coś wspólnego, a przynajmniej powinieneś coś o tym wiedzieć: przecież to twój *intimus*.¹ Dlatego cię zawezwałem. Mów.

Narcyz, jak zwykle opanowany w postawie i mowie, opowiedział krótko o swojej dzisiejszej rozmowie ze Złotoustym i jak niespodzianie silne wrażenie wywarła ona na młodzieńcu. Opat potrząsnął głową nie bez niechęci.

- Dziwne to są rozmowy - rzekł zmuszając się do spokoju. - To, coś mi opisał, jest rozmową, którą by można nazwać wdzieraniem się w cudzą duszę, jest to, powiedziałbym, rozmowa duszpasterska. Ale ty nie jesteś duszpasterzem Złotoustego. Nie jesteś w ogóle duszpasterzem, nie posiadasz jeszcze święceń. Jakże się to dzieje, że rozmawiasz z uczniem tonem doradcy o sprawach, które obchodzą tylko duszpasterza? Skutki, jak widzisz, były złe.

- Skutków - rzekł Narcyz tonem łagodnym, ale stanowczo - nie znamy jeszcze, wielebny ojcze. Byłem nieco przerażony silnym wrażeniem, ale nie wątpię, że skutki naszej rozmowy będą dla Złotoustego dobre.

- Zobaczymy te skutki. Nie mówię teraz o nich, ale o twoim postępowaniu. Co cię skłoniło do prowadzenia takich rozmów ze Złotoustym?

- Jak wiecie, jest on moim przyjacielem. Żywię do niego szczególną skłonność i sądzę, że rozu-

¹ przyjaciel (łac.)

niem go wyjątkowo dobrze. Nazywacie moje zachowanie wobec niego duszpasterskim. Nie przypisywałem sobie żadnego autorytetu duchowego, sądziłem tylko, że znam go nieco lepiej, niżeli on sam siebie zna.

Opat wzruszył ramionami.

- Wiem, że to twoja specjalność. Ufajmy, że nie sprawiłeś przez to nic złego. Czy Złotousty jest chory? Mam na myśli, czy mu coś dolega? Czy jest słabowity? Czy źle sypia? Czy nie je? Czy ma jakieś bóleści?

- Nie, do dzisiejszego dnia był zdrow. Na ciele zdrow.

- A poza tym?

- Na duszy jest niewątpliwie chory. Wiecie, że jest on w wieku, kiedy zaczynają się walki z popędem płciowym.

- Wiem. Ma siedemnaście lat.

- Ma osiemnaście lat.

- Osiemnaście. No tak. Dość późno. Ale te walki są przecież czymś naturalnym, co każdy musi przejść. Z tego powodu nie można go jeszcze nazwać chorym na duszy.

- Nie, ojciec przewielebny, z tego tylko powodu nie. Ale Złotousty już dawniej był chory na duszy, długo przedtem, dlatego walki te są dla niego niebezpieczniejsze niż dla innych. Cierpi, jak sądzę, z tego powodu, że zapomniał części swojej przeszłości.

- Tak? Jakaż to część?

- Jest to jego matka i wszystko, co pozostaje z nią w związku. I ja nie wiem o tym nic, wiem tylko, że tam leżeć musi źródło jego choroby. Gdyż Złotousty nie wie rzekomo nic więcej o swojej matce, jak tylko, że stracił ją wcześniej. Ma się jednak wrażenie, jakby się jej wstydził. A jednak po niej to musiał odziedziczyć większość swoich

darów, gdyż wszystko, co potrafi powiedzieć o ojcu, nie maluje tego ojca jako człowieka, który mógłby mieć tak pięknego, uzdolnionego i osobliwego syna. Wiem o tym wszystkim nie z opowiadań, wnoszę to z oznak.

Opat, który początkowo uśmiechał się nieco w duchu z tej przemowy, jako przemądrzałej i pyszałkowatej, i dla którego cała sprawa była kłopotliwa i uciążliwa, począł się zastanawiać. Przypomniał sobie ojca Złotoustego, owego nadętego nieco i odpychającego człowieka, i rozmyślając nad tym, nagle przypomniał sobie teraz także kilka zdań, które wypowiedział on wówczas o matce Złotoustego. Okryła go hańbą i uciekła od niego, powiedział, a on zadał sobie trud, aby stłumić w synku wspomnienie matki i przypuszczalnie odziedziczone po niej występne skłonności. Udało mu się to, i chłopiec jest gotów dla odpokutowania win matki poświęcić życie Bogu.

Dnia tego Narcyz bardzo się nie podobał opatowi. A jednak - jak dobrze odgadł ten szperacz, jak dobrze znał widocznie Złotoustego!

Zapytany na zakończenie raz jeszcze o wydarzenia dzisiejsze, Narcyz rzekł:

- Gwałtowny wstrząs, jakiego Złotousty doznał dzisiaj, nie leżał w moim zamiarze. Przypomniałem mu, że nie zna siebie, że zapomniał swego dzieciństwa i swojej matki. Któreś z moich słów musiało go ugodzić i przeniknąć w mrok, z którym od dawna już walczyłem. Był jak pozbawiony rozumu, spojrział na mnie, jakby nie znał już ani mnie, ani siebie samego. Mówiłem mu często, że śpi, że niezupełnie czuwa. Teraz zbudził się, nie wątpię o tym.

Został zwolniony bez nagany, ale z chwilowym zakazem odwiedzania chorego.

Tymczasem ojciec Anzelm kazał ułożyć zemdłego na łóżku i usiadł przy nim. Przywołać go

gwałtownymi środkami do przytomności nie wydawało mu się wskazane. Chłopiec wyglądał zbyt źle. Życzliwie spoglądał starzec o pomarszczonej, łagodnej twarzy na młodzieńca. Na razie zbadał jego puls i wysłuchał serce. Na pewno, pomyślał, zjadł chłopak coś niestrawnego, wiązkę szczawiu czy coś podobnego, to przecież znane rzeczy. Języka nie mógł obejrzeć. Lubił bardzo Złotoustego, ale jego przyjaciela, tego przedwcześnie dojrzałego, nazbyt młodego nauczyciela nie znosił. To było wszystko. Na pewno Narcyz był współwinnym w tej głupiej historii. I na cóż takiemu świeżemu jasnookiemu chłopcu, takiemu miłemu dziecku natury zadawać się akurat z tym wyniosłym uczonym, z tym pyszałkowatym specjalistą od gramatyki, dla którego greka ważniejsza była niż wszystko, co żyje na świecie!

Kiedy po długim czasie otworzyły się drzwi i wszedł opat, ojciec siedział jeszcze ciągle, wlepiwszy wzrok w twarz omdlałego. Jakaż to była miła, młoda, niewinna twarz; a oto siedział nad nim, miał mu pomóc i prawdopodobnie nie będzie umiał. Oczywiście, powodem mogły być kolki, zaordynuje grzane wino, może rabarbarum. Ale im dłużej spoglądał w zielonkawoblada wykrzywioną twarz, tym bardziej przechylało się jego podejrzenie w inną stronę, budząc większe wątpliwości.

Ojciec Anzelm miał doświadczenie. Wiele razy w ciągu swego długiego życia widział opętanych. Wahał się wypowiedzieć to podejrzenie nawet wobec siebie. Będzie czekał i obserwował. Ale, pomyślał z goryczą, jeżeli ten biedny chłopiec istotnie został urzeczony, winnego niedaleko pewnie trzeba będzie szukać, a nie ujdzie mu to na sucho.

Opat zbliżył się, przyjrzał się choremu, ostrożnie uniósł mu nieco powiekę.

- Czy można go obudzić? - zapytał.

- Chciałbym jeszcze poczekać. Serce jest zdrowe. Nie możemy wpuszczać do niego nikogo.

- Czy jest niebezpieczeństwo?

- Sądzę, że nie. Nigdzie nie ma ran, nigdzie śladów uderzenia lub upadku. Zemdlał, może to były kolki. Przy bardzo silnych bólach traci się przytomność. Gdyby to było zatrucie, nastąpiłaby gorączka. Nie, obudzi się i zostanie przy życiu.

- Czy to nie może pochodzić z duszy?

- Nie przeczę. Cóż można wiedzieć? Może przeżył silne przerażenie? Może miał jakąś wiadomość o śmierci? Jakiś gwałtowny spór, obrazę? Wtedy wszystko byłoby zrozumiałe.

- Nie wiem tego. Baczcie, żeby nikogo do niego nie wpuszczano. Proszę was, abyście pozostali przy nim, aż się zbudzi. Gdyby miało być gorzej, zawołajcie mnie, choćby to było w nocy.

Przed odejściem starzec raz jeszcze pochylił się nad chorym: pomyślał o jego ojcu i pomyślał o owym dniu, kiedy przyprowadzono mu tego ładnego, wesołego blondynka, i jak wszyscy od razu go polubili. I on chętnie go widział. Ale pod tym względem miał Narcyz istotnie rację: w niczym nie przypominał ten chłopiec swego ojca! Ach, ileż wszędzie trosk, jak nieudolne są wszystkie nasze czyny! Czy nie zaniedbał może czegoś w stosunku do tego biednego chłopca? Czy miał on właściwego spowiednika? Czy to było w porządku, że nikt w klasztorze nie znał tego ucznia tak dobrze, jak Narcyz? Czyż mógł mu pomóc ten, kto był zaledwie nowicjuszem, kto ani bratem nie był, ani święceń nie posiadał i czyje myśli i poglądy miały w sobie coś tak niemile zarozumiałego, coś wrogiego niemal? Bóg wie, czy i Narcyza nie traktowało się od dawna fałszywie? Bóg wie, czy za maską posłuszeństwa nie krył on czegoś złego, może był poganinem? A za wszystko, co się z tymi

dwoma młodzieńcami kiedyś stanie, za to wszystko on był odpowiedzialny.

Gdy Złotousty odzyskał przytomność, było ciemno. Czuł w głowie pustkę i zamęt. Czuł, że leży w łóżku, nie wiedział, gdzie jest, nie zastanawiał się też nad tym, było mu to obojętne. Ale gdzie był przedtem? Skąd przybywał, z jakiej nieznannej krainy przeżyć? Był przedtem gdzieś bardzo daleko, widział coś - coś niezwykłego, wspaniałego, coś strasznego także i niezapomnianego - a jednak zapomniał o tym. Gdzie to było? Co to było? Co mu się tam odstąpiło, tak wielkie, tak bolesne, tak błogie, i znowu zniknęło?

Wsłuchiwał się w głąb siebie, gdzie się dzisiaj coś otwarło, coś stało - co to było? Splątane kłębowiska obrazów wznosiły się, widział psie łby, trzy łby, i czuł zapach róż. O, jakież to było bolesne! Zamknął oczy. O, jak straszliwie bolesne to było! Zasnął znowu.

Zbudził się ponownie i właśnie w chwili zanikania uciekającego szybko świata snów ujrzał, odnalazł znowu ów obraz i wzdrygnął się jak w bolesnej rozkoszy. Widział, stał się widzący. Widział ją. Widział wielką, promienną, z pełnymi, kwitnącymi ustami, z połyskującymi włosami. Widział swoją matkę. Zarazem zdało mi się, że słyszy głos: „Zapomniałeś swego dzieciństwa.”

Czyżje to było głos? Nadśłuchiwał, myślał i znalazł. To był Narcyz. Narcyz? I w jednej chwili, za jednym gwałtownym drgnieniem wszystko powróciło znowu: przypomniał sobie, wiedział. O matko, matko! Góry gruzu, morza zapomnienia zapadły się, znikły; królewskimi, jasnoniebieskimi oczyma spoglądała na niego znowu ta utracona, tak niewypowiedzianie ukochana.

Ojciec Anzelm, który zdrzemnął się w fotelu obok łóżka, obudził się. Usłyszał, że chory porusza się, że oddycha. Wstał ostrożnie.

- Czy jest tu kto? - zapytał Złotousty.

- To ja, nie lękaj się. Zapalę światło.

Zapalił lampkę, blask padł na jego pomarszczoną, dobroduszną twarz.

- Czy jestem chory? - zapytał młodzieniec.

- Zemdlałeś, mój synku. Podaj mi rękę, zbadamy puls. Jak się czujesz?

- Dobrze. Dziękuję wam, ojczy Anzelmie. Jesteście bardzo łaskawi. Nic mi już nie dolega, jestem tylko zmęczony.

- Naturalnie, że jesteś zmęczony. Teraz będziesz spał znowu. Łyknij najpierw gorącego wina, jest przygotowane. Opróżnimy razem kubek, mój chłopcze, za dobre koleżeństwo.

Troskliwie przechowywał w pogotowiu dzbanuszek grzanego wina, który wstawił do naczynia z gorącą wodą.

- Więc spaliśmy obaj sporą chwilę - zaśmiał się lekarz. - Ładny mi pielęgniarz, pomyślisz sobie, który nie potrafi zapanować nad snem. No, tak, jesteśmy ludźmi. Teraz wypijemy trochę tego czarodziejskiego napoju, mój mały, nie ma nic miłszego jak taka mała potajemna pijatyka w nocy. Więc na zdrowie!

Złotousty roześmiał się, trącił się z zakonnikiem i skosztował. Grzane wino zaprawione było cynamonem i goździkami i osłodzone cukrem - tego jeszcze nigdy nie pił. Przypomniało mu się, że raz już był chory, wtedy zaopiekował się nim Narcyz. Tym razem czuwał nad nim ojciec Anzelm, który był dobry dla niego. Podobało mu się bardzo, niezmiernie było miło i osobliwie leżeć przy blasku lampki i pośród nocy pić ze starym zakonnikiem słodkie, ciepłe wino.

- Czy boli cię brzuch? - zapytał staruszek.

- Nie.

- Hm, myślałem, że miałeś kolki, Złotousty. Więc nic z tego. Pokaż no język. No, dobrze, wasz stary Anzelm znowu się nie poznał. Będziesz jutro grzecznie leżał, przyjdę znowu i zbadam cię. A wino już skończyłeś? Doskonale, niech ci będzie na zdrowie. Zobaczymy, czy jest jeszcze trochę. Na pół kubka dla każdego z nas starczy jeszcze, jeżeli się rzetelnie podzielimy. Ależ nas przestraszyłeś, Złotousty! Leżysz sobie na krążanku jak trupek. Czy rzeczywiście nie boli cię brzuch?

Śmiali się i rzetelnie podzielili resztę wina, mnich stroił żarty, a Złotousty spoglądał na niego, wdzięczny i rozbawiony, pojaśniałymi znowu oczyma. Potem staruszek odszedł, aby się położyć do łóżka.

Złotousty leżał jeszcze przez pewien czas czuwając, obrazy z wolna wynurzyły się znowu z jego duszy, słowa przyjaciela zapłonęły znowu, i raz jeszcze zjawiła się przed jego duszą jasnowłosa, promienna kobieta, matka; jak wiatr południowy przemknął przez niego jej obraz, jak obłok życia, ciepła, tkliwości i żarliwego napomnienia. O matko! O, jakże to stać się mogło, że o niej zapomniał!

Rozdział piąty

Niewiele, i to tylko z opowiadań innych, wiedział dotychczas Złotousty o swojej matce; obrazu jej nie posiadał już, a z niewielu rzeczy, jakie o niej wiedział, większość przemilczał przed Narcyzem. Matka była czymś, o czym nie wolno było mówić, wstydzono się jej. Tancerką była, piękną, dziką kobietą z szlchetnego, ale nie cieszącego się dobrą sławą i pogańskiego rodu. Ojciec Złotoustego opowiadał, że podniósł ją z ubóstwa i hańby; nie wiedząc, czy nie była poganką, kazał ją ochrzcić i uczyć religii; poślubił ją i uczynił dostojną kobietą. Ale ona, po kilku latach uległości i przyzwoitego życia, przypomniała sobie znowu wszystkie swoje sztuki i praktyki, siała zgorszenie i uwodziła mężczyzn, dniami i tygodniami przebywała poza domem, pozyskała sławę czarownicy i wreszcie, wiele razy odnajdywana przez męża i przyjmowana z powrotem, znikła na zawsze. Sława jej brzmiała jeszcze przez pewien czas, zła sława, migocząca jak ogon komety, a potem zgasła. Mąż z wolna odzyskał siły po latach niepokoju, grozy, hańby i wiecznych niespodzianek, jakie mu gotowała; zamiast nieudanej żony wychowywał teraz swego synka, bardzo podobnego z twarzy i postaci

do matki; stał się skwaszonym pobożnisiem, i wpajał w Złotoustego przekonanie, że musi ofiarować życie, aby odpokutować grzechy matki.

Tyle mniej więcej opowiadał ojciec Złotoustego o swojej utraconej żonie, chociaż niechętnie o niej mówił; napomknął też o tym opatowi, kiedy przywiozł chłopca do klasztoru. I wszystko to, jako straszliwa opowieść, znane też było synowi, chociaż nauczył się usuwać to od siebie i niemal zapominać. Natomiast całkowicie i doszczętnie zapomniał i zatracił rzeczywisty obraz matki, ów inny, zupełnie inny obraz, nie ten, który powstał z opowiadań ojca i służby i niejasnych, dzikich pogłosek. Zapomniał swego własnego, rzeczywistego, przeżytego wspomnienia matki. A teraz obraz ten, gwiazda jego najwcześniejszych lat, zabłysnęła znowu.

- Niepojęte, jak mogłem to wszystko zapomnieć - rzekł do swego przyjaciela. - Nigdy w życiu nie kochałem nikogo tak jak matkę, tak bez zastrzeżeń i płomiennie, nigdy nikogo tak nie czciłem, nie podziwiałem, była ona dla mnie słońcem i księżycem. Bóg tylko wie, jak to było możliwe zaciemnić w mojej duszy ten promienny obraz i stopniowo uczynić z niej tę złą, bladą, mglistą czarownicę, jaką dla ojca i dla mnie była od wielu lat.

Narczyz ukończył niedawno nowicjat i przyoblekł habit. Dziwnie zmieniło się jego zachowanie wobec Złotoustego. Złotousty, który dawniej odpychał wskazówki i napomnienia przyjaciela jako przykre wywyższanie się, od owego wielkiego przeżycia odnosił się z pełnym zdumienia podziwem do jego mądrości. Jak wiele z jego słów spełniło się niby proroctwa, jak głęboko zajrzał w głąb jego duszy ten niesamowity człowiek, jak trafnie odgadł tajemnicę jego życia, ukrytą ranę, jak mądrze go uleczył.

Gdyż młodzieniec zdawał się uleczony. Nie dość, że omdlenie jego pozostało bez złych skutków; z charakteru Złotoustego jakby usunięte zostało owo coś przemądrzałego, nieszczerego, owo przedwczesne nieco mnichostwo, owo przekonanie, że był obowiązany do jakiejś szczególnej służby bożej. Młodzieniec wydawał się zarazem odmłodzony i starszy, odkąd odnalazł siebie. Wszystko to zawdzięczał Narcyzowi.

Ale Narcyz od niejakiego czasu zachowywał się wobec przyjaciela dziwnie ostrożnie; spoglądał na niego bardzo skromnie, bez cienia wyższości, nie pouczająco, podczas kiedy Złotousty podziwiał go tak bardzo. Widział, że Złotousty zasilany był z tajemniczych źródeł mocami, które jemu były zupełnie obce: mógł się przyczynić do ich wzrostu, ale nie miał w nich udziału. Z radością widział, jak przyjaciel wyzwala się spod przewodnictwa, a jednak bywał niekiedy smutny. Czuł się jak stopień, który został już przekroczony, jak odrzucona łupina, widział bliski koniec tej przyjaźni, która znaczyła dla niego tak wiele. Ciągle jeszcze wiedział o Złotoustym więcej niż on sam; gdyż Złotousty odnalazł wprawdzie swoją duszę i gotów był pójść za jej wołaniem, ale dokąd ona go zaprowadzi - tego nie przeczuwał. Narcyz przeczuwał to i był bezsilny, droga jego ulubieńca prowadziła do krajin, do których on sam nigdy nie wkroczy.

Żądza nauki zmalała w Złotoustym bardzo. Minał także jego zapał do dysput w przyjacielskich rozmowach; z zawstydzeniem przypominał sobie niektóre ich dawne pogawędki. Tymczasem w Narcyzie zbudziła się ostatnimi czasy, czy to dzięki zakończeniu nowicjatu, czy wskutek przeżyć ze Złotoustym, potrzeba odosobnienia, ascezy i ćwiczeń duchowych, skłonność do postów i długich modłów, częstych spowiedzi, dobrowolnych prak-

tyk pokutnych, a Złotousty był w stanie skłonność tę zrozumieć, a nawet podzielać. Od ozdrowienia instykt jego zaostrzył się bardzo; chociaż nie wiedział jeszcze nic o swoich przyszłych celach, to jednak wyczuwał z wielką i często zatrzważającą wyrazistością, że los jego gotuje się, że okres, kiedy był niejako oszczędzany, okres niewinności i spokoju, skończył się teraz i wszystko jest w nim napięte i gotowe. Często przecucie to było uszczęśliwiające, nie dawało mu spać przez pół nocy niby słodkie zakochanie, ale często też było posępne i oszołamiające. Matka przyszła do niego znowu, przyszła ta dawno utracona; było to wielkie szczęście. Ale dokąd wiódł jej kuszący zew? W niepewność, w usidlanie, w niedolę, może w śmierć. Nie wiodła w ciszę, łagodność, bezpieczeństwo - do mniszej celi i społeczności klasztornej na całe życie, zew jej nie miał nic wspólnego z owymi nakazami ojcowskimi, które przez tak długi czas mieszał z własnymi pragnieniami.

Tym uczuciem, które często bywało silne, tęskne i palące jak gwałtowne uczucie cielesne, żywiła się pobożność Złotoustego. W powtarzaniu długich modłów do Matki Bożej wylewał napływ uczucia, które ciągnęło go do własnej matki. A jednak modlitwy jego nieraz kończyły się znowu owymi dziwnymi, wspaniałymi snami, które przeżywał teraz tak często: snami za dnia, przy na wpół trzeźwych zmysłach, snami o niej, snami, w których brały udział wszystkie zmysły. Świat macierzysty otaczał go swoją wonią, spoglądał tajemniczo z zagadkowych oczu miłości, szemrał głęboko jak morze i raj, bełkotał pieszczotliwie bezsensowne, a jednak pełne znaczenia czułe dźwięki, smakował słodko i słono, muskał jedwabistym włosem wargi i oczy. Nie tylko wszystko, co wdzięczne, było w matce, nie tylko błękitne, słod-

kie spojrzenie miłosne, uroczy, obiecujący szczęście uśmiech, pieśczośliwa pociecha; było w niej także gdzieś pod powabnymi powłokami wszystko, co straszliwe i posępne, cała trwoga, cały grzech, niedola, narodziny, cała konieczność śmierci.

Głęboko zapadał młodzieniec w te sny, w to różnorakie przedziwo uduchowionych zmysłów. Nie tylko zmartwychwstała w nich znowu czarująca, ukochana przeszłość: dzieciństwo i miłość macierzyńska, promienny złoty ranek życia; wzbierała w nich także groźna, obiecująca, kusząca i niebezpieczna przyszłość. Niekiedy sny te, w których matka, Madonna i kochanka były jednym, wydawały mu się później przeraźliwym przestępstwem i bluźnierstwem, śmiertelnym grzechem nie do odpokutowania; kiedy indziej znajdował w nich jedyne zbawienie, doskonałą harmonię. Pełne tajemnic spoglądało na niego życie, ponury i niezgłębiony świat, nieruchomy, kłujący las pełen bajecznych niebezpieczeństw - ale były to tajemnice matki, szły one od niej, prowadziły do niej, były małym, ciemnym kątkiem, małą groźną przepaścią w jej jasnym oku.

Wiele zapomnianego dzieciństwa powracało w tych snach o matce, z bezkresnych głębin i otchłani wykwiatało wiele małych kwiatków wspomnień, spoglądających złociście, woniejących przecuciem, wspomnień o uczuciach dzieciństwa, może o przeżyciach, może o snach. O rybach śnił niekiedy, które płynęły ku niemu srebrzyste i czarne, chłodne i gładkie wpływały w niego, przepływały przez niego; przybywały niby powabni wysłańcy szczęścia z innej, piękniejszej rzeczywistości, znikwały wymachując ogonkami, jak cienie - nie było ich, zamiast poselstwa pozostawały nowe tajemnice. Często śnił o pływających rybach i latających ptakach, a każda ryba czy ptak - to było jego stworzenie, zależne od niego, dające sobą kierować jak

własny oddech, promieniejące z niego jak spoj-
rzenie, jak myśli, powracające do niego. O ogrodzie
śnił często, o zaczarowanym ogrodzie z bajecznymi
drzewami, arcywielkimi kwiatami, głębokimi, ciem-
noniebieskimi pieczarami; spomiędzy traw spoglą-
dały iskrzące się oczy nieznanych zwierząt, po gałę-
ziach ślizgały się gładkie, długie węże, na latoroś-
lach i krzewach wisały połyskujące, olbrzymie,
wilgotne jagody, które przy zrywaniu pękały w jego
ręku i rozlewały gorący sok niby krew, albo miały
oczy i poruszały nimi tęsknie i przebiegle; po omac-
ku opierał się o drzewo, sięgał po gałąź i widział,
i czuł między pniem a gałęzią kłęb zwichrzonych,
gęstych włosów, jak włosy we wgłębieniu pachy.
Raz śnił o sobie samym czy też o swoim patronie,
śnił o Złotoustym, Chryzostomie, który miał usta
ze złota i mówił tymi złotymi ustami słowa, a słowa
te były rojami małych ptaków i odleciały trzepoczą-
cymi się chmarami.

Raz śnił tak: był duży i dorosły, ale siedział jak
małe dziecko na ziemi, miał przed sobą glinę i jak
dziecko lepił z gliny figurki: konika, wołu, małego
człowieka, małą kobietę. Lepienie bawiło go i robił
zwierzętom i ludziom śmiesznie wielkie genitalia,
we śnie wydawało mu się to bardzo dowcipne.
Potem zmęczył się zabawą i poszedł sobie, gdy
wtem uczuł za sobą coś żywego, coś wielkiego,
zbliżającego się bezgłośnie, obejrzał się i ujrzał
z wielkim zdumieniem i wielkim przerażeniem,
pomieszany jednak z radością, że jego małe
figurki z gliny stały się wielkie i żywe. Jako potęż-
ne, wielkie, nieme olbrzymy przeszły figury obok
niego rosnąc w dalszym ciągu, olbrzymie i mil-
czące ruszyły dalej, w świat, wysokie jak wieże.

W tym świecie snu żył więcej niż w rzeczywis-
tym. Świat rzeczywisty: sala szkolna, dziedziniec
klasztorny, biblioteka, sypialnia i kaplica, był tyl-

ko powierzchnią, tylko cienką, drgającą skórą nad pełnym marzeń, ponadrzeczywistym światem obrazów. Wystarczała błahostka, aby podziurawić tę cienką skórę: coś tajemniczego w dźwięku wyrazu greckiego podczas trzeźwej lekcji, fala zapachu z torby zielniczej botanizującego ojca Anzelma, spojrzenie na kamienną wić z liśćmi, wyrastającą w górze z filaru okna - takie drobne podniety wystarczały już, aby przebić skorupę rzeczywistości i pod tą spokojnie suchą rzeczywistością rozpętać huczące przepaści, potoki i drogi mleczone owego świata obrazów duszy. Inicjał łaciński stawał się pachnącym obliczem matki, przeciągły ton w *Ave* wrotami do raju, litera grecka - mknącym koniem, wspinającym się wężem - wąż cicho przesliznął się pod kwiatami, i oto była już na jego miejscu nieruchoma stronica gramatyki.

Rzadko o tym mówił, tylko parę razy napomknął wobec Narcyza o tym świecie snów.

- Sądzę - rzekł kiedyś - że płatek kwiatu lub mały robaczek na drodze więcej mówi i zawiera niż wszystkie księgi całej biblioteki. Literami i słowami nic nie można powiedzieć. Niekiedy piszę jakąś literę grecką, thetę czy omegę, a kiedy obracam odrobinę pióro, litera macha ogonkiem i jest rybą i w jednej sekundzie przypomina mi wszystkie strumienie i potoki świata, wszystko, co chłodne i wilgotne, ocean Homera i wodę, po której kroczył Piotr; albo litera staje się ptakiem, podnosi ogonek, nastroszą piórka, nadyma się, śmieje, potem odlatuje. No, Narcyzie, ty pewnie niewielką wagę przywiązujesz do takich liter? Ale ja ci powiadam: Bóg pisał nimi świat.

- Przywiązuję do nich wielką wagę - rzekł Narcyz smutno. - Są to czarodziejskie litery, można nimi zakląć wszystkie demony. Ale niestety do uprawiania nauk nie nadają się one. Rozum lubi

rzeczy stałe, ukształtowane, chce polegać na swoich znakach, lubi to, co istnieje, nie to, co się staje; to, co rzeczywiste, nie to, co możliwe. Nie ścierpi, aby omega stała się wężem lub ptakiem. W naturze rozum żyć nie może, tylko przeciw niej, jako jej przeciwieństwo. Czy wierzysz mi teraz, Złotousty, że nigdy nie zostaniesz uczonym?

O tak, Złotousty uwierzył w to dawno, godził się z tym.

- Nie jestem już nawet zażarty w dążeniu do waszego uduchowienia - rzekł na wpół ze śmiechem. - Z rozumem i uczonością dzieje mi się podobnie, jak mi się działo z ojcem: sądziłem, że kocham go bardzo i podobny jestem do niego, przysięgałbym na wszystko, co mówił. Ale zaledwie matka moja zjawiła się znowu, wiedziałem już od razu, co to jest miłość, a obok jej obrazu obraz ojca stał się nagle mały i niewesoły, i niemal obmierzły. A teraz skłaniam się do tego, aby uważać wszystko, co z ducha, za ojcowskie, za niemacierzyste i wrogie macierzystemu i mało to wszystko cenić.

Mówił żartobliwie, ale nie udało mu się rozweselić smutnej twarzy przyjaciela. Narcyz spojrział na niego w milczeniu, wzrok jego był jak pieszczota. Potem powiedział:

- Rozumiem cię. Nie potrzebujemy się już teraz spierać; zbudziłeś się i poznałeś różnicę między sobą a mną, różnicę między pochodzeniem macierzystym a ojcowskim, między duszą a rozumem. I teraz zrozumiesz też pewnie rychło, że twoje życie w klasztorze i dążenie do zakonnego żywota było błędem, wymysłem twego ojca, który chciał przez to uwolnić pamięć twej matki od grzechu, a może tylko zemścić się na niej. Czy też sądzisz ciągle jeszcze, że przeznaczeniem twoim jest pozostać przez całe życie w klasztorze?

W zadumie obserwował Złotousty dłonie przyjaciela, te wytworne, równie surowe, jak delikatne,

chude i białe dłonie. Nikt nie mógł wątpić, że były to dłonie ascety i uczonego.

- Nie wiem - rzekł śpiewnym, rozwlekłym nieco głosem, jaki miał od niejakiego czasu, zatrzymując się długo na każdym dźwięku. - Nie wiem naprawdę. Nieco surowo osądzasz mego ojca. Nie było mu łatwo. Ale może i pod tym względem masz rację. Od przeszło trzech lat jestem tu w szkole klasztornej, a on mnie nie odwiedził. Spodziewa się, że pozostanę tu na zawsze. Może byłoby to najlepsze, ja sam przecież zawsze tego pragnąłem. Ale dzisiaj nie wiem już sam właściwie, czego chcę i pragnę. Dawniej wszystko było proste, tak proste, jak litery w elementarzu. Teraz nic nie jest proste, nawet litery. Nie wiem, co ma ze mnie być, nie mogę myśleć teraz o tych rzeczach.

- I nie powinieneś też myśleć - odpowiedział Narcyz. - Okaże się samo, dokąd wiedzie twoja droga. Poczęła cię prowadzić z powrotem do matki i zbliży cię do niej jeszcze bardziej. Zaś co dotyczy twego ojca, to nie osądzam go zbyt surowo. Czyż chciałbyś powrócić do niego?

- Nie, Narcyzie, na pewno nie. Inaczej uczyniłbym to, gdy tylko skończę szkołę albo już teraz. Bo przecież jeśli nie mam zostać uczonym, to nauczyłem się już właściwie dość łaciny, greki i matematyki. Nie, nie chcę wracać do ojca...

W zamyśleniu spoglądał przed siebie i nagle zawołał:

- Ale jakże ty to robisz, że mówisz mi zawsze słowa albo zadajesz pytania, które rzucają we mnie światło i otwierają oczy na siebie samego? I teraz znowu tylko pytanie twoje, czy chciałbym powrócić do ojca, objawiło mi nagle, że nie chcę tego. Jak ty to robisz? Zdajesz się wiedzieć wszystko. Powiedziałaś mi wiele o sobie i o mnie; w chwili gdy tego słuchałem, niezupełnie było mi to

zrozumiałe, a potem stało się dla mnie tak ważne! To ty nazwałeś moje pochodzenie macierzystym i ty odkryłeś, że znajdowałem się pod czarem i zapomniałem swego dzieciństwa! Skąd znasz ludzi tak dobrze? Czy i ja nie mogę się tego nauczyć?

Narcyz z uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie, mój kochany, nie możesz. Bywają ludzie, którzy wiele mogą się nauczyć, ale ty do nich nie należysz. Nigdy nie będziesz ślęczał nad książką. I po co? Niepotrzebne ci to. Masz inne dary. Masz więcej darów niż ja, jesteś bogatszy ode mnie i zarazem słabszy, będziesz miał piękniejszą i trudniejszą drogę niż ja. Niekiedy nie chciałeś mnie rozumieć, często opierałeś się jak żrebię, nie zawsze było mi łatwo, a czasami musiałem ci też zadawać ból. Musiałem cię budzić, spałeś przecież. I to, że przypomniałem ci o matce, bolało początkowo, bardzo bolało, znaleziono cię na krążanku leżącego jak martwy. Musiało to nastąpić. - Nie, nie głaskaj moich włosów! Nie, daj pokój! Nie znoszę tego.

- Więc niczego nie mogę się nauczyć? Będę zawsze głupi jak dziecko?

- Znajdą się inni, od których się nauczysz. Czego mogłeś się nauczyć ode mnie, dziecko, to się już skończyło.

- O, nie - zawołał Złotousty - nie po to staliśmy się przyjaciółmi! Cóż by to była za przyjaźń, która po krótkiej drodze osiągnęła cel i tak po prostu może się skończyć! Czyż masz mnie dość? Czyż ci się znudziłem?

Narcyz przechadzał się w podnieceniu, utkwivszy wzrok w ziemi, potem zatrzymał się przed przyjacielem.

- Daj pokój - rzekł łagodnie - wiesz dobrze, że mi się nie znudziłeś.

Z powątpiewaniem obserwował przyjaciela, potem podjął znowu wędrówkę po pokoju, tam

i z powrotem, jeszcze raz się zatrzymał, a z jego surowej i wyniszczonej twarzy padło na Złotoustego pełne mocy spojrzenie. Cichym głosem, ale stanowczo i twardo powiedział:

- Słuchaj, Złotousty! Przyjaźń nasza była dobra; posiadała cel i osiągnęła go, obudziła cię. Spodziewam się, że się nie skończyła, spodziewam się, że odnowi się jeszcze raz i ciągle będzie się odnawiała i wiodła ku nowym celom. Chwilowo celu nie ma. Twój cel jest niewiadomy, nie mogę cię ani prowadzić, ani towarzyszyć ci. Pytaj swojej matki, pytaj jej obrazu, słuchaj jej! Ale mój cel nie jest w niewiadomej dali, jest tutaj, w klasztorze, wzywa mnie o każdej godzinie. Wolno mi być twoim przyjacielem, ale nie wolno mi być zakochanym. Jestem mnichem, złożyłem śluby. Zanim otrzymam święcenia, zwolnię się od nauczania i na wiele tygodni usunę się na posty i egzercycje. Nie będę w tym okresie mówił o niczym świeckim, z tobą także nie.

Złotousty zrozumiał. Powiedział smutno:

- Będziesz więc czynił to, co i ja byłbym czynił, gdybym na zawsze wstąpił do zakonu. A gdy skończą się twoje ćwiczenia, gdy dość odbędziesz postów i modlitw, i czuwania - dokąd będziesz zmierzał?

- Wiesz o tym - rzekł Narcyz.

- No tak. Za kilka lat będziesz pierwszym nauczycielem, może już nawet przełożonym szkoły. Udoskonalisz nauczanie, powiększysz bibliotekę. Może sam będziesz pisywał książki? Nie? No, to nie. Ale gdzie tu cel?

Narcyz uśmiechnął się słabo.

- Cel? Może umrę jako przełożony szkoły, może jako opat lub biskup. Wszystko jedno. Celem jest: stawać zawsze tam, gdzie najlepiej mogę służyć, gdzie charakter mój, moje właściwości i uzdol-

nienia znajdują najlepsze zastosowanie, największe pole działania. Nie ma innego celu.

Złotousty: - Nie ma innego celu dla mnicha?

Narczy: - O tak, celów jest dość. Może być dla mnicha celem życia nauczyć się po hebrajsku, komentować Arystotelesa, przyozdobić kościół klasztorny albo też odosobnić się i medytować lub czynić setki innych rzeczy. Dla mnie to nie są cele. Nie chcę ani pomnażać bogactwa klasztoru, ani reformować zakonu lub kościoła. Chcę w obrębie rzeczy możliwych dla mnie służyć duchowi, tak jak ja go pojmuję, niczego więcej. Czy to nie cel?

Złotousty długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Masz rację - rzekł. - Czy bardzo przeszkadzałem ci na drodze do twego celu?

- Przeszkadzałeś? O Złotousty, nikt mi bardziej nie pomógł niż ty. Stawiałeś mi trudności, ale ja nie jestem wrogiem trudności. Uczyłem się na nich, częściowo przezwyciężyłem je.

Złotousty przerwał mu, mówiąc półzartem:

- Cudownie je przezwyciężyłeś! Ale powiedzże: Jeżeli mi pomogłeś, poprowadziłeś mnie i wyzwoliłeś, jeżeli uzdrowiłeś moją duszę - czy'rzeczywiście służyłeś przez to duchowi? Prawdopodobnie pozbawiłeś przez to klasztor gorliwego i chętnego nowicjusza i wyhodowałeś może przeciwnika rozumu, człowieka, którego czyny i wiara, i dążenia będą może zmierzać właśnie do przeciwnictwa tego, co ty uważasz za dobre!

- Dlaczego nie? - odpowiedział Narczy z głęboką powagą. - Przyjacielu mój, wciąż jeszcze znasz mnie tak mało! Prawdopodobnie zniweczyłem w tobie przyszłego mnicha, a za to utorowałem ci drogę do niezwykłego losu. Nawet gdybyś jutro podpalił cały nasz piękny klasztor albo obwieścił

światu jaką szaloną herezję, nie żałowałbym ani chwili, że pomogłem ci wstąpić na tę drogę.

Życzliwie położył przyjacielowi ręce na ramionach.

- Widzisz, mały Złotousty, do mego celu należy i to: Czy będę nauczycielem, czy opatem, spowiednikiem czy kimkolwiek innym, nigdy nie chciałbym znaleźć się w tym położeniu, aby spotkać silnego, wartościowego i wyjątkowego człowieka i nie móc go zrozumieć, nie móc zajrzeć do jego duszy, nie móc mu pomóc. I powiadam ci: Czymkolwiek zostaniesz ty lub ja, jakkolwiek by nam się działo, nigdy w chwili, gdy naprawdę będziesz mnie wzywał i potrzebował, nie ujrysz mnie zamkniętym wobec ciebie. Nigdy.

Brzmiało to jak pożegnanie, i istotnie był to jego przedsmak. Gdy Złotousty stał tak przed swoim przyjacielem i obserwował go, tę stanowczą twarz, to oko skierowane ku celowi, uczuł nieomylnie, że nie byli już teraz braćmi i towarzyszami, i równymi sobie, że drogi ich już się rozeszły. Ten, kto stał tu przed nim, nie był marzycielem i nie czekał na jakieś wołanie losu, był mnichem, zapisał się, należał do ustalonego ładu i obowiązku, był sługą i żołnierzem zakonu, kościoła, ducha. On sam zaś, objawiło mu się to dzisiaj, nie należał do tego świata, nie miał ojczyzny, nieznany świat czekał na niego. Taki był niegdyś także los jego matki. Opuściła dom i dwór, męża i dziecko, społeczeństwo i ład, obowiązek i cześć i poszła w nieznaną przyszłość, dawno tam pewnie zginęła. Nie miała celu, jak i on go nie miał. Innym było dane posiadać cel -jemu nie. O, jak dobrze widział Narcyz to wszystko już od długiego czasu, jakaż miał rację!

Rychło po tym dniu Narcyz jakby zniknął, nagle stał się jak gdyby niewidzialny. Inny nauczyciel prowadził jego lekcje, pulpit jego w bibliotece był

pusty. Był on tu jeszcze, nie stał się zupełnie niewidzialny, można go było niekiedy widzieć, jak się przechadzał po krużganku, można go było niekiedy usłyszeć, jak mruczał w którejś z kaplic, klęcząc na kamiennej posadzce; wiadano, że rozpoczął wielkie ćwiczenia, że pościł i trzy razy na noc wstawał na egzercyje. Był jeszcze, a jednak przeszedł już do innego świata; można go było widzieć bardzo rzadko, ale nie można go było osiągnąć, nie można z nim było mieć nic wspólnego, mówić z nim. Złotousty wiedział: Narcyz zjawi się znowu, zajmie znowu swój pulpit, swoje miejsce w refektarzu, będzie znowu mówił - ale z tego, co było, nic już nie powróci. Narcyz nie będzie już należał do niego. Kiedy się nad tym zastanawiał, uświadomił też sobie, że jedynie przez Narcyza klasztor i życie zakonne, gramatyka i logika, nauka i duch stały się dlań ważne i drogie. Jego wzór kusił go; stać się takim jak on było jego ideałem. Prawda, był jeszcze i opat, i jego ccił, i jego kochał, i widział w nim dostojny wzór. Ale inni nauczyciele i współuczniowie, sypialnia, jadalnia, szkoła, ćwiczenia, nabożeństwa, cały klasztor - to wszystko bez Narcyza nie obchodziło go już więcej. Co on tu jeszcze robił? Czekał, stał pod dachem klasztoru, jak niezdecydowany wędrowiec zatrzymuje się podczas deszczu pod jakimś dachem lub drzewem, tylko aby przeczekać, tylko jako gość, tylko z lęku przed niegościnnością obczyzny.

Życie Złotoustego w tym okresie było już tylko ociąganiem się i żegnaniem. Odwiedzał wszystkie miejsca, które stały mu się drogie lub ważne. Z dziwnym zdumieniem stwierdzał, jak mało było tu ludzi i twarzy, z którymi trudno by mu było się pożegnać. Był Narcyz i stary opat Daniel, i jeszcze dobry, miły ojciec Anzelm, i jeszcze może uprzejmy furcian, i żwawy sąsiad młynarz - ale i oni stali się już niemal nierzeczywiści. Trudniej niż z nimi

byłoby się rozstać z wielką kamienną Madonną w kaplicy, z apostołami portalu. Długo stał przed nimi, także przed pięknymi rzeźbami krzeseł na chórze, przed studnią na krużganku, przed filarem z trzema łbami zwierzęcymi; opierał się na dziedzińcu o lipy, o kasztan. Wszystko to będzie dlań kiedyś wspomnieniem, małą książeczką z obrazkami w sercu. Już teraz, kiedy otaczało go jeszcze to wszystko, poczęło mu się powoli wyślizgiwać, ztracało smak rzeczywistości, zamieniało się upiornie w coś minionego. Z ojcem Anzelmem, który rad widział go przy sobie, chodził na poszukiwanie ziół, u młynarza klasztornego przyglądał się parobkom i przyjmował od czasu do czasu zaproszenie na wino i pieczone ryby; ale wszystko było już obce i prawie jak wspomnienie. Tak jak tam, w mroku klasztornym, w celi pokutniczej przyjaciel jego Narcyz chodził jeszcze wprawdzie i żył, ale dla niego stał się już cieniem, tak wszystko dokoła pozbawione było rzeczywistości, dyszało jesienią i znikomością.

Rzeczywistym i żywym nie było już nic prócz jego życia wewnętrznego, prócz tęsknego bicia serca, bolesnych kolców tęsknoty, radości i trwóg jego snów. Do nich należał, im się oddawał. Pośród czytania i nauki, między kolegami szkolnymi potrafił zatopić się w sobie i zapominać o wszystkim, oddany tylko prądom i głosom wewnętrznym, które ciągnęły go w dal, do głębokich źródeł pełnych posępnej melodii, do barwnych otchłani pełnych bajecznych przeżyć, których wszystkie dźwięki brzmiały jak głos matki, których tysiączne oczy były oczyma matki.

Rozdział szósty

Pewnego dnia ojciec Anzelm zawołał Złotoustego do swojej apteki, miłej, cudownie pachnącej izby pełnej ziół. Złotousty orientował się tu dobrze. Mnich pokazał mu zasuszoną roślinę, starannie przechowaną między arkusikami papieru, i zapytał, czy zna tę roślinę i potrafi opisać dokładnie, jak wygląda na polu. Tak, Złotousty znał ją; roślina ta nazywała się ziele świętojańskie. Musiał szczegółowo opisać wszystkie jej cechy. Stary mnich był zadowolony i dał młodemu przyjacielowi polecenie, aby po południu zebrał sporą wiązkę tego ziele; wskazał mu przy tym miejsce, gdzie najliczniej rośnie.

- Będiesz miał za to popołudnie wolne od nauki, mój drogi, nie będzie ci to niemiłe i nic przy tym nie stracisz. Gdyż i znajomość przyrody jest nauką, nie tylko wasza głupia gramatyka.

Złotousty podziękował za tak pożądane polecenie, by przez kilka godzin zbierać kwiaty zamiast siedzieć w szkole; żeby radość była zupełna, wyprosił sobie od brata koniuszego konia Gwiazdocha i zaraz po obiedzie wyprowadził ze stajni zwierzę, które powitało go radośnie, skoczył na nie i pocwałował zadowolony w ten upalny, słoneczny

dzień. Godzinkę lub więcej jechał spacerem, rozkoszując się powietrzem i wonią pól, a przede wszystkim jazdą konną, potem przypomniał sobie o swoim zadaniu i odszukał jedno z owych miejsc, które mu zakonnik opisał. Tam uwiązał konia pod cienistym jaworem, pogawędził z nim, dał mu chleba i wybrał się wreszcie na poszukiwanie ziół.

Szmat roli leżał tu ugorem, porośły najrozmaitszymi chwastami; małe, mizerne maki z ostatnim bladym kwieciem i wieloma już dojrzałymi makówkami stały pośród uschłych łodyg wyki, błękitnie kwitnącego podróżnika i spłowiełego rdestu; kilka stosów kamieni polnych między dwoma łanami zamieszkane było przez jaszczurki, stały tu już także pierwsze żółto kwitnące krzewy świętojańskiego ziela i Złotousty począł je zrywać. Kiedy już miał sporą garść, usiadł na kupie kamieni, aby wypocząć. Było gorąco, i młodzieniec spoglądał pożądliwie ku cienistym mrokom dalekiego skraju lasu, ale tak bardzo nie powinien się przecież oddalać od roślin i od swego konia, którego stąd mógł jeszcze zobaczyć. Siedział nadal na gorących kamieniach, zachowując się bardzo cicho, aby ujrzyć wyłazające, znowu spłoszone jaszczurki, wachał ziele świętojańskie i trzymał jego małe listeczki pod światło, obserwując setki drobnych dziureczek.

„Dziwne to - myślał - każdy z tych tysięcy listeczków wykłuł na sobie to maleńkie gwiazdziste niebo, delikatne jak haft.” Dziwne i niepojęte było wszystko: jaszczurki, rośliny, nawet kamienie, w ogóle wszystko. Ojciec Anzelm, który go tak lubił, nie mógł już sam zbierać sobie swego świętojańskiego ziela, chorował na nogi i od wielu dni był bezwładny, a jego własna sztuka lekarska nie mogła go już uleczyć. Może umrze niedługo, zioła w izdebce będą pachniały nadal, ale starego mnicha już nie będzie. Ale może też będzie żył jeszcze

długo, może dziesięć albo dwadzieścia lat, i będzie miał zawsze te same białe rzadkie włosy i te same komiczne kępki zmarszczek wokół oczu; ale on sam, Złotousty, co będzie z nim za dwadzieścia lat? Ach, wszystko było niezrozumiałe i właściwie smutne, chociaż tak piękne. Nie wiedziało się nic. Żyło się i chodziło po ziemi i jeździło po lasach, a niejedna rzecz spoglądała na człowieka tak wyzywająco i obiecująco, taką budziła tęsknotę: gwiazda wieczorem, błękitny dzwoneczek, zielone od sitowia jezioro, oko człowieka albo krowy, a niekiedy miało się wrażenie, jakby zaraz, natychmiast musiało się stać coś nigdy niewidzianego, a jednak tak dawno upragnionego - że ze wszystkiego opaść musi zasłona - ale potem przemijało to, i nie działo się nic, i zagadka nie była rozwiązana, tajemny czar nie zdjęty, a wreszcie starzał się człowiek i wyglądał tak sprytnie jak ojciec Anzelm albo tak mądrze jak opat Daniel i może wciąż jeszcze nic nie wiedział, wciąż jeszcze czekał i nadsłuchiwał.

Podniósł pustą muszlę, zabręczała słabo między kamieniami i była aż gorąca od słońca. W zadumie obserwował skręty ślimaczego domku, wytłoczoną spiralę, kapryśne zwężanie koronki, pustoty otwór, którego wewnątrz połyskiwało perłowo. Przymknął oczy, aby tylko macającymi palcami wyczuwać kształty - było to jego dawne nawyknięcie i zabawa. Obracając muszlę w luźnych palcach, pieszczośliwie muskał jej formy, lekko, bez ucisku, uszczęśliwiony cudem kształtu, czarem cielesności. „To - myślał rozmarzony - była jedna z wad szkoły i uczoneości: tendencją rozumu wydawało się wiedzieć wszystko i przedstawiać tak, jak gdyby było płaskie i miało tylko dwa wymiary.” Miał wrażenie, że to właśnie charakteryzuje ułomność i bezwartościowość samej istoty rozumu, ale

nie potrafił zatrzymać tej myśli, muszla wysliznęła się z jego palców, poczuł się zmęczony i senny. Pochyliwszy głowę nad ziołami, które więdnąc poczynały coraz silniej pachnąć, zasnął na słońcu. Po butach jego biegały jaszczurki, na kolanach jego więdły rośliny, pod jaworem czekał Gwiazdoch i zaczynał się niecierpliwie.

Z odległego lasu nadszedł ktoś, młoda kobieta w wyblakłej sukni niebieskiej, w czerwonej chusteczce na czarnych włosach, z twarzą brązową od słońca. Kobieta zbliżyła się; w rękę miała węzełek, w ustach mały, ogniście czerwony goździk. Ujrzała siedzącego, obserwowała go długo z daleka, ciekawie i nieufnie, przekonała się, że spał, ostrożnie podeszła bliżej na bosych, brunatnych stopach, zatrzymała się tuż obok Złotoustego i spojrzała na niego. Nieufność jej znikła, piękny śpiący młodzieniec nie wyglądał niebezpiecznie, podobał się jej - skądże on się tu wziął na ugorach? Kwiaty zrywał, spostrzegła z uśmiechem, były już na wpół zwiędłe.

Złotousty otworzył oczy, powracając ze śniownych lasów. Głowa jego leżała miękko, leżała na łonie kobiety, w jego zaspane, zdumione oczy spoglądały z bliska gorące i brunatne obce oczy. Nie przeraził się, nie było niebezpieczeństwa, gorące, brunatne gwiazdy połyskiwały życzliwie. Teraz kobieta uśmiechnęła się pod jego zdziwionym spojrzeniem, uśmiechnęła się bardzo życzliwie i z wolna począł się i on uśmiechać. Na uśmiechnięte jego wargi opadły jej usta, przywitani się delikatnym pocałunkiem, przy którym Złotousty musiał zaraz pomyśleć o owym wieczorze we wsi i o małej dziewczynce z warkoczami. Ale pocałunek nie skończył się jeszcze. Usta kobiece pozostały chwilę na jego ustach, igrały, pieściły i kusiły i chwyciły wreszcie jego wargi mocno i pożądliwie,

chwyciły jego krew i zbudziły ją aż do głębi - i w długiej, niemej grze brunatna kobieta pocuczając go łagodnie, oddawała się chłopcu, kazała mu szukać i znajdować, kazała mu płonąć i syciła jego żar. Uroczą, krótką błogość miłości sklepiła się nad nim, rozżarzyła się złościście i pałąco, pochylała się i zgasła.

Z zamkniętymi oczyma leżał, ukrywszy twarz na piersi kobiety. Nie padło dotąd ani jedno słowo. Kobieta siedziała cicho, głaskała powoli jego włosy, pozwalała mu z wolna powrócić do przytomności. Wreszcie Złotousty otworzył oczy.

- Ty - rzekł. - Ty! Kto jesteś?

- Jestem Liza - odpowiedziała.

- Liza - powtórzył, rozkoszując się tym imieniem. - Lizo, jesteś miła.

Zbliżyła usta do jego ucha i szepnęła:

- Ty... czy to było pierwszy raz? Czy przede mną żadnej jeszcze nie kochałeś?

Potrząsnął głową. Potem nagle wyprostował się i spojrzął dokoła siebie, po polu i na niebo.

- O - zawołał - słońce stoi już zupełnie nisko. Muszę wracać.

- Dokąd?

- Do klasztoru, do ojca Anzelma.

- Do Mariabronn? Mieszkasz tam? Czyż nie chcesz pozostać jeszcze przy mnie?

- Chciałbym bardzo.

- Więc zostańże!

- Nie, to by było niesłusznie. I muszę zebrać jeszcze więcej tego ziela.

- Czyż jesteś z klasztoru?

- Tak, jestem uczniem. Ale nie zostanę tam więcej. Czy mogę pójść do ciebie, Lizo? Gdzie ty mieszkasz, gdzie jest twój dom?

- Nie mieszkam nigdzie, mój kochany. Ale czy nie powiesz mi swego imienia? - Tak, nazywasz się

Złotousty? Pocałuj mię jeszcze raz, Złotousty, potem możesz iść.

- Nie mieszkasz nigdzie? A gdziez sypiasz?

- Jeżeli chcesz, z tobą w lesie albo na sianie.

Przyjdiesz dzisiaj w nocy?

- O tak. Dokąd? Gdzie cię znajdę?

- Czy umiesz wołać jak puszczyk?

- Nigdy nie próbowałem.

- Spróbuj.

Złotousty spróbował. Liza roześmiała się i była zadowolona.

- Więc wyjdź dzisiaj w nocy z klasztoru i krzyknij jak puszczyk, będę w pobliżu. Czy ci się podobam, Złotousteńku, dziecinko moja?

- Ach, podobasz mi się bardzo, Lizo. Przyjdę. Niech cię Bóg ma w opiece, teraz muszę iść.

Na spienionym koniu powrócił Złotousty o zmroku do klasztoru i rad był, że zastał ojca Anzelma bardzo zajętego. Jeden z braci zabawiał się brodząc boso w strumieniu i wbił sobie przy tym skorupę w nogę.

Teraz trzeba było odszukać Narcyza. Zapytał jednego z usługujących braci, którzy dyżurowali w refektarzu. Nie, odpowiedzieli, Narcyz nie przyjdzie na wieczerzę, pości dzisiaj, a teraz śpi pewnie, gdyż w nocy odprawia wigilię. Złotousty popędził. Sypialnią jego przyjaciela w czasie długich egzerccyj była jedna z cel pokutnych w klauzurze. Bez namysłu pobiegł tam. Nadsłuchiwał pod drzwiami, nic nie było słyhać. Wszedł cicho. Że było to surowo wzbronione, nie wchodziło w tej chwili w rachubę.

Na wąskiej pryczy leżał Narcyz, w mroku podobny był do zmarłego: leżał nieruchomo na plecach, z bładą twarzą, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Ale oczy miał otwarte i nie spał. Bez słowa spojrzął na Złotoustego, bez wyrzutu, ale nie poru-

szając się, widocznie tak zatopiony w myślach, tak przeniesiony do innego świata i epoki, że trudno mu było poznać przyjaciela i zrozumieć jego słowa.

- Narcyzie! Wybacz, wybacz, kochany, że ci przeszkadzam, nie dzieje się to przez kaprys. Wiem, że właściwie nie wolno ci teraz mówić ze mną, ale uczyni to jednak, bardzo cię o to proszę.

Narcyż zastanowił się, mrugając przez chwilę silnie, jakby z trudem zmuszając się do otrzeźwienia.

- Czy to konieczne? - zapytał zgasłym głosem.

- Tak, to konieczne. Przychodzę, aby się z tobą pożegnać.

- W takim razie to konieczne. Nie chcę, abyś przychodził daremnie. Pójdź, siądź obok mnie. Mamy kwadrans czasu, potem zacznie się pierwsza wigilia.

Wyprostował się i siedział chudy na gołej desce do spania, Złotousty usiadł obok niego.

- Wybacz mi! - rzekł świadom winy.

Cela, goła prycza, niewyspana i wyczerpana twarz Narcyza, jego na wpół nieprzytomny wzrok, wszystko to wskazywało Złotoustemu wyraźnie, jak bardzo tu przeszkadza.

- Nie ma czego wybaczać. Nie zważaj na mnie, nic mi nie dolega. Chcesz się pożegnać, powiadasz? Więc odchodzisz?

- Odchodzę, dzisiaj jeszcze. Ach, nie mogę ci tego opowiedzieć! Nagle rozstrzygnęło się wszystko.

- Czy przybył twój ojciec albo wiadomość od niego?

- Nie, nic. Życie samo przyszło do mnie. Odchodzę, bez ojca, bez pozwolenia. Przynoszę ci hańbę, Narcyzie, uciekam.

Narcyż spojrział na swoje długie, białe palce - wąskie i upiorne wysuwały się z szerokich rękaw-

wów habitu. Nie na jego surowej, okropnie wyczerpanej twarzy, ale w głosie jego wyczuć było można uśmiech, kiedy powiedział:

- Mamy bardzo mało czasu. Powiedz mi, co konieczne, i powiedz to wyraźnie i krótko. Czy też ja ci mam powiedzieć, co się z tobą stało?

- Powiedz - prosił Złotousty.

- Jesteś zakochany, mój chłopcze, poznałeś kobietę.

- Skądże ty to możesz wiedzieć!

- Ułatwiasz mi to. Stan twój, o *arnice*, nosi wszelkie cechy owego rodzaju upojenia, który nazywa się zakochaniem. Ale teraz mów, proszę.

Lękliwie położył Złotousty rękę na ramieniu przyjaciela.

- Już to powiedziałaś. Ale tym razem niedobrze to powiedziałaś, Narcyzie, niewłaściwie. Jest zupełnie inaczej. Byłem na polach i zasnąłem w skwarze, a kiedy się obudziłem, głowa moja leżała na kolanach pięknej kobiety, i uczułem natychmiast, że teraz przyszła moja matka, aby mię zabrać. Nie znaczy to, abym uważał tę kobietę za swoją matkę, miała ciemne, brunatne oczy i czarne włosy, a matka moja była blondynką, jak ja, wyglądała zupełnie inaczej. Ale jednak to była ona, to był jej zew, to było poselstwo od niej. Jakby ze snów mego własnego serca przybyła nagle kobieta, piękna, obca kobieta, która trzymała głowę moją na łonie i uśmiechała się do mnie jak kwiat i była dla mnie dobra, zaraz przy pierwszym jej pocałunku uczułem, jak spływa on we mnie i w cudowny sposób sprawia mi ból. Cała tęsknota, jaką czułem kiedykolwiek, marzenie, słodka trwoga, cała tajemnica drzemiąca we mnie, zbudziła się, wszystko było odmienione, zaczarowane, wszystko nabrało znaczenia. Nauczyła mię, czym jest kobieta i jaką posiada tajemnicę. W ciągu pół godziny uczyniła

mię o lata całe starszym. Wiem teraz wiele. I to również uczułem zupełnie nagle, że już koniec nastał mego pobytu tutaj, ani dnia dłużej. Odchodzę, gdy tylko zapadnie noc.

Narcyż słuchał i potakiwał.

- Przyszło to nagle - rzekł - ale jest to właśnie to, czego się spodziewałem. Będę o tobie wiele myślał. Będzie mi ciebie brak, *arnice*. Czy mogę ci w czym pomóc?

- Jeżeli to możliwe, powiedz naszemu opatowi słówko, aby mnie nie potępiał całkowicie. Jest on prócz ciebie jedynym w tym domu, którego sąd o mnie nie jest mi obojętny. On i ty.

- Wiem... Czy masz jeszcze jakieś życzenie?

- Mam prośbę, tak. Gdy później będziesz o mnie myślał, pomódl się za mnie kiedy! I... dziękuję ci.

- Za co, Złotousty?

- Za twoją przyjaźń, za twoją cierpliwość, za wszystko. I za to, że wysłuchujesz mię dzisiaj, gdy przecież trudno ci to przychodzi. I za to także, że nie usiłujesz mię zatrzymać.

- Jakżebym mógł chcieć cię zatrzymać? Wiesz, co o tym sędzę. - Ale dokądże chcesz pójść, Złotousty? Czy masz jakiś cel? Czy idziesz do tej kobiety?

- Idę z nią, tak. Celu nie mam. Jest ona obcą, bezdomną, tak mi się zdaje, może Cyganką.

- No tak. Ale powiedz mi, mój kochany, czy wiesz, że wędrówka twoja z nią może być krótka? Sędzę, że nie powinieneś na niej zbyt polegać. Może będzie miała krewnych, może nawet męża; kto wie, jak tam zostaniesz przyjęty.

Złotousty przytulił się do przyjaciela.

- Wiem o tym - rzekł - chociaż dotychczas nie myślałem o tym. Powiedziałem ci już: celu nie mam. I ta kobieta także, która była dla mnie tak

dobra, nie jest moim celem. Idę do niej, ale nie idę dla niej. Idę, bo muszę, bo mię coś woła.

Zamilkł i westchnął; siedzieli, oparci o siebie, smutni a jednak szczęśliwi w poczuciu swej niezniszczalnej przyjaźni. Potem Złotousty ciągnął:

- Nie sądz, że jestem zupełnie ślepy i nieświadomy. Nie. Idę chętnie, gdyż czuję, że tak być musi, i ponieważ przeżyłem dzisiaj coś tak cudownego. Ale nie wyobrażam sobie, że idę na samo szczęście i przyjemności. Wiem, że droga będzie ciężka. A jednak spodziewam się, że będzie też piękna. Tak pięknie jest należeć do kobiety, oddawać się jej! Nie wyśmiewaj mnie, jeżeli to, co mówię, brzmi głupio. Ale widzisz: kochać kobietę, oddać się jej, spowić ją zupełnie sobą, czuć się przez nią zupełnie spowitym, nie jest to samo, co nazywasz zakochaniem i z czego odrobinę drwisz. Nie trzeba z tego drwić. Dla mnie jest to droga do życia i droga do sensu życia. - Ach, Narcyzie, muszę cię opuścić! Kocham cię, Narcyzie, i dziękuję ci, że poświęciłeś mi dzisiaj trochę swojego czasu. Ciężko mi jest odchodzić od ciebie. Czy mnie nie zapomnisz?

- Nie zasmucaj siebie i mnie! Nie zapomnę cię nigdy. Powrócisz, proszę cię o to, spodziewam się tego. Gdyby ci kiedy było źle, przyjdź do mnie albo wezwij mię. - Żegnaj, Złotousty, niechaj cię Bóg prowadzi.

Powstał. Złotousty objął go. Ponieważ znał lęk przyjaciela przed pieszczotami, nie pocałował go, pogłaskał tylko jego rękę.

Noc zapadła, Narcyz zamknął za sobą celę i poszedł do kościoła; sandały jego stuknęły po kamiennych płytach. Złotousty miłującymi oczyma śledził chudą postać, aż znikła na końcu korytarza niby cień, połknięta przez mrok furty kościelnej, wessana i zabrana przez praktyki, przez

obowiązki, przez cnoty. O, jakież dziwne, jak bezgranicznie osobliwe i zawikłane było jednak wszystko! Jak dziwne i przerażające było także i to: z wezbrany sercem, z kwitnącym oszołomieniem miłosnym przyjść do przyjaciela właśnie w chwili, gdy ten, pogrążony w medytacji, wyczerpany postami i czuwaniem, krzyżuje i składa w ofierze młodość swoją, serce, zmysły, gdy poddaje się najsurowszej szkole posłuszeństwa, aby służyć tylko duchowi i stać się zupełnie jednym tylko - *minister verbi divini!*¹ Oto leżał śmiertelnie znużony i zgasły, z bladą twarzą i wychudłymi rękoma, niczym umarły, a gdy przyjaciel wszedł, był jednak zaraz trzeźwy i życzliwy i użyczył ucha zakochanemu, który pachniał jeszcze kobietą, poświęcił mu swój skąpy czas wypoczynku między dwiema praktykami pokutnymi! Dziwne to było i cudownie piękne, że istniał też i ten rodzaj miłości, bezinteresownej, zupełnie uduchowionej. Jakże odmienna była od owej miłości, której doznał dzisiaj na zalanym słońcem polu, od owej pijanej i nierozważnej gry zmysłów! A jednak i to, i tamto było miłością. Ach, a teraz Narcyz zniknął dla niego, jeszcze raz dowiódłszy mu w tej ostatniej godzinie tak przekonywająco, jak zupełnie byli odmienni i niepodobni do siebie.

Narcyz klęczał teraz przed ołtarzem na znużonych kolanach, przygotowany i oczyszczony do nocy modlitw i rozmyślań, podczas której niedozwolone mu było więcej jak dwie godziny wypoczynku i snu - kiedy on, Złotousty, uciekał, aby gdzieś pod drzwiami znaleźć swoją Lizę i powtórzyć z nią owe słodkie, zwierzęce igraszki! Narcyz potrafiłby powiedzieć o tym godne uwagi rzeczy. Ale on, Złotousty, nie był Narcyzem. Jemu nie

¹ głosiciel słowa bożego (łac.)

zależało na tym, aby badać te przeraźliwe zagadki i powikłania i wypowiadać o nich rzeczy ważne. Nie zależało mu na niczym innym, jak tylko aby iść dalej swoimi niepewnymi, głupimi drogami Złoto-ustego. Nie zależało mu na niczym innym, jak tylko aby się oddawać i kochać przyjaciela modlącego się nocą w kościele nie mniej niż piękną, gorącą młodą kobietę, która na niego czekała.

Kiedy z sercem miotanym stu sprzecznymi uczuciami przekradał się pod lipami dziedzińca i szukał wyjścia przez młyn, musiał się jednak uśmiechnąć na wspomnienie owego wieczora, kiedy tą samą tajemną drogą opuszczał klasztor z Konradem, aby „iść do wsi”. Jaki był podniecony, z jak tajemną trwogą rozpoczynał wtedy tę małą zabronioną wyprawę - a dzisiaj odchodził na zawsze, wracał na bardziej zabronione i daleko niebezpieczniejsze drogi, a nie czuł przy tym lęku, nie myślał o furtanie, o opacie i nauczycielach.

Nad strumieniem nie było tym razem desek, musiał go przejść w bród, bez kładki. Zdjął ubranie i przerzucił na drugi brzeg, potem przeszedł nago przez głęboki, wartki strumień, po pierś zanurzony w zimnej wodzie.

Kiedy po drugiej stronie ubierał się znowu, myśli jego powróciły do Narcyza. Z wielką, zawstydzającą jasnością widział teraz, że nie czyni w tej chwili nic innego, jak tylko to, co przyjaciel przewidział i do czego go prowadził. Arcywyraźnie ujrzał znowu owego mądrego, nieco szyderczego Narcyza, który słyszał od niego tak wiele głupstw, i owego, który niegdyś w ważnej godzinie wśród bólów otworzył mu oczy. Niektóre słowa powiedziane wtedy przez Narcyza słyszał teraz znowu wyraźnie.

„Ty śpisz na piersi matki, ja czuвам na pustyni. Twoje sny są o dziewczynach, moje o młodzieńcach.”

Na chwilę serce jego ścięło się chłodem; przeraźliwie samotny stał wśród nocy. Za nim leżał klasztor, pozorna tylko ojczyzna, ale jednak ukochana ojczyzna, do której z dawna przywykł.

Ale zarazem czuł coś innego: że teraz Narcyz nie był już jego napominającym i mądrzejszym przewodnikiem i budzicielem. Dzisiaj, tak czuł, wkroczył w krainę, w której sam miał szukać dróg, krainę, po której żaden Narcyz nie mógł go prowadzić. Rad był, że sobie to uświadomił; wspomnienie okresu swej zależności gnębiło go, wstydził się jej. Teraz przejrzał, nie był już dzieckiem ani uczniem. Dobrze było to widzieć. A jednak - jak trudno było się zegnać! Wiedzieć, że przyjaciel kłęczy tam w kościele, nie móc mu nic dać, w niczym pomóc, niczym być dla niego! I teraz na długi czas, może na zawsze, rozstać się z nim, nic o nim nie wiedzieć, nie słyszeć już więcej jego głosu, nie widzieć jego pięknych, szlachetnych oczu!

Otrząsnął się i ruszył kamienistą ścieżką. Kiedy oddalił się o sto kroków od murów klasztornych, przystanął, zaczerpnął tchu i jak mógł najlepiej wydał krzyk sowy. Podobny krzyk sowy odpowiedział z daleka, z dołu strumienia.

„Jak zwierzęta nawołujemy się wzajemnie” - musiał pomyśleć i przypomniał sobie godzinę miłosną po południu; dopiero teraz uświadomił sobie, że on i Liza dopiero później, przy końcu pieszczoł, wymienili słowa, a i wtedy nawet niewiele słów, i to błahych. Jak długie rozmowy prowadził z Narcyzem! Ale teraz, tak się zdawało, wkroczył w świat, gdzie się nie mówiło, gdzie się wabiło wzajem krzykiem sowy, gdzie słowa nie posiadały znaczenia. Pogodził się z tym, nie odczuwał już dzisiaj potrzeby słów ani myśli, tylko potrzebę Lizy, tylko potrzebę tego bezsłownego, ślepego,

niemego czucia i przenikania się, tego westchnienia w chwili stąpienia się.

Liza już była, szła mu z lasu naprzeciw. Wyciągnął ręce, aby ją wyczuć, czule macającymi dłońmi objął jej głowę, jej włosy, jej szyję i kark, jej smukłe ciało i mocne biodra. Otoczywszy ją ramieniem, poszedł z nią dalej, nie pytając, nie patrząc dokąd. Z pewnością siebie wkroczyła w ciemny las, z trudnością nadążał za nią, jak lis albo kuna zdawała się widzieć przenikającymi noc oczyma, szła nie potykając się, nie uderzając o nic. Pozwalał się prowadzić, w noc, w las, w ślepy, tajemniczy kraj bez słów, bez myśli. Nie myślał już nawet o opuszczonym klasztorze, nawet o Narcyzie.

W milczeniu przebiegli ciemną połąć lasu, niekiedy po miękkim mchu, niekiedy po twardych żebrach korzeni; niekiedy między rzadkimi wysokimi konarami; było nad nimi wolne niebo, niekiedy było ciemno zupełnie; krzaki uderzały go po twarzy, gałęzie jeżyny zatrzymywały za ubranie. Ona orientowała się wszędzie i znajdowała drogę, rzadko zatrzymywała się, rzadko się wahała. Po długim czasie przybyli między oddzielne, stojące daleko od siebie sosny; blade niebo nocne było rozwarte szeroko, las się skończył, przyjęła ich dolina łąk, słodko pachniało sianem. Przebrnęli mały, cicho płynący strumyk - tutaj pod gołym niebem było jeszcze ciszej niż w lesie; ani szemrzących krzaków, ani zrywającej się zwierzyny nocnej, ani trzaskania suchego drzewa.

Przy wielkim stogu siana Liza zatrzymała się.

- Tutaj zostaniemy - rzekła.

Usiedli oboje w sianie, teraz dopiero odetchnąwszy głębiej i rozkoszując się wypoczynkiem, oboje nieco zmęczeni. Przeciągali się, przysłuchiwali się ciszy, czuli, jak czoła ich schną a twarze stają się z wolna chłodne. Złotousty skulił się w miłym

znużeniu, bawił się podciąganiem i wyciąganiem nóg w kolanach, długimi haustami wdychał noc i woń siana i nie sięgał myślą ani wstecz, ani w przyszłość. Z wolna pozwalał się tylko przyciągać i oczarowywać przez zapach i ciepło kochanki, za każdym razem odpowiadał na pieszczoty jej dłoni i czuł uszczęśliwiony, jak stopniowo poczynała się obok niego rozpłomieniać i przysuwała się doń coraz bliżej i bliżej.

Nie, tu nie potrzeba było słów ani myśli. Wyraźnie czuł wszystko, co było ważne i piękne, młodą siłę i prostą, zdrową piękność kobiecego ciała, jego rozgrzewanie się i pożądanie; wyraźnie czuł też, że chce ona tym razem inaczej być kochaną niż za pierwszym razem, że tym razem nie chce go uwodzić i pouczać, lecz wyczekiwać jego ataków i jego żądz. Cicho pozwalał przepływać przez siebie prądom, szczęśliwy, odczuwał bezgłośny, czuwający w ciszy ogień, który żył w nich obojgu i który małe ich legowisko czynił oddychającym i żarzącym się ośrodkiem całej milczącej nocy.

Kiedy pochylił się nad twarzą Lizy i w ciemności począł całować jej wargi, ujrzał nagle, jak oczy jej i czoło zamigotały w łagodnym świetle, zdumiony patrzył, jak blask ten zaświecił i szybko się wzmacniał. Potem zrozumiał i odwrócił się: ponad skrajem czarnych rozległych lasów wschodził księżyc. Widział, jak białe łagodne światło cudownie spływa na jej czoło i policzki, na jej okrągłą szyję, i rzekł cicho i w zachwyceniu:

- Jaka ty jesteś piękna!

Uśmiechnęła się jak obdarowana, on wyprostował się na wprost, łagodnie zsunął jej suknię z szyi, pomógł jej się rozebrać i obnażył ją jak z łupiny, aż ramiona i pierś nago zamigotały w chłodnym blasku księżyca. Oczy i wargami sunął przejęty za delikatnymi cieniami, patrząc i całując; jak

oczarowana siedziała Liza nieruchomo, ze spuszczonego wzrokiem i uroczystym wyrazem twarzy, jakby piękność jej w tej chwili - i dla niej samej nawet - po raz pierwszy została odkryta i objawiona.

Rozdział siódmy

Podczas gdy nad polami powiało chłodem, a księżyc z godziny na godzinę posuwał się wyżej, kochankowie spoczywali na swoim łagodnie oświetlonym posłaniu, zatopieni w swych igraszkach, zasypiając jednocześnie i na nowo zwracając się ku sobie po przebudzeniu, zapalając się wzajem, na nowo wplatając się w siebie i na nowo zasypiając. Po ostatnim uścisku leżeli wyczerpani, Liza wcisnęła się głęboko w siano i oddychała boleśnie, Złotousty leżał na plecach nieruchomy, utkwivszy wzrok w bladym niebie księżycowym; w obojgu wzrastał ów wielki smutek, przed którym uciekali w sen. Spali głęboko i rozpaczliwie, spali pożądliwie, jakby to było po raz ostatni, jakby skazani byli na wieczne czuwanie i musieli jeszcze przedtem, w ciągu tych godzin wchłonać w siebie cały sen świata.

Po przebudzeniu ujrzał Złotousty Lizę zajęta swymi czarnymi włosami. Przyglądał się jej przez chwilę, nieprzytomny i na wpół dopiero otrzeźwiały.

- Nie śpisz już? - zapytał wreszcie.

Odwróciła się szybkim ruchem, jak przerażona.

- Muszę teraz odejść - rzekła nieco zakłopotana i zmieszana. - Nie chciałam cię budzić.

- Ale ja już nie śpię. Czy musimy już iść dalej? Jesteśmy przecież bezdomni.

- Ja, tak - rzekła Liza. - Ty należysz do klasztoru.

- Nie należę do klasztoru, jestem jak ty, jestem zupełnie sam i nie mam celu. Pójdę oczywiście z tobą.

Odwróciła wzrok.

- Złotousty, nie możesz pójść ze mną. Muszę teraz wracać do męża; będzie mnie bił, że nie przyszedłam na noc. Powiem, że zabłądziłam. Ale on naturalnie nie uwierzy.

W tej chwili Złotousty przypomniał sobie, że Narcyz przepowiedział mu to. A więc tak się rzeczy miały.

Wstał i podał jej rękę.

- Przeliczyłem się - rzekł - sądziłem, że pozostaniemy razem. Ale czy rzeczywiście chciałaś mi pozwolić spać, chciałaś uciec bez pożegnania?

- Ach, myślałam, że się rozżościsz i może będziesz mnie bił; że mąż mię tłucze, no tak, to już tak jest, to jest w porządku. Ale nie chciałam, żebyś i ty mnie bił.

Przytrzymał jej rękę.

- Lizo - rzekł - nie będę cię bił, ani dzisiaj, ani nigdy. Czy nie wolisz pójść ze mną niż ze swoim mężem, jeżeli cię bije?

Szarpnęła silnie, aby wyswobodzić rękę.

- Nie, nie, nie - zawołała płaczącym głosem.

A że Złotousty czuł, iż serce jej ucieka od niego i że woli od innego razy niż od niego dobre słowa, wypuścił jej rękę, i teraz Liza zaczęła płakać. Ale równocześnie pobiegła. Przesłaniając mokre oczy rękoma uciekła od niego. Złotousty nie powiedział nic więcej i spoglądał za nią. Żal mu jej było, kiedy tak biegła po skoszonych łąkach, wzywana i przyciągana przez jakąś moc, nad którą musiał się

zastanawiać. Żal mu było Lizy, a i siebie samego było mu trochę żal; nie miał szczęścia, zdawało się, sam i jakby oszołomiony pozostał tu, opuszczony, wykpiony.

Ale tymczasem był jeszcze ciągle zmęczony i senny, nigdy jeszcze nie czuł się tak wyczerpany. Później będzie miał dość czasu, ażeby być nie-szczęśliwym. Zasnął znowu i zbudził się dopiero, gdy stojące już wysoko słońce poczęło go grzać.

Teraz był wypoczęty, wstał szybko, pobiegł do strumienia, umył się i napił. Wiele wspomnień przychodziło doń teraz z godzin miłości tej nocy, pachniały jak nieznajome kwiaty liczne obrazy, wiele powabnych, delikatnych wrażeń. Rozpoczynając rześko wędrówkę, rozmyślał nad nimi, przeżywał wszystko jeszcze raz, smakował, wahał i dotykał wszystkiego jeszcze i jeszcze. Ile marzeń spełniła mu ta obca, smagła kobieta, ile paków doprowadziła do kwitnienia, ile zaspokoiła ciekawości i tęsknot i ile nowych zbudziła!

A przed nim leżały pola i łąki, leżały wyschłe ugory i ciemny las, poza nim były pewnie zagrody i młyny, wieś, miasto. Po raz pierwszy leżał przed nim świat, otwarty i wyczekujący, gotów przyjąć go, dawać mu rozkosz i ból. Nie był już uczniem, który widzi świat przez okno, wędrówka jego nie była już przechadzka, której końcem jest nieuchronnie powrót. Ten wielki świat stał się teraz rzeczywisty, on był częścią tego świata, w tym świecie spoczywał jego los, niebo tego świata było jego niebem, pogoda tego świata jego pogodą. Mały był w tym wielkim świecie, biegł mały jak zając, jak chrabąszcz przez jego błękitną i zieloną nieskończoność. Dzwonek nie wzywał już do wstania, do kościoła, na lekcję, do obiadu.

O, jaki był głodny! Pół bochenka jęczmiennego chleba, miska mleka, polewka - cóż to były za

czarowne wspomnienia. Jak wilk zbudził się jego zołądek. Przechodził obok łąnu żyta, kłosa były na wpół dojrzałe, łuskał je palcami i zębami, mełł pożądliwie małe, śliskie ziarenka, sięgał po coraz nowe, napchał sobie kieszenie kłosami. A potem znalazł orzechy laskowe, bardzo jeszcze zielone, i z rozkoszą rozgryzał pękające łupinki, zabrał też sobie orzechów na zapas.

Teraz zaczął się znowu las, las sosnowy, pomieszany z dębami i jesionami, było tu zatrząsienie czarnych jagód, wypoczął więc, najadł się i ochłodził. Pośród cienkiej, twardej trawy leśnej stały niebieskie dzwoneczki, brązowe słoneczne motyle zrywały się i znikały w kapryśnie zygzakowatym locie. W takim to lesie żyła święta Genowefa, lubił zawsze historię jej żywota. Jakże chętnie byłby ją spotkał! Albo mogłaby tu być pustelnia, ze starym brodatym mnichem w pieczarze albo szałasie. Może też w lesie tym mieszkali węglarze, chętnie by ich powitał. Niechby byli nawet zbójcy; jemu by pewnie nic złego nie zrobili. A i to byłoby już spotkanie z ludźmi, jakimikolwiek. Ale wiedział przecież: może będzie szedł długo przez las, dzisiaj i jutro, i wiele dni, nie spotykając nikogo. I z tym trzeba się było pogodzić, jeżeli tak mu było przeznaczone. Nie trzeba było myśleć wiele, trzeba było przyjmować wszystko, jak było.

Usłyszał kucie dzięcioła i chciał się pod niego podkraść; długo wysiłał się daremnie, aby go ujrzeć, wreszcie udało mu się jednak i przyglądał mu się przez pewien czas, jak stał przyczepiony samotnie do drzewa i kuł, i poruszał pilną główką na wszystkie strony. Szkoda, że nie można było mówić ze zwierzętami! Jakby to było miło zawołać na dzięcioła i powiedzieć mu coś uprzejmego, a może dowiedzieć się czegoś o jego życiu i drzewach, o jego pracy i radościach. Ach, gdybyż się można odmieniać!

Przypomniało mu się, jak w wolnych chwilach rysował niekiedy, jak rysikiem kreślił na swojej tabliczce figury, kwiaty, Uście, drzewa, zwierzęta, głowy ludzkie. Często bawił się tym długo, a niekiedy niby mały Pan Bóg stwarzał istoty wedle swojej woli, w kielichu kwietnym rysował oczy i usta, kłębek liści wyrastających z gałęzi kształtował niby palce, drzewu nasadzał głowę. Przy tej zabawie bywał często przez godzinę szczęśliwy i jak zaczarowany - potrafił czarować, kreślił linie i sam sobie gotował niespodziankę, co też z rozpoczętych figur powstanie, czy liść drzewa, łeb ryby, ogon lisa, czy brew człowieka. Tak się powinno być zdolnym do przemian, myślał teraz, jak kapryśne były wówczas linie na jego tabliczce! Złotousty tak chętnie stałby się dzieciołem, może na dzień, może na miesiąc, mieszkałby na wierzchołkach drzew, biegał wysoko po gładkich pniach, stukał mocnym dziobem w korę i wspierał się przy tym na piórach ogona, mówił językiem dzieciołów i wydobywał z kory smaczne pożywienie. Słodko i jędrnie brzmiało stukanie dziecioła w dźwięczące drzewo.

Wiele zwierząt spotykał Złotousty po drodze w lesie. Spotykał zające, które zrywały się nagle z zarośli, kiedy się zbliżał, wlepiły w niego wzrok, odwracały się i uciekały, stuliwszy uszy, ukazując jasne podogonia. Na małej polance znalazł długiego węża, który nie uciekł: nie był to żywy wąż, lecz tylko jego pusta skóra; Złotousty podniósł ją i obejrzał, piękny deseń, szary i brunatny, biegł po jej grzbiecie, a słońce przeświecało przez nią, gdyż była cienka jak pajęczyna. Widział czarne kosy z żółtymi dzióbkami; spoglądały nieruchomo czarnymi, lęklivymi kuleczkami oczu i uciekały niskim lotem blisko ziemi. Czerwonogardłych pliszek i zięb było wiele. W pewnym miejscu w lesie był dół, kałuża zielonej, gęstej wody, po której biegały

gorliwie długonogie pająki, miotając się jak opętane, oddane jakiejś niezrozumiałej zabawie, a ponad kałużą latało kilka ważek o ciemnogramatowych skrzydłach. A raz, już pod wieczór, ujrzał coś - a raczej nie widział nic, prócz poruszających się szarpanych liści, i słyszał, jak trzaskały gałęzie i pryskała wilgotna ziemia i jakieś wielkie, ledwo dostrzegalne zwierzę z potężną siłą przedarło się i przebiegło przez gęstwinę, może jeleń, może dzik, nie wiedział. Stał jeszcze długo, oddychając po przerażeniu. W głębokim podnieceniu słuchał kroków zwierzęcia, nasłuchiwał jeszcze z biciem serca, gdy dawno było już cicho.

Nie mógł się wydostać z lasu, musiał w nim przenocować. Wybierając sobie miejsce do snu i ścieląc łoże z mchu starał się wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby nigdy nie znalazł wyjścia z lasów i na zawsze musiał tutaj pozostać. I uznał, że byłoby to wielkie nieszczęście. Życ jagodami, to było ostatecznie możliwe i sypiać na mchu także, zresztą udałoby mu się bez wątpienia zbudować szałas, może nawet skrzesać ogień. Ale zawsze i zawsze być samotnym i mieszkać między cichymi, śpiącymi pniami drzew i żyć pośród zwierząt, które uciekały przed człowiekiem i z którymi nie można było rozmawiać, byłoby smutne nie do zniesienia. Nie widzieć ludzi, nie móc nikomu powiedzieć dzień dobry i dobranoc, nie móc spojrzeć w niczyją twarz i oczy, nie przyglądać się nigdy więcej dziewczętom i kobietom, nie czuć pocałunku, nie oddawać się więcej tajemnej, uroczej grze warg i członków, ach, to było nie do pomyślenia! Gdyby mu tak było sądzone, myślał, spróbowałby wówczas stać się zwierzęciem, niedźwiedziem albo jeleniem, choćby kosztem wyrzeczenia się wiecznego zbawienia. Być niedźwiedziem o wiele lepiej, niżeli zachować rozum i mo-

wę, i wszystko inne i żyć z tym w osamotnieniu, smutku i bez miłości.

Na posłaniu z mchu, przed zaśnięciem, słuchał ciekawie i lęklwie mnóstwa niezrozumiałych, zagadkowych odgłosów nocnych lasu. Były teraz jego kolegami, musiał z nimi żyć, przyzwyczajając się do nich, liczyć się z nimi i obcować, należał teraz do lisów i jelonków, do sosen i jodeł, z nimi musiał żyć, z nimi dzielić się powietrzem i słońcem, z nimi oczekiwać dnia, z nimi znosić głód, u nich być gościem.

Potem zasnął i śnił o zwierzętach i ludziach, był niedźwiedziem i wśród pieszczot pożerał Lizę. Pośrodku nocy zbudził się z silnym przerażeniem, nie wiedział dlaczego, uczuł bezgraniczną tęsknotę w sercu i długo rozmyślał zmieszany. Przyszło mu na myśl, że wczoraj i dzisiaj położył się spać bez modlitwy. Wstał, ukląkł obok swego posłania i dwa razy odmówił modlitwę wieczorną, za wczoraj i za dzisiaj. Potem zasnął znowu.

Zdumiony rozglądał się rano po lesie, zapomniał, gdzie był. Trwoga przed lasem poczęła teraz ustępować, z nową radością powierzał się życiu leśnemu, idąc ciągle dalej i kierując się słońcem. Raz znalazł na równinie połąć lasu, z małym podszyciem, a las składał się z samych grubych, starych, prostych jodeł; kiedy szedł przez pewien czas między tymi kolumnami, poczęły mu one przypominać kolumny wielkiego kościoła klasztornego, owego właśnie kościoła, w którego czarnym portalu zniknął niedawno jego przyjaciel Narcyz - kiedyż to? Czy rzeczywiście było to dopiero przed dwoma dniami?

Dopiero po dwóch dniach i dwóch nocach wyszedł z lasu. Z radością dostrzegł oznaki bliskości ludzi: uprawną ziemię, smugi roli z żytem i owsem, łąki, po których - widzialna tu i ówdzie kawał-

kami - udeptana była wąska ścieżka. Złotousty zrywał żyto i żuż, uprawne pola spoglądały na niego przyjaźnie, wszystko napełniało go uczuciem życzliwości dla ludzi, po długiej samotności leśnej - ścieżka, owies, przekwitłe zbieleńskie goździki polne. Niedługo zbliżył się do ludzi. Po godzinie dotarł do pola, na którego skraju stał krzyż; uklęknął i pomodlił się u jego stóp. Okrążywszy wystający stok pagórka, stanął nagle przed cieniastą lipą, z zachwytem usłyszał melodię studni, której woda spadała z drewnianych rur do długiego koryta; napił się zimnej, wybornej wody i z radością ujrzał kilka słomianych strzech, wynurzających się z dzikich bżów, których jagody były już ciemne. Głębiej niż wszystkie te miłe oznaki wzruszyło go ryczenie krowy, które rozległo się rozkosznie, gorąco i przytulnie, jak powitanie i pozdrowienie.

Rozglądając się dokoła, zbliżył się do chaty, z której wydobywało się ryczenie krowy. Przed drzwiami izby siedział w piasku mały chłopiec o rudawych włosach i jasnoniebieskich oczach, obok niego stał gliniany garnek z wodą, a malec robił z piasku i wody ciasto, którym powlekał swoje bose nogi. Szczęśliwy i poważny, ścisnął wilgotne błoto w rękach, przyglądał się, jak przeciekało przez palce, robił z niego kulki, używając do pomocy przy ugniataniu i kształtowaniu także podbródka.

- Witaj, malecze - rzekł Złotousty bardzo uprzejmie.

Ale chłopiec, podniósłszy wzrok i ujrzawszy nieznanego, rozwarł buzię, skrzywił tłustą twarzą i becząc wbiegł na czworakach do domu. Złotousty poszedł za nim i znalazł się w kuchni: była tak mroczna, że wchodząc z jasnego blasku południa początkowo nie widział nic. Na wszelki wypadek wypowiedział pobożne pozdrowienie, ale nie otrzymał odpowiedzi; lecz z wolna poprzez

krzyk przerażonego dziecka doszedł go cienki głos starczy, uspokajający chłopca. Wreszcie z ciemności powstała i zbliżyła się do Złotoustego niska staruszka, przestłoniła ręką oczy i spojrzała na gościa.

- Witaj w imię Boże, mateczko - zawołał Złotousty - i niech wszyscy święci pańscy pobłogosławią twoją dobrą twarz, od trzech dni nie widziałem ludzkiego oblicza.

Głupawo spoglądała stara kobiecina dalekowzrocznymi oczyma.

- A czegoś chcesz? - zapytała niepewnie.

Złotousty podał jej rękę i pogłaskał lekko jej dłoń.

- Chciałem cię powitać z Bogiem, babciu, i wypocząć trochę, i pomóc ci rozpalić ogień. Kawałkiem chleba, gdybyś mi go chciała dać, nie wzgardziłbym, ale nie ma z tym gwałtu.

Zobaczył ławkę, przymocowaną do ściany, i usiadł na niej, podczas gdy staruszka ukroiła kawałek chleba malcowi, który spoglądał teraz na obcego z napięciem i ciekawością, gotów każdej chwili do płaczu i ucieczki. Staruszka ukroiła z bochenka jeszcze drugi kawałek chleba i podała go Złotoustemu.

- Dziękuję - rzekł. - Bóg ci zapłać.

- Pusty masz brzuch? - zapytała kobieta.

- Nie, pełen jest czarnych jagód.

- No to jedz! Skąd idziesz?

- Z Mariabronn, z klasztoru.

- Klechą jesteś?

- Nie. Uczniem. W podróży.

Spojrzała na niego, na wpół drwiąco, na wpół głupawo, i potrząsnęła lekko głową na chudej pomarszczonej szyi. Kiedy zjadł kilka kęsów, wyprowadziła malca znowu na słońce. Potem wróciła, ciekawa, i zapytała:

- Masz jakieś nowiny?
- Niewiele. Znasz ojca Anzelma?
- Nie. Co z nim jest?
- Chory jest.
- Chory? Umrze?
- Nie wiem. Na nogi. Nie może dobrze chodzić.
- Umrze?
- Nie wiem. Może.
- No, niech umiera. Muszę ugotować polewki. Pomóż mi nałupać drzazg.

Podawała mu polano jodłowe, wysuszone przy kominie i nóż. Nałupał drzazg, ile chciała, i przyglądał się, jak wsadzała je w popiół i pochylała się nad nimi, i mozoliła się, i dmuchała, aż się zajęły płomieniem. W dokładnym, tajemniczym porządku ułożyła je teraz na stos, jodłowe i bukowe, jasno buchnął ogień na otwartym kominie, kobieta podsunęła nad płomień wielki czarny kocioł, który zwiisał z dymnika na zakopconym łańcuchu. Złotousty przyniósł na jej rozkaz wody ze studni, zgarnął śmietankę z miski mleka, siedział w zady-mionym mroku, przyglądał się igrającym płomykom i to ukazującej się nad nimi w czerwonym blasku, to znikającej kościstej, pomarszczonej twarzy staruszki; obok słyszał za drewnianą ścianą, jak krowa grzebała w żłobie i uderzała w przegrodę. Lipa, studnia, migoczący pod kotłem ogień, mlaskanie i żucie krowy, jej głucho uderzenia o ścianę, mroczna izba ze stołem i ławką, krzątanie się małej staruszki - wszystko to było piękne i dobre, pachniało jedzeniem i spokojem, człowiekiem i ciepłem, ojcowizną. Były i dwie kozy, a od staruszki dowiedział się, że za domem mają też chlew; staruszka była babką gospodarza, prababką małego chłopca. Malec nazywał się Kuno, od czasu do czasu wchodził do izby, a chociaż nie

mówił ani słówka i spoglądał nieco lękliwie, to jednak nie płakał już.

Nadszedł wieśniak z żoną, byli bardzo zdziwieni, ujrawszy w domu obcego. Chłop chciał już kłać, nieufnie pociągnął młodzieńca za ramię do drzwi, aby przy dziennym świetle obejrzeć jego twarz, potem roześmiał się, życzliwie poklepał go po ramieniu i zaprosił do jedzenia. Usiedli i każdy maczał chleb we wspólnej misce mleka, aż mleko wyczerpało się prawie zupełnie i chłop wypił resztę.

Złotousty zapytał, czy może zostać do jutra i przespać się pod ich dachem. Nie, rzekł mąż, nie ma na to miejsca, ale za domem wszędzie przecież leży siano, znajdzie się już jakieś posłanie.

Wieśniaczka posadziła chłopca obok siebie, nie brała udziału w rozmowie, ale podczas jedzenia ciekawe jej oczy wzięły młodego nieznanego w posiadanie. Jego kędziory i spojrzenie natychmiast wywarły na niej wrażenie, potem z upodobaniem spostrzegła też jego ładną, białą szyję, wytworne, gładkie ręce i ich piękne, swobodne ruchy. Przystojny to był i wytworny przybysz, a taki młody! Ale co ją najbardziej przyciągało i odurzało, to głos nieznanego, ten śpiewny, tajemniczy, promieniejący ciepłem, łagodnie kuszący głos męski, który brzmiał jak pieszczota. Długo jeszcze mogłaby się temu głosowi przysłuchiwać.

Po jedzeniu wieśniak udał się do stajni; Złotousty wyszedł z domu, umył ręce przy studni i usiadł na niskiej cembrowinie, chłodząc się i przysłuchując wodzie. Siedział niezdecydowany; nie miał tu co robić, ale żał mu było tak zaraz odchodzić. Wtem wyszła z chaty wieśniaczka z wiadrem w ręku, postawiła je pod strumieniem wody, płynącym z koryta, i napełniła. Powiedziała półgłosem:

- Ty, jeżeli dzisiaj wieczorem będziesz jeszcze w pobliżu, przyniosę ci coś do jedzenia. Po tamtej

stronie, za tym długim polem jęczmiennym, leży siano, które jutro dopiero będzie sprzątnięte. Chcesz tam przyjść?

Spojrzał w jej piegowatą twarz, na silne ramiona unoszące wiadro, gorąco spoglądały jej jasne, wielkie oczy. Uśmiechnął się do niej i skinął potakująco, a ona odeszła zaraz z pełnym już wiadrem i znikła w mroku drzwi. Siedział wdzięczny, bardzo zadowolony, i przysłuchiwał się spływającej wodzie. W chwilę później wszedł do domu, odszukał chłopca, podał jemu i babce rękę i podziękował.

W chacie czuć było zapach ognia, sadzy i mleka. Przed chwilą była jeszcze schronieniem i domem rodzinnym, teraz stała się już obca. Złotousty pożegnał się i wyszedł.

Z drugiej strony chaty ujrzał kapliczkę, a w pobliżu niej ładny laszek, grupę starych mocnych dębów na podszyciu niskiej trawy. Tutaj, w cieniu zatrzymał się i spacerował między grubymi pniami tam i z powrotem. Dziwne to było, myślał, z kobietami i z miłością, w istocie nie wymagało słów. Jednego słowa tylko potrzebowała ta kobieta, aby mu wyznaczyć miejsce schadzki, resztę powiedziała mu nie słowami. Ale czymże? Oczyma, tak, i jakimś nieco skrępowanym brzmieniem głosu, i jeszcze czymś, może wonią, jakimś delikatnym, lekkim promieniowaniem skóry, po którym kobiety i mężczyźni natychmiast umieli poznać, że się wzajemnie pożądataj. Dziwne to było, niby subtelny język tajemny, a on tak szybko nauczył się tego języka!

Cieszył się bardzo na myśl o wieczorze, pełen był ciekawości, jaką się okaże ta wysoka, jasnowłosa kobieta, jakie będzie miała spojrzenia i tony, jakie członki, ruchy i pocałunki - na pewno zupełnie inne niż Liza. A gdzie ona mogła teraz być, ta Liza z czarnymi prostymi włosami, brunatną skórą, krótkimi westchnieniami? Czy mąż zbił ją? Czy

myślała jeszcze o nim? Czy znalazła już nowego kochanka, jak on dzisiaj znalazł nową kobietę? Jak szybko szło to wszystko, jak wszędzie szczęście leżało tuż przy drodze, jakie było piękne i gorące i jak dziwnie znikome! Było grzechem, było cudzołóstwem, niedawno temu raczej by się pozwolił zabić, niżby popełnił ten grzech. A teraz czekał już na drugą kobietę, a sumienie jego było ciche i spokojne. Właściwie spokojne jednak może nie było; ale nie cudzołóstwo i rozkosz sprawiały, że jego sumienie bywało niekiedy niespokojne i dźwigało brzemię. Szło tu o coś innego, nie potrafił tego nazwać po imieniu. Było to poczucie jakiejś winy, której się nie popełniło, ale przyniosło już z sobą na świat. Może to było to, co w teologii nazywało się grzechem pierworodnym? Tak pewnie było. Tak, życie samo nosiło w sobie coś niby winę - dlaczego by inaczej człowiek tak czysty i wiedzący jak Narcyz oddawał się praktykom pokutnym jak potępiony? Albo dlaczego on sam, Złotousty, gdzieś w głębi duszy czuł tę winę? Czyż nie był szczęśliwy? Czy nie był młody i zdrowy, czy nie był wolny jak ptak w powietrzu? Czyż kobiety nie kochały go? Czy nie pięknie było czuć, że jako kochanek mógł dawać kobietom tę samą głęboką rozkosz, której sam doznawał? Więc dlaczego nie był jednak zupełnie szczęśliwy? Dlaczego w młode jego szczęście, podobnie jak w cnotę i mądrość Narcyza, wdzierał się niekiedy ów osobliwy ból, owa cicha trwoga, owa skarga na nietrwałość losu? Dlaczego musiał niekiedy rozmyślać, zastanawiać się, choć wiedział przecież, że nie jest myślącym?

Ale mimo to dobrze było żyć. Zerwał w trawie mały, fioletowy kwiatek, zbliżył go do oka, zajrzał do małych wąskich kielichów, przebiegały tam żyłki i drgały drobnutki, cienkie jak włos narzą-

dy - jak w łonie kobiety albo w mózgu myśliciela wzbierało tam życie, drżała rozkosz. O, dlaczegoż tak absolutnie nic się nie wiedziało? Dlaczego nie można było rozmawiać z tym kwiatem? Ale przecież nawet dwoje ludzi nie mogło z sobą rozmawiać naprawdę, trzeba było na to jakiegoś szczęśliwego przypadku, jakiejś szczególnej przyjaźni i gotowości. Nie - szczęściem było, że miłość nie potrzebowała słów, inaczej stałaby się pełna nieporozumień i niedorzeczności.

Ach, tego, jak oko Lizy, na wpół przymknięte, jak gdyby złamane w nadmiarze rozkoszy, ukazywało tylko skrawek białka między drgającymi powiekami, niepodobna było wypowiedzieć nawet dziesięcioma tysiącami uczonych czy poetyckich słów. Nie, nic, ach, nic w ogóle nie dawało się wypowiedzieć, nie dawało pomyśleć - a jednak czuło się w sobie zawsze ową gwałtowną potrzebę mówienia, ów wieczny pęd do myślenia!

Obserwował listki małej rośliny, ułożone wokół łodyżki tak ładnie, tak dziwnie mądrze. Piękne były wiersze Wergilego, kochał je; ale niejeden wiersz Wergilego nie był ani w połowie tak jasny i mądry, ani w połowie tak piękny i głęboki, jak ten spiralny układ maleńkich listeczków na łodyżce. Jakaż by to była rozkosz, jakie szczęście, jaka zachwycająca, szlachetna i rozumna praca, gdyby człowiek potrafił stworzyć taki jeden jedyny kwiat. Ale nikt tego nie potrafił, żaden bohater ani żaden cesarz, żaden papież ani żaden święty.

Kiedy słońce schyliło się nisko, wyruszył i odszukał miejsce, które mu wskazała wieśniaczka. Tam zaczekał. Pięknie było czekać tak i wiedzieć, że kobieta jest w drodze i przynosi samą miłość.

Przyszła z lnianą chustką, w którą zawinęła dużą kromkę chleba i kawał słoniny. Odpakowała jedzenie i położyła przed nim.

- Dla ciebie - powiedziała. - Jedz!
- Później - rzekł - nie jestem głodny chleba, jestem głodny ciebie. O, pokaż, co mi pięknego przyniosłaś!

Wiele mu przyniosła pięknego: mocne łaknące wargi, mocne połyskujące zęby, mocne ramiona czerwone od słońca, ale pod szyją i niżej białe i delikatne ciało. Słów znała mało, ale głęboko w jej krtani dźwięczał powabny, kuszący ton, a kiedy uczuła na sobie jego dłonie, tak delikatne, tkliwe i wrażliwe dłonie, jakich nigdy nie czuła, skóra jej zadrżała, a w gardle zadźwięczało jak w gardle pomrukującej kotki. Mało znała igraszek, mniej niż Liza, ale była dziwnie silna, napierała, jakby chciała skrócić kochankowi kark. Dziecinna i pożądliva była jej miłość, prosta i przy całej sile jeszcze wstydliva. Złotousty był z nią bardzo szczęśliwy.

Potem odeszła z westchnieniem, wyrwała się z wysiłkiem, nie mogła zostać.

Złotousty pozostał sam, szczęśliwy, ale i smutny. Później dopiero przypomniał sobie o chlebie, o słońcu i zjadł samotny - była już zupełna noc.

Rozdział ósmy

Długo już wędrował Złotousty, rzadko nocując dwa razy w tym samym miejscu, wszędzie pożądanym i uszczęśliwianym przez kobiety, opalony od słońca na brązowo, wychudzony od wędrowki i skąpego jadła. Wiele kobiet żegnało się z nim o brzasku i odchodziło, niektóre ze łzami, a on myślał nieraz:

„Dlaczego żadna nie zostaje przy mnie? Dlaczego, jeżeli mnie już kochają i dla nocy miłosnej cudzołożą, wracają wszystkie zaraz do swych mężów, od których przeważnie spodziewać się mogą tylko razów?”

Żadna nie prosiła go poważnie, aby pozostał, żadna nie prosiła, aby ją zabrał, nie była gotowa z miłości podzielić z nim dołę i niedołę wędrowki. Co prawda, żadnej tego nie proponował, żadnej nie podsunął tej myśli; gdy pytał swego serca, widział, że wolność była mu miła, a nie mógł sobie przypomnieć takiej kochanki, po której tęsknota nie opuściłaby go w ramionach następnej. A jednak wydawało mu się dziwne i nieco smutne, że wszędzie miłość była tak przejmująca, miłość kobiet i jego własna miłość, że się tak szybko syciła i gasła. Czy zawsze i wszędzie tak było? Czy też on

był tego powodem, może miał taką naturę, że kobiety pożądały go wprawdzie i uważały za pięknego, ale nie pragnęły z nim innej wspólnoty, jak owa krótka, bezsłowna, na sianie lub na mchu? Czy wynikało to stąd, że wiódł życie wędrowca, a osiadli czuli zgrozę przed życiem bezdomnych? Czy też wynikało to tylko z niego samego, z jego osoby, że kobiety pożądały go jak pięknej lalki i przyciskały do siebie, a potem uciekały wszystkie do swoich mężów, nawet jeśli czekały je tam razy? Nie wiedział.

Od kobiet uczył się niezmordowanie. Wprawdzie pociągały go bardziej dziewczęta bardzo młode, które nie znały jeszcze mężczyzn i nic nie wiedziały, w nich mógłby się tęsknie zakochać; dziewczęta te jednak były przeważnie niedosiężne, kochane, lękliwe i pilnie strzeżone. Ale i od kobiet uczył się chętnie. Każda pozostawiała mu coś, jakiś ruch, jakiś rodzaj pocałunku, jakąś szczególną igraszkę, jakiś szczególny sposób oddawania się i bronienia. Złotousty godził się na wszystko, był nienasycony i powolny jak dziecko, podatny na każde uwiedzenie: to właśnie czyniło go tak uwodzicielskim. Sama piękność jego nie wystarczała, żeby mu tak łatwo przychodziło zdobywać kobiety; sprawiała to owa dziecinność, owa podatność, owa ciekawa niewinność i żądza, owa absolutna gotowość na wszystko, czego kobieta mogła od niego pożądać. Sam o tym nie wiedząc, był przy każdej kochance właśnie taki, jakim ona go pragnęła i wymarzyła, przy jednej delikatny i wyczekujący, przy drugiej szybki i natarczywy, raz dziecinny jak chłopiec po raz pierwszy wtajemniczany w miłość, raz wyrafinowany i świadomy. Gotów był do igraszki, do walki, do wzdychania i do śmiechu, do wstydu i bezwstydu; nie czynił kobiecie niczego, czego nie pożądała, niczego, czego

sama z niego nie wywabiła. I to właśnie szybko wyczuwała w nim każda kobieta o mądrych zmysłach, to sprawiało, że zostawał jej ukochanym.

A on uczył się. Nauczył się w krótkim czasie nie tylko wielu rodzajów miłości i sztuk miłosnych, nie tylko wchłonał doświadczenia wielu kochanek. Nauczył się też widzieć kobiety w ich wielorakości, wyczuwać, poznawać dotykiem, węchem; wyrobił sobie subtelne ucho na wszelki rodzaj głosu i u wielu kobiet nauczył się już z samego brzmienia głosu poznawać nieomylnie ich naturę i rozmiar zdolności miłosnej; z coraz nowym zachwytem obserwował, w jak nieskończenie rozmaity sposób głowa osadzona bywa na szyi, jak odcina się czoło od włosów, jakie ruchy wykonywać może goleń. Nauczył się odróżniać w ciemności, z zamkniętymi oczyma, delikatnie badającymi palcami jeden rodzaj włosów kobiecych od drugiego, jedną skórę i puszek od drugiego. Wcześniej począł pojmować, że na tym może polega sens jego wędrówki, że może po to gna go coś od jednej kobiety do drugiej, aby coraz subtelniej, coraz wszechstronniej i głębiej poznawał i przyswajał sobie tę zdolność widzenia i rozróżniania. Może było to jego przeznaczeniem poznać w stopniu doskonałym kobiety i miłość, na tysiąc sposobów i w tysięcznych odmianach jak niektórzy muzycy umieją grać nie tylko na jednym instrumencie, ale na trzech, czterech, na wielu. Nie wiedział wprawdzie, na co się to zda, do czego prowadzi; czuł tylko, że jest na dobrej drodze. Jeśli do łaciny i logiki był wprawdzie zdolny, ale nie w szczególności, zdumiewający, rzadki sposób utalentowany - do miłości, do gry z kobietami posiadał talent, tutaj uczył się bez wysiłku, niczego nie zapominał, tutaj doświadczenia gromadziły się i porządkowały same przez się.

Kiedyś, gdy wędrował już rok czy dwa, przybył Złotousty na dwór zamożnego rycerza, który miał dwie piękne córki. Była wczesna jesień, noce miał się stać niebawem chłodne, ubiegłej jesieni i zimy zakosztował już tego, nie bez troski myślał o zbliżających się miesiącach, zimą wędrowka była trudna. Poprosił o jedzenie i nocleg. Przyjęto go uprzejmie, a kiedy rycerz usłyszał, że przybysz studiował i zna grekę, zawezwał go od stołu czeladzi do własnego i traktował niemal jak równego sobie. Obie córki miały spuszczone oczy, starsza liczyła osiemnaście, młodsza zaledwie szesnaście lat, nazywały się Lidia i Julia.

Nazajutrz chciał Złotousty ruszyć dalej. Nie mógł mieć nadziei zdobycia jednej z tych pięknych, jasnowłosych panien, a nie było innych kobiet, dla których byłby chciał zostać. Ale po śniadaniu rycerz zabrał go ze sobą i zaprowadził do izdebki, którą urządził dla specjalnych celów. Skromnie opowiedział starzec młodzieńcowi o swoim zamiłowaniu do uczoneści i ksiąg, pokazał mu małą skrzynię pełną manuskryptów, które zebrał, pokazał mu pulpit, który sobie kazał sporządzić, i zapas najpiękniejszego papieru i pergaminu. Pobożny ten rycerz, jak się Złotousty potem stopniowo dowiedział, był w młodości w szkołach, ale później poświęcił się zupełnie życiu wojennemu i świeckiemu, aż w ciężkiej chorobie Bóg natchnął go do wyruszenia w pielgrzymkę i odpokutowania grzesznej młodości. Dotarł do Rzymu, a nawet do Konstantynopola, po powrocie zastał ojca w trumnie, a dom pusty, osiadł tu, ożenił się, stracił żonę, wychowywał córki, a teraz u progu starości zabrał się do spisywania szczegółowych relacji ze swoich dawnych pielgrzymek. Skończył już wiele rozdziałów, ale - jak wyznał młodzieńcowi - łacina jego była dość ułomna i utrudniała mu pracę.

Zaproponował więc Złotoustemu nowe ubranie i gościnę, jeżeli zgodzi się skorygować i przepisać na czysto dotychczasowe rozdziały oraz pomagać w dalszej pracy.

Była jesień. Złotousty wiedział, co to oznacza dla wędrowca. Nowe ubranie było także pożądane. Ale przede wszystkim spodobała się młodzieńcowi nadzieja pozostania jeszcze przez długi czas w jednym domu z pięknymi siostrami. Zgodził się bez namysłu. Już po kilku dniach szafarka otworzyła szafę z tkaninami, znalazło się piękne brązowe sukno, z którego kazano zrobić Złotoustemu ubranie i czapkę. Rycerz myślał co prawda początkowo o czerni i o czymś w rodzaju stroju magistra, ale gość ani słyszeć o tym nie chciał i potrafił go przekonać; powstał więc ładny ubiór, na wpół pazia, na wpół strzelca, w którym mu było bardzo do twarzy.

Także z łaciną poszło nieźle. Przejrzeli razem napisane dotąd rozdziały, a Złotousty nie tylko poprawił liczne niedokładne i wadliwe wyrazy, lecz tu i ówdzie przerobił krótkie niezaradne zdania rycerza na piękne okresy łacińskie, solidnie zbudowane i o starannym *consecutio temporum*? Rycerz był z tego bardzo zadowolony i nie szczędził pochwał. Co dzień spędzali co najmniej dwie godziny na tej pracy.

Na zamku - był to obwarowany nieco, obszerny dwór chłopski - znajdował Złotousty dość rozrywek. Brał udział w polowaniu i uczył się u strzelca Hinricha strzelać z kuszy, przyjaźnił się z psami i mógł do woli jeździć konno. Rzadko widywano go samego: albo z psem rozmawiał, albo z koniem, albo z Hinrichem, albo z szafarką Leą, tęgą starszą o męskim głosie i wielkim zamiłowaniu do

¹ następstwo czasów (łac.)

żartów i śmiechów, albo z psarkiem, albo z owczarkiem. Z żoną młynarza w najbliższym sąsiedztwie łatwo byłoby nawiązać miłośćkę, ale on był powściągliwy i udawał niedoświadczonego.

Córkami rycerza był zachwycony. Młodsza była ładniejsza, ale taka wyniosła, że ledwie czasem zamieniła ze Złotoustym słowo. Zachowywał się wobec nich z wielką oględnością i uprzejmością, ale one odczuwały jego poblizę jako nieustanne zaloty. Młodsza zamknęła się zupełnie w sobie, przekorna z nieśmiałości. Starsza, Lidia, stosowała wobec niego szczególny ton, traktując go na wpół z szacunkiem, na wpół drwiąco, niby cudowne zwierzę uczoności, zadając mu wiele ciekawych pytań, informując się o życiu w klasztorze, ale zawsze z nieco drwiącą wyższością damy. Złotousty godził się na wszystko, traktował Lidie jak damę, Julię jak małą mniszkę, a gdy mu się udawało zatrzymać dziewczęta rozmową dłużej niż zwykle przy stole po wieczery albo gdy na dziedzińcu lub w ogrodzie Lidia zagadnęła go sama i pozwoliła sobie na przekomarzenie z nim, był zadowolony i czuł, że postępuje naprzód.

Długo trzymało się tej jesieni listowie na wysokim jesionie na dziedzińcu, długo jeszcze kwitły w ogrodzie astry i róże. Pewnego dnia przyjechali goście, właściciel sąsiednich dóbr z żoną i konnym pachołkiem; pogodny dzień skusił ich do dalszej wycieczki, i oto przybyli, prosząc o nocleg. Przyjęto ich bardzo uprzejmie, i wnet przeniesiono łóżko Złotoustego z gościnnego pokoju do pracowni i wyporządkowano pokój dla gości, zarżnięto kilka kur i posłano do młyna po ryby.

Złotousty z przyjemnością brał udział w uroczystym podnieceniu i wyczuł natychmiast, że obca dama zwróciła na niego uwagę. I zaledwie po głosie i po czymś w spojrzeniu poznał jej sympatię

i pożądanie, zauważył też, ze wzmożonym napięciem, jak Lidia zmieniła się, jak stała się cicha i zamknięta i poczęła obserwować jego i damę. Kiedy przy uroczystej wieczerzy stopa damy poczęła pod stołem igrać z nogą Złotoustego, zachwyciła go nie tylko sama ta gra, ale daleko bardziej jeszcze posępne i milczące napięcie, z jakim Lidia ją obserwowała ciekawymi i płonącymi oczyma. Wreszcie rozmyślnie upuścił nóż na podłogę, schylił się po niego pod stół i dotknął stopy i nogi pieśczośliwą ręką; ujrzał, jak Lidia zbladła i zagryzła wargi, i począł opowiadać anegdoty klasztorne, czując, że nieznajoma przysłuchiwała się żarliwie, nie tyle historyjkom, ile jego kuszącemu głosowi. I inni słuchali go także, opiekun jego z życzliwością, gość z nieruchomą twarzą, ale także tknięty ogniem, który płonął w młodzieńcu. Nigdy nie słyszała go Lidia takim, był jak rozkwitły, rozkosz wzbierała w powietrzu, oczy jego połykiwały, w głosie śpiewało szczęście, błagała miłość. Trzy kobiety przyjęły to, każda inaczej: mała Julia z gwałtowną obroną i niechęcią, żona rycerza z promienną satysfakcją, Lidia z bolesnym wzburzeniem, na które składały się żarliwa tęsknota, lekka obrona i gwałtowna zazdrość, ze wzburzeniem, od którego twarz jej zwęziła się a oczy zapłonęły. Złotousty wyczuwał te wszystkie fale, płynęły one ku niemu niby tajemne odpowiedzi na jego zaloty - jak ptaki szybowały dokoła niego myśli miłosne, oddając się, broniąc się, walcząc ze sobą nawzajem.

Po jedzeniu Julia odeszła. Była już późna noc; ze świecą w rękę opuściła taras, chłodna jak mniszka. Pozostałe kobiety siedziały jeszcze z godzinę, i podczas gdy dwaj mężczyźni rozmawiali o żniwach, o cesarzu i biskupie, Lidia przysłuchiwała się płonąc, jak między Złotoustym a damą snuła

się niedbała pogawędka o niczym, a między jej luźnymi nićmi powstawała gęsta, słodka sieć łączących ich spojrzeń, akcentów, drobnych ruchów, z których każdy naładowany był znaczeniem, przegrzany żarem. Dziewczyna wchłaniała tę atmosferę z pożądliwością, ale i z odrazą, a gdy widziała lub czuła, jak kolano Złotoustego dotykało pod stołem kolana nieznajomej, odczuwała to dotknięcie na własnym ciele i wzdrygała się. Nie spała potem przez pół nocy, nadśłuchiwała z biciem serca, przekonana, że ci dwoje spotkają się. W wyobraźni dopełniała tego, co im było odmówione, widziała ich w uścisku, słyszała ich pocałunki i drżała przy tym z podniecenia, lękając się, zarówno jak pragnąc, aby oszukany rycerz przyłapał kochanków i wbił ohydnemu Złotoustemu sztylet w serce.

Następnego ranka niebo było zachmurzone, wiał wilgotny wiatr, ale gość, odrzucając zaproszenie dłuższego pobytu, nalegał na szybki odjazd. Lidia stała przy tym, jak goście dosiadali koni, podawała rękę i wypowiadała słowa pożegnania, ale nie zdawała sobie z tego sprawy, wszystkie jej zmysły skupiły się w spojrzeniu, podczas gdy przyglądała się, jak żona rycerza przy wsiadaniu postawiła nogę na podanej przez Złotoustego ręce, a prawica jego szeroko i mocno objęła trzewik i na chwilę ścisnęła silnie kobiecą stopę.

Goście odjechali, Złotousty poszedł pracować. Po pół godzinie usłyszał na dole rozkazujący głos Lidii, usłyszał, jak wyprowadzano konia, jego pan podszedł do okna i spojrzął na dół, uśmiechając się i potrząsając głową, potem oboje patrzyli za Lidia, jak wyjeżdżała z dziedzińca. Mało się dzisiaj posuwali naprzód w swoim łacińskim pisaniu, Złotousty był roztargniony: pan zwolnił go uprzejmie wcześniej niż zwykle.

Niepostrzeżenie wyprowadził Złotousty z dziedzica swego konia, pocwałował naprzeciw wilgotnemu, chłodnemu wichrowi jesiennemu w pozółtką okolicę, pędząc coraz szybciej i szybciej, czuł, jak koń rozgrzewa się pod nim, a własna jego krew zapala się. Po ścierniskach i ugorach, po łąkach i trzęsawiskach porośniętych skrzypami i sitowiem mknął dysząc ciężko przez szary dzień, przez małe olchowe doliny, przez zatęchłe lasy sosnowe - i znowu przez brunatne puste wrzosowiska.

Na wysokim grzbiecie pagórka ujrzał postać Lidii, zarysowaną ostro na tle jasnoszarego nieba; siedziała sztywno na jadącym powolnym truchtem koniu. Pocwałował ku niej; zaledwie ujrzała, że jest ścigana, popędziła rumaka i uciekła. To znikąca, to ukazywała się z powiewającymi włosami. Jak za łupem gonił za nią, serce jego śmiało się, krótkimi, czułymi okrzykami zachęcał konia, radosnymi oczyma rozpoznawał w przelocie znajome miejsca okolicy, przycupnięte pola, olchowy las, grupki jaworów, gliniaste brzegi trzęsawisk, i wciąż powracał wzrokiem do swego celu, do pięknej uciekającej dziewczyny. Niebawem powinien ją dogonić.

Gdy Lidia spostrzegła, że Złotousty jest blisko, zaprzestała ucieczki i puściła konia stępa. Nie odwróciła się do goniącego. Dumna, na pozór obojętna, jechała prosto przed siebie, jakby się nic nie stało, jak gdyby była sama. Złotousty dogonił ją, tuż obok siebie kroczyły spokojnie dwa konie, ale zwierzęta i jeźdźcy zgrzani byli od gonitwy.

- Lidio! - zawołał cicho.

Nie odpowiedziała.

- Lidio!

Milczała.

- Jak to było pięknie, Lidio, z daleka widzieć cię jadącą, włosy fruwały za tobą niby złota błyskawica. Jakie to było piękne! Ach, jak to cudow-

nie, że uciekałaś przede mną! Wtedy dopiero poznałem, że lubisz mnie trochę. Nie wiedziałem o tym, jeszcze wczoraj wieczorem wątpiłem. I dopiero teraz, kiedy usiłowałaś uciec przede mną, zrozumiałem to nagle. Piękna, kochana, musisz być zmęczona, zsiądźmy z koni!

Zeskoczył szybko i w tej samej chwili pochwycił jej cugle, aby nie uciekła jeszcze raz. Zwróciła ku niemu twarz białą jak śnieg, a kiedy ją zdjął z konia, wybuchnęła płaczem. Ostrożnie poprowadził ją kilka kroków, posadził na uschłej trawie i klęknął obok niej. Siedziała i walczyła z łkaniem, walczyła dzielnie i zwyciężyła je.

- Ach, że też ty jesteś taki zły! - zaczęła, gdy mogła już mówić. Z ledwością wypowiedziała te słowa.

- Czyż jestem taki zły?

- Jesteś uwodzicielem kobiet, Złotousty. Pozwól mi zapomnieć, co mi powiedziałeś przedtem, były to bezwstydne słowa, nie przystoi ci mówić ze mną w ten sposób. Jak możesz sądzić, że cię lubię? Zapomnijmy o tym! Ale jak mogłabym zapomnieć, co musiałam widzieć wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem? A cóż widziałas?

- Ach, nie udawaj, nie kłamże tak! Wstrętne to było i bezwstydne, jak w moich oczach zalecałeś się do tej kobiety! Czyż ty wstydu nie masz? Nawet nogę jej głaskałeś pod stołem, pod naszym stołem! Przy mnie, w moich oczach! A teraz, gdy ona odjechała, przychodzisz i gonisz mnie! Naprawdę nie wiesz, co to wstyd.

Złotousty dawno już żałował słów, które jej powiedział, zanim ją zdjął z konia. Jakie to było głupie! Słowa były w miłości zbyt uczucie, powinien był milczeć.

Nie powiedział nic więcej. Klęknął obok niej, a że spoglądała na niego taka piękna i nieszczęs-

liwa, cierpienie jej zaraziło go; uczuł sam, że było tu coś, na co trzeba się było żalić. Ale wbrew wszystkiemu, co powiedziała, widział jednak w jej oku miłość, a ból na drgających wargach był także miłością. Bardziej wierzył jej oku niż słowom.

Ale ona spodziewała się odpowiedzi. Kiedy nie nastąpiła, wargi Lidii nabrały wyrazu jeszcze większej goryczy, spojrzała na niego zakłopotanymi nieco oczyma i powtórzyła:

- Czy ty rzeczywiście nie masz wstydu?

- Wybacz - odpowiedział pokornie - mówimy o rzeczach, o których się nie powinno mówić. To moja wina, wybacz mi! Pytasz, czy nie mam wstydu. Tak, mam wstyd. Ale tak cię kocham, a miłość nie wie, co to wstyd. Nie bądź zła!

Zdawało się, że prawie nie słuchała. Siedziała z goryczą na ustach i spoglądała w dal, jakby była zupełnie sama. Nigdy nie był w takim położeniu. A wszystko przez to, że zaczął mówić.

Łagodnie położył twarz na jej kolanie, dotknięcie to przyniosło mu natychmiast ulgę. Ale był nieco bezradny i smutny, a ona wydawała się ciągle jeszcze smutna, siedziała nieruchomo, milczała i spoglądała w dal. Ile zakłopotania, ile smutku! Ale kolano przyjaźnie przyjmowało przytulenie jego policzka, nie odpychało go. Z zamkniętymi oczyma leżała jego twarz na jej kolanie, wolno wchłaniała w siebie jego szlachetny, podłużny kształt. Złotousty pomyślał z radością i wzruszeniem, jak bardzo to kolano w swej wytwornej i młodzieńczej formie odpowiadało jej długim, pięknym, sztywno sklepionym paznokciom. Wdzięcznie przytulił się do kolana, rozmawiały z nim jego policzki i usta.

Teraz uczuł jej dłoń, która bojaźliwie, lekka jak skrzydło ptaka legła na jego włosach. Kochana dłoń, pomyślał i uczuł, jak lekko i dziecinnie głaskała jego włosy. Często już obserwował do-

kładnie i podziwiał jej dłoń, znał ją niemal jak własną, znał te długie, wysmukłe palce z długimi, pięknie sklepionymi, różowymi wzgórkami paznokci. Teraz te długie, delikatne palce rozmawiały lekko z jego lokami. Mowa ich była dziecinna i trwożna, ale była miłością. Wdzięcznie wtulił głowę w jej rękę, wyczuwał karkiem, policzkami powierzchnię jej dłoni.

Wtem powiedziała:

- Czas już, musimy iść.

Podniósł głowę i spojrzał na nią czule, łagodnie ucałował jej wysmukłe palce.

- Proszę, wstań - rzekła - musimy wracać do domu.

Usłyszał natychmiast, wstał, wsiedli na konie, pojechali.

Serce Złotoustego było pełne szczęścia. Jak piękna była Lidia, jak dziecinnie czysta i delikatna! Nie pocałował jej nawet jeszcze ani razu, a jednak czuł się tak obdarowany, tak pełny jej czaru. Jechali szybko, i dopiero przed samym wjazdem na dziedziniec Lidia przeraziła się i rzekła:

- Nie powinniśmy byli wracać jednocześnie. Jacyż jesteśmy głupi.

A w ostatniej chwili, kiedy zsiadali z koni i koniuszy nadbiegł już, szepnęła mu szybko i płomiennie do ucha:

- Powiedz mi, czy byłeś dzisiaj w nocy u tej kobiety?

Potrząsnął wiele razy głową i zabrał się do zdejmowania uprzęży z konia.

Po południu, kiedy ojciec jej wyszedł, przyszła do pracowni.

- Ale czy to prawda? - zapytała natychmiast namiętnie, a on wiedział od razu, co miała na myśli.

- Więc dlaczego igrałeś z nią tak ohydnie i rozkochałeś ją w sobie?

- To się odnosiło do ciebie - rzekł. - Wierz mi, tysiąc razy chętniej byłbym głaskał twoją nogę niż jej. Ale twoja noga nigdy nie przyszła do mnie pod stołem i nie zapytała mnie, czy cię kocham.

- Czy rzeczywiście mnie kochasz, Złotousty?

- O tak.

- Ale co z tego będzie?

- Nie wiem, Lidio. I nie obchodzi mnie to. Szczęśliwy jestem, kochając cię - a co z tego wyniknie, o tym nie myślę. Cieszę się, kiedy widzę, jak jedziesz konno, i kiedy słyszę twój głos, i kiedy palce twoje głaszczą moje włosy. Cieszyć się będę, gdy wolno mi będzie cię całować.

- Całować wolno tylko narzeczoną, Złotousty. Czy nigdy o tym nie myślałeś?

- Nie, nigdy o tym nie myślałem. Dlaczego miałem myśleć? Wiesz tak dobrze jak i ja, że nie możesz zostać moją narzeczoną.

- Tak jest istotnie. A że nie możesz być moim mężem i na zawsze pozostać przy mnie, dlatego bardzo niesłusznie postąpiłeś, mówiąc mi o miłości. Czy sądzisz, że mógłbyś mnie uwieść?

- Nic nie sądziłem i nic nie myślałem, Lidio, myślę w ogóle znacznie mniej, niż ci się zdaje. Nie pragnę niczego, tylko abyś mnie raz chciała pocałować. Mówimy tak wiele. Zakochani nie czynią tego. Sądzę, że mnie nie kochasz.

- Dzisiaj rano mówiłeś coś przeciwnego.

- A ty czyniłaś coś przeciwnego!

- Ja? Jak to rozumiesz?

- Najpierw uciekałaś przede mną, kiedy ujrzałaś, że się zbliżam. Wtedy sądziłem, że mię kochasz troszkę. Potem płakałaś, a ja sądziłem, iż to dlatego, że mię kochasz. Potem głowa moja leżała na twoich kolanach i głaskałaś mnie, a ja sądziłem, że to miłość. Ale teraz nie okazujesz mi miłości.

- Nie jestem taka, jak ta kobieta, której nogę głaskałeś wczoraj. Jesteś widocznie przyzwyczajony do takich kobiet.

- Nie, Bogu dzięki, jesteś o wiele piękniejsza i delikatniejsza od niej.

- Nie to mam na myśli.

- O, ale tak jednak jest. Czy wiesz, jaka jesteś piękna.

- Mam lustro.

- Czy widziałaś w nim kiedy swoje czoło, Lidio? I ramiona, i paznokcie, i kolana? I czy widziałaś, jak wszystko to podobne jest do siebie i dostosowane, jak wszystko ma ten sam kształt, podłużny, mocny i bardzo wysmukły kształt. Czy widziałaś to?

- Co ty mówisz! Właściwie nigdy tego nie widziałam, ale teraz, gdy ty to mówisz, wiem jednak, co masz na myśli. Słuchaj, jesteś jednakże uwodzicielem, teraz próbujesz wbić mię w pychę.

- Szkoda, nie umiem ci tego wytłumaczyć. Ale dlaczegoż miałoby mi zależeć na tym, aby cię wbić w pychę? Jesteś piękna, a ja chciałbym ci okazać, że jestem za to wdzięczny. Zmuszasz mię, abym ci to powiedział słowami; potrafiłbym ci to powiedzieć tysiąc razy lepiej niż słowami. Słowami nic ci dać nie mogę! Słowami niczego też nie mogę się od ciebie nauczyć, ani ty niczego ode mnie.

- A czegoż mam się od ciebie nauczyć?

- Ja od ciebie, Lidio, i ty ode mnie. Ale ty przecież nie chcesz. Chcesz przecież kochać tylko tego, czyją zostaniesz narzeczoną. Będzie się śmiał, kiedy zobaczy, że niczego się nie nauczyłaś, nawet całować.

- Tak, więc w całowaniu chciałbyś mi udzielać nauki, panie magistrze?

Uśmiechnął się do niej. Chociaż słowa jej nie podobały mu się, to jednak poza tym nieco poryw-

czym i nieszczerem mędrkowaniem wyczuwał jej dziewczęcość, wyczuwał, jak ogarnięta była pożądliwością i broniła się lękliwie.

Już jej nie odpowiadał. Uśmiechnął się do niej, uwięził jej niespokojny wzrok swymi oczyma, i kiedy, nie bez oporu, oddawała się urokowi, zbliżył wolno twarz do jej twarzy, aż wargi ich zetknęły się. Lekko musnął jej usta, które odpowiedziały drobnym pocałunkiem dziecięcym i rozchyliły się jakby w bolesnym zdumieniu, gdy nie wypuścił ich znowu. Z łagodną natarczywością gonił jej uciekające usta, aż z wahaniem zbliżyły się znowu ku niemu, i nie używając przemocy nauczył oczarowaną przyjmowania i dawania pocałunków, aż wyczerpana przycisnęła twarz do jego ramienia. Pozwolił jej wypocząć, wachał uszczęśliwiony jej gęste blond włosy, szeptał czułe i uspokajające dźwięki do jej ucha i przypominał sobie w tej chwili, jak on sam, nieświadomy uczeń, niegdyś wtajemniczony został w tę sztukę przez Cygankę Lizę. Jak czarne były jej włosy, jak brunatna jej skóra, jak słońce paliło i jak pachniało zwiędłe świętojańskie ziele! I jakie to już było dalekie, z jakiej dali połyskiwało! Tak szybko wiodło wszystko, co kwitło jeszcze przed chwilą.

Lidia wyprostowała się wolno, z odmienioną twarzą, poważne i wielkie spoglądały jej kochające oczy.

- Pozwól mi pójść, Złotousty - rzekła - tak długo byłam u ciebie. O ty, o ty mój ukochany!

Co dzień znajdowali potajemną godzinę, a Złotousty pozwalał się zupełnie prowadzić kochającej dziewczynie, dziwnie uszczęśliwiała go i wzruszała ta dziewczęca miłość. Niekiedy przez całą godzinę chciała tylko trzymać jego ręce w swoich i patrzeć w jego oczy i żegnała go dziecięcym pocałunkiem. Kiedy indziej całowała go z oddaniem i nienasyconie, ale nie pozwalała na

dotknięcie. Raz, poczerwieniawszy głęboko, prze-
magając się, chcąc mu sprawić wielką radość,
pozwoliła mu spojrzeć na swoje piersi; lęklonie
wydobyła z sukni mały biały owoc; gdy ucałował
je klęcząc, przestłoniła je znowu starannie i ciągle
jeszcze czerwona była aż po szyję. Rozmawiali
także, ale w nowy sposób, już nie tak jak pierw-
szego dnia; wynajdowali dla siebie wzajem imiona,
chętnie opowiadała mu o swoim dzieciństwie,
o swoich marzeniach i zabawach. I o tym mówiła
często, że miłość jej jest niedobra, bo on nie może
jej poślubić, mówiła o tym ze smutkiem i od-
daniem i zdobiła swą miłość tajemnicą tego smut-
ku niby czarnym welonem.

Po raz pierwszy czuł Złotousty, że kobieta nie
tylko go pożąda, ale i kocha.

Lidia powiedziała kiedyś:

- Jesteś tak ładny i wyglądasz tak wesoło. Ale
w oczach twoich, wewnątrz, nie ma wesołości, jest
sama tylko żałoba, jak gdyby te oczy widziały, że
nie ma szczęścia i że wszystko, co piękne i co
kochamy, niedługo zostaje przy nas. Masz naj-
piękniejsze na świecie oczy i najsmutniejsze. Sądzę,
że to dlatego, iż jesteś bezdomny. Przyszedłeś do
mnie z lasów, a kiedyś odejdiesz znowu i będziesz
sypiał na mchu i wędrował. Ale gdzież jest mój
dom? Gdy ty odejdiesz, będę co prawda miała
ojca i siostrę i będę miała izdebkę i okno, pod
którym będę mogła siedzieć i myśleć o tobie, ale
domu nie będę już miała.

Pozwalał jej mówić, niekiedy uśmiechał się przy
tym, niekiedy był zaszepiony. Słowami nie pocieszał
jej nigdy, tylko lekkim głaskaniem, tylko przycis-
kając jej głowę do swej piersi i nucąc cicho za-
czarowane tony bez sensu, jak nuca niańki, aby
pocieszyć dzieci, gdy płaczą.

Raz powiedziała Lidia:

- Chciałabym wiedzieć, Złotousty, co z tobą kiedyś będzie, często o tym myślę. Nie będziesz miał zwykłego życia ani łatwego. Ach, gdybyż ci się dobrze wiodło! Niekiedy myślę, że musisz zostać poetą, poetą, który miewa widzenia i sny i pięknie potrafi je wypowiadać. Ach, będziesz wędrował po całym świecie i wszystkie kobiety będą cię kochały, a jednak będziesz samotny. Wróć lepiej do klasztoru, do swego przyjaciela, o którym tak wiele opowiadasz! Będę się za ciebie modliła, abyś nie musiał kiedyś umrzeć samotnie w lesie.

Tak mówiła, z głęboką powagą, z nieprzytomnymi oczyma. Ale potem potrafiła znowu śmiejąc się jechać z nim konno po spowitej w późną jesień okolicy albo zadawać mu żartobliwe zagadki i obrzucać go zwiędłymi liśćmi i błyszczącymi żołądziami.

Kiedyś leżał Złotousty w swojej izdebce w łóżku i czekał na sen. Serce ciążyło mu, w jakiś wdzięczny, bolesny sposób ciężkie i pełne uderzało w jego piersi, przepełnione miłością, przepełnione żalobą i bezradnością. Słyszał, jak wiatr listopadowy szarpał dach; stało się już jego nawykiem, że przed zaśnięciem leżał tak pewien czas, a sen nie przychodził. Wolno odmawiał w myśli, jak to było jego zwyczajem wieczorem, pieśń maryjną:

Tota pulchra es Maria,
et macula originalis non est in te.
Tu laetitia Israel,
Tu advocata peccatorum!¹

Łagodną swoją muzyką wnikała ta pieśń w jego duszę, a za oknem śpiewał wiatr, śpiewał o niepo-

¹ **Wszystka piękna jesteś, Maryjo,
I zmayı pierworodnej nie masz w Tobie.
Tyś radością Izraela,
Tyś ucieczką grzesznych! (łac.)**

koju i wędrowce, o lesie, o jesieni, o życiu bezdomnych. Złotousty myślał o Lidii, myślał o Narcyzie i myślał o swojej matce, pełne i ciężkie było jego niespokojne serce.

Nagle drgnął i patrzył z niedowierzaniem osłupiałym wzrokiem: drzwi izdebki otworzyły się, w ciemności zjawiła się postać w długiej białej koszuli, bezszelestnie weszła Lidia boso po kamiennych płytach, cicho zamknęła drzwi i usiadła na jego pościaniu.

- Lidio - szepnął - sarenko moja, mój kwiatku biały! Lidio, co czynisz!

- Przyszłam do ciebie - powiedziała - tylko na chwilę. Chcę przecież zobaczyć raz, jak mój Złotousty leży w swoim łóżeczku, mój Złotoserdeczny.

Położyła się obok niego, leżeli cicho, z ciężkimi, bijącymi sercami. Pozwoliła mu się całować, pozwoliła jego uwielbiającym rękom grać na swoich członkach, więcej nie było wolno. Po krótkim czasie łagodnie odsunęła jego ręce, ucałowała go w oczy, wstała bezszelestnie i znikła. Drzwi zaszkrypiały, na strychu świszczał wiatr. Wszystko było zaczarowane, pełne tajemnicy, pełne tęsknoty, obietnicy, pełne groźby. Złotousty nie wiedział, co myśli, co czuje. Kiedy po niespokojnej drzemce obudził się znowu, poduszka jego była mokra od łez.

Po kilku dniach przyszła znowu, niby słodkie białe widmo, i leżała przy nim kwadrans, jak poprzednim razem. W uścisku jego ramion mówiła mu szeptem do ucha, wiele miała do mówienia i do skargi. Przysłuchiwał się jej czule; spoczywała na jego lewym ramieniu, prawą ręką głaskała jej kolana.

- Złotosteńku - mówiła głosem stłumionym, tuż przy jego policzku. - Takie to smutne, że nigdy nie będę mogła należeć do ciebie. Niedługo już

potrwa nasze małe szczęście, nasza mała tajemnica. Julia już powzięła podejrzenie, niedługo zmusi mię, żebym jej to powiedziała. Albo też ojciec zauważy. Gdyby mnie znalazł w twoim łóżku, mój mały złoty ptaku, źle by było z twoją Lidią; stałaby z zapłakanymi oczyma i spoglądała w górę na drzewa i widziała swego ukochanego, jak wisi tam i kołysze się na wietrze. Ach, uciekaj lepiej, uciekaj lepiej zaraz, niżby cię ojciec miał kazać związać i powiesić. Widziałam już raz kogoś powieszonoego - złodzieja. Nie chcę widzieć ciebie na szubienicy, uciekaj lepiej stąd i zapomnij o mnie, obyś tylko nie musiał umierać, Złoteńku, oby tylko ptaki nie wydziobały twoich jasnych oczu! Ale nie, ukochany, nie odchodź - ach, co ja bym robiła, gdybyś mnie zostawił samą!

- Czy nie chcesz pójść ze mną, Lidio? Uciekniemy razem, świat jest wielki!

- To by było bardzo piękne - skarżyła się - ach, jak pięknie byłoby biec z tobą po całym świecie! Ale ja tego nie mogę. Nie mogę sypiać w lesie i być bezdomną i mieć źdźbła słomy we włosach, ja tego nie mogę. Nie mogę też przynieść takiej hańby ojcu. Nie, nie mów, to nie urojenie. Nie mogę! Tak samo nie mogę, jak nie mogłabym jeść z brudnego talerza albo spać w łóżku trędowatego. Ach, nam wszystko jest zabronione, co byłoby dobre i piękne, my oboje zrodzeni jesteśmy dla cierpienia. Złoteńku, mój biedny mały chłopcze, będę jednak wreszcie musiała patrzeć na to, jak cię powieszają. A mnie zamkną potem i wyślą do klasztoru. Najdroższy, musisz mnie opuścić i sypiać znowu z Cygankami i wieśniaczkami. Ach, idź, zanim cię schwycą i zwiążą! Niegdy nie będziemy szczęśliwi, nigdy!

Pogłaskała łagodnie jej kolana, i dotykając lekko jej sromu, prosił:

- Kwiateczku, moglibyśmy być tacy szczęśliwi! Czy nie wolno?

Bez niechęci, ale silnie odepchnęła jego rękę i odsunęła się nieco od niego.

- Nie - rzekła - nie, nie wolno ci. Zabronione mi to jest. Ty, mały Cygan, nie rozumiesz tego może. Postępuję przecież źle, jestem złą dziewczyną, przynoszę hańbę całemu domowi. Ale w jakimś zakątku duszy jestem jednak dumna, tam nikt się wedrzeć nie może. Musisz mi na to pozwolić, inaczej nigdy już nie będę mogła przyjść do twojej izdebki.

Nigdy nie zlekceważył żadnego jej zakazu, żadnego życzenia, żadnego napomknienia. Sam się zdumiewał, jaką władzę posiadała nad nim. Ale cierpiał. Zmysły jego były niezaspokojone, a serce broniło się nieraz gwałtownie przeciw takiej zależności. Niekiedy zadawał sobie wysiłek, aby się z niej wyzwolić. Niekiedy z wyszukaną grzecznością prawił komplementy małej Julii, co prawda było to rzeczą konieczną, aby z tą ważną osobą żyć w dobrych stosunkach i łudzić ją w miarę możliwości. Dziwnie mu się działo z tą Julią, która często udawała tak bardzo dziecinną i często wydawała się tak wszechwiedzącą. Nie ulegało wątpliwości, że była ładniejsza od Lidii, była niezwykłą pięknoscią, co w połączeniu z przemądrzałą nieco niewinnością dziecięcą stanowiło dla Złotoustego wielki urok, bywał często mocno zakochany w Julii. I właśnie po tym silnym uroku, jaki siostra wywierała na jego zmysły, poznawał często ze zdumieniem różnicę między pożądaniem a miłością. Początkowo patrzył na obie siostry jednakowymi oczyma, obie wydawały mu się godne pożądania, ale Julia piękniejsza i bardziej warta uwiedzenia; bez różnicy zabiegał o obie i ciągle obie miał na oku. A teraz Lidia zyskała tę władzę nad

nim! Teraz kochał ją tak bardzo, że zrezygnował z miłości, a nawet z zupełnego jej posiadania. Poznał i pokochał jej duszę, której dziecięctwo, delikatność i skłonność do smutku podobne były do cech jego własnej duszy, często zdumiony był i zachwycony tym, jak bardzo dusza ta odpowiadała jej ciału; jeżeli coś czyniła, coś mówiła, wypowiadała jakieś życzenie albo sąd, słowa jej i uczucia jej duszy były zupełnie na tę samą modłę, co krój jej oczu i kształt palców!

Te chwile, kiedy zdawało mu się, że widzi zasadnicze formy i prawa, na których zbudowane były jej charakter, dusza i ciało, często budziły w Złotoustym ochotę, aby zachować i odtworzyć coś z tej postaci, i na kilku kartkach, które ukrywał, próbował nakreślić piórkiem z pamięci zarys jej głowy, linię jej brwi, jej ręki, jej kolana.

Z Julią sprawa wikłała się. Wietrzyła widocznie falę miłości, w której płynęła starsza siostra, a zmysły jej zwróciły się z ciekawością i pożądaniem ku temu rajowi, choć uparty umysł nie chciał tego przyznać. Okazywała Złotoustemu przesadny chłód i niechęć, a jednak w chwilach zapomnienia potrafiła obserwować go z podziwem i pożądliwą ciekawością. Wobec Lidii bywała często bardzo czuła, niekiedy przychodziła też do jej łóżka i oddychała wówczas z tajoną żądzą w tej strefie miłości i płci, kapryśnie ocierała się o zakazaną i utęsknioną tajemnicę. Potem znowu w obelżywy niemal sposób dawała do zrozumienia, że wie o tajemnym występku Lidii i gardzi nim. Drażniąc i przeszkadzając, migało piękne kapryśne dziecko między dwojgiem kochających, w głodnych marzeniach syciło się ich tajemnicą, to udając nieświadomą, to zdradzając niebezpieczną współwiedzę; szybko z dziecka stała się potęgą. Lidia bardziej wskutek tego cierpiała niż Złotousty, który poza

posiłkami rzadko widywał małą. Nie mogło się też ukryć przed Lidią, że Złotousty nie był nieczuły na wdzięk Julii, niekiedy dostrzegała jego rozkoszujący się wzrok, spoczywający na niej z uznaniem. Nie mogła nic powiedzieć, wszystko było tak trudne, tak niebezpieczne, zwłaszcza nie wolno było zrazić ani obrazić Julii; ach, lada dzień i lada godzina tajemnica ich miłości mogłaby zostać odkryta, a trwożliwe ich szczęście mogło się skończyć, może w straszny sposób.

Niekiedy dziwił się Złotousty, że dawno stąd nie odszedł. Trudno było żyć tak, jak żył teraz: kochany, ale bez nadziei, ani na dozwolone i trwałe szczęście, ani na łatwe spełnienie pragnień miłosnych, do czego dotąd był przyzwyczajony; z wiecznie podnieconymi i głodnymi, nigdy nienasyconymi popędami, a przy tym w ciągłym niebezpieczeństwie. Dlaczego pozostawał tutaj i znosił to wszystko, wszystkie te powikłania i pomieszane uczucia? Czyż nie były to przeżycia, uczucia i stany sumienia dla ludzi osiadłych, kierujących się prawem, dla ludzi w ogrzanych izbach? Czyż nie posiadał prawa bezdomnych i nie mających roszczeń, czyż nie posiadał prawa uciec od tych subtelności i komplikacji i śmiać się z nich? Tak, posiadał to prawo, i głupcem był, że szukał tu czegoś w rodzaju domu rodzinnego i opłacał to tyloma bólami, tyloma troskami. A jednak czynił to i znosił, znosił to chętnie, był z tego potajemnie szczęśliwy.

Głupio było i trudno, zawikłanie i uciążliwie kochać w ten sposób, ale było też cudownie. Cudowny był posępny i piękny smutek tej miłości, jej obłąkanie i beznadziejność; piękne były te gębokoboko zadumane, serdecznie tęskne noce bez snu; piękne i wspaniałe było to wszystko jak rys bólu na wargach Lidii, jak nieprzytomny, oddany dźwięk jej głosu, kiedy mówiła o swojej miłości

i trosce. W niewiele tygodni powstał i ustalił się ten rys cierpienia na młodej twarzy Lidii, której linie tak chętnie kreślił piórkiem, i Złotousty czuł: podczas tych niewiele tygodni i on sam stał się inny i o wiele starszy, nie mądrzejszy, a jednak doświadczeńszy, nie szczęśliwszy, a jednak daleko dojrzalszy i bogatszy na duszy. Nie był już chłopcem.

Łagodnym, nieprzytomnym głosem rzekła do niego Lidia:

- Nie powinieneś być smutny, nie powinieneś smucić się o mnie, ja bym cię przecież chciała uczynić tylko radosnym i widzieć cię tylko szczęśliwym. Wybacz, uczyniłam cię smutnym, zaraziłam cię swoją trwogą i zasępieniem. Takie dziwne sny miewam nocą: zawsze chodzę po jakiejś puszczy, taka jest wielka i taka ciemna, że nie potrafię tego wypowiedzieć, chodzę tak więc i chodzę i szukam ciebie, ale ciebie nie ma, i wiem, że cię utraciłam, i będę musiała zawsze, zawsze chodzić tak samotna. Potem, kiedy się budzę, myślę: o, jak to dobrze, o, jak wspaniale, że on jeszcze jest i że go będę widziała, może tygodnie jeszcze, może dni, wszystko jedno, ale jednakże jest jeszcze!

Pewnego ranka, o świcie zbudził się Złotousty i leżał przez chwilę w łóżku rozmyślając, obrazy snu otaczały go jeszcze, ale bez związku. Śnił o swojej matce i o Narcyzie, obie te postacie widział jeszcze wyraźnie. Kiedy uwolnił się z więzów snu, uderzyło go jakieś szczególne światło, jakiś osobliwy rodzaj jasności, wdzierającej się dzisiaj przez mały otwór okienka. Zerwał się i pobiegł do okna - ujrzał, że gzymsy okienne, dach stajni, wrota dziedzińca i cała okolica połyskiwały niebieskawobiałą poświatą, pokryte pierwszym śniegiem tej zimy. Kontrast między niepokojem jego własnego serca a cichym, przytulnym światem zimowym stropił go: jak spokojnie, jak wzruszają-

co i nabożnie poddawały się rola i las, wzgórze i step słońcu, wiatrowi, deszczowi, suszy, śniegowi, jak pięknie i z jaką łagodną biernością znosiły jawor i olcha brzemień zimy? Czy nie można było stać się jak one, czy nie można było niczego nauczyć się od nich? W zdumieniu wyszedł na dziedziniec: brodził w śniegu i dotykał go rękoma, podszedł do ogrodu i zaglądał przez wysoko zasnieżony płot na przygięte przez śnieg pnie róż.

Na śniadanie była polewka mączna, wszyscy mówili o pierwszym śniegu, wszyscy - także dziewczęta - byli już na dworze. Śnieg spadł tego roku późno, bliskie już było Boże Narodzenie. Rycerz opowiadał o południowych krajach, gdzie nie ma śniegu. Ale to, co uczyniło ten pierwszy dzień zimy niezapomnianym dla Złotoustego, przydarzyło się dopiero, gdy już dawno zapadła noc.

Siostry miały dziś jakąś sprzeczkę, o której Złotousty nie wiedział. W nocy, gdy w domu zapanowała cisza i mrok, Lidia przyszła do niego, w zwykły swój sposób, położyła się w milczeniu obok niego i oparła głowę na jego piersi, aby słyszeć bicie jego serca i pocieszyć się w jego pobliżu. Była zasepiona i zatrwożona, obawiała się zdrady ze strony Julii, ale nie mogła się zdecydować, aby mówić o tym z ukochanym i martwić go. Leżała więc cicho na jego sercu, słyszała z jego ust od czasu do czasu wypowiedzianą szeptem pieśczętę i czuła jego dłoń na włosach.

Ale nagle - niedługo jeszcze tak leżała - przeraziła się okropnie i podniosła się na łóżku z szeroko rozwartymi oczyma. I Złotousty przeraził się nie mniej, gdy ujrzał drzwi izdebki otwarte i wchodzącą postać, którą w przestraszu nie od razu poznał. Dopiero gdy zjawa stanęła tuż przy łóżku i pochyliła się nad nimi, zobaczył ze ściśniętym sercem,

że była to Julia. Zrzuciła płaszcz, który miała na samej koszuli, płaszcz spadł na ziemię. Z okrzykiem bólu, jak ugodzona nożem w serce, opadła Lidia na łóżko i uczepiła się Złotoustego.

Tonem szyderczym i pełnym złośliwej radości, albo jednak niepewnym głosem rzekła Julia:

- Nie chce mi się tak samej leżeć w izdebce. Albo weźmiecie mnie do siebie i będziemy leżeli we troje, albo pójdę obudzić ojca.

- No to chodźże - rzekł Złotousty i podniósł kołdrę. - Przemarznię ci przecież nogi.

Julia weszła do łóżka, a jemu udało się z trudnością zrobić jej na wąskim pościeliu trochę miejsca, gdyż Lidia ukryła twarz w dłoniach i leżała bez ruchu. Wreszcie leżeli wszyscy troje, z każdej strony Złotoustego jedna dziewczyna, i przez chwilę nie mógł się młodzieniec obronić przed myślą, jak bardzo położenie to przed niedawnym jeszcze czasem odpowiadałoby wszelkim jego życzeniom. Z dziwnym lękiem, a jednak z tajemnym zachwytem, wyczuwał biodro Julii u swego boku.

- Musiałam przecież zobaczyć kiedy - zaczęła znowu - jak to się w twoim łóżku leży, skoro siostra moja tak chętnie je odwiedza.

Złotousty, aby ją skłonić do spokoju, lekko pocierał policzkiem o jej włosy i łagodną dłonią głaskał jej biodra i kolana, jak się pieści kota, a ona poddawała się w milczeniu i ciekawie jego sunącej dłoni, odczuwała z przejęciem i skupieniem ten czar, nie stawiała oporu. Ale podczas tego zaklinalnia troszczył się zarazem o Lidie, nucił jej do ucha ciche, pofne tony miłosne i doprowadził z wolna do tego, że przynajmniej uniosła twarz i zwróciła ją ku niemu. Bezgłośnie całował jej usta i oczy, podczas gdy ręka jego z drugiej strony trzymała pod urokiem siostrę - świadomość drażliwej i naprężonej sytuacji stawała się nie

do zniesienia. Lewa jego ręka była tą, która go pouczyła; kiedy zaznajomiła się z pięknymi, czekającymi spokojnie członkami Julii, odczuł po raz pierwszy nie tylko piękno i głęboką beznadziejność swojej miłości do Lidii, ale także jej śmieszność. Powinien był, tak mu się zdawało teraz, gdy wargi jego były przy Lidii, a ręce przy Julii, powinien albo zmusić Lidię do oddania się, albo ruszać dalej. Kochać ją, a jednak wyrzekać się jej było głupie i niesłuszne.

- Serce moje - szepnął Lidii do ucha - znosimy daremne męki. Jak szczęśliwi moglibyśmy być teraz wszyscy troje! Czyńmyż, czego wymaga nasza krew!

Ponieważ cofnęła się wzdrygając, pożądanie jego pobiegło ku drugiej, a ręka jego darzyła ją taką błogością, że odpowiedziała długim, drżącym westchnieniem rozkoszy.

Kiedy Lidia usłyszała to westchnienie, zazdrość ścisnęła jej serce, jakby wsączyła się do niego trucizna. Usiadła niespodzianie, zerwała kołdrę z łóżka, skoczyła na nogi i zawołała:

- Julio, chodźmy!

Julia wzdrygnęła się; już sama nierozważna porywczosć tego okrzyku, który mógł ich wszystkich zdradzić, wskazała jej niebezpieczeństwo; wstała w milczeniu.

Ale Złotousty, obrażony i oszukany we wszystkich swoich popędach, szybko objął podnoszącą się Julię, ucałował obie jej piersi i szepnął jej gorąco do ucha:

- Jutro, Julio, jutro!

Lidia stała w koszuli i bosą na kamiennej podłodze, palce jej kurczyły się z zimna. Podniosła z ziemi płaszcz Julii i okryła ją nim, bolesnym i pokornym ruchem, który w ciemności nawet nie uszedł uwadze siostry i który ją wzruszył i przejed-

nał. Cicho wymknęły się siostry z izdebki i uciekły. Pełen sprzecznych uczuć nadsłuchiwał Złotousty ich oddalających się kroków i odetchnął z ulgą, gdy cisza śmiertelna domu nie została zmaćona.

W ten sposób troje młodych ludzi po osobliwym i nienaturalnym wspólnym przebywaniu skazanych zostało na zadumę samotności, gdyż i siostry, kiedy przybyły do swojej sypialni, nie zdobyły się na rozmowę, lecz leżały każda samotna, milcząca i uparta w swoim łóżku.

Jakiś duch nieszczęścia i przekory, jakiś demon szaleństwa, osamotnienia i zamętu dusz owładnął snadź domem. Dopiero po północy zasnął Złotousty, dopiero nad ranem Julia. Lidia leżała czuwając, udręczona, aż ponad śniegiem wstał błady dzień. Wstała natychmiast, ubrała się, długo kłęzczała przed swoim małym, drewnianym Zbawicielem i modliła się, a gdy tylko usłyszała na schodach kroki ojca, wyszła i poprosiła go o rozmowę. Nie próbując nawet odróżnić swojej obawy o cnotę dziewczącą Julii od swojej zazdrości, postanowiła położyć sprawie kres. Złotousty i Julia spali jeszcze oboje, gdy rycerz wiedział już wszystko, co Lidia uznała za wskazane powiedzieć mu. Udział Julii w przygodzie przemilczała.

Gdy Złotousty o zwykłej porze zjawił się w pracowni, ujrzał rycerza, który zwykle w rannych trzewikach i bajowej kurcie domowej asystował przy pisaniu - w butach, w kaftanie, przepasanego mieczem, i wiedział natychmiast, co to znaczy.

- Wdziej czapkę - rzekł rycerz - muszę z tobą gdzieś pójść.

Złotousty zdjął czapkę z gwoździa i zszedł za panem ze schodów, przez dziedziniec i wrota. Podeszwy ich trzeszczały głośno i lekko po przemarzłym śniegu, na niebie świecił jeszcze brzask poranny. W milczeniu kroczył rycerz przodem,

młodzieniec szedł za nim i wiele razy spoglądał za siebie na dwór, na okno swojej izdebki, na zaśnieżony stromy dach, aż znikły i nic już nie było widać. Nigdy nie ujrzy już tego dachu i tych okien, nigdy pracowni i sypialni, nigdy dwóch sióstr. Od dawna zżył się już z myślą o nagłym odejściu, a jednak serce jego kurczyło się boleśnie. Gorzko bolało go to pożegnanie.

Szli tak godzinę, pan przodem, obaj nie mówili słowa. Złotousty począł się zastanawiać nad swoim losem. Rycerz był uzbrojony, może go zabije. Ale nie wierzył w to. Niebezpieczeństwo było małe; wystarczyło mu tylko uciec, a starzec zostałby ze swoim mieczem bezradny. Nie, życie jego nie było w niebezpieczeństwie. Ale to kroczenie w milczeniu za obrażonym poważnym człowiekiem, to nieme wyprowadzenie go stawało się dlań z każdym krokiem bardziej przykre. Wreszcie rycerz zatrzymał się.

- Teraz - rzekł zmienionym głosem - pójdiesz dalej sam, ciągle w tym kierunku, i będziesz wiódł życie wędrowne, jak byłeś przyzwyczajony. Gdybyś się miał znowu pokazać kiedy w pobliżu mego domu, każę cię ustrzelić. Nie chcę się mścić na tobie; powinienem był być mądrzejszy i nie pozwolić tak młodemu człowiekowi na przebywanie w pobliżu mych córek. Ale gdybyś się ośmielił powrócić, życie twoje byłoby stracone. Idź teraz, niechaj ci Bóg przebaczy!

Stał na miejscu, w bladym świetle śnieżnego poranku siwobroda twarz jego wyglądała jak zgaszona. Jak upiór stał na miejscu i nie odszedł, aż Złotousty znikł za najbliższym grzbietem pagórków. Czerwonawe blaski na zachmurzonym niebie znikły, słońce nie ukazywało się, wolno padać zaczęły cienkie, ociągające się płatki śniegu.

Rozdział dziewiąty

Z licznych przejażdżek znał Złotusty okolice, wiedział, że po drugiej stronie zamarzonego sitowia stała stodoła rycerza, a dalej zagroda chłopska, gdzie go znano, w jednym z tych miejsc mógłby wypocząć i przenocować. Co do reszty zadecyduje jutro. Z wolna ogarnęło go znowu uczucie wolności i obczyzny, od którego się na pewien czas odzwyczył. W ten lodowato posępny dzień zimowy obczyzna nie miała miłego posmaku, woń jej była wonią wysiłku, głodu i niedostatku, a jednak jej dal, jej wielkość i nieubłaganie działały jakoś uspokajająco i niemal pocieszały jego rozpieszczone i zmacone serce.

Biegł dotąd, aż się zmęczył. „Skończyło się z jazdą konną - pomyślał. - O, rozległy świecie!” Spadło trochę śniegu, w dali szczyt lasu i chmury zlewały się szaro, bezgraniczna cisza zalegała aż po krańce świata. Co się stało z Lidią, z tym biednym, lękliwym sercem! Było mu jej bardzo żal; czule myślał o niej, siedząc i wypoczywając pośród pustego sitowia pod samotną nagą olchą. Wreszcie głód wypędził go, wstał z zeszywniałymi nogami, ruszył wolno miarowym krokiem, skąpe światło ponurego dnia zdawało się już gasnąć.

Podczas długiego marszu przez puste pola opuściły go myśli. Nie należało teraz myśleć ni pias-

tować uczuć, choćby najtkliwszych, choćby najpiękniejszych, trzeba się było rozgrzać, trzeba było zawnocleg przybyć na nocleg, jak kuna lub lis przedzierać się przez ten zimny, niegościnnie świat i, jeśli możliwe, nie zginąć już teraz w pustym polu; wszystko inne było nieważne.

Obejrzał się zdziwiony, gdyż wydało mu się, że słyszy daleki tętent kopyt. Czy to możliwe, by go ścigano? Sięgnął do kieszeni po mały nóż myśliwski i wyjął go z drewnianej pochwy. Teraz ujrzał jeźdźca i poznał z daleka konia ze stajni rycerza; jeździec uporczywie zdążał ku niemu. Daremnym byłoby uciekać, zatrzymał się i czekał, właściwie bez trwogi, ale w silnym naprężeniu i zaciekawieniu, z pośpiesznym biciem serca. Szybko przebiegło mu w tej chwili przez myśl: „Gdyby mi się udało zabić tego jeźdźcę, byłoby bardzo dobrze! Miałbym konia i świat należałby do mnie!”

Ale kiedy poznał jeźdźcę, młodego stajennego Jasia, o jasnoniebieskich wodnistych oczach i poczciwej zakłopotanej twarzy chłopięcej, musiał się roześmiać; trzeba by było mieć serce z kamienia, żeby zabić tego miłego, dobrego chłopaka. Życzliwie powitał Jasia, i czule powitał też konia Hanibala, który poznał go natychmiast; Złotousty poklepał go po gorącej, wilgotnej szyi.

- Dokąd jedziesz Jasiu? - zapytał.

- Do ciebie - zaśmiał się chłopak ukazując błyszczące zęby. - Spory kawał drogi uszedłeś! Nie kazano mi cię zatrzymywać, mam cię tylko pozdrowić i oddać ci to.

- Od kogo pozdrowić?

- Od panienki Lidii! No, gorzki dzień nam zgotowałaś, magistrze Złotousty, cieszę się, że mogłem uciec na chwilę. Chociaż pan nie powinien się dowiedzieć, że wyjechałem i miałem zlecenie: porządnie bym oberwał. Więc bierz!

Podał mu małą paczkę, którą Złotousty wziął.

- Powiedz no, Jasiu, czy nie masz kawałka chleba w kieszeni? Jeżeli tak, to mi daj.

- Chleba? Znajdzie się kruszyna.

Pogrzebał w kieszeni i wydobył kawałek czarnego chleba. Potem chciał wracać.

- Co robi panienka? - zapytał Złotousty. - Czy nie dała ci żadnego polecenia? Nie masz jakiegoś liściku?

- Nie. Widziałem ją tylko chwilę. Widzisz, burza jest w domu: pan biega dokoła jak król Saul. Więc mam ci tylko oddać tę paczkę, więcej nic. Muszę wracać.

- Tak, jeszcze chwilę tylko! Słuchaj no, Jasiu, czy mógłbyś mi odstąpić swój nóż myśliwski? Ja mam tylko mały. Gdyby wilki przyszły, i w ogóle... lepiej by było, żebym miał coś porządnego w rękę.

Ale Jasio nie chciał o tym słyszeć. Byłoby mu żal, oznajmił, gdyby magistrowi Złotoustemu miało się coś stać. Ale swego kordelasa, nie, nigdy by go nie oddał, nawet za pieniądze, nawet na zamiannę, o nie, nawet gdyby sama święta Genowefa prosiła o to. Tak, a teraz musi pośpieszać i życzy miłej podróży, i bardzo mu przykro.

Uścisnęli sobie ręce, chłopak odjechał, Złotousty spoglądał za nim z dziwnym bólem w sercu. Potem otworzył paczkę, ucieszył się na widok dobrego rzemienia z cielej skóry, którym była przewiązana. Wewnątrz znalazł kamizelkę, utkaną z mocnej szarej wełny, widocznie ręczną robotę, wykonaną przez Lidię i przeznaczoną dla niego, a w tej kamizelce było jeszcze dobrze owinięte coś twardego, był to kawał szynki, a w szynce wycięta była szczelina, a w niej tkwił błyszczący złoty dukat. Listu nie było.

Z darami Lidii w rękach stał niezdecydowany na śniegu, potem zdjął kurtkę i wdział wełnianą

kamizelkę, grzała mile. Szybko ubrał się znowu, schował monetę w najbezpieczniejszej kieszeni, przepasał się rzemieniem i pobiegł dalej na przełaj przez pola, czas już było przybyć do jakiegoś miejsca wypoczynku, zmęczył się bardzo. Ale do chłopów nie chciał iść, chociaż było tam ciepłej i można by dostać mleka - nie chciał gadać i być wypytywany.

Przenocował w stodole, a rankiem mimo przy-
mrozku i ostrego wiatru ruszył dalej, pobudzony
przez zimno do wielkich marszów. Przez wiele
nocy śnił o rycerzu, o jego mieczu i o dwóch
siostrach; przez wiele dni samotność i melancholia
ściskały mu serce.

W pewnej wsi, gdzie ubodzy chłopci nie mieli
chleba, tylko zupełną jaglaną, znalazł nocleg jednego
z najbliższych wieczerów. Czekają go tu nowe
przeżycia. Wieśniaczka, której był gościem, powiła
tej nocy dziecko, a Złotousty był przy tym, wycią-
gnięto go ze słomy, żeby pomagał, chociaż w koń-
cu nie było dla niego innej roboty poza tym, że
trzymał światło, kiedy położna pracowała. Po raz
pierwszy widział narodziny i zdumionymi, płoną-
cymi oczyma wpijał się w twarz rodzącej, z bogaco-
ny nagle o nowe przeżycie. Jemu przynajmniej, to,
co dostrzegł na twarzy rodzącej, wydawało się
bardzo znamienne. Przy blasku smolnego łuczywa,
patrząc z wielką ciekawością w twarz krzyczącej,
wijącej się w bólach kobiety, dostrzegł coś nieocze-
kiwanego: linie wykrzywionej twarzy cierpiącej bar-
dzo mało różniły się od owych linii, które w chwila-
ch oszołomienia miłosnego widywał na twarzach
innych kobiet. Wprawdzie wyraz wielkiego bólu
na twarzy był silniejszy i bardziej zniekształcający
niż wyraz wielkiej rozkoszy - ale w istocie nie
różnił się od niego, było to to samo nieco szyder-
cze kurczenie się, zapalanie się i gaśnięcie. Chociaż

nie wiedział dlaczego, dziwnie zaskoczyło go poznanie, że ból i rozkosz mogą być do siebie podobne jak rodzeństwo.

Jeszcze coś innego przeżył w tej wsi. Ze względu na żonę sąsiada, którą ujrzał rankiem po nocy porodu i która natychmiast odpowiedziała na pytanie jego zakochanych oczu, pozostał we wsi na drugą noc i uczynił tę kobietę bardzo szczęśliwą, gdyż po długim czasie i po wielu podniecających, lecz nie zaspokojonych zapałach tych ostatnich tygodni po raz pierwszy popędy jego znalazły znowu zaspokojenie.

Ta zaś zwłoka spowodowała nowe przeżycie; sprawiła, że drugiego dnia spotkał w tej samej wsi towarzysza, wysokiego, śmiałego zucha imieniem Wiktor, który wyglądał na wpół jak klecha, na wpół jak rzezimieszek, powitał Złotoustego okruciami łaciny i zaprezentował się jako uczeń wędrowny, chociaż wiekiem o wiele wybiegał poza lata uczniowskie.

Ten człowiek o spiczastej bródce powitał Złotoustego z niejaką serdecznością i humorem włóczęgi, dzięki któremu szybko zjednał sobie młodego towarzysza. Na pytanie Złotoustego, gdzie był uczniem i dokąd prowadzi jego droga, zadeklamował osobliwy braciszek:

- Do wysokich szkół, na moją biedną duszę, dość uczęszczałem, w Kolonii byłem i w Paryżu, a o metafizyce kiszki wątrobianej niewiele sensownego zostało powiedziane poza tym, co ja wyraziłem w swojej dysertacji w Lejdzie. Od tego czasu, *arnice*, biegam, nieborak, po niemieckim państwie, a duszę moją trawi niezmierny głód i pragnienie; zwą mnie postrachem chłopów, a profesją moją jest nauczać młode kobiety łaciny i czarami ściągać kiełbasy z dymnika do swego brzucha. Celem moim jest łóżko burmistrzowej, a jeżeli mnie

wpierw kruki nie rozdziobią, nie uniknę chyba konieczności poświęcenia się żmudnemu zawodowi arcybiskupa. Lepiej jest, mały kolego, by ręka pracowała dla ust, niż na odwrót, a ostatecznie nigdy jeszcze pieczeń zajęcza nie czuła się lepiej niż w moim biednym żołądku. Król czeski jest moim bratem, a ojciec nasz niebieski żywi jego jak i mnie, ale przeważną część pracy każe mi przy tym samemu wykonywać, zaś przedwczoraj zamierzał, okrutny jak wszyscy ojcowie, nadużyć mojej osoby dla uratowania życia na wpół zagłodzonemu wilkowi. Gdybym nie zabił tego bydłęcia, panie kolego, nigdy byś nie dostąpił zaszczytu zawarcia miłej znajomości ze mną. *In saecula saeculorum amen*}

Złotousty, nie znający jeszcze tego wisielczego humoru i włóczęgowskiej łaciny, lękał się wprawdzie trochę wysokiego, włochatego draba i niezbyt miłego śmiechu, towarzyszącego jego żartom, ale spodobało mu się jednak coś w tym obytym obieżwiacie, i szybko dał się namówić, aby wspólnie wędrować dalej, bo czy historia z zabitym wilkiem była zmyślona, czy nie, w każdym razie we dwóch można było czuć się bezpieczniej i mniej się obawiać.

Ale zanim ruszyli dalej, braciszek Wiktor chciał jeszcze pogadać z wieśniakami po łacinie, jak to nazywał, i zakwaterował się u jakiegoś chłopka. Nie zrobił tego tak, jak czynił dotąd Złotousty we wszystkich swoich wędrownkach, gdy bywał gościem w jakimś dworze lub wsi, lecz włoczył się od chaty do chaty, z każdą kobietą zaczynał pogawędkę, wsadzał nos do każdej obory i do każdej kuchni i nie miał widocznie zamiaru poty opuścić wioski, aż każda chata złoży mu daninę. Opowia-

¹ Na wieki wieków, amen. (łac.)

dał chłopom o wojnie w Italii i śpiewał przy ognisku pieśń o bitwie pod Pawią, zalecał babkom środki na podagrę i wypadanie zębów, zdawał się wszystko wiedzieć i być wszędzie, aż do pęknięcia wypychał koszulę nad pasem darowanymi kawałkami chleba, orzechami, gruszkami. Zdumiony przyglądał mu się Złotousty, jak niezmordowanie odprawiał tę wędrówkę, jak ludzi to przerażał, to pozyskiwał pochlebstwami, jak się nadymał i kazał podziwiać, jak przemawiał łamaną łaciną i udawał uczonego, a znów gdzie indziej wywierał wrażenie pstrokatą i czelną gwarą włóczęgowską, jak wśród opowiadania albo uczonej mowy bystrym, czujnym okiem notował sobie każdą twarz, każdą otwierającą się szufladę, każdą miskę i każdy bochenek. Widział, że był to szczwany, na wszystkie nogi kuty włóczęga, człowiek, który wiele widział i przeżył, wiele zniósł głodu i chłodu i w zaciętej walce o nędzne, wiecznie zagrożone życie stał się mądry i zuchwały. Więc takimi stawali się ci, co długo żyli na wędrówce. Czy i on sam stanie się kiedyś taki?

Nazajutrz ruszyli dalej; po raz pierwszy zakosztował Złotousty wędrówki we dwóch. Trzy dni szli razem, a Złotousty niejednego nauczył się od Wiktora. Zmienione już w instynkt nawyknięcie, aby wszystko odnosić do trzech głównych potrzeb bezdomnego: bezpieczeństwa życia, znalezienia noclegu i zdobycia pożywienia - wiele nauczyło włóczącego się od tyłu lat człowieka. Z najniepozorniejszych oznak odgadywać poblizę mieszkań ludzkich, nawet zimą, nawet w nocy, każdy zakątek w lesie i polu zbadać bystro i stwierdzić, czy się nadaje do wypoczynku lub noclegu, przy wejściu do izby na pierwsze wejrzenie poznać stopień zamożności czy nędzy, w jakiej żyje właściciel, oraz stopień jego szczodroblowości, ciekawości czy

też lęku - to były sztuki, w których Wiktor doszedł do mistrzostwa. Niejedną pouczającą rzecz opowiedział młodemu towarzyszowi. Gdy Złotousty odparł mu kiedyś, że nie chciałby z tak rozmyślną premedytacją zbliżać się do ludzi i że chociaż nie zna tych sztuk, bardzo rzadko na jego uprzejmą prośbę odmawiano mu gościny, długi Wiktor roześmiał się i rzekł wyrozumiale:

- No tak, Złotousteńku, tobie się mogło szczęścić, taki jesteś młody i ładny i wyglądasz tak niewinnie, dobry to list polecający na kwatere. Kobietom się podobasz, a mężczyźni myślą: „Ach, Boże, on przecież jest taki niewinny, nikomu nic złego nie uczyni.” Ale widzisz, człowiek starzeje się, dziecięca twarz zostaje poorana zmarszczkami i porasta brodą, w spodniach pełno dziur, i ani się człowiek obejrzy, jak jest już brzydkim i niepożądanym gościem, a zamiast młodości i niewinności patrzy mu z oczu tylko głód - wtedy trzeba stać się twardym i dobrze znać świat, inaczej wnet będziesz leżał na gnoju i psy na ciebie naszczają. Ale zdaje mi się, że ty niedługo się będziesz włóczył, masz takie delikatne ręce, masz takie ładne kędziory, już ty się gdzieś wręcisz, gdzie lepiej można żyć, do jakiegoś ciepłego łóżka małżeńskiego albo do tłustego klasztoru, albo do dobrze ogrzanej kancelarii. I takie masz ładne ubranie, można by cię wziąć za panicza.

Śmiejąc się ciągle, przesuwał ręką po ubraniu Złotoustego, który czuł, jak ręka ta szukała i macała wszystkie kieszenie i szwy, cofnął się więc i pomyślał o swoim dukacie. Opowiedział o pobyćcie u rycerza i jak przez łacińskie pisanie zarobił piękny strój. Ale Wiktor był ciekaw, dlaczego pośród ostrej zimy opuścił ciepłe gniazdko, zaś Złotousty, nienawykły do kłamstwa, opowiedział mu trochę o dwóch córkach rycerza. Wtedy to

doszło do pierwszej sprzeczki między towarzyszami. Wiktor uważał, że Złotousty jest osłem, jakiemu nie ma równego, jeżeli po prostu uciekł i Panu Bogu dziewice i zamek zostawił. Trzeba to naprawić, już on się zastanowi. Odwiedzą znowu zamek, oczywiście Złotousty nie może się tam pokazać, ale niech już jemu pozostawi ten kłopot. Niech napisze liścik do Lidii, tak a tak, a on, Wiktor, pójdzie z tym liścikiem do zamku i, na rany Zbawiciela, nie powróci z niego wcześniej, aż wydusi trochę pieniędzy i podarunków. I tak dalej. Złotousty opierał się i uniósł się wreszcie: wzbraniał się mówić dalej o tej sprawie i zdradzić imię rycerza i drogę do niego.

Wiktor, widząc go tak rozgniewanym, roześmiał się znowu i udał pocziwca.

- No - rzekł - nie miotaj się tak! Powiadam ci tylko: tracimy przez ciebie dobry połów, mój chłopcze, a właściwie nie jest to z twojej strony bardzo ładnie i po koleżeńsku. Ale widzę, że nie chcesz, jesteś szlachetnym panem, na koniu chcesz wrócić do swego zamku i poślubić panienkę! Chłopcze, jakież szlachetne głupstwa trzymają ci się w głowie! No, niech i tak będzie. Więc pójdziemy dalej i będziemy sobie odmrażali palce.

Złotousty był do wieczora skwaszony i milczący, ale ponieważ tego dnia nie natrafili na żadne osiedle ani ślady ludzkie, wdzięczny był Wiktorowi, że wyszukał miejsce na nocleg, zbudował między dwoma pniami na skraju lasu osłonę i obficie wyścielił pośłanie jodłowymi gałęziami. Zjedli chleba i sera z pełnych kieszeni Wiktora, Złotousty wstydził się teraz swojego gniewu, był uprzejmy i pomocny, zaofiarował towarzyszowi swoją wełnianą kamizelkę na noc; umówili się, że będą na zmianę czuwać ze względu na zwierzęta, i Złotousty objął pierwszą wartę, zaś Wiktor położył się na

jodłowych gałęziach. Przez długi czas stał Złotousty oparty o pień sosny i zachowywał się cicho, aby pozwolić koledze zasnąć. Potem począł się przechadzać, bo było mu zimno. Biegał tam i na powrót, po coraz większym odcinku, patrzył na wierzchołki jodeł, wrzynające się ostro w blade niebo, podniosłe i nieco lekliwie odczuwał głęboką ciszę nocy zimowej, słyszał, jak jego gorące, żywe serce bije samotnie w zimnej ciszy bez odpowiedzi, a gdy wracał po cichu, słyszał oddech śpiącego towarzysza. Silniej niż kiedykolwiek ogarnęło go uczucie bezdomnego, który nie zbudował między sobą a wielką trwogą muru domu, zamku czy klasztoru, który sam jeden biegnie po niepojętym, wrogim świecie, sam między chłodnymi, drwiącymi gwiazdami, między czyhającymi nań zwierzętami, między cierpliwymi, nieruchomymi drzewami.

Nie, myślał, nigdy nie będzie taki jak Wiktor, choćby przez całe życie wędrował dalej. Tego sposobu bronienia się przed grozą nie potrafił się nigdy nauczyć ani tego przebiegłego, złodziejskiego przebijania się przez życie, ani tego głośnego, bezczelnego rodzaju głupoty, tego gadatliwego wisielczego humoru fanfarona. Może ten mądry, zuchwały człowiek miał reję, może Złotousty nigdy nie będzie do niego podobny, nigdy nie stanie się prawdziwym wagantem, i kiedyś ukryje się znowu za jakimiś murami. Pozostanie jednak nadal bezdomnym i bez celu, nigdy nie będzie się czuł naprawdę ochroniony i bezpieczny, zawsze otaczać go będzie zagadkowo piękny i zagadkowo niesamowity świat, wciąż będzie musiał nasłuchiwać tej ciszy, pośród której tętniące serce takie było lekliwe i znikome. Mało gwiazd było, widać, wiatr nie powiewał, ale w górze chmury zdawały się poruszać.

Po długim czasie Wiktor obudził się - Złotousty nie chciał go budzić - i krzyknął na niego:

- Chodź - zawołał - musisz się teraz przespać, inaczey będziesz jutro do niczego.

Złotousty usłuchał, położył się na pościeli i zamknął oczy. Był zmęczony, a jednak nie zasypiał, nie dawały mu spać myśli, a prócz myśli jeszcze jakieś uczucie, do którego się sam przed sobą nie przyznawał, jakieś uczucie lęku i nieufności w stosunku do towarzysza. Nie mógł teraz zrozumieć, jak mógł opowiedzieć temu szorstkiemu, śmiejącemu się głośno człowiekowi, temu kpiarzowi i bezczelnemu żebrakowi o Lidii! Był zły na niego i na siebie i z troską zastanawiał się nad najlepszym sposobem i okazją uwolnienia się od niego.

Ale zapadł widocznie w półsen, gdyż przeraził się i zdumiał, kiedy uczuł na sobie dłonie Wiktora, obmacujące ostrożnie jego ubranie. W jednej kieszeni miał nóż, a w drugiej dukata, jedno i drugie skradłby Wiktor niechybnie, gdyby znalazł. Złotousty udał śpiącego, obracał się jak przez sen na wszystkie strony, poruszył ramionami i Wiktor cofnął się. Złotousty był na niego bardzo zły, postanowił zaraz jutro rozstać się z nim.

Ale gdy Wiktor, po godzinie może, znowu pochylił się nad nim i zaczął go obszukiwać, Złotousty złodowaciał z wściekłości. Nie poruszając się otworzył oczy i rzekł pogardliwie.

- Odejdź, nie ma tu nic do ukradzenia!

Przerażony tymi słowami złodziej skoczył i zaciśnął ręce wokół szyi Złotoustego. Gdy napadnięty bronił się i opierał, napastnik ścisnął mocniej i jednocześnie klęknął mu na piersi. Złotousty, nie mogąc złapać tchu, szarpał się i rzucał całym ciałem, ale nie mógł się wyrwać - wtedy przejął go nagle lęk śmiertelny i uczynił mądrym i przenikliwym. Sięgnął ręką do kieszeni i podczas gdy

Wiktor dławił go dalej, wydobył mały nóż myśliwski i na ślepo dźgnął nagle kilka razy kłęczącego na nim. Po chwili ręce Wiktora rozluźniły się, przepuściły powietrze - Złotousty rozkoszował się uratowanym życiem, oddychając głęboko i dziko. Spróbował teraz podnieść się: w tej chwili wysoki towarzysz bezwładnie i miękko padł na niego z przeraźliwym jękiem, a krew jego spływała na twarz Złotoustego. Teraz dopiero zdołał się podnieść.

W szarym blasku nocy ujrzał leżącego włóczęgę; kiedy go dotknął, napotkał krew. Uniósł mu głowę, opadła ciężko i miękko jak worek. Z piersi jego i szyi sączyła się ciągle krew, z ust uciekało życie obłądnymi, słabnącymi już jękami.

„Oto zabiłem człowieka” - pomyślał Złotousty i powtarzał to w myśli raz po raz, kłęcząc nad umierającym i widząc bladość, rozpościerając się na jego twarzy.

- Matko Boska, oto zabiłem - słyszał własny głos.

Nagle uczuł, że nie może tu dłużej pozostać. Podniósł nóż, otarł go o wełnianą kamizelkę, którą nosił Wiktor, a którą ręce Lidii utkały dla kochanka, wsadził nóż do drewnianej pochwy i schował go do kieszeni, zerwał się i zaczął uciekać ze wszystkich sił.

Boleśnie ciążyła mu na duszy śmierć wesołego waganta; gdy nastał dzień, wzdrygając się obmył z siebie śniegiem krew, którą przelał, potem bez celu, ogarnięty lękiem, błąkał się cały dzień i całą noc dokoła. I dopiero niemoc ciała wstrząsnęła nim wreszcie i położyła kres jego trwożnej skrusze.

Zabłąkany w zaśnieżonej okolicy, bez dachu, bez drogi, bez pożywienia i niemal bez snu, popadł w wielką udrękę; jak dzikie zwierzę krzyczał w jego ciele głód, wiele razy kładł się wyczerpany

pośrodku pola, zamykał oczy i zatracił się nie pragnąc niczego więcej, jak zasnąć i umrzeć na śniegu. Ale ciągle podrywało go coś, rozpaczliwie i pożądliwie walczył o życie, a w najokropniejszej niedoli trzeźwiła go i oszałamiała bezmyślna siła i dzika chęć nieumierania, potworna moc nagiego popędu życiowego. Sinymi z zimna rękoma zbierał z zaśnieżonego krzewu jałowca małe uschłe jagody i żuł twarde, gorzkie owoce, pomieszane z igłami jodłowymi, o podniecająco ostrym smaku, jadł pełne garście śniegu, aby ugasić pragnienie. Bez tchu, chuchając w skostniałe ręce, siedział na wzgórzu i zażywał krótkiego wypoczynku, rozglądał się pożądliwie na wszystkie strony - nigdzie nie widać było nic prócz łąk i lasów, nigdzie ani śladu człowieka. Przeleciało nad nim kilka kruków, gniewnie spojrzął za nimi. Nie, nie uda im się zeżreć go, nie, póki jeszcze posiada resztę siły w nogach, póki jeszcze iskra ciepła tli się w jego krwi. Wstał i rozpoczął znowu nieubłagany wyścig ze śmiercią. Biegł i biegł, a w gorączce wyczerpania i krańcowego wysiłku ogarniały go dziwne myśli, prowadził obłąkane rozmowy, to niedosłyszalnie, to głośno.

Rozmawiał z zakłutym Wiktorem, rubasznie i szyderczo mówił do niego:

- No, sprytny braciszku, co słysząc? Księżyc prześwieca ci przez kiszki, zuchu, lisy skaczą ci koło uszu? Wilka zabiłeś? Czy przegryzłeś mu gardziel, czy ogon mu wyrwałeś, hę? Dukata chciałeś mi ukraść, stary rzezimieszku! Ale widzisz, mały Złotousty ubiegł cię, widzisz, stary, połechtano cię w żebra! A miałeś przecież worki pełne chleba i kiełbasy, i sera, ty świnió, ty obzartuchu!

Takimi szyderczymi słowami kaszlał i czekał przed siebie, lżył zmarłego, triumfował nad nim, wyśmiewał, że się pozwolił zakatrupić, głupi fanfaron!

Ale później myśli jego i słowa nie miały już nic wspólnego z biednym, długim Wiktorem. Widział teraz przed sobą Julię, piękną małą Julię, taką jak go opuściła owej nocy: wykrzykiwał ku niej tysiące pieśzcotliwych nazw, szaleńczymi, bezwstydnymi pieśzcotami chciał ją nakłonić, aby przyszła do niego, aby opuściła koszulkę, aby wstąpiła z nim do nieba, godzinę przed śmiercią, chwileczkę przed nędznym skonem. Błagalnie i wyzywająco rozmawiał z jej wysokimi, małymi piersiami, z jej nogami, z kędzierzawymi blond włoskami pod pachą.

I znowu, potykając się na zeszywniałych nogach po zaśniętym suchym zielsku, pijany z bólu, triumfujący płomienną żądzą życia, poczynał szeptać: teraz rozmawiał z Narcyzem, któremu opowiadał o swoich nowych pomysłach, doświadczeniach i żartach.

- Boisz się, Narcyzie - mówił do niego - czujesz grozę, zauważyłeś coś? Tak, mój czcigodny, świat pełen jest śmierci, pełen śmierci, siedzi ona na każdym płocie, stoi za każdym drzewem i nic wam nie pomoże, że budujecie mury, i sypialnie, i kaplice, i kościoły, ona zagląda przez okna, śmieje się, zna każdego z was tak dokładnie, pośród nocy słyszycie, jak śmieje się pod oknami i wymawia wasze imiona. Śpiewajcie swoje psalmy i palcie świece na ołtarzu, i odmawiajcie swoje nieszpory i jutrznie, i zbierajcie zioła w laboratorium, i zbierajcie księgi w bibliotece! Czy pościsz, przyjacielu? Czy pozbawiasz się snu? Już ona ci pomoże, Kuma Śmierć, pozbawi cię wszystkiego prócz kości. Pędź, mój drogi, pędź szybko, tam po polu, gdzie Kostucha, pędź i trzymaj kości do kupy, bo chcą się rozpadać - nie pozostaną przy nas. Ach, nasze biedne kości! Ach, nasza biedna paszcza i żołądek, ach, nasza biedna odrobina mózgu pod czaszką!

Wszystko chce uciekać, wszystko chce iść do diabła, na drzewach siedzą kruki, czarne klechy.

Zabłąkany, nie wiedział już dawno, dokąd biegnie, gdzie jest, co mówi, czy leży, czy stoi. Padał na krzaki, wbiegał na drzewa, potykając się czepiał się śniegu i kolców. Ale popęd był w nim silny, podrywał go ciągle na nowo, ciągle na nowo gnał uciekającego ślepo naprzód. Kiedy padł po raz ostatni i już nie powstał, znajdował się w tej samej wiosce, gdzie przed kilku dniami spotkał wędrownego ucznia, gdzie nocą trzymał smolne łuczywo nad rodzącą kobietą. Leżał tam, a ludzie zbiegli się i otoczyli go, i gadali, on nic już nie słyszał. Kobieta, której miłości zaznał wówczas, poznała go i przeraziła się na jego widok, zlitowała się, i nie zważając na złorzeczenia męża, powlokła na wpół martwego do obory.

Niedługo trwało, a Złotousty stanął znowu na nogi i mógł iść dalej. Dzięki ciepłu obory, obfitości snu i dzięki koziemu mleku, które kobieta dawała mu do picia, odzyskał znowu siły, tylko wszystko, co przeżył niedawno, cofnęło się, jakby wiele czasu upłynęło od owego dnia. Wędrówka z Wiktorem, chłodna, trwożna noc w lesie pod owymi jodłami, straszliwa walka na pośłaniu, straszliwa śmierć towarzysza, dni i noce zimna, głodu i błąkania się, wszystko to zapadło w przeszłość, niemal zapomniał o tym, a jednak nie zapomniął, tylko przezwyciężył, tylko przetrwał. Coś pozostało, coś nie do wypowiedzenia, coś straszliwego a zarazem cennego, coś zamglonego a jednak niezapomnianego, jakieś doświadczenie, jakiś posmak na języku, jakaś obręcz dokoła serca. Podczas tych niespełna dwóch lat poznał aż do dna rozkosze i cierpienia bezdomnego życia: samotność, wolność, nadśłuchiwanie lasu i zwierząt, przelotną, niewierną miłość, gorzką, śmiertelną niedolę. Dniami ca-

łymi bywał gościem letnich pól, dniami i tygodniami w lesie, dniami w śniegu, dniami w lęku śmiertelnym i śmiertelnym niebezpieczeństwie, a najmocniejszym, najdziwniejszym doznaniem było: bronić się przed śmiercią, czuć się małym i nędznym, i zagrożonym, a jednak w ostatecznej, rozpaczliwej walce przeciw śmierci odczuwać w sobie ową piękną, przeraźliwą siłę i odporność życia. Pozostawiało to echo, zapisane było w sercu, jak gesty i miny rozkoszy, tak podobne do gestów i min rodzących i umierających. Jak ta rodząca niedawno krzyczała i wykrzywiała twarz, jak ten towarzysz Wiktor niedawno padł, a krew jego wypłynęła tak cicho i szybko! Ach, a on sam, jakże czuł podczas owych dni głodu czyhającą dokoła siebie śmierć, jaki ból sprawiał głód, jak zimno było, jak zimno! I jakże walczył, jak zmagał się ze śmiercią, z jakim lękiem śmiertelnym i z jaką zajadłą rozkoszą się bronił! Zdawało mu się, że już właściwie niewiele więcej można było przeżyć niżeli to. Z Narcyzem można by może o tym mówić, z nikiem poza tym.

Gdy Złotousty na swoim posłaniu ze słomy w oborze po raz pierwszy naprawdę odzyskał znowu przytomność, nie znalazł swego dukata w kieszeni. Czyżby go zgubił podczas owego przeraźliwego, na wpół przytomnego błąkania się za ostatnich dni głodu? Długo zastanawiał się nad tym. Polubił tego dukata, nie chciałby go stracić. Pieniądze mało wprawdzie dla niego znaczyły, nie znał prawie ich wartości. Ale ta moneta złota z dwóch względów stała się dla niego ważna. Była jedynym darem Lidii, jaki mu pozostał, gdyż kamizelka wełniana leżała przecież z Wiktorem w lesie i przesiąknięta była jego krwią. A przy tym właśnie tej złotej monety nie chciał przecież dać sobie ukraść, dla niej bronił się przed Wiktorem,

dla niej zabił go w ostatecznej chwili. Jeżeli dukat został teraz zgubiony, to całe przeżycie owej prze-
rażliwej nocy było niejako bez sensu i bez warto-
ści. Po długim rozmyślaniu wtajemniczył żonę wie-
śniaka w tę sprawę.

- Krystyno - szepnął do niej - miałem w kiesze-
ni złotą monetę, a teraz jej nie mam.

- Tak, zauważyłeś to? - zapytała z uśmiechem
dziwnie pełnym miłości a zarazem przebiegle pod-
stępny, co go tak zachwyciło, że mimo osłabie-
nia otoczył ją ramionami.

- Jaki z ciebie dziwny chłopak - powiedziała
czule - taki mądry i delikatny, a przy tym taki
głupi. Czyż biega się po świecie z dukatem w ot-
wartej kieszeni? O ty dzieciaku, ty słodki, mały
głuptasku! Znalazłam twego dukata zaraz wtedy,
kiedy cię położyłam na słomie.

- Znalazłaś? A gdzie on teraz jest?

- Poszukaj - zaśmiała się i rzeczywiście po-
zwoliła mu szukać dość długo, zanim pokazała
miejsce w jego kurtce, gdzie go mocno wszyła.
Dodała przy tym mnóstwo pocziwych macierzyń-
skich rad, które Złotousty szybko znowu zapom-
niał, ale jej miłosnej przysługi i owego przebiegle
dobrodusznego uśmiechu na jej chłopskiej twarzy
nie zapomniał nigdy.

Postarał się okazać jej wdzięczność, a gdy nieba-
wem był znowu zdolny do drogi i chciał iść dalej,
zatrzymała go, gdyż za kilka dni odmienia się
księżyc i na pewno będzie ładniejsza pogoda. I tak
też było. Kiedy wyruszył w drogę, śnieg był szary
i chory, powietrze ciężkie od wilgoci, a w górze
słychać było wiatr, wiejący na odwilż.

Rozdział dziesiąty

Znowu spłynął lód na rzekach, znowu pod zgniłym listowiem zapachniało fiołkami, znowu biegł Złotousty przez barwne pory roku, chłonał nienasyconymi oczyma lasy, góry i obłoki, wędrował od dworu do dworu, od wsi do wsi, od kobiety do kobiety, siedział często chłodnym wieczorem z zapartym tchem i z bólem w sercu pod jakimś oknem, za którym płonęło światło i z którego czerwonego blasku powabnie i niedosiężnie promieniało ku niemu całe szczęście, ojczyzna, cały pokój, jaki może istnieć na ziemi. Wszystko powracało i powracało, co już - jak sądził - znał tak dobrze; wszystko powracało, a było jednak za każdym razem inne; długie wędrówki przez pola i łąki albo po kamienistej drodze, letni sen w lesie, wałęsanie się po wsiach za szeregami młodych dziewcząt, które wracały pod rękę z sianozęcia albo od zbioru chmielu, pierwszy dreszcz jesieni, pierwsze złe przymrozki - wszystko powracało: raz, dwa razy, bez końca snuła się barwna wstęga przed jego oczyma.

Niejeden deszcz i niejeden śnieg spadł już na Złotoustego, gdy pewnego dnia wchodził pod górę przez przeświecający, ale już okryty jasnozielonym

pakowiem las bukowy i z grzbietu góry ujrzał przed sobą nową okolicę, która uradowała jego oczy i zbudziła w sercu falę przeczuć, pożądań i nadziei. Od wielu dni wiedział, że jest blisko tej okolicy, i oczekiwał jej, a oto zaskoczyła go w tej popołudniowej godzinie, zaś wszystko, co mógł ogarnąć okiem przy tym pierwszym spotkaniu, potwierdziło i umocniło jego oczekiwania.

Spoglądał między szarymi pniami i łagodnie powiewającymi gałęzmi w brunatną i zieloną dolinę, pośrodku której szkliscie, błękitnie połyskiwał szeroki potok. Teraz, wiedział o tym, na długi czas skończyła się wędrówka bez drogi, przez samotne wrzosowiska i lasy, gdzie rzadko tylko spotkać było można dwór albo ubogą wioskę. Tam w dole płynęła rzeka, zaś wzdłuż rzeki wiodła jedna z najpiękniejszych i najstynniejszych dróg państwa; leżała tam bogata, żyzna kraina, płynęły tratwy i łodzie, zaś gościniec wiodł do pięknych wsi, grodów, klasztorów i bogatych miast, a kto chciał, mógł po tym gościńcu podróżować wiele dni i tygodni i nie potrzebował się martwić, że jak nędzne dróżki wiejskie zgubi się on nagle gdzieś w lesie albo w wilgotnym sitowiu. Nadchodziło coś nowego, radował się na myśl o tym.

Już wieczorem tego dnia znalazł się w pięknej wsi, leżącej między rzeką a czerwonymi zboczami winnic obok wielkiego gościńca; piękne belkowania domów o stromych dachach malowane były na czerwono, spotykał sklezione wrota wjazdowe i uliczki z kamiennych schodków, kuźnia rzucała na drogę czerwony blask ognia i jasne dźwięki kowadła. Z ciekawością wałęsał się przybysz po wszystkich uliczkach i zakątkach, węszył przy bramach piwnic zapach beczek i wina, zaś na brzegu rzeki czuł chłodną rybną woń wody, oglądał dom boży i cmentarz i nie omieszkał rozejrzeć się za dobrą stodołą, gdzie można by się zatrzymać na

noc. Najpierw jednak chciał spróbować poprosić 0 gościnę na plebanii. Był tam tęgi, czerwono-głowy proboszcz, który go wypytywał i któremu z pewnymi przemilczeniami i koloryzując nieco opowiedział przebieg swego życia; został potem życzliwie przyjęty i musiał, przy dobrym jadle i winie, spędzić wieczór na długiej rozmowie z gospodarzem.

Nazajutrz ruszył dalej drogą, towarzyszącą rzece. Widział tratwy i czółna ciężarowe, przeganiał wozy, niejeden zabierał go kawałek drogi, szybko i pełne wrażeń przemijały dni wiosenne, wsie i miasteczka przyjmowały go w gościnę, kobiety uśmiechały się za płotami ogrodów albo klęcząc na brunatnej glebie sadiły rośliny, dziewczęta śpiewały wieczorami na drogach wiejskich.

W pewnym młynie młoda dziewczyna spodobała mu się tak bardzo, że przez dwa dni pozostał w okolicy i włóczył się za nią, śmiała się z nim i gawędziła mile, zdawało mu się, że najchętniej zostałby młynarczykiem i osiadł tu na zawsze. Przebywał z rybakami, pomagał woźnicom przy karmieniu i czyszczeniu koni, dostawał za to chleb i mięso i mógł z nimi jeździć. Po długiej samotności ten ożywiony świat podróżnych, po długim rozmyślaniu ta wesołość pośród rozmownych i zadowolonych ludzi, po długiej głodowce to codzienne sycenie się obfitym jadłem było mu miłe, chętnie dawał się nieść tej radosnej fali. Poniosła go, a im bardziej zbliżał się do biskupiego miasta, tym ludniejszy i weselszy stawał się gościniec.

W pewnej wsi, gdzie zatrzymał się na nocleg, poszedł się o zmroku przejść nad wodę, pod zielone już drzewa. Cicho i potężnie płynęła rzeka, pod korzeniami drzew szumiał nurt, nad wzgórzami wschodził księżyc, rzucając światła na rzekę i cienie pod drzewa.

I oto ujrzał siedzącą pod drzewem dziewczynę, która płakała, bo posprzeczała się z ukochanym, a teraz ukochany odszedł i zostawił ją samą. Złotousty usiadł przy niej i słuchał jej skarg, gładził jej dłoń, opowiadał jej o lesie i o sarnach, pocieszył ją trochę, trochę rozśmieszył, aż pozwoliła na pocałunek. Ale oto najdroższy powrócił, by ją odnaleźć: uspokoił się i żałował kłótni. Kiedy spostrzegł Złotoustego, siedzącego obok niej, rzucił się na niego i począł go bić obydwoma pięściami. Złotoustemu trudno było się obronić, wreszcie jednak uporał się z nim; chłopak pobiegł klnąc do wsi, dziewczyna dawno już uciekła.

Ale Złotousty, nie dowierając spokojowi, zrezygnował z noclegu i przez pół nocy wędrował dalej przy blasku księżyca przez srebrny milczący świat, bardzo zadowolony, rad ze swych mocnych nóg, aż rosa zmyła mu biały pył z trzewików, aż poczuł się nagle znużony, położył się pod najbliższym drzewem i zasnął.

Dawno już był dzień, gdy zbudziło go łaskotanie po twarzy: na oślepe opędził się przez sen ręką, zasnął znowu i znowu został obudzony przez łaskotanie: stała przed nim dziewczyna wiejska, która przyglądała mu się i łaskotała go końcem wierzbowej witki. Złotousty zerwał się, z uśmiechem skinęli sobie głowami, a dziewczyna zaprowadziła go do szopy, gdzie lepiej było spać. Spali tam przez pewien czas, jedno obok drugiego, potem dziewczyna pobiegła i wróciła ze skopkiem mleka, ciepłego jeszcze, prosto od krowy. Podarował jej niebieską wstążkę do włosów, którą znalazł niedawno na drodze i podniósł, a zanim odszedł, ucałowali się jeszcze raz. Na imię jej było Franciszka, żał mu było opuszczać ją.

Wieczorem tego dnia znalazł przytułek w pewnym klasztorze; rano wysłuchał w kościele mszy,

tysiące wspomnień tłoczyło się w jego sercu, przejmująco swojsko pachniało mu chłodne powietrze sklepienia, brzmiało w jego uszach człapanie sandałów po płytach korytarzy. Kiedy msza skończyła się i w kościele klasztorным zapanowała cisza, Złotousty pozostał na klęczkach, był dziwnie wzruszony, śnił wiele tej nocy. Zapragnął uwolnić się jakoś od swojej przeszłości, zmienić jakoś swe życie, nie wiedział dlaczego, może wzruszyło go tak wspomnienie Mariabronn i własnej pobożnej młodości. Czuł potrzebę wyspowiadania się i oczyszczenia, wiele miał do wyznania drobnych grzechów i drobnych występków, ale bardziej niż wszystko ciążyła mu śmierć Wiktora, który zginął z jego ręki. Znalazł mnicha, przed którym wyspowiadał się z różnych rzeczy, a zwłaszcza z ciosów zadanych nożem w szyję i plecy biednego Wiktora. Jakże długo się spowiadał! Ilość i waga jego grzechów wydawała mu się pokaźna, byłby gotów odpokutować je wielką karą. Ale spowiednik znał widocznie życie wędrowne, nie przeraził się, przysłuchiwał się spokojnie, ganił i napominał poważnie i życzliwie, nie myśląc o potępieniu.

Z ulgą podniósł się Złotousty, pomodlił się przy ołtarzu, jak mu nakazał zakonnik, i chciał już opuścić kościół, gdy promień słońca wpadł przez jedno z okien, a wzrok jego pobiegł za nim i oto ujrzał w bocznej kaplicy figurę, która przemówiła do jego duszy tak silnie, że miłującymi oczyma zwrócił się ku niej i obserwował ją w skupieniu i głębokim wzruszeniu. Była to Matka Boża z drzewa, stała pochylona czule i łagodnie, a sposób, w jaki ze szczupłych jej ramion opadał niebieski płaszcz i jak wyciągała delikatną, dziewczęcą dłoń i jak nad bolesnymi jej ustami spoglądały oczy i wznosiło się powabne czoło - wszystko to było tak żywe, tak piękne, pełne wyrazu i uducho-

wionę, że nigdy jeszcze nic podobnego nie widział. Nie mógł się nasycić widokiem tych ust, tego miłego, uroczego ruchu szyi. Zdawało mu się, że widzi coś, co w snach i przeczuciach dawno już i często widywał, za czym często tęsknił. Wiele razy chciał odejść, ale zawsze coś go ciągnęło z powrotem.

Gdy wreszcie chciał już opuścić kościół, stanął za nim ojciec, który go przedtem spowiadał.

- Wydaje ci się piękna? - zapytał życzliwie.

- Niewysłowienie piękna - odpowiedział Złotousty.

- Wielu to mówi - rzekł duchowny. - A inni znowu powiadają, że nie jest to prawdziwa Matka Boża, że jest o wiele za nowomodna i świecka, że wszystko jest w niej przesadzone i nieprawdziwe. Dużo słyższy się co do tego sporów. Więc tobie się ona podoba, to mię cieszy. Od roku dopiero stoi w naszym kościele, ufundował ją pewien dobrodziej tego klasztoru. Jest to dzieło mistrza Mikołaja.

- Mistrza Mikołaja? Kto to jest, gdzie on jest? Czy znacie go? Ach, proszę, powiedzcie mi coś o nim! Niezwykły to musi być człowiek i natchniony, jeśli potrafił stworzyć coś podobnego.

- Niewiele wiem o nim. Jest rzeźbiarzem w naszym mieście biskupim, o dzień drogi stąd, i jako artysta posiada wielką sławę. Artyści nie bywają świętymi, i on pewnie świętym nie jest, ale utalentowanym i szlachetnym człowiekiem jest na pewno. Widziałem go nieraz...

- Ach, widzieliście go! Jak też on wygląda?

- Synu mój, zdaje się, że jesteś przez niego zupełnie oczarowany. Odwiedź go więc i oddaj mu pozdrowienie od ojca Bonifacego.

Złotousty podziękował serdecznie. Mnich odszedł uśmiechając się, a on stał jeszcze długo przed

tą tajemniczą figurą, której pierś zdawała się oddychać i na której twarzy łączyło się tak wiele bólu i tak wiele słodyczy, że serce mu się ścisnęło.

Wyszedł z kościoła odmieniony; przez zgoła inny, wręcz zmieniony świat niosły go teraz nogi. Od owej chwili przed słodką świętą figurą z drzewa posiadał Złotousty coś, czego nigdy jeszcze nie posiadał, co tak często wyśmiewał lub czego zazdrościł innym. Miał cel i może go osiągnie, i może wówczas całe jego rozbite życie nabierze głębokiego sensu i wartości. Radością i trwogą przenikało go to nowe uczucie, uskrzydając jego kroki. Ten piękny, wesoły gościniec, po którym szedł, nie był już tym, czym był wczoraj, wesołym placem zabaw i wygodnym miejscem pobytu, był już tylko szosą, był drogą do miasta, drogą do mistrza.

Złotousty biegł niecierpliwie. Przybył jeszcze przed wieczorem, ujrzał wieże prężące się za murami, ujrzał rzeźbione herby i malowane tarcze nad wrotami, minął je z bijącym sercem i niemal nie zważał na wrzawę i wesoły zgiełk na ulicach, na konnych rycerzy, na wozy i karoce. Nie rycerze ani wozy, nie miasto ani biskup miały dla niego znaczenie. Pierwszego zaraz człowieka w bramie miasta zapytał, gdzie mieszka mistrz Mikołaj, i dotkliwie był rozczarowany, że człowiek ten nic o nim nie wiedział. Przyszedł na rynek, otoczony wspaniałymi domami, malowanymi niekiedy lub zdobnymi w rzeźby. Przed bramą jednego z domów stał wielki i wspaniały posąg lancknehta, w jaskrawych wesołych barwach. Nie był tak piękny, jak figura w owym kościele klasztornym, ale stał w taki sposób i tak napinał łydki, i tak wysuwał naprzód zarosły podbródek, iż Złotousty pomyślał, że i tę postać mógł stworzyć ten sam mistrz. Wszedł do domu, pukał do drzwi, wszedł

na schody, natknął się wreszcie na jakiegoś pana w aksamitnym płaszczu obramowanym futrem i zapytał go, gdzie można znaleźć mistrza Mikołaja. Pan zapytał go z kolei, czego chce od mistrza, a Złotousty musiał się opanować z wysiłkiem, aby mu powiedzieć tylko tyle, że ma do niego polecenie. Pan wymienił mu ulicę, gdzie mieszkał mistrz, a zanim Złotousty odnalazł jego dom, zapadła już noc. Przejęty, a jednak bardzo szczęśliwy, stał przed domem mistrza, spoglądał ku oknom i omal do niego nie wszedł. Ale przyszło mu na myśl, że jest już późno, a on jest spocony i zakurzony po całodziennym drodze, opanował się więc i powstrzymał. Ale długo stał jeszcze przed domem. Ujrzał, jak okna rozjaśniły się, a właśnie w tej chwili, kiedy chciał odejść, zobaczył postać zbliżającą się do okna - bardzo piękną, jasnowłosą dziewczynę, poprzez włosy której przeświecał z tyłu łagodny blask ampli.

Następnego ranka, gdy miasto zbudziło się znowu i rozbrzmiało gwarem, Złotousty umył w klasztorze, gdzie otrzymał na noc gościnę, twarz i ręce, strzepnął kurz z sukien i obuwia, odszukał znowu ową uliczkę i zapukał do bramy. Wyszła służebna, która nie chciała od razu zaprowadzić go do mistrza, ale udało mu się zmiękczyć staruszkę i wprowadziła go jednak. W małej sali, będącej jego pracownią, stał w fartuchu roboczym brodaty, wysoki mężczyzna lat czterdziestu lub pięćdziesięciu, jak się Złotoustemu zdawało. Przyjrzał się nieznanemu jasnoniebieskimi bystrymi oczyma i zapytał krótko, czego sobie życzy. Złotousty oddał pozdrowienie od ojca Bonifacego.

- Więcej nic?

- Mistrzu - rzekł Złotousty tłumiąc oddech - widziałem tam w klasztorze waszą Matkę Bożą. Ach, nie patrzcie na mnie tak niezyczliwie, sama

tylko miłość i cześć sprowadziły mnie do was. Nie jestem lękliwy, żyłem długo na wędrownicy i znałem lasy i śnieg, i głód, nie ma człowieka, którego mógłbym się lękać. Ale przed wami czuję lęk. Ach, żywię jedno jedyne wielkie pragnienie, które wypełnia moje serce aż do bólu.

- Jakież to jest pragnienie?

- Chciałbym zostać waszym uczniem i uczyć się u was.

- Nie jesteś jedynym, młodzieńcze, który żywi to pragnienie. Ale ja nie chcę uczniów, a dwóch pomocników już mam. Skądże przychodzisz, kto są twoi rodzice?

- Nie mam rodziców, znikąd nie przychodzę. W pewnym klasztorze byłem uczniem, nauczyłem się tam łaciny i greki, potem uciekłem i od lat byłem na wędrownicy, do dzisiaj.

- A dlaczego sądzisz, że musisz zostać rzeźbiarzem? Czy próbowałeś już takich rzeczy? Czy masz jakieś rysunki?

- Robiłem wiele rysunków, ale już ich nie mam. Dlaczego zaś chciałbym się nauczyć tej sztuki, mogę wam powiedzieć. Rozmyślałem wiele i widziałem wiele zjaw i postaci i zastanawiałem się nad nimi, a niektóre z tych myśli dręczyły mnie zawsze i nie dawały spokoju. Uderzyło mnie to, jak w każdej postaci zawsze powraca pewien własny kształt, pewna linia, jak czoło odpowiada kolanu, ramię biodru, i jak w istocie wszystko to jest takie samo i stanowi jedność z charakterem i duszą człowieka, który ma właśnie takie kolano, takie ramię i czoło. I to także uderzyło mnie - ujrzałem to pewnej nocy, gdy musiałem pomagać przy rodzącej - że największy ból i największa rozkosz mają zupełnie podobny wyraz.

Przenikliwie spojrział mistrz na przybysza.

- Czy wiesz, co mówisz?

- Tak, mistrzu, tak jest rzeczywiście. I to właśnie ku największej swojej rozkoszy i zdumieniu ujrzałem wyrażone w waszej Matce Bożej, i dlatego właśnie przyszedłem. Ach, na tej pięknej, wdzięcznej twarzy jest tyle cierpienia, a zarazem całe cierpienie stało się jakby samym tylko szczęściem i uśmiechem. Kiedy to ujrzałem, przeniknęło mnie to jak ogień, wszystkie myśli moje i marzenia długich lat wydały mi się potwierdzone i nagle nie były już bezużyteczne, i wiedziałem natychmiast, co mam czynić i dokąd pójść. Drogi mistrzu Mikołaju, proszę was z całego serca, pozwólcie mi się u was uczyć!

Mikołaj przysłuchiwał się uważnie, nie starając się jednak o życzliwy uśmiech.

- Młodzieńcze - rzekł - potrafisz zdumiewająco dobrze mówić o sztuce, a dziwi mnie też przy twoich latach, że tak wiele umiesz powiedzieć o rozkoszy i bólu. Przyjemnie byłoby mi pogawędzić z tobą kiedy o tych rzeczach wieczorem, przy kubku wina. Ale widzisz rozmawiać z tobą mile i mądrze to nie to samo, co przez szereg lat żyć razem i pracować. Tutaj jest mój warsztat, tutaj się pracuje, nie gawędzi, i tutaj nie to jest ważne, co sobie człowiek wymyśli i umie powiedzieć, ale jedynie to, co potrafi stworzyć rękoma. Zamiar twój wydaje mi się poważny, więc nie chcę cię po prostu odprawić. Zobaczymy, czy coś potrafisz. Czy lepiłeś już kiedyś z gliny albo z wosku?

Złotousty pomyślał natychmiast o pewnym śnie, który śnił przed dawnymi czasy: lepił w nim z gliny małe figurki, które podniosły się i stały się olbrzymimi. Ale nie powiedział tego i odparł, że nigdy nie próbował takich robót.

- Dobrze. Więc narysuj coś. Widzisz, tam jest stół i papier, i węgiel. Usiądź i rysuj, nie śpiesz się, możesz zostać do południa albo aż do wieczora.

Może będę mógł wreszcie zobaczyć, do czego się nadajesz. Tak, a teraz dość gadania, idę do swojej pracy; idź i ty do swojej.

W fotelu, który mu wskazał Mikołaj, siedział więc Złotousty przy stole rysunkowym. Nie śpieszyło mu się z robotą, początkowo siedział wyczekująco i cicho, jak lękliwy uczeń, i spoglądał z zaciekawieniem i miłością ku mistrzowi, który na wpół odwrócony od niego pracował dalej nad małą figurką z gliny. Uważnie przyglądał się temu człowiekowi, w którego surowej, nieco już posiwiałej głowie i twardych, ale szlachetnych i uduchowionych rękach rzemieślnika kryły się takie urocze, czarodziejskie siły. Wyglądał inaczej, niż Złotousty wyobrażał go sobie: był starszy, skromniejszy, trzeźwiejszy, o wiele mniej promienny i ujmujący i wcale nie wyglądał na szczęśliwego. Nieubłagana surowość jego badawczego wzroku zwrócona teraz była ku pracy, uwolniony od niej wchłaniał w siebie Złotousty starannie całą postać mistrza. Ten człowiek, myślał, mógłby też być uczonym, cichym, surowym badaczem, który oddał się dziełu, rozpoczętemu przed nim przez wielu poprzedników, a które kiedyś będzie musiał pozostawić swoim następcom, uciążliwemu, długotrwałemu, nie kończącemu się nigdy dziełu, w którym skupia się praca i oddanie wielu żywotów ludzkich. To przynajmniej mógł wyczytać obserwator z głowy mistrza, wypisane tu było wiele cierpliwości, wiele dawnej nauki i rozmyślenia, wiele skromności, świadomość względnej wartości wszelkiej pracy ludzkiej, ale też i wiara w swoje zadanie. Inną znowu była mowa jego rąk, między nimi a głową istniała sprzeczność. Ręce te silnymi, ale bardzo wrażliwymi palcami dotykały gliny, którą kształtowały, obchodziły się z nią jak dłonie kochającego z oddaną kochanką: miłośnie, ze wzbie-

rającą czule wrażliwością, pożądliwie, ale nie odróżniając brania od dawania, zarazem lubieżnie i pobożnie, i pewnie, i po mistrzowsku, jak z prastarego głębokiego doświadczenia. W zachwycie i podziwie przyglądał się Złotousty tym obdarzonym łaską ręką. Chętnie byłby narysował mistrza, gdyby nie sprzeczność między twarzą a rękoma, która go obezwładniała.

Kiedy tak z godzinę może przyglądał się pracującemu artyście, pełen badawczych myśli o tajemnicy tego człowieka, w duszy jego począł się kształtować inny obraz i zjawił mu się widzialnie, obraz człowieka, którego znał najlepiej ze wszystkich, którego bardzo kochał i żarliwie podziwiał; obraz nie miał załamań ani sprzeczności, chociaż i ta postać posiadała różnorakie rysy i zdradzała wiele walk. Był to obraz jego przyjaciela Narcyza. Coraz ściślej stapiał się on w jedność i całość, coraz przejrzysiej ukazywało się wewnętrzne prawo tego ukochanego człowieka w jego obrazie, szlachetna głowa ukształtowana przez ducha, piękne, opalone usta, surowe i wyszlachetnione w służbie ducha, i nieco smutne oczy, wątłe ramiona ożywione walką i uduchowieniem, długa szyja, delikatne, wytworne ręce. Nigdy od owego czasu, od odejścia z klasztoru nie widział przyjaciela tak jasno, nigdy tak zupełnie nie posiadał jego obrazu.

Jak we śnie, bez woli, a jednak z gotowością i pod wewnętrznym przymusem, zaczął Złotousty rysować; ostrożnie, ze czcią kreślił miłującymi palcami tę postać, która żyła w jego sercu, i zapomniał o mistrzu, o sobie i o miejscu, w którym się znajdował. Nie widział, że światło wolno przesunęło się po sali, nie widział, że mistrz wiele razy spoglądał ku niemu. Niby czynność ofiarną spełniał zadanie, jakie mu przypadło w udziale, jakie postawiło mu jego serce: wydobyć i utrwalić obraz

przyjaciela, jaki żył dzisiaj w jego duszy. Nie zdając sobie z tego sprawy, odczuwał swą pracę jako spłatę długu wdzięczności.

Mikołaj podszedł do stołu rysunkowego i rzekł:

- Już pora na obiad; idę do stołu, możesz pójść także. Pokaż no - narysowałeś coś?

Stanął za Złotoustym i spojrzął na wielki arkusz, potem odsunął młodzieńca i ostrożnie ujął arkusz w swoje zręczne dłonie. Złotousty ocknął się z marzenia i z lęklwym oczekiwaniem spoglądał teraz na mistrza. Mikołaj stał, trzymając rysunek obydwoma rękami, i przyglądał mu się bardzo dokładnie bystrym spojrzeniem surowych, jasnoniebieskich oczu.

- Kto jest ten, którego narysowałeś? - zapytał po chwili.

- To mój przyjaciel, młody mnich i uczony.

- Dobrze. Umyj ręce, tam na dziedzińcu jest studnia. Potem pójdziemy jeść. Pomocników moich nie ma jeszcze, pracują poza domem.

Złotousty poszedł posłusznie, znalazł dziedziniec i studnię, umył ręce i dałby wiele za to, aby poznać myśli mistrza. Kiedy powrócił, Mikołaja nie było, słyszał jego krzatanie się w sąsiednim pokoju, gdy się zjawił, i on był umyty i miał na sobie zamiast fartucha ładny surdut sukienny, wyglądał w nim okazale i uroczyście. Poszedł przodem po schodach, których słupki poręczy ozdobione były małymi główkami aniołów, rzniętymi w orzechowym drzewie, przez sień, pełną starych i nowych posągów, do ładnej izby, której podłoga, ściany i strop były z twardego drewna, a w rogu przy oknie stał nakryty stół. Nadbiegła dziewczyna, Złotousty poznał ją, była to owa piękna dziewczyna z wczorajszego wieczora.

- Elżbieto - rzekł mistrz - przynieś jeszcze jedno nakrycie, przyprowadziłem gościa, jest to, ach, prawda, nie znam jeszcze jego imienia.

Złotousty powiedział jej.

- Więc Złotousty. Czy możemy jeść?

- Za chwilę, ojcze.

Wyjęła talerz, wybiegła i powróciła ze służącą, która wniosła jedzenie: wieprzowinę, soczewicę i biały chleb. Podczas posiłku ojciec rozmawiał o tym i owym z dziewczyną, Złotousty siedział w milczeniu, jadł mało i czuł się bardzo niepewny i skrępowany. Dziewczyna podobała mu się bardzo, była postawna i ładna, prawie tak wysoka jak ojciec, ale siedziała skromna i nieprzystępna, jak za szkłem, nie zwracając się do nieznanego ani jednym słowem lub spojrzeniem.

Po jedzeniu mistrz rzekł:

- Wypoczne jeszcze pół godziny. Ty idź do pracowni albo przejdź się trochę, później pomówimy o sprawie.

Złotousty wyszedł dziękując. Minęła godzina albo więcej, odkąd mistrz zobaczył jego rysunek, a nie powiedział o nim ani słowa. Teraz miał czekać jeszcze pół godziny! Ano, tego nie można było zmienić, czekał, do pracowni nie poszedł, nie chciał teraz widzieć swojego rysunku. Wyszedł na dziedziniec, siadł na korycie studni i przyglądał się strumykowi wody, który nieustannie spływał z rury, spadał w głęboką czarę kamienną, spadając tworzył drobniutkie fale i ciągle porywał z sobą w głąb nieco powietrza, które białymi perłami podążało z powrotem w górę. W ciemnym zwierciadle studni widział swoje odbicie i myślał, że ten Złotousty, który patrzył na niego z wody, dawno już nie jest Złotoustym z klasztoru albo Złotoustym Lidii i nie jest też już Złotoustym lasów. Pomyślał, że on i każdy człowiek płynie i zmienia się ciągle, i ginie wreszcie, podczas gdy obraz jego stworzony przez artystę pozostaje zawsze niezmienny i ten sam.

Może, myślał, źródłem wszelkiej sztuki, a może i wszelkiego ducha jest lęk przed śmiercią. Lękamy się jej, wzdrygamy się przed doczesnością, ze smutkiem widzimy ciągle więdnące kwiaty i opadające liście i czujemy w sercach pewność, że i my jesteśmy docześni i zwiędniemy niebawem. Jeśli więc jako artyści tworzymy obrazy albo jako myśliciele szukamy praw i formujemy myśli, czynimy to po to, aby uratować jednak coś z tego wielkiego tańca śmierci, aby stworzyć coś, co dłużej będzie trwało niżeli my sami. Kobieta, wedle której mistrz stworzył swoją piękną Madonnę, uwiedła już może albo nie żyje, a niebawem i on umrze, inni będą mieszkali w jego domu, inni będą jedli przy jego stole - ale dzieło jego będzie trwało, w cichym kościele klasztorным błyszczeć jeszcze będzie po stu latach i znacznie dłużej, i zawsze będzie piękne, i zawsze uśmiechać się będzie tymi samymi ustami, które są równie kwitnące, jak smutne.

Usłyszał, że mistrz schodzi po schodach, i pobiegł do pracowni. Mistrz Mikołaj chodził tam i z powrotem, spoglądał raz po raz na rysunek Złotoustego, zatrzymał się wreszcie przy oknie i rzekł ociągającym się nieco i suchym głosem:

- Jest u nas zwyczaj, że uczeń uczy się co najmniej cztery lata i że ojciec jego płaci za to mistrzowi.

Ponieważ przerwał, Złotousty pomyślał, że mistrz obawia się, że nie dostanie od niego zapłaty za naukę. Szybko wy dobył z kieszeni nóż, odpruł nitkę nad ukrytym dukatem i wyłowił go. Zdumiony spojrział na niego Mikołaj i począł się śmiać, gdy Złotousty podał mu monetę.

- Ach, tak to rozumiesz? - zaśmiał się. - Nie, młodzieńcze, możesz zatrzymać swojego dukata. Słuchaj. Powiedziałem ci, jak się w naszym cechu praktykuje z uczniami. Ale ani ja nie jestem zwyk-

łym nauczającym mistrzem, ani ty nie jesteś zwykłym uczniem. Gdyż uczeń rozpoczyna zwykle termin w trzynastym, czternastym, a najwyżej piętnastym roku życia i połowę nauki spędza na posługach. Ty zaś jesteś już dorosłym człowiekiem i z wieku mógłbyś być dawno czeladnikiem albo nawet mistrzem. Ucznia z brodą nigdy jeszcze nie widziano w naszym cechu. Powiedziałem ci też, że nie chcę mieć w domu ucznia. I nie wyglądasz także na kogoś, co pozwala sobie rozkazywać i będzie chciał służyć na posyłki.

Niecierpliwość Złotoustego wzrastała do najwyższych granic, każde z rozważnych słów mistrza rozciągało go na torturach i wydawało mu się ohydnie nudne i szkolarskie. Zawołał porwoczo:

- Dlaczego mówicie mi to wszystko, jeżeli nie zamierzacie mnie wziąć na naukę?

Mistrz ciągnął niewzruszony w swój zwykły sposób:

- Myślałem o twojej prośbie przez godzinę, teraz musisz i ty mieć cierpliwość i wysłuchać mnie. Widziałem twój rysunek. Ma błędy, ale jednak jest piękny. Gdyby nie to, dałbym ci pół guldena i odprawiłbym cię i zapomniał. Więcej o tym rysunku nie powiem. Chciałbym ci pomóc zostać artystą, może jesteś do tego przeznaczony. Ale uczniem nie możesz już zostać. Kto zaś nie był uczniem i nie przeszedł terminu, ten nie może w naszym cechu zostać też czeladnikiem ani mistrzem. To ci muszę przede wszystkim powiedzieć. Ale zrób próbę. Jeżeli chcesz pozostać przez pewien czas w mieście, możesz przychodzić do mnie i nauczyć się czegoś. Będzie to bez zobowiązania i kontraktu, każdej chwili możesz odejść znowu. Możesz złamać u mnie kilka strugów i zepsuć kilka kawałków drewna, a jeżeli się okaże, że nie

jestes snycerzem, bedziesz sie musial zajac czymś innym. Czy zgodzisz sie na to?

Zawstydzony i wzruszony przysłuchiwał się Złotousty.

- Dziękuję wam z całego serca! - zawołał. - Jestem bezdomny i tak samo dam sobie radę tu w mieście jak gdzieś w lasach. Rozumiem, że nie chcecie przejąć troski i odpowiedzialności za mnie jak za małego ucznia. Uważam za wielkie szczęście, że wolno mi się u was uczyć. Z całego serca wam dziękuję, że chcecie to dla mnie uczynić.

Rozdział jedenasty

Nowe obrazy otoczyły Złotoustego w mieście i nowe życie zaczęło się dla niego. Kraina ta i miasto przyjęły go wesoło, kusząco i hojnie, a nowe życie powitało radośnie wieloma obietnicami. Choć na dnie jego duszy smutek i świadomość pozostały nietknięte, to jednak na powierzchni życie zaigrało wszystkimi barwami. Zaczął się teraz najradośniej-szy i najfraszobliwszy okres w życiu Złotoustego. Z zewnątrz otaczało go bogate miasto biskupie ze swymi dziełami sztuki, kobietami, mnóstwem mi-łych rozrywek i obrazów, od wewnątrz budzący się arcyzm darzył go nowymi wrażeniami i doświad-czeniami. Z pomocą mistrza znalazł schronienie w domu pewnego pozłotnika przy rynku rybnym i zarówno u mistrza, jak u pozłotnika uczył się sztuki obchodzenia się z drewnem i gipsem, z far-bami, pokostem i płatkami złota.

Złotousty nie należał do owych nieszczęsnych artystów, którzy mają wprawdzie wielkie zdolno-ści, ale nie znajdują właściwych środków do ich okazania. Bywają przecież tacy ludzie, którym dane jest odczuwać głęboko i wspaniale piękno świata i nosić w duszy wzniosłe, szlachetne obrazy, a którzy nie znajdują jednak drogi, aby wydobyć

z siebie te obrazy i ukazać je ku radości innych. Złotousty nie posiadał tej wady. Łatwo mu przychodziło używać rąk i uczyć się chwytów i sprawności rzemiosła, podobnie jak łatwo mu było wieczorem po pracy uczyć się u towarzyszków gry na lutni, a w niedzielę na wiejskich placach tanecznych - tańca. Uczył się łatwo, przychodziło mu to bez wysiłku. Musiał się wprawdzie poważnie wysilać nad rzeźbą w drzewie, musiał napotykać trudności i znosić rozczarowania, musiał porąbać nie jeden ładny kawałek drzewa i nieraz porządnie pokaleczyć sobie palce. Ale szybko przewyciężył początki i osiągnął wprawę. Mimo to mistrz często bywał niezadowolony i mówił do niego:

- Dobrze, że nie jesteś moim uczniem ani czeladnikiem, Złotousty. Dobrze, że wiemy, iż przyszedłeś z gościńca i z lasów i któregoś dnia powrócisz do nich znowu. Kto by nie wiedział, że nie jesteś mieszczaninem i rzemieślnikiem, ale bezdomnym włóczęgą, łatwo by mógł ulec pokusie, by żądać od ciebie różnych rzeczy, jakich każdy mistrz żąda od swoich ludzi. Jesteś bardzo dobrym robotnikiem, gdy się twojemu kaprynowi akurat tak chce. Ale w zeszłym tygodniu hulałeś dwa dni. Wczoraj w warsztacie na dziedzińcu, gdzie miałeś wypolerować dwa anioły, przespałeś pół dnia.

Zarzuty jego były słuszne i Złotousty wysłuchiwał ich też w milczeniu, nie usprawiedliwiając się. Wiedział sam, że nie jest człowiekiem pilnym, człowiekiem, na którym można polegać. Póki robota przykuwała go, póki stawiała mu trudne zadania albo uświadamiała mu jego zręczność i budziła w nim radość, był gorliwym robotnikiem. Ciężką pracę ręczną spełniał niechętnie, a owe nietrudne, ale wymagające czasu i pilności roboty, których wiele jest w rzemiośle, a wykonane być muszą wiernie i cierpliwie, były dlań często nie-

žnośne. Sam się temu niekiedy dziwił. Czyż wystarczyło tych kilka lat wędrówki, aby go uczynić leniwym i nie zasługującym na zaufanie? Czy to dziedzictwo matki wzrastało w nim i uzyskiwało przewagę? Na czym to polegało? Przypominał sobie doskonale pierwsze lata klasztorne, gdy był gorliwym i dobrym uczniem. Dlaczegoż miał wówczas tyle cierpliwości, której mu teraz brakowało, dlaczego udawało mu się tak niezmordowanie poświęcać się składni łacińskiej i uczyć się tych wszystkich aorystów greckich, które w głębi serca jednakże nie wydawały się ważne?

Nieraz zastanawiał się nad tym. To miłość hartowała go wówczas i uskrzydlała; nauka jego nie była niczym innym, jak nieustannym zabieganiem o Narcyza, a miłość jego można było zdobyć tylko na drodze szacunku i uznania. Wtedy potrafił dla jednego spojrzenia ukochanego nauczyciela, wyrażającego uznanie, mozolić się godzinami i dniami. Potem utęskniony cel został osiągnięty, Narcyz stał się jego przyjacielem, i rzecz dziwna, właśnie ten uczony Narcyz wykazał mu jego nieprzydatność na uczonego i wyczarował przed nim obraz utraconej matki. Zamiast uczoności, życia zakonnego i cnoty istotą jego owładnęły potężne pierwotne instynkty: płeć, miłość do kobiet, popęd do niezależności, wędrówki. Ale oto ujrzał ową Madonnę mistrza, odkrył w sobie artystę, wkroczył na nową drogę i stał się znowu człowiekiem osiadłym. Jak było teraz? Dokąd wiodła jego droga? Skąd pochodziły te hamulce?

Początkowo nie mógł tego zrozumieć. Pojmował tylko jedno: że mistrza Mikołaja bardzo wprawdzie podziwia, ale bynajmniej nie kocha w ten sposób, w jaki niegdyś kochał Narcyza, ba, że nieraz sprawia mu radość rozczarowywać go i gniewać. Zdawało mu się, że pozostaje to w zwią-

zku z rozdwojeniem w istocie mistrza. Figury, stworzone ręką Mikołaja, a przynajmniej najlepsze z nich, były dla Złotoustego czczonymi wzorami, ale mistrz sam nie był dla niego wzorem.

Obok artysty, który wyrzeźbił ową Matkę Bożą z najboleśniejnymi i najpiękniejszymi ustami, obok widzącego i wiedzącego, którego ręce potrafiły przetworzyć głębokie doświadczenia i przecucia na widzialne obrazy, żył w mistrzu Mikołaju jeszcze ktoś inny: surowy nieco i lękliwy ojciec rodziny i mistrz cechowy, wdowiec, który wiódł z córką i brzydką służącą ciche i stłumione nieco życie w cichym domu, człowiek, który gwałtownie bronił się przeciw najsilniejszym popędom Złotoustego, który wygodnie dostosował się do swego cichego, umiarkowanego, bardzo uporządkowanego i przyzwoitego życia.

Chociaż Złotousty szanował swego mistrza, chociaż nie pozwolił sobie nigdy wypytywać o niego innych albo wydawać wobec innych sąd o nim, to jednak po roku wiedział o Mikołaju wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów. Mistrz ten był dla niego ważny, kochał go i nienawidził zarówno, mistrz ten nie dawał mu spokoju, i uczeń z miłością i nieufnością, z zawsze czujną ciekawością wnikał w tajemnicę jego charakteru i życia. Widział, że Mikołaj nie miał w domu ani uczniów, ani czeladników, chociaż miejsca było dość. Widział, że wychodził bardzo rzadko i równie rzadko zapraszał do siebie gości. Obserwował, jak wzruszająco i zazdrośnie kochał mistrz swoją piękną córkę i starał się ją strzec przed wszystkimi. Widział też, że poza surową i przedwczesną powściągliwością wdowca grały jeszcze żywe popędy, że gdy zamiejskowe zamówienia wzywały go w podróż, niekiedy o kilka dni drogi, potrafił się dziwie zmieniać, odmładzać. A raz zauważył także, jak Mikołaj

w obcym miasteczku, gdzie ustawiali rzeźbioną ambonę, wieczorem potajemnie odwiedził kupną dziewczkę, a potem przez kilka dni był niespokojny i w złym humorze.

Z czasem do ciekawości tej dołączyło się jeszcze coś innego, co trzymało Złotoustego w domu mistrza. Była to piękna córka Elżbieta, która mu się bardzo podobała. Widywał ją rzadko, nigdy nie przychodziła do pracowni, a on nie mógł zbadać, czy ta nieprzystępność i lęk przed mężczyznami były jej narzucone przez ojca, czy też odpowiadały jej własnej naturze. Że mistrz nigdy już nie zabierał go z sobą na posiłki i starał się utrudniać mu wszelkie spotkania z córką, co do tego nie można się było łudzić. Elżbieta była bardzo wypieszczoną i strzeżoną dziewicą. Złotousty widział, że na miłość bez małżeństwa nie było w stosunku do niej nadziei, a ten, kto by się chciał z nią ożenić, musiałby także być dzieckiem poważnych ludzi i członkiem jednego z zaciejszych cechów, a może nawet posiadać pieniądze i dom.

Piękność Elżbiety, tak inna niżeli uroda kobiet wędrownych i wieśniaczek, już owego pierwszego dnia przyciągnęła wzrok Złotoustego. Było w niej coś, co dla niego było jeszcze nie znane, coś szczególnego, co go gwałtownie przyciągało, a jednak czyniło zarazem nieufnym, gniewało nawet: wielki spokój i niewinność, karność i czystość, a jednak nic dziecięcego, lecz poza całą uprzejmością i obyczajnością ukryty chłód, jakaś wyniosłość, także niewinność jej nie wzruszała go ani czyniła bezbronnym - nigdy nie potrafiłby uwieść dziecka - lecz podniecała go i wyzywała. Zaledwie obeznał się trochę z jej postacią jako obrazem jej duszy, uczuł natychmiast pragnienie stworzenia kiedyś posagu, ale nie jaką była teraz, lecz z rysami istoty już obudzonej, zmysłowej i cierpiącej, nie jako dziewczki, ale jako Magdaleny. Często pożądanie jego szło w tym kierunku, aby tę

piękną i niewzruszoną twarz ujrzeć kiedyś - czy to w rozkoszy, czy w bólu - skrzywioną, otwartą i zdradzającą swoją tajemnicę.

Poza nią istniała jeszcze inna twarz, która żyła w jego duszy, a jednak niezupełnie należała do niego, którą tęsknie pragnął pochwycić kiedyś i odtworzyć jako artysta, ale która ciągle wymykała mu się i przesłaniała. Była to twarz matki. Twarz ta od długiego już czasu nie była tą samą, która mu się niegdyś, po rozmowach z Narcyzem, ukazała z zatraconych głębin wspomnienia. Podczas dni wędrówki, podczas nocy miłosnych, podczas okresów tęsknoty, okresów niebezpieczeństwa dla życia i pobliża śmierci, twarz matki przemieniła się z wolna i wzbogaciła, stała się głębsza i wszechstronniejsza; nie był to już obraz jego własnej matki, lecz z rysów jej i barw stopniowo powstał nieosobowy już obraz macierzyński, obraz jakiejś Ewy, jakiejś Macierzy ludzi. Jak mistrz Mikołaj przedstawiał w niektórych Madonnach obraz bolesnej Matki Bożej z doskonałością i siłą wyrazu, które wydawały się Złotoustemu nieprześcignione, tak spodziewał się on sam, kiedyś, gdy stanie się dojrzały i biegły w rzemiośle, stworzyć taki obraz świeckiej matki, Matki-Ewy, jaki żył w jego sercu jako najstarsza i najukochańsza świętość. Ale ten obraz wewnętrzny, niegdyś tylko zjawia wspomnienia jego własnej matki i jego miłości do niej, znajdował się w stanie ciągłej przemiany i wzrostu. Do owego pierwotnego obrazu dołączyły się rysy Cyganki Lizy, rysy córki rycerza Lidii, i niektórych innych twarzy kobiecych; nie tylko oblicza wszystkich kochanych kobiet tworzyły ten obraz dalej - każde wstrząśnienie, każde doświadczenie i każde przeżycie kształtowało go i dodawało mu rysów. Gdyż postać ta, gdyby mu się udało kiedyś później uczynić ją widzialną, mia-

ła przecież przedstawiać nie jakąś określoną kobietę, ale życie samo jako pramacierz. Często zdawało mu się, że ją widzi, niekiedy zjawiała mu się we śnie. Ale o tej twarzy Ewy i o tym, co ona miała wyrażać, nie potrafiłby nic więcej powiedzieć, jak tylko że miała ukazać rozkosz życia w jej najwewnętrzniejszym pokrewieństwie z bólem i śmiercią.

W ciągu roku wiele się Złotousty nauczył. W rysunku szybko doszedł do wielkiej wprawy, a oprócz rzeźbienia w drzewie dozwalał mu Mikołaj także modelować w glinie. Pierwszym jego udanym dziełem była figura gliniana, wysokości dwóch piędzi; była to słodka, uwodzicielska postać małej Julii, siostry Lidii. Mistrz chwalił tę pracę, ale życzenia Złotoustego, aby ją odlać w metalu, nie spełnił. Figura ta wydawała mu się zbyt nieskromna i świecka, aby jej miał służyć za ojca chrzestnego. Potem przysłała praca nad figurą Narcyza. Złotousty wykonywał ją w drzewie, wykonał ją jako ucznia pańskiego Jana, gdyż Mikołaj zamierzał, gdyby się udało, umieścić ją w grupie Ukrzyżowania, na którą miał zamówienie i nad którą pomocnicy od długiego już czasu wyłącznie pracowali, aby ostateczne wykończenie pozostawić potem mistrzowi.

Nad figurą Narcyza pracował Złotousty z głęboką miłością. W pracy tej odnajdywał na nowo siebie, swój artyzm i swoją duszę, ilekroć wypadał z normalnej kolei, a działo się to nierzadko: miłości, zabawy taneczne, pijatyki z kolegami, gra w kości, a często i bójki porywały go nieraz, tak że przez dzień lub więcej unikał pracowni albo stał przy robocie skwaszony i osowiały. Ale przy swoim uczniu Janie, którego ukochana, myśląca postać coraz czyściej występowała ku niemu z drzewa, pracował tylko w chwilach natchnienia, pracował z oddaniem i pokorą. W takich chwilach nie był ani wesoły, ani smutny, nie myślał ani o rozkoszy życia, ani o doczesności, do serca jego

powracało owo pełne czci, jasne i czysto nastrojone uczucie, z jakim niegdyś oddany był przyjacielowi i radował się jego przewodnictwem. To nie on stał tutaj i tworzył posąg z własnej woli; to raczej tamten, raczej Narcyz posiłkował się jego dłońmi artysty, aby wyjść poza doczesność i zmienność życia i stworzyć czysty obraz swojej istoty. W ten sposób - czuł niekiedy Złotousty z dreszczem - powstawały prawdziwe dzieła. Tak powstała Madonna mistrza, którą niejednej niedzieli odwiedzał jeszcze potem w klasztorze. Tak, w ten tajemniczy i święty sposób powstały najlepsze z owych starych figur, które stały u mistrza na górze w sieni. Tak powstanie też kiedyś ów inny, ów jedyny, jeszcze bardziej tajemniczy i czcigodny, obraz Macierzy ludzi. Ach, gdybyż z rąk ludzkich wychodzić mogły tylko takie dzieła sztuki, takie święte, konieczne, nie splamione żadną wolą, ani żadną próżnością obrazy! Ale tak nie było, wiedział o tym dawno. Można było tworzyć i inne obrazy, rzeczy ładne i czarujące, po mistrzowsku wykonane, radość dla miłośników sztuki, ozdoby dla kościołów i sal - piękne rzeczy, tak, ale nie święte, nie prawdziwe obrazy duszy. Znał nie tylko stworzone przez Mikołaja i innych mistrzów takie dzieła, które przy całym wdzięku pomysłu i staranności wykonania były jednak tylko igraszkami. Ku swemu zawstydzeniu i smutkowi wiedział już we własnym sercu, czuł we własnych rękach, jak artysta może stworzyć takie ładne rzeczy, z samego rozmiłowania się w umiejętności, z ambicji, z igraszki.

Gdy po raz pierwszy ogarnęła go ta świadomość, przejął go śmiertelny smutek. Ach, aby robić ładne figurki aniołów i inne drobiazgi, choćby najładniejsze, na to nie warto być artystą. Innym może, rzemieślnikom, mieszczuchom, cichym, zadowolonym duszom może się to opłacało, ale jemu nie. Dla niego sztuka i artyzm były bez

wartości, jeżeli nie paliły jak słońce i nie miały mocy burzy, jeżeli wносиły tylko zadowolenie, tylko miłe, małe szczęście. Szukał czegoś innego. Połączać błyszczącymi płatami delikatnie wyrobioną koronę Madonny to nie dla niego praca, nawet jeśli ją dobrze opłacano. Dlaczego mistrz Mikołaj przyjmował wszystkie takie zamówienia? Dlaczego trzymał dwóch pomocników? Dlaczego wysłuchiwał godzinami z łokciem w rękę tych rajców i proboszczów, gdy zamawiali u niego portal albo ambonę? Czynił to z dwóch powodów, z dwóch obmierzonych powodów: ponieważ zależało mu na tym, aby być słynnym artystą, zasypywanym zamówieniami, i ponieważ chciał gromadzić pieniądze, pieniądze nie na wielkie przedsięwzięcia lub rozrywki, ale pieniądze dla swojej córki, która dawno już była bogatą dziewczyną, pieniądze na jej wyprawę, na koronkowe kołnierzyki i brokatowe suknie i na łożę małżeńskie z orzechowego drzewa pełne kosztownych kołder i płóciennego powleczenia! Jak gdyby piękna dziewczyna nie mogła tak samo doświadczać miłości na stogu siana!

W chwilach takich rozważań burzyła się w Złotoustym krew matki, duma i wżgarda bezdomnych dla osiadłych i posiadających. Niekiedy rzemiosło i mistrz byli mu wstrętni jak włóknista fasola, niekiedy bliski był ucieczki.

I mistrz nieraz już żałował z gniewem, że wdał się z tym trudnym do kierowania i niepewnym chłopakiem, który często wystawiał jego cierpliwość na ciężkie próby. To, czego się dowiadywał o kolejach życia Złotoustego, o jego obojętności wobec pieniędzy i mienia, jego rozrzutności, jego licznych miłostkach, jego częstych bijatykach, nie mogło go nastroić łagodnie: przyjął do siebie Cygana.

Nie uszło też jego uwagi, jakimi oczyma spoglądał ten włóczęga na jego córkę Elżbietę. Jeżeli mimo to zmuszał się, by okazywać mu więcej cierpliwości, iż na to Złotousty według niego zasługiwał, to postępował tak nie z poczucia obowiązku albo z lękliwości, ale ze względu na posąg ucznia Jana, którego powstawanie widział. Z uczuciem miłości i powinowactwa duszy, do którego się wobec siebie nie przyznawał, patrzył mistrz, jak ten przybyły z lasów Cygan według owego wzruszającego, tak pięknego, a jednak tak niezręcznego rysunku, gwoli którego zatrzymał go wówczas u siebie, tworzył teraz wolno i kapryśnie, ale uparcie i nieomylnie swoją drewnianą figurę ucznia. Mistrz nie wątpił, że mimo wszystkich kaprysów i przerw będzie ona kiedyś gotowa, a wówczas stanie się dziełem, jakiego żaden z jego pomocników nie zdołałby nigdy wykonać, dziełem, jakie wielkim nawet mistrzom nieczęsto się udaje. Chociaż tak wiele nie podobało się mistrzowi w jego uczniu, chociaż tak często szafował wobec niego naganami, tak często bywał na niego wściekły - o Janie nie powiedział mu nigdy ani słowa. Reszta czaru młodzieńczego i chłopięcej dziecięcości, dzięki której Złotousty tak wielu ludziom się podobał, z wolna rozproszyła się podczas owych lat. Stał się pięknym i silnym mężczyzną, bardzo pożądanym przez kobiety, mało lubianym przez mężczyzn. Także usposobienie jego, jego wewnętrzne oblicze zmieniło się, odkąd Narcyz zbudził go z wdzięcznego snu jego lat klasztornych, i odkąd urobił go świat i wędrowki. Z ładnego, łagodnego, lubianego przez wszystkich, pobożnego i usłużnego ucznia klasztornego stał się dawno innym zupełnie człowiekiem; Narcyz obudził go, kobiety uczyniły go wiedzącym, wędrowka starła z niego puch młodości.

Przyjaciół nie miał, serce jego należało do kobiet. Zdobywały go łatwo, wystarczyło pożądlive spojrzenie. Trudno mu było oprzeć się kobiecie, odpowiadał na najłżejsze zaloty. I on, który miał bardzo czuły zmysł na piękność i zawsze najbardziej lubił młode zupełnie dziewczęta w powabie ich wiosny, dawał się jednak wzruszać i uwodzić niezbyt pięknym i niezupełnie już młodym kobietom. W salach tanecznych towarzyszył niekiedy jakiejś starszej i nieśmiałej dziewczynie, której nikt nie pożytał i która zdobywała go dzięki litości, nie tylko litości, ale także wiecznie czujnej ciekawości. Gdy tylko poczynął się oddawać kobiecie - czy trwało to tygodnie, czy zaledwie godziny - wówczas była dla niego piękna, wówczas oddawał się jej cały. A doświadczenie pouczyło go, że każda kobieta jest piękna i potrafi uszczęśliwić, że niepozorna i wzgardzana przez mężczyzn zdolna jest do niesłychanego żaru i oddania, przekwitła do - bardziej niż macierzyńskiej - żałobnie słodkiej tkliwości, że każda kobieta posiada swój czar i swoją tajemnicę, której odkrycie czyni szczęśliwym. Pod tym względem wszystkie kobiety były podobne. Wszelki brak młodości czy urody równoważył jakiś szczególny gest. Co prawda nie każda potrafiła jednakowo długo utrzymać Złotoustego. Wobec najmłodszej i najpiękniejszej nie był ani odrobinę czulszy czy wdzięczniejszy niż wobec brzydkiej, nigdy nie kochał połowicznie. Ale bywały kobiety, które po trzech czy dziesięciu nocach miłosnych naprawdę go dopiero do siebie przywiązywały, i inne, które po pierwszej szły w zapomnienie.

Miłość i rozkosz wydawały mu się jedyną rzeczą, naprawdę zdolną rozgrzać życie i nadać mu wartość. Ambicja była mu nie znana, biskup i żebrak znaczyli dla niego jedno; także zarobkowanie

i posiadanie nie mogło go przykuć, gardził nimi, nie złożyłby im nigdy najmniejszej ofiary, a pieniądze, które niekiedy zarabiał obficie, trwonił bez troski. Miłość kobiet, grę płci, cenił ponad wszystko, a często jego skłonność do smutku i przesytu wyrastała z doświadczenia przelotności i znikomości rozkoszy. Szybkie, przelotne, zachwycające obudzenie się żądy miłosnej, jej krótki, tęskny ogień, jej szybkie gaśnięcie - oto co zawierało dla niego rdzeń wszelkiego przeżycia, oto co stało się dlań obrazem wszelkiej rozkoszy i wszelkiego cierpienia. Owej żałobie i owemu przejmującemu uczuciu zgrozy przed znikomością potrafił oddawać się tak samo jak miłości, ta melancholia była także miłością, była ona także rozkoszą. Tak jak rozkosz miłosna w chwili najwyższego, najszcześniejszego napięcia pewna jest, że w następnym westchnieniu będzie musiała zniknąć i umrzeć znowu, tak i najzarliwsza samotność i oddanie się melancholii były pewne, że nagle pochłonięte zostaną przez pożądanie, przez nowe oddanie się jasnej stronie życia. Śmierć i rozkosz było to jedno i to samo. Matkę życia można było nazwać miłością albo rozkoszą, można ją też było nazwać grobem i zgnilizną. Matką była Ewa, była ona źródłem szczęścia i źródłem śmierci, rodziła wiecznie, zabijała wiecznie, miłość i okrucieństwo były w niej ściśle zjednoczone, a postać jej tym bardziej stawała się dlań świętym symbolem, im dłużej nosił ją w sobie.

Wiedział, nie słowami i świadomością, ale głębszą wiedzą krwi, że droga jego prowadzi do matki, do rozkoszy i do śmierci. Ojcowska strona życia, duch, wola, nie była jego ojczyzną. To była dziecina Narcyza, i teraz dopiero przeniknął Złotousty i pojął zupełnie słowa przyjaciela, ujrzał w nim swoje przeciwieństwo, wyraził i uwidoczniał to

w swoim posągu Jana. Można było tęsknić za Narcyzem do łez, można było śnić o nim cudownie, ale osiągnąć go, stać się takim jak on, było niepodobieństwem.

Tajemnym jakimś zmysłem przeczuwał też Złotousty tajemnicę swojego arcyzmu, swej żarliwej miłości do sztuki, swojej, dzikiej chwilami, nienawiści do niej. Bez myśli, uczuciem pojmował w różnorodnych symbolach: sztuka była zjednoczeniem świata ojcowskiego i macierzyńskiego, ducha i krwi; mogła się poczynać w największej zmysłowości i prowadzić do najdalszej abstrakcji, ale mogła brać początek w czystym świetle idei i kończyć na pulsującym żywą krwią ciele. Wszystkie owe dzieła, dzieła sztuki naprawdę dostojne, nie tylko dobre sztuczki kuglarskie, lecz twory pełne wiecznej tajemnicy, na przykład owa Matka Boża mistrza, wszystkie te prawdziwe i niewątpliwe dzieła sztuki posiadały owo niebezpieczne, uśmiechnięte podwójne oblicze, to coś męsko-kobiecego, owo połączenie zmysłowości z czystą duchowością. Najbardziej jednak ukaże kiedyś to podwójne oblicze Matka Ewa, jeżeli uda mu się ją stworzyć.

W sztuce i życiu artysty leżała dla Złotoustego możliwość pogodzenia jego najgłębszych sprzeczności, a przynajmniej możliwość znalezienia wspólnego, zawsze nowego symbolu rozdwojenia jego natury. Ale sztuka nie była tylko darem, nie można jej było otrzymać za darmo, kosztowała wiele, wymagała ofiar. Więcej niż trzy lata poświęcał jej Złotousty rzecz najwyższą i najnieodzowniejszą, jaką znał poza rozkoszą miłosną: wolność. Oddał swobodę, błąkanie się w przestrzeni bez granic, dowolność życia wędrownego, samotność i niezawistość. Chociaż inni uważali go za kapryśnego, nieposłusznego i samowolnego, gdy niekiedy z wściekłością zaniedbywał pracownię i robotę

- dla niego jednak życie osiadłe było niewolą, która często rozgoryczała go nie do zniesienia. Nie mistrzowi musiał być posłuszny, nie przeszłości, nie konieczności - posłuszny musiał być sztuce samej. Sztuka, ta na pozór tak niematerialna bogini, potrzebowała tak wielu błahych rzeczy! Potrzebowała dachu nad głową, potrzebowała narzędzi, drzewa, gliny, farb, złota, wymagała pracy i cierpliwości. Jej to poświęcił dziką wolność lasów, oszołomienie dali, cierpką rozkosz niebezpieczeństwa, dumę nędzy, i ofiary te musiał składać ciągle na nowo, dławiąc się i zgrzytając zębami.

Część tego, co poświęcał, odnajdował z powrotem; małej zemsty na niewolniczym łądzie i osiadłości swego obecnego życia dopuszczał się podczas niektórych przygód, pozostających w związku z miłością, podczas bijatyk z rywalami. Cała uwieczniona dzikość, cała zahamowana siła jego istoty wydobywała się tą kłapą bezpieczeństwa, stał się znanym i groźnym zawadiaką. Po drodze do dziewczyny albo w powrocie z tańców zostać nagle napadniętym w ciemnej uliczce, oberwać kilka uderzeń laską, błyskawicznie odwrócić się i od obrony przejść do ataku, dysząc przycisnąć do siebie dyszącego wroga, walnąć go pięścią w brodę, wlec za włosy albo porządnie chwycić za gardło - to mu się podobało i leczyło na pewien czas jego zły nastrój. A kobietom podobało się to także.

Wszystko to obficie wypełniało jego dni i wszystko miało też sens, póki trwała praca nad uczniem Janem. Ciągnęła się długo, a ostatnie delikatne modelowanie twarzy i rąk dokonywało się w uroczystym i cierpliwym skupieniu. W małej szopie drewnianej za warsztatem czeladników wykańczał Złotousty swoją pracę. Nadszedł wreszcie ranek,

gdy postać była gotowa. Złotousty przyniósł miotłę, starannie wymiółł szepę, delikatnie strząsnął pędzelkiem ostatni pył drzewny z włosów swego Jana i stał potem przed nim długo, godzinę i dłużej, przeniknięty uroczystym uczuciem jakiegoś rzadkiego, wielkiego przeżycia, które powtórzy się może tylko raz jeszcze w jego życiu, a może pozostanie samotne i jedyne. Mężczyzna w dniu ślubu albo w dniu pasowania na rycerza, kobieta po pierwszym porodzie czują może w sercach podobne wzruszenia, jakieś dostojne święcenia, jakąś głęboką powagę, a zarazem już jakiś tajemny lęk przed chwilą, gdy i to coś dostojnego i niepowtarzalnego będzie już przeżyte, minione, uporządkowane i pochłonięte przez zwykły bieg dni.

Stał i patrzył na swego przyjaciela Narcyza, przewodnika swoich lat młodzieńczych, stojącego z twarzą wzniesioną w zasłuchaniu, odzianego w szatę i rolę pięknego, ulubionego ucznia Zbawiciela, z wyrazem ciszy, oddania i skupienia, który był niby pąk uśmiechu. Tej pięknej, pobożnej i uduchowionej twarzy, tej wysmukłej, lotnej postaci, tym wdzięcznym i zbożnie wzniesionym wysmukłym dłoniom ból i śmierć nie były nie znane, chociaż wszystko w tym posagu pełne było młodości i wewnętrznej muzyki; ale nie znana im była rozpacz, nieład i bunt. Czy dusza za tymi szlachetnymi rysami była radosna czy smutna - w każdym razie nastrojona była czysto, nie znosiła dysharmonii.

Złotousty stał i obserwował swoje dzieło. Jako pobożne skupienie przed pomnikiem jego pierwszej młodości i przyjaźni zaczęła się ta obserwacja, ale skończyła się burzą trosk i bolesnych myśli. Stało przed nim jego dzieło, i piękny młodzieniec będzie trwał, i delikatne jego kwitnienie nie skończy się nigdy. On zaś, który to zrobił, musiał pożegnać się teraz ze swoim dziełem, jutro już nie

będzie ono do niego należało, nie będzie już czekało na jego ręce, nie będzie wzrastało i rozkwitało pod nimi, nie będzie dlań ucieczką, pociechą i sensem życia. Pozostawał pusty. I - tak mu się zdawało - najlepiej byłoby pożegnać się dzisiaj nie tylko z tym Janem, ale zarazem i z mistrzem, i ze sztuką. Nie miał już tu co robić; w duszy jego nie było obrazów, które by mógł kształtować. Ów wymarzony obraz nad obrazy, postać Matki ludzi, był dlań jeszcze niedosiężny, na długo jeszcze niedosiężny. Czy miał teraz znowu polerować aniołki i rzeźbić ornamenty?

Oderwał się od posągu i poszedł do pracowni mistrza. Wszedł cicho i zatrzymał się przy drzwiach, aż Mikołaj spostrzegł go i zawołał:

- Co się stało, Złotousty?

- Moja figura jest gotowa. Może zanim pójdziecie do stołu, wstąpicie i zobaczycie ją.

- Chętnie pójdę, idę zaraz.

Poszli razem do szopy i zostawili drzwi otwarte, żeby było jaśniej. Mikołaj od dłuższego czasu nie widział figury i nie przeszkadzał Złotoustemu w pracy. Teraz obserwował dzieło z milczącą uwagą, skryta jego twarz stała się piękna i jasna. Złotousty ujrzał, jak surowe oczy poweselały.

- To jest dobre - rzekł mistrz. - To jest bardzo dobre. To twoja sztuka czeladnicza, Złotousty, skończyłeś już czas terminu. Pokażę twoją figurę w cechu i zażądam, aby ci za nią dano list mistrzowski; zasłużyłeś na niego.

Złotousty mało przywiązywał wagi do cechu, ale wiedział, ile te słowa, w ustach mistrza, zawierają uznania, i uradował się.

Obszedłszy jeszcze raz figurę wolno dokoła, rzekł Mikołaj z westchnieniem:

- Postać ta jest pełna pobożności i jasności, jest poważna, ale pełna szczęścia i spokoju. Można by

pomyśleć, że zrobił ją człowiek, w którego sercu jest bardzo jasno i wesoło.

Złotousty uśmiechnął się.

- Wiecie, że w figurze tej nie odtworzyłem siebie samego, lecz swego najukochańszego przyjaciela. On to wniósł do posągu tę jasność i ten pokój, nie ja. Nie ja właściwie zrobiłem ten posąg, ale on tchnął mi go w duszę.

- Pewnie tak jest - rzekł Mikołaj. - Jest to tajemnica, w jaki sposób powstaje taki posąg. Nie jestem pokorny, ale muszę powiedzieć: zrobiłem wiele dzieł, które daleko ustępują twojemu, nie pod względem sztuki i staranności, ale pod względem prawdy. Ano, wiesz pewnie sam, że takiego dzieła nie można powtórzyć. Jest to tajemnica.

- Tak - rzekł Złotousty - kiedy figura ta była gotowa i spojrzałem na nią, pomyślałem: czegoś podobnego nie potrafisz już zrobić. I dlatego sądzę, mistrzu, że niebawem wyruszę znowu na wędrowkę.

Ze zdziwieniem, niechętnie spojrzał na niego Mikołaj, oczy jego stały się znowu surowe.

- Pomówimy jeszcze o tym. Praca powinna by się teraz dla ciebie dopiero zacząć, nie jest to zaprawdę chwila odpowiednia, żeby uciekać. Ale dość pracy na dzisiaj, a na obiad jesteś moim gościem.

W południe wszedł Złotousty do pokoju umyty i uczesany, w niedzielnym ubraniu. Tym razem wiedział, co to oznacza i jak rzadką jest łaską być zaproszonym przez mistrza do stołu. Kiedy wchodził po schodach do zastawionej figurami sieni, serce jego nie było jednak pełne czci i lękiej radości jak wówczas za pierwszym razem, kiedy z bijącym sercem wchodził do tych pięknych, cichych pokojów.

Elżbieta była także wystrojona i nosiła wokół szyi łańcuch z kamieniami, a przy stole prócz karpi

i wina była jeszcze niespodzianka: mistrz darował mu skórzaną sakiewkę, w której były dwie sztuki złota, zapłata za ukończoną figurę.

Tym razem nie siedział milczący podczas rozmowy ojca z córką. Oboje przemawiali do niego, trącano się kielichami. Oczy Złotoustego były pilne, korzystał ze sposobności, aby obserwować piękną dziewczynę o wytwornej i nieco wyniosłej twarzy, a oczy jego nie kryły, jak bardzo mu się podobała. Zachowywała się wobec niego uprzejmie, ale rozczarowany był, że się nie rumieniła i nie ożywiała. Znowu zapragnął gorąco zmusić tę piękną, niewzruszoną twarz do mówienia i do zdradzenia swojej tajemnicy.

Po obiedzie podziękował, zabawił chwilę przy rzeźbach w sieni i przez całe popołudnie wałęsał się niezdecydowany, jak bezradny próżniak, po mieście. Został przez mistrza bardzo uczczony, ponad wszelkie oczekiwanie. Dlaczego go to nie radowało? Dlaczego cała ta cześć miała tak mało uroczysty posmak?

Idąc za nagłą myślą, wynajął konia i pojechał do klasztoru, gdzie niegdyś po raz pierwszy ujrzał dzieło mistrza i usłyszał jego imię. Było to przed kilku laty, a jednak wydawało mu się tak niezmiernie dawno. W kościele klasztornym przyglądał się znowu Matce Boskiej, a i dzisiaj dzieło to zachwycało go znowu i czarowało; piękniejsze było niż jego Jan, dorównywało mu głęboką tklivością wyrazu i tajemnicą, a przewyższało artyzmem, swobodą, z jaką zdawało się unosić w powietrzu, nie podlegając sile ciężenia. Widział teraz w tej pracy szczegóły, które dostrzec może tylko artysta: zwiewne, delikatne ruchy szaty, śmiałe ukształtowanie długich dłoni i palców, subtelne wykorzystanie przypadkowości w strukturze drzewa - wszystkie te piękne szczegóły były co prawda

niczym w porównaniu z całością, z prostotą i żarliwością wizji, ale istniały jednak i były bardzo piękne, a możliwe były tylko dla artysty z bożej łaski, jeżeli do gruntu znał rzemiosło. Aby móc wykonać coś podobnego, trzeba było nie tylko piastować obraz w duszy, trzeba było również mieć niezmiernie wyrobione oko i wyćwiczone ręce. Może więc jednak warto było poświęcić całe życie w służbie sztuki, kosztem wolności, kosztem wielkich przeżyć, po to tylko, aby kiedyś móc stworzyć coś równie pięknego, co byłoby nie tylko przeżyte, oglądane i poczęte w miłości, ale też do najdrobniejszych szczegółów z absolutnym mistrzostwem wykonane, oto było wielkie pytanie.

Późną nocą powrócił Złotousty na zgonionym koniu do miasta. Jakaś karczma była jeszcze otwarta, zjadł tam chleba i wypił wina, potem poszedł do swojej izdebki koło rynku rybnego, w rozterce wewnętrznej, pełen pytań, pełen wątpliwości.

Rozdział dwunasty

Następnego dnia nie mógł się Złotousty zdecydować pójść do pracowni. Jak niejednego już niewesołego dnia wałęsał się po mieście. Widział kobiety i służące idące na targ; zatrzymał się dłużej przy studni na rynku rybnym i przyglądał się handlarzom ryb i ich żonom, jak zachwalali swój towar, jak wyjmowali z kadzi chłodne, srebrne ryby i pokazywali je kupującym, jak ryby z boleśnie otwartymi pyszczkami i znieruchomiałymi z trwogi złotymi oczyma cicho poddawały się śmierci albo wściekle, rozpaczliwie broniły się przed nią. Jak nieraz już, ogarnęło go współczucie dla tych stworzeń i posępna niechęć do ludzi; dlaczego byli tacy tępi i brutalni i niewypowiedzianie głupi, dlaczego żaden z nich nic nie widział, ani ryb, ani rybiarek, ani targujących się nabywców; dlaczego nie widzieli tych pyszczków, tych śmiertelnie przerażonych oczu i dziko miotających się ogonów, tej przeraźliwej, bezskutecznej, rozpaczliwej walki, tej niemożliwej do zniesienia przemiany tajemniczych, cudownie pięknych stworzeń; nie widzieli, jak ostatni lekki dreszcz wstrząsał ich umierającą skórą i jak leżały potem martwe i zgasłe, rozciągnięte, nędzne kawałki mięsa na stół zadowolonych żar-

łoków? Nic nie widzieli ci ludzie, nic nie wiedzieli i nie spojrzeli, nic do nich nie przemawiało! Wszystko jedno, czy przed oczyma ich zdychało biedne, urocze stworzenie, czy mistrz ukazywał na twarzy świętego całą nadzieję, całą szlachetność, całe cierpienie i całą posępną, paraliżującą trwożę życia ludzkiego - niczego nie widzieli, nic ich nie przejmowało! Zadowoleni byli albo zajęci, zawsze im coś było ważne, zawsze się gdzieś śpieszyli, krzyczeli, śmiali się i plwali na siebie, hałasowali, żartowali, bili się o dwa grosze, a wszyscy czuli się dobrze, wszyscy byli należycie i w najwyższym stopniu zadowoleni z siebie i ze świata. Świniami byli, ach, daleko byli gorsi i plugawsi niż świnie! No tak, on sam dość często bywał między nimi, czuł się pomiędzy nimi wesół, uganiał się za dziewczętami, zjadał z talerza ze śmiechem i bez dreszczu zgrozy smażone ryby. Ale od czasu do czasu, niekiedy zupełnie nagle, jakby pod wpływem czarów, opuszczała go wesołość i spokój, od czasu do czasu opadał z niego ten tłusty, syty obłęd, to zadowolenie z siebie, wyniosłość i zgniły spokój duszy; coś porywało go precz, w samotność i rozmyślanie, na wędrówkę, na rozważanie cierpienia, śmierci, marności wszelkich poczynań, na wpatrywanie się w otchłań. Niekiedy z tego beznadziejnego oddawania się widokowi rzeczy bezsensownych i straszliwych wykwitła dlań nagle jakaś radość, jakieś gwałtowne zakochanie, ochota zaśpiewania pięknej pieśni czy rysowania, czasem, gdy wachał kwiat albo bawił się z kotem, wracało mu nagle dziecięce pojednanie z życiem. I teraz wróci ono, jutro albo pojutrze, i świat będzie znowu dobry i doskonały. Aż znowu powróci tamto, smutek, rozmyślanie, beznadziejnie przygnębiająca miłość do konających ryb, do więdnących kwiatów, zgroza wobec tępego, niechlujnego życia i gapienia się, ślepoty ludzi.

W takich okresach musiał zawsze z dręczącą ciekawością, z głębokim przygnębieniem myśleć o wędrownym uczniu Wiktorze, któremu wbił wówczas nóż między żebra i którego pozostawił we krwi na jodłowych gałęziach, i musiał wtedy zastanawiać się i rozważać, co się właściwie z tym Wiktozem stało, czy zwierzęta pożarły go doszczętnie, czy też coś z niego pozostało. Tak, pozostały pewno kości, a może i parę garści włosów. A kości - cóż się też z nimi stało? Jak długo trwało, dziesiątki lat czy tylko lata, aż i one straciły swą postać i stały się prochem?

Ach, dzisiaj, kiedy z litością przyglądał się rybom, a ze wstrętem ludziom na rynku, gdy serce jego pełne było trwożnej melancholii i gorzkiej wrogości do świata i do siebie samego, dzisiaj musiał myśleć o Wiktorze. Może go znaleziono i pogrzebano? A jeżeli się tak stało - czy ciało już zupełnie opadło z jego kości, czy wszystko zgniło, czy wszystko pożarły już robaki? Czy na czasce jego były jeszcze włosy, a brwi - nad oczodołami? A z życia Wiktora, które przecież pełne było przygód i zdarzeń, mieniło się fantastyczną grą jego przedziwnych żartów i figli - czy z życia jego nic nie pozostało? Czy prócz kilku luźnych wspomnień, jakie zachował o nim jego morderca, trwało jeszcze coś z tego żywota ludzkiego, który nie należał przecież do zupełnie zwyczajnych? Czy istniał jeszcze jakiś Wiktor w snach kobiet, które niegdyś kochał? Ach, wszystko już pewnie minęło i rozproszyło się. I tak się działo ze wszystkimi i ze wszystkim, rozkwitało szybko i więdło szybko, potem opadał na to śnieg. Ileż w nim samym kwitło, kiedy przed kilku laty przyszedł do tego miasta, pełen pragnienia sztuki, pełen tęsknej, głębokiej czci dla mistrza Mikołaja! Czy coś z tego żyło jeszcze? Nie, podobnie jak nic nie pozostało

z długiej rzezimieszkowatej postaci biednego Wiktora. Gdyby mu ktoś wówczas powiedział, iż nadejdzie dzień, gdy Mikołaj uzna go za równego sobie i zażąda dla niego od cechu listu mistrzowskiego, sądziłby, że trzyma w rękach całe szczęście świata. A teraz był to tylko przekwitły kwiat, coś suchego, bezradosnego.

Przy tej myśli doznał Złotousty nagle olśnienia. Była to chwila tylko, drgający błysk: ujrzał twarz pramatki, pochyloną nad otchłanią życia, spoglądającą pięknie i okrutnie z nieprzytomnym uśmiechem, ujrzał, jak się uśmiechała do narodzin, do zgonów, do kwiatów, do szeleszczących liści jesiennych, uśmiechała do sztuki, uśmiechała do zgnilizny.

Dla niej, dla pramatki, wszystko było równe, ponad wszystkim unosił się jak księżyc jej niesamowity uśmiech; melancholijnie zadumany Złotousty był jej równie miły jak karp, konający na bruku rynku rybnego, dumna, chłodna dziewczica Elżbieta równie jej była miła jak rozsiane po lesie kości owego Wiktora, który byłby mu niegdyś tak chętnie skradł dukata.

Ale oto błyskawica już zgasła, tajemnicza twarz matki znikła. Lecz blady jej blask drżał nadal głęboko w duszy Złotoustego, fala życia, bólu, dławiącej tęsknoty przebiegła przez jego serce. Nie, nie, nie pragnął szczęścia ani sytości innych, nabywców ryb, mieszczan, krzątających się ludzi. Niech ich diabeł porwie. Ach, ta drgająca blada twarz, te pełne, dojrzałe usta, ten niepojęty śmiertelny uśmiech, który jak wiatr i blask księżycy przebiegał po ciężkich wargach!

Złotousty poszedł do domu mistrza; było blisko południa, zaczekał, aż usłyszał, że Mikołaj opuścił robotę i mył ręce. Wtedy wszedł do niego.

- Pozwólcie mi powiedzieć kilka słów, mistrzu, skończę, zanim umyjecie ręce i wdziejecie surdut.

Łaknę odrobiny prawdy, chciałbym wam powiedzieć coś, co może teraz właśnie mogę powiedzieć, a potem już nie. Tak mi jest, że muszę z kimś pomówić, a wy jesteście jedynym, który to może potrafi zrozumieć. Nie mówię do człowieka, który ma słynną pracownię, otrzymuje zaszczytne zamówienia od miast i klasztorów i ma dwóch pomocników, i posiada piękny, bogaty dom. Mówię do mistrza, który stworzył Matkę Boską w owym klasztorze, najpiękniejszy posąg, jaki znam. Tego człowieka kochałem i czciłem, stać się podobnym do niego wydawało mi się najwyższym celem na ziemi. Zrobiłem teraz figurę świętego Jana i nie mogłem uczynić go tak doskonałym, jaką jest wasza Matka Boża, ale jest taki, jaki jest. Innej figury nie mogę zrobić, nie ma żadnej, która by mnie wzywała i zmuszała do wyrzeźbienia jej. A raczej jest jedna: święty, daleki obraz, który kiedyś będę musiał wyrzeźbić, ale którego jeszcze dzisiaj zrobić nie potrafię. Aby go móc zrobić, muszę jeszcze wiele doświadczyć i przeżyć. Może będę go mógł zrobić za trzy, cztery lata, albo za dziesięć lat lub jeszcze później, albo i nigdy. Ale do tego czasu, mistrzu, nie chcę uprawiać rzemiosła i lakierować posągów, i rzeźbić ambon, i prowadzić rzemieślniczego życia w warsztacie i zarabiać pieniędzy, i stawać się takim, jakimi są wszyscy rzemieślnicy. Nie, nie chcę tego; chcę żyć i wędrować, czuć lato i zimę, przyglądać się światu i lubować jego pięknnością i jego zgrozą. Chcę znosić głód i pragnienie i chcę znowu zapomnieć

O tym wszystkim i pozbyć się tego, co przeżyłem i czego się nauczyłem tutaj przez was. Chciałbym stworzyć kiedyś coś tak pięknego i tak głęboko sięgającego w serce, jak wasza Matka Boża; ale stać się takim jak wy i żyć, jak wy żyjecie - tego nie chcę.

Mistrz umył i otarł ręce, teraz odwrócił się i spojrział na Złotoustego. Twarz jego była surowa, ale nie zła.

- Mówiłeś - rzekł - a ja słuchałem. Niech będzie. Nie oczekuję cię do pracy, chociaż wiele jest do roboty. Nie traktuję cię jako pomocnika, potrzeba ci wolności. Chciałbym z tobą omówić to i owo, drogi Złotousty; nie teraz, za kilka dni, tymczasem możesz spędzać czas, jak chcesz. Widzisz, jestem o wiele starszy od ciebie i doświadczyłem tego i owego. Myślę inaczej niż ty, ale rozumiem cię i rozumiem, co masz na myśli. Za kilka dni każę cię zawołać. Pomówimy o twojej przyszłości, mam rozmaite plany. Do tego czasu bądź cierpliwy! Wiem doskonale, jak to jest, kiedy się ukończyło dzieło, które człowiekowi leżało na sercu; znam tę pustkę. Przemienie ona, wierz mi.

Złotousty odszedł niezadowolony. Mistrz miał wobec niego dobre chęci, ale cóż mu mógł pomóc?

Znał nad rzeką miejsce, gdzie woda była niegłęboka i płynęła nad dnem zasypanym rupieciami i odpadkami, gdyż z domów przedmieścia rybackiego rzucano do rzeki rozmaite śmiecie. Poszedł tam, siadł na murze nad brzegiem i spoglądał w wodę. Wodę lubił bardzo, każda woda przyciągała go. A gdy się z tego miejsca spoglądało w dół przez wartką, kryształową wodę na ciemne, niewyraźne dno, widziało się tu i ówdzie coś połyskującego stłumionym złotym blaskiem i migoczącego kusząco, rzecz nie dająca się rozpoznać, może jakąś starą skorupę talerza albo wyrzucony połamany sierp, albo jasny gładki kamień, albo powalaną cegłę; niekiedy mogła to być także ryba w mule, tłusty miętus albo płotka, która mignęła na dole i na chwilę odbiła łuskami lub płetwami promień światła - nigdy nie można było rozpoznać dokładnie, co to jest właściwie, ale zawsze czarow-

nie piękny i kuszący był ten krótki stłumiony błysk zatopionych skarbów złotych na mokrym czarnym dnie.

Takie same jak te małe tajemnice wody, rozmyślał, były wszystkie prawdziwe tajemnice, wszystkie rzeczywiste, prawdziwe obrazy duszy: nie miały zarysów, nie miały kształtów, można je było tylko przeczuwać jak daleką, piękną możliwość, były przesłonięte i wieloznaczne. Tak jak tam w mroku, w zielonej toni na drżąca chwilę rozbłysło coś niewypowiedziane złotego albo srebrnego, coś błahego, a jednak pełnego najwspanialszych obietnic - tak samo mógł profil człowieka, na wpół widziany od tyłu, obwieścić czasem coś nieskończenie pięknego i niesłychanie smutnego albo też, kiedy nocą pod wozem ciężarowym wisiąta latarnia i malowała obracające się olbrzymie cienie szprych na murze, mogła ta gra cieni przez ciąg minuty być tak pełną zjaw, wydarzeń i historii jak cały Wergiliusz. Z tej samej nierzeczywistej, magicznej materii tkane były nocą sny: nicość, która zawierała w sobie wszystkie obrazy świata, woda, w której kryształe żyły kształty wszystkich ludzi, zwierząt, aniołów i demonów jako wiecznie czuwające możliwości.

Znowu zatonął wzrokiem w grze światła, patrzył, zadumany, na płynącą rzekę, widział bezkształtne blaski drgające na dnie, domyślał się koron królewskich i połyskujących ramion kobiecych. Niegdyś w Mariabronn, przypomniał sobie, widział w literach łacińskich i greckich podobne sny kształtów i czary przemian. Czyż nie rozmawiał wtedy o tym z Narcyzem? Ach, kiedyż to było, przed iluż wiekami? Ach, Narcyz! Aby go widzieć, aby z nim mówić przez godzinę, trzymać jego dłoń, słyszeć jego spokojny, mądry głos, chętnie oddałby swoje dwa złote dukaty.

Dlaczegoż te *rzeczy* były tak piękne, ten złoty połysk pod wodą, te cienie i przeczecucia, wszystkie te nierzeczywiste i czarodziejskie zjawiska - dlaczego były tak niewypowiedzianie piękne i uszczęśliwiające, gdy przecież stanowiły przeciwieństwo tego piękna, które mógł stworzyć artysta? Bo gdy piękność owych nie nazwanych przedmiotów była bez kształtu i składała się jedynie z tajemnicy, to z dziełami sztuki było zupełnie odwrotnie, były samym tylko kształtem, mówiły zupełnie jasno. Nic nie mogło być bardziej nieubłagane jasne i określone jak linia narysowanej czy wyrzeźbionej w drzewie głowy albo ust. Dokładnie, na włos dokładnie potrafiłby przerysować wargę dolną albo powiekę Madonny Mikołaja, nie było tam nic nieokreślonego, łudzącego, rozplływającego się.

Złotousty zastanawiał się nad tym z wysiłkiem. Nie mógł sobie uświadomić, jak to było możliwe, że rzeczy najbardziej określone i ukształtowane działały na duszę podobnie jak najbardziej nieuchwytnie i bezpostaciowe. Ale jedno stało się dlań przy tej pracy myśli jasne, mianowicie dlaczego tak wiele dzieł sztuki wykonanych dobrze i bez zarzutu nie podobało mu się zupełnie, i mimo niejkiej piękności wydawały mu się nudne i niemal nienawistne. Pracownie, kościoly i pałace pełne były takich fatalnych dzieł sztuki, on sam współpracował przy niektórych. Sprawiały one tak gorzkie rozczarowanie, ponieważ budziły pragnienie rzeczy najwyższych, ale pragnienia tego nie zaspokajały, gdyż brak im było głównej rzeczy: tajemnicy. Oto co miały wspólnego marzenie i najpiękniejsze dzieło sztuki: tajemnicę.

Dalej myślał Złotousty: tajemnicą jest to, co kocham, za czym gonię, co nieraz widziałem w krótkich przebłyskach i co jako artysta - jeśli to będzie dla mnie kiedyś możliwe - chciałbym przed-

stawić i wyrazić. Jest to postać wielkiej rodzicielki, pramatki, zaś tajemnica jej nie polega, jak tajemnica innej figury, na tym czy owym szczególe, na pełnej czy szczupłej postaci, na szorstkości czy wdzięku, sile czy powabie, ale na tym, że największe przeciwieństwa świata, które nie dają się połączyć, w tej postaci zawarły pokój i żyją razem narodziny i śmierć, dobroć i okrucieństwo, życie i zniszczenie. Gdybym był wymyślił sobie tę postać, gdyby była tylko grą mojej myśli lub ambitnym pragnieniem artysty, nie byłoby mi jej żal, mógłbym zrozumieć jej błędy i zapomnieć o niej. Ale pramatka nie jest myślą, gdyż nie wymyśliłem jej, tylko widziałem! Żyje ona we mnie, nieraz ją spotykałem; przeczułem ją po raz pierwszy, gdy w pewnej wsi, nocą zimową, musiałem trzymać światło nad łóżkiem rodzącej chłopki. Wówczas to obraz jej począł we mnie żyć. Często przez dłuższy czas bywa daleki i zamglony, ale potem budzi się znowu, i dzisiaj także. Obraz mojej własnej matki, niegdyś najdroższy mi, przemienił się zupełnie w ten nowy obraz, tkwi wewnątrz niego jak pestka w wiśni.

Wyraźnie odczuwał teraz swoje obecne położenie, lęk przed rozstrzygnięciem. Niemniej, jak wówczas przy pożegnaniu z Narcyzem i klasztorem, znajdował się na ważnej drodze: na drodze do matki. Może powstanie kiedyś widzialna, ukształtowana postać tej matki, dzieło jego rąk. Może to był cel, tam był ukryty sens jego życia. Może. Nie wiedział. Ale jedno wiedział: dobrze było iść za głosem matki, być w drodze ku niej, pociągany przez nią lub wzywany, było to życie. Może nigdy nie zdoła ukształtować jej obrazu, może pozostanie ona zawsze marzeniem, przecuciem, pokusą, złotym przebłyskiem świętej tajemnicy. Ale w każdym razie powinien iść za jej

głosem, jej powierzyć swój los, ona jest jego gwiazdą.

A oto decyzja była już bliska, wszystko stało się jasne. Sztuka była rzeczą piękną, ale nie była ani boginią, ani celem, dla niego nie! Nie za sztuką powinien pójść, ale za wołaniem matki. Na cóż by się zdało doskonalić sprawność swych palców? Na przykładzie mistrza Mikołaja można było widzieć, do czego to prowadziło, prowadziło do sławy i głośnego imienia, do pieniędzy i osiadłego życia, do zasuszenia i zaniku owych zmysłów wewnętrznych, dla których jedynie dostępna była tajemnica. Prowadziło to do sporządzania ładnych, kosztownych zabawek, do rozmaitych bogatych ołtarzy i ambon, świętych Sebastianów i kędzierzawych główek anielskich, po cztery talary sztuka. O, złoto w oku karpia i śliczny cienki puszek srebrny na skraju skrzydełka motyla były nieskończenie piękniejsze, żywsze, cenniejsze niż cała sala, pełna owych dzieł sztuki.

Drogą nad brzegiem rzeki szedł śpiewając chłopiec, niekiedy śpiew jego milkł, gdy malec odgryzał duży kawałek białego chleba, który niósł w rękę. Złotousty zobaczył go i poprosił o kawałek chleba, wydłubał dwoma palcami trochę miększu i robił z niego małe kulki. Przechyliwszy się przez murek rzucał kulki z chleba do wody, wolno jedną za drugą, widział, jak jasna kulka spadała do ciemnej wody i jak otaczały ją tłoczące się szybko głowy ryb, aż znikąca w jednym z pyszczków. Z głębokim zadowoleniem widział, jak kulka za kulką spadała i znikąca w wodzie. Potem uczuł głód i odwiedził jedną ze swoich kochanek, służącą w domu rzeźnika, którą nazywał „władczynią kiełbas i szynek”. Umówionym gwizdkiem wywabił ją do kuchennego okna i miał zamiar kazać sobie dać coś pożywnego do jedzenia, aby zabrać to i zjeść nad rzeką na jednym z porośłych winem pagórków,

których czerwona, tłusta ziemia tak mocno świeciła pod sytym listowiem winnym i gdzie wiosną kwitły małe niebieskie hiacynty, które tak delikatnie pachniały owocami pestkowymi.

Ale był dziś snadź dzień przejrzenia i decyzji. Gdy Katarzyna ukazała się w oknie i uśmiechnęła się, gdy wyciągnął już rękę, aby dać jej umówiony znak, przypomniał sobie nagle inne dni, kiedy podobnie stał tutaj i czekał. I z nużącą wyrazistością przewidział zarazem wszystko, co się stanie w następnych minutach: jak dziewczyna zrozumie jego znak i cofnie się, jak po chwili ukaże się w tylnych drzwiach domu, trzymając coś wędzonego w ręku, jak on przyjmie to i pogłaska ją przy tym, i przycisnie lekko do siebie - czego się po nim spodziewała - i nagle wydało mu się nieskończenie głupio i brzydko wywoływać znowu cały ten mechaniczny przebieg często przeżywanych rzeczy i odgrywać w nim swoją rolę, przyjmować kiełbasę, czuć tulące się do niego jędrne piersi i jakby we wzajemnym darze przycisnąć je nieco do siebie. Nagle zdawało mu się, że na jej poczciwej, szorstkiej twarzy widzi jakiś rys bezdusznego nawyknięcia, w jej życzliwym uśmiechu coś widzianego nazbyt często, coś mechanicznego i wyzbytego tajemnic, coś, co było jego niegodne. Nie zakreślił ręką do końca zwykłego skinienia, na twarzy jego zastygł uśmiech. Czyż kochał ją jeszcze, czy pożałował jej jeszcze naprawdę? Nie, zbyt wiele razy był już tutaj, zbyt wiele razy widział ten jednakowy zawsze uśmiech i bez popędu serca odpowiadał na niego. To, co wczoraj jeszcze potrafiłyby zrobić bez skrupułu, dzisiaj stało się dlań nagle niemożliwe.

Dziewczyna stała jeszcze i patrzyła, a on odwrócił się już i zniknął z uliczki, zdecydowany nie pokazywać się tam więcej. Niech inny głaska te piersi! Niech inny je te dobre kiełbasy! Ileż się

w ogóle w tym tłustym, zadowolonym mieście dzień w dzień żarło i trwoniło! Jak leniwi, jak rozpieszczeni, jak wybredni byli ci tędzy mieszczanie, dla których codziennie zarzynało się tyle wieprzy i cieląt i wyciągało z rzeki tyle pięknych, biednych ryb? A on sam jakież był rozpieszczony i zepsuty, jak ohydnie stał się podobny do tych tłustych mieszczuchów! Na wędrownce, na śnieżnym polu, nawet wysuszona śliwka albo stara skórka chleba bardziej smakowała niż tu, w dobrobycie, cała uczta. O wędrownko, o wolności, o wrzosowisko, opromienione księżycem, o starannie wypatrywane ślady zwierząt w szaro-wilgotnej trawie porannej! Tutaj w mieście, u osiadłych, wszystko odbywało się tak łatwo i kosztowało tak mało, nawet miłość. Miał tego dość, pluł na to! To życie tutaj utraciło sens, było kością bez szpiku. Było piękne i miało sens, póki mistrz był wzorem, a Elżbieta księżniczką; było znośne, póki pracował nad swoim Janem. Teraz koniec, woń uleciała, kwiat uwiadł. Gwałtowną falą objęło go uczucie znikomości, które często tak bardzo go dręczyło i tak bardzo oszałamiało. Prędko wszystko przekwitało, prędko wyczerpywała się wszelka rozkosz i nic nie pozostawało, tylko kości i proch. Owszem, jedno pozostawało: wieczna matka, prastara i wiecznie młoda, ze smutnym i okrutnym uśmiechem miłości. Znowu ujrzał ją na chwilę: olbrzymia, z gwiazdami we włosach, siedziała rozmarzona na skraju świata, niedbałą ręką zrywała kwiat za kwiatem, życie za życiem, i wolno rzucała je w bezdenną otchłań.

W owych dniach, gdy Złotousty widział, jak przekwitły szmat życia blednie za nim, gdy w smutnym oszołomieniu pożegnania włóczył się po znajomej okolicy, mistrz Mikołaj zadawał sobie wiele trudu, aby zatroszczyć się o jego przyszłość i zmie-

nić tego niespokojnego przybysza w człowieka osiadłego. Skłonił cech do wystawienia Złotoustemu listu mistrzowskiego i rozważał plan, aby go na stałe przywiązać do siebie nie jako podwładnego, lecz jako współpracownika, omawiać z nim i wykonywać wszystkie wielkie zamówienia i uczynić go współnikiem zysków. Może to było ryzyko, także z uwagi na Elżbietę, gdyż młodzieniec stałby się oczywiście niebawem jego zięciem. Ale takiego posagu jak święty Jan nie stworzyłby nigdy najlepszy nawet z czeladników, jakich Mikołaj kiedykolwiek opłacał, a on sam starzał się, pomysły jego i siła twórcza wyczerpywały się, nie chciał zaś, aby słynny jego warsztat spadł do roli zwykłej pracowni rzemieślniczej. Trudno będzie zapewne z tym Złotoustym, ale trzeba było spróbować.

Tak rozmyślał zatroskany mistrz. Rozbudowałby i powiększył dla Złotoustego tylny warsztat i wyporządził mu pokój na poddaszu, zaś na przyjęcie do cechu obdarzyłby go nowym, pięknym strojem. Ostrożnie zasięgnął też zdania Elżbiety, która od owego obiadu czekała na coś podobnego. I oto Elżbieta nie była przeciwna. Gdyby ten młodzian zaniechał wędrówki i został mistrzem, przyjęłaby go. I tu więc nie było trudności. A gdyby mistrzowi Mikołajowi i rzemiosłu nie udało się zupełnie poskromić tego Cygana, Elżbieta dokonałaby już tego ostatecznie.

W ten sposób ułożono wszystko i umieszczono w sidłach przynętę dla ptaszka. Pewnego dnia posłano po Złotoustego, który się już nie pokazywał, i zaproszono go ponownie do stołu, zjawił się znowu, wyczyszczony i uczesany, siedział znowu w pięknym, nieco zbyt uroczystym pokoju, trącał się znowu z mistrzem i córką mistrza, a gdy Elżbieta oddaliła się, Mikołaj wysunął swój wielki plan i propozycje.

- Zrozumiałeś mnie - dodał po swoim niezwykłym oświadczeniu - i nie potrzebuję ci mówić, że nigdy chyba żaden młodzieniec, nie odbywszy należytego terminu, nie zaawansował na mistrza i nie został umieszczony w ciepłym gniazdku. Szczęście twoje jest zabezpieczone, Złotousty.

Zdumiony i zmieszany spoglądał Złotousty na mistrza i odsunął od siebie kubek, który stał jeszcze przed nim na wpół pełny. Spodziewał się właściwie, że Mikołaj złąje go trochę za przehulane dni i zaproponuje mu, aby pozostał u niego jako pomocnik. A oto jak się sprawy miały. Smutny był i zakłopotany, że musi siedzieć tak naprzeciw tego człowieka. Nie znajdował od razu odpowiedzi.

Mistrz, z twarzą już nieco naprężoną i rozczarowaną, gdy zaszczytna jego propozycja nie została natychmiast przyjęta z radością i pokorą, wstał i rzekł:

- No, pomysł mój zaskoczył cię niespodzianie, może się najpierw nad tym zastanowisz. Uraziło mnie to trochę, co prawda, sądziłem, że zgotuję ci wielką radość. Ale wszystko jedno, zostawiam ci czas do namysłu.

- Mistrzu - rzekł Złotousty, szukając słów - nie gniewajcie się na mnie! Dziękuję wam z całego serca za życzliwość i dziękuję wam bardziej jeszcze za wyrozumiałość, z jaką traktowaliście mnie jako ucznia. Nigdy nie zapomnę, ile wam jestem dłużny. Ale nie potrzebuję czasu do namysłu, dawno się zdecydowałem.

- Na co się zdecydowałeś?

- Postanowiłem to, zanim jeszcze stawiłem się na wasze zaproszenie i zanim się dowiedziałem o waszej zaszczytnej propozycji. Nie pozostanę tu dłużej, odchodzę.

Mikołaj spojrział na niego pobladły, posępnym wzrokiem.

- Mistrzu - błagał Złotousty - wierzcie mi, że nie chcę was obrazić! Powiedziałem wam, na co się zdecydowałem. Niepodobna już tego zmienić. Muszę odejść, muszę wędrować, muszę się wydostać na wolność. Pozwólcie mi raz jeszcze podziękować serdecznie i rozstańmy się w przyjaźni.

Wyciągnął do niego rękę, bliski był łez. Mikołaj nie przyjął jego ręki, twarz mu zbladła i począł teraz szybko i coraz szybciej chodzić tam i z powrotem, krokami grzmiącymi z wściekłości. Nigdy nie widział go Złotousty w takim stanie.

Potem mistrz zatrzymał się nagle, opanował się ze straszliwym wysiłkiem i rzekł przez zęby, nie patrząc na Złotoustego:

- Dobrze, więc idź! Ale idź zaraz! Żebyś cię nie musiał widzieć więcej. Żebyś nie uczynił ani powiedział czegoś, czego bym pożałował. Idź!

Raz jeszcze wyciągnął do niego Złotousty rękę. Mistrz zrobił minę, jakby chciał splunąć na wyciągniętą dłoń. Wówczas Złotousty, który pobladł także, odwrócił się, cicho wyszedł z izby, włożył czapkę, zbiegł ze schodów przesuwając ręką po rzeźbionych przyczółkach poręczy, wstąpił na dole do małego warsztatu w dziedzińcu, stanął chwilę na pożegnanie przed swoim Janem i opuścił dom z bólem w sercu, z głębszym bólem, niżeli odczuwał niegdyś opuszczając zamek rycerski i biedną Lidie.

Przynajmniej szybko to poszło! Przynajmniej nie powiedziano nic zbytecznego! Jedynie ta myśl pocieszała go, kiedy przekraczał próg, i nagle ulica i miasto spojrzały mu w oczy ową zmienioną, obcą twarzą, jaką przybierają znajome przedmioty, gdy serce nasze pożegnało się już z nimi. Rzucił okiem na drzwi domu - były to teraz drzwi do obcego, zamkniętego dlań domu.

Przybywszy do swojej izdebki, zaczął Złotousty przygotowania do wędrowki. Co prawda niewiele

ich było; nic mu nie pozostawało, jak tylko pożegnać się. Wisiał tam na ścianie obraz, który on sam namalował, łagodna Madonna, i wisiały i leżały dokoła rzeczy, które były jego własnością: kapelusz niedzielny, para trzewików do tańca, zwój rysunków, mała lutnia, kilka ulepionych przez niego figurek glinianych, kilka podarków od kochanek: bukiet sztucznych kwiatów, rubinowy kielich, stary, stwardniały piernik w kształcie serca i inne podobne drobiazgi, z których każdy miał swoje znaczenie i swoją historię i był drogi, a teraz wszystko to było zbytecznym rupieciami, gdyż nic z tego nie mógł zabrać. Wymienił tylko u gospodarza rubinowy kielich na mocny, dobry nóż myśliwski, który wyostrzył o kamień na dziedzińcu, pokruszył piernik i nakarmił nim kury w sąsiednim podwórzu, podarował Madonnę gospodyni i dostał w zamian pożyteczny podarunek: stary skórzany tornister podróżny i spory zapas prowiantu na drogę. Do tornistra zapakował kilka koszul, które posiadał, i kilka mniejszych rysunków, nawiniętych na kawałek kija od szczotki, oraz jedzenie. Resztę musiał zostawić.

Wiele było w mieście kobiet, z którymi wypadałoby się pożegnać; u jednej z nich spał dopiero wczoraj w nocy, nie wspomniawszy jej o swoich planach. Tak, tak się człowiekowi to i owo czepiało stóp, kiedy chciał wędrować. Nie trzeba było traktować tego poważnie. Nie pożegnał nikogo prócz domowników. Uczynił to wieczorem, aby móc odejść o świcie.

Mimo to rankiem wstał ktoś i w chwili, gdy chciał właśnie cicho opuścić dom, zaprosił go do kuchni na polewkę mleczną. Była to córka gospodarza, piętnastoletnie dziecko, cicha, chorowita istotka o pięknych oczach, ale z kalekim biodrem, od czego utykała. Nazywała się Maria. Z nie

wyspaną twarzą, bardzo blada, ale starannie ubrana i uczesana, poczęstowała go w kuchni ciepłym mlekiem i chlebem i wydawała się bardzo smutna, że odchodził. Podziękował jej i na pożegnanie litośnie pocałował ją w wąskie usta. W skupieniu, z przymkniętymi oczyma, przyjęła ten pocałunek.

Rozdział trzynasty

W pierwszych czasach swojej nowej wędrówki, w pierwszym pożądanym upojeniu odzyskanej wolności, musiał się dopiero Złotousty uczyć na nowo prowadzenia bezdomnego i nie liczącego się z czasem życia wędrowca. Nikomu nie podlegli, nie mając celu przed sobą ani dachu nad głową, niczego nie posiadając i wystawieni na wszelkie przypadki, wiodą bezdomni swój dziecinny i dzielny, swój ubogi i mężny żywot. Są oni synami wygnanego z raju Adama i braćmi niewinnych zwierząt. Z ręki niebios przyjmują godzina za godziną wszystko, co im jest dane: słońce, deszcz, mgłę, śnieg, ciepło i zimno, pomyślność i niedolę, nie istnieje dla nich czas, nie istnieje historia ani nie istnieją owe dziwne bożki rozwoju i postępu, w które posiadacze domów tak rozpaczliwie wierzą. Wagabunda może być czuły albo brutalny, utalentowany albo głupkowaty, odważny albo tchórzliwy, ale zawsze w głębi serca jest dzieckiem, zawsze żyje w pierwszym dniu stworzenia, zanim się rozpoczęła historia świata, zawsze życiem jego kieruje niewiele popędów i potrzeb. Może być mądry albo głupi, może być głęboko świadom, jak ułomne i znikome jest wszelkie życie i jak żałośnie

i trwożliwie niesie wszelka żywa istota swoją odrobinę ciepłej krwi przez lód wszechświata, albo może tylko dziecinnie i pożądliwie słuchać rozkazów swego biednego żołądka - zawsze jest przeciwnieństwem i wrogiem śmiertelnym posiadającego i osiadłego, który go nienawidzi, gardzi nim i boi się, gdyż nie chce, aby mu przypominano to wszystko: znikomość wszelkiego bytu, nieustanne wędnięcie wszelkiego życia, nieubłagana lodowatą śmierć, która dokoła nas wypełnia wszechświat.

Dzieciństwo żywota wagabundy, jego macierzyńskie pochodzenie, jego odraza do praw i rozumu, jego bezbronność i potajemne nieustanne pobliże śmierci od dawna przeniknęły mu głęboko duszę i wycisnęły na niej piętno. A to, że mimo wszystko żyły w nim duch i wola, że został artystą - czyniło życie jego bogatym i trudnym. Każde życie przecież dopiero przez rozdwojenie i sprzeczności bogaci się i rozkwita. Czym byłyby rozsądek i trzeźwość, nie znające szału, czym byłaby rozkosz zmysłów, gdyby nie stała poza nią śmierć, i miłość bez wiecznej, na śmierć i życie, nienawiści płci?

Mijały lato i jesień, z trudnością przebijał się Złotousty przez skąpe miesiące, oszołomiony kroczył przez słodką, pachnącą wiosnę - pory roku uciekały tak spiesznie, tak szybko zniżał się zawsze bieg słońca, stojącego latem wysoko na niebie. Mijał rok za rokiem i zdawało się, jakoby Złotousty zapomniał, iż istnieje na ziemi coś innego jeszcze, nie tylko głód i miłość i ten cichy, niesamowity pośpiech pór roku; zdawało się, jakoby zatonął zupełnie w macierzyńskim praświecie instynktów. Ale w każdym marzeniu i każdej chwili, gdy odpoczywał, zadumany, mając przed oczyma kwitnące i wędnące doliny, tonał w nich wzrokiem, był artystą, cierpiał w dręczącej tęsknocie, aby móc

zakład duchem urocze, umykające w dal, niedorzeczne życie i nadać mu sens.

Od czasu owej krwawej przygody z Wiktorem wędrował zawsze tylko sam, ale kiedyś natknął się na towarzysza, który niepostrzeżenie przyłączył się do niego i którego przez długi czas nie mógł się pozbyć. Ale nie był on z gatunku Wiktora, był to pątnik, który odbył pielgrzymkę do Rzymu, młody jeszcze, w habicie i kapeluszu pielgrzymim, nazywał się Robert i pochodził znad Jeziora Bodeńskiego. Człowiek ten, syn rzemieślniczy, który przez pewien czas uczęszczał do szkoły mnichów świętego Gawła, już jako chłopiec wbił sobie w głowę pielgrzymkę do Rzymu, zawsze oddawał się tej ulubionej myśli i skorzystał z pierwszej sposobności, aby ją urzeczywistnić. Sposobnością tą była śmierć ojca, w którego warsztacie pracował jako stolarz. Zaledwie pochowano starego, Robert oświadczył matce i siostrze, że nic nie może go powstrzymać od natychmiastowego zaspokojenia jego pragnienia i podjęcia pielgrzymki do Rzymu dla odpokutowania własnych i ojca grzechów. Daremnie skarżyły się kobiety, daremnie łajały go, pozostał niewzruszony i zamiast zaopiekować się dwiema kobietami, bez błogosławieństwa matki, wśród gniewnych złorzeczeń siostry wyruszył w drogę. Motywem, który nim kierował, była przede wszystkim ochota do wędrowki, z którą łączyła się pewnego rodzaju powierzchowna pobożność, to znaczy skłonność do przebywania w pobliżu miejscowości kościelnych i urzędów duchownych, upodobanie do nabożeństw, chrzcin, pogrzebów, mszy, kadzideł i świec. Znał trochę łaciny, ale dziecięca jego dusza dążyła nie do uczoneści, tylko do kontemplacji i cichego marzycielstwa w cieniu sklepień kościelnych. Jako chłopiec namiętnie lubił służyć do mszy.

Złotousty nie traktował go zbyt poważnie, lubił go jednak, czując się z nim trochę spokrewniony przez instynktowne zamiłowanie do wędrówki i obczyzny. Robert wyruszył więc wówczas zadowolony i dotarł też aż do Rzymu, korzystał z gościnności niezliczonych klasztorów i plebanii, obejrzał sobie góry i Południe, a w Rzymie czuł się doskonale pośród kościołów i pobożnych obrzędów, wysłuchał setek mszy, w najsłynniejszych i najświetniejszych miejscach odmawiał pacierze i przystępował do sakramentów, i więcej wchłonał dymu kadzideł, niż potrzeba było dla jego drobnych grzechów chłopięcych i grzechów jego ojca.

Nie było go rok i dłużej, a gdy wreszcie powrócił i wszedł znowu w próg domu ojcowskiego, nie powitano go jak syna marnotrawnego; jego siostra, która zawładnęła tymczasem obowiązkami i prawami domowymi, przyjęła pilnego czeladnika stolarskiego i poślubiła go, rządziła teraz domem i warsztatem tak całkowicie, że przybyły brat po krótkim pobycie poczuł się tam zbyteczny. Nikt nie namawiał go do pozostania, gdy niebawem począł znowu mówić o odejściu i podróży. Nie przejął się tym, wziął od matki i siostry trochę uciulanego grosza, wystroił się znowu w szaty pątnicze i wyruszył w nową pielgrzymkę bez celu, na przełaj przez państwo, jako na wpół duchowny wędrowiec. Miedziane medale pamiątkowe znanych miejsc odpustowych i poświęcane różańce pobrząkiwały na nim.

W ten sposób spotkał się ze Złotoustym, wędrował z nim przez jeden dzień, wymieniał z nim doświadczenia włóczęgowskie, odłączał się w najbliższym miasteczku, tu i ówdzie zetknął się z nim znowu i wreszcie pozostał przy nim na stałe, jako zgodny i usłużny towarzysz podróży.

Złotousty podobał mu się bardzo, starał mu się przypodobać drobnymi usługami, podziwiał jego

wiedzę, jego odwagę, jego ducha i lubił jego zdrowie, siłę i szczerość. Przyzwyczajili się do siebie, gdyż i Złotousty był zgodny. Jednego tylko nie znosił: kiedy go opadł smutek albo zaduma, wtedy milczał uparcie i nie patrzył na towarzysza, jakby go nie widział, i wtedy nie wolno było gadać ani pytać, ani pocieszać, i trzeba było dać mu pokój i pozwolić milczeć. Robert nauczył się tego szybko. Odkąd zauważył, że Złotousty znał na pamięć wiele pieśni i wierszy łacińskich, odkąd usłyszał, jak przed portalem jakiejś katedry objaśniał kamienne figury, odkąd ujrzał, jak rysował czerwoną kredką na pustym murze, przy którym wypoczywali, szybkimi, wielkimi pociągnięciami naturalnej wielkości postacie, uważał swego towarzysza za ulubieńca Boga i niemal za czarownika. Że był też ulubieńcem kobiet i zdobywał niejedną spojrzeniem i uśmiechem, widział Robert także, podobało mu się to mniej, a jednak podziwiał to.

Podróż ich została raz przerwana w nieoczekiwany sposób. Pewnego dnia przybyli w pobliże jakiejś wsi, gdzie powitała ich gromada chłopów, uzbrojonych w kije, drągi i cepy, zaś przewodnik krzyknął im z daleka, żeby zawracali natychmiast i uciekali stąd na zawsze, do diabła, bo inaczej zostaną zabici. Gdy Złotousty zatrzymał się i pragnął dowiedzieć, co to się stało, trafił go zaraz kamień w pierś. Robert, za którym się obejrzał, zmykał jak opętany. Groźnie posuwali się chłopci naprzód i Złotoustemu nie pozostawało nic innego, jak wolniej podążyć za uciekającym. Drżąc czekał na niego Robert pod krzyżem ze Zbawicielem, stojącym pośrodku pola.

- Bohatersko zmykałeś - zaśmiał się Złotousty.
- Ale co się też tym gówniarzom uroiło w tępych łbach? Czyż jest wojna? Stawiają przed swoją norą zbrojne warty i nikogo nie chcą wpuszczać! Ciekaw jestem, co się za tym kryje!

Obaj nie wiedzieli tego. Dopiero następnego ranka poczynili pewne doświadczenia w stojącej samotnie zagrodzie chłopskiej i poczęli domyślać się tajemnicy. Zagroda ta, składająca się z chaty, stajni i stodoły i otoczona zielonym dziedzińcem z wysoką trawą i licznymi drzewami owocowymi, leżała dziwnie cicha i senna: ani głosu ludzkiego, ani kroku, ani krzyku dziecka, ani brzęku kos, nic nie było słychać; na dziedzińcu stała w trawie krowa i ryczała, a widać było po niej, że czas już było ją wydoić. Stanęli przed chatą, zapukali, nie otrzymali odpowiedzi; zajrzeli do stajni, która była otwarta i pusta, poszli do stodoły, na której słomianym dachu jasnozielony mech połyskiwał w słońcu, ale i tam nie spotkali żywej duszy. Powrócili do domu, zdziwieni i stropieni tym opustoszeniem osiedla, i raz jeszcze zapukali pięściami w drzwi, ale znowu nie otrzymali odpowiedzi. Złotousty spróbował je otworzyć i ku swemu zdumieniu przekonał się, że drzwi nie były zamknięte, pchnął je i wszedł do ciemnej izby.

- Niech będzie pochwalony - zawołał głośno, i:
- Nie ma nikogo w domu? - ale cisza panowała nadal.

Robert pozostał przed drzwiami. Ciekawość pchała Złotoustego naprzód. W chacie panował dziwny zapach, zły zapach i wstrętny. Ognisko pełne było popiołu, dmuchnął w nie, na dnie żarzyły się jeszcze iskry na zwęglonych polanach. I oto ujrzał w półmroku kogoś siedzącego w głębi za kominem; siedział tam ktoś na krześle i spał, zdawało się, że to była kobieta. Wołanie nie pomagało, dom wydawał się zaczarowany. Uprzejmie dotknął Złotousty ramienia siedzącej kobiety, nie poruszyła się, i teraz dopiero zobaczył, że siedziała pośród pajęczyny, której nici częściowo umocowane były do jej włosów i kolan.

„Nie żyje!” - pomyślał z lekkim dreszczem grozy, a chcąc się upewnić, zakrzętnął się koło ognia, grzebał w nim i dmuchał, aż wydobył płomień i zdołał zapalić długie łuczywo. Poświecił nim siedzącej w twarz. Pod siwymi włosami ujrzał sinoczną trupią twarz, jedno oko było otwarte i połyskiwało pusto, ołowianym blaskiem. Kobieta umarła tutaj, siedząc na krześle. No tak, nie można jej było pomóc.

Z płonąącym łuczywem w ręku szukał Złotousty dalej i w tej samej izbie, na progu drugiego pokoju, ujrzał leżącego jeszcze jednego trupa, chłopca lat może ośmiu czy dziewięciu, z obrzękłą, zniekształconą twarzą, w samej koszuli. Leżał brzuchem na belce progu, obydwie dłonie zaciśnięte miał w mocne, żałosne piąstki.

„To drugi” - pomyślał Złotousty i jak w ohydny śnie szedł dalej, do tylnej izby; okiennice były tam otwarte i dzień wpadał jasno. Ostrożnie zgasił łuczywo i zdeptał iskrę na podłodze.

W tylnej izbie były trzy łóżka. Jedno było puste, spod grubego, szarego prześcieradła wyglądała słoma. Na drugim leżał znowu ktoś, brodaty mężczyzna, leżał sztywno na grzbiecie, z przechyloną głową i podniesioną brodą; był to pewnie gospodarz. Zapadła jego twarz połyskiwała blade w niezwykłych barwach śmierci, jedno ramię zwiisało aż do ziemi, gdzie leżał przewrócony gliniany dzban, rozlana woda niezupełnie jeszcze wsiąkła w polepę, spłynęła w zagłębienie, gdzie widniała jeszcze mała kałuża. Na trzecim zaś łóżku leżała zagrzebana zupełnie i zawinięta w prześcieradło i koc silna, wysoka kobieta, twarz jej wciśnięta była w łóżko, twarde, słomiane włosy połyskiwały w jasnym świetle. Obok niej i spleciona z nią leżała, jakby uwikłana i zaduszona w skłębionej pościeli, niedorosła jeszcze dziewczynka, także

O jasnych jak słoma włosach, z szarosinymi plamami na martwej twarzy.

Wzrok Złotoustego przesuwiał się od jednego trupa do drugiego. Na twarzy dziewczęcia, choć była już bardzo zniekształcona, widniała jeszcze resztką bezradnej grozy przedśmiertnej. W karku i włosach matki, która tak dziko i głęboko wryła się w łożo, można było wyczytać wściekłość, trwogę i namiętne pragnienie ucieczki. Zwłaszcza nieposkromione włosy nie mogły się wcale poddać śmierci. Na obliczu wieśniaka był upór i zacięty ból, umarł - zdawało się - ciężką śmiercią, ale po męsku, brodata jego twarz sterczała, wysunięta prosto i sztywno naprzód, jak twarz leżącego na pobojowisku wojownika. Ta cicha i krnąbrnie wyprostowana, zawzięta nieco postawa była piękna: nielichy to chyba był i nietchórzliwy człowiek, co tak przyjął śmierć. Ale wzruszający był mały trupek chłopca, który leżał brzuchem na progu; twarz jego nie mówiła nic, ale położenie jego na progu i zaciśnięte piąstki głosiły wiele: bezradne cierpienie, daremną obronę przed niesłychanymi bólami. Tuż obok jego głowy wypiłowana była w drzwiach dziura dla kota. Złotousty obserwował wszystko uważnie. W chacie tej niewątpliwie wyglądało okropnie, a zaduch trupi był nieznośny: a jednak wszystko to miało dla Złotoustego jakąś siłę przyciągającą, wszystko to było pełne wielkości i przeznaczenia, tak prawdziwe, tak niekłamane, było w tym coś, co pozyskało jego miłość i przeniknęło mu do duszy.

Tymczasem Robert począł wołać przed domem, niecierpliw i zatrwożony. Złotousty lubił Roberta, a jednak pomyślał w tej chwili, jak bardzo żywy człowiek w swej trwodze, swej ciekawości, całym swoim dzieciństwem błahy jest i mały w porównaniu ze zmarłymi. Nie odpowiedział Robertowi:

pograżył się całkowicie w oglądaniu zmarłych, w owej dziwnej mieszaninie serdecznego współczucia i zimnej obserwacji, właściwej artystom. Dokładnie obejrzał leżące postacie, a także siedzącą: ich głowy, ręce, ruch, w jakim zamarli. Jak cicho było w tej zaczarowanej chacie! Jak dziwnie i jak przeraźliwie tu pachniało! Jak upiorne i smutne było to małe domostwo ludzi, w którym żarzyła się jeszcze resztką ognia na kominie, zamieszkałe przez trupy, całe napełnione i przeniknięte śmiercią! Niebawem opadnie tym cichym postaciom ciało z policzków, a szczury zeżrą ich palce. Co z innymi ludźmi działo się w trumnie i w grobie, w dobrym ukryciu i niewidocznie, ostatnia rzecz i najnędniejsza, rozkład i gnicie, to działo się z tymi pięciorgiem w tym domu w izbach, przy świetle dziennym, przy zamkniętych drzwiach, jawnie, bezwstydnie, bez osłony. Złotousty widział już niejednego zmarłego, ale takiego obrazu nieubłaganej pracy śmierci nie napotkał jeszcze. Wchłonał go w siebie głęboko.

Wreszcie przeszkodziły mu krzyki Roberta przed drzwiami chaty, wyszedł. Towarzysz spojrział na niego lękliwie.

- Co się stało? - zapytał po cichu, z trwogą w głosie. - Czy w domu nie ma nikogo? Jakże ty masz oczy? Mówże!

Złotousty zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Wejdz i zobacz, komiczna to chata chłopska. Potem wydoimy tę piękną krowę. Ruszaj!

Niezdecydowany wszedł Robert do chaty, skierował się do komina, odkrył siedzącą staruszkę, i spostrzegłszy, że nie żyje, krzyknął głośno. Szybko wybiegł z powrotem z wytrzeszczonymi oczyma.

- Na Boga! Koło komina siedzi tam martwa kobieta. Co to jest? Dlaczego nikogo przy niej nie

ma? Dlaczego jej nie grzebią? O Boże, czuć już przecież.

Złotousty uśmiechnął się.

- Jesteś wielkim bohaterem, Robercie, ale za szybko powróciłeś. Martwa staruszka, co siedzi tak na krześle, to dziwny widok, ale jeżeli pójdziesz kilka kroków dalej, możesz zobaczyć coś jeszcze dziwniejszego. Pięcioro ich jest, Robercie. W łózkach leży troje, a martwy chłopiec leży pośrodku, na progu. Wszyscy nie żyją. Cała rodzina leży martwa, dom jest wymarły. Dlatego też nikt nie wydoił krowy.

Z przerażeniem wlepił w niego Robert wzrok, potem zawołał nagle zdławionym głosem:

- O, teraz rozumiem tych chłopów, którzy nas wczoraj nie chcieli wpuścić do wsi. O Boże, teraz pojmuję wszystko. To zaraza! Na moją biedną duszę, Złotousty, to zaraza! A ty byłeś tam tak długo i może dotykałeś trupów. Precz, nie zbliżaj się do mnie, na pewno jesteś zarażony. Przykro mi, Złotousty, ale muszę odejść, nie mogę z tobą zostać.

Chciał już uciekać, ale Złotousty przytrzymał go za płaszcz pielgrzymi; spojrział na niego surowo z niemą naganą i nieubłaganie mocno przytrzymał go mimo oporu i wzdrania.

- Mój malcze - rzekł tonem przyjacielsko-drwiącym - jesteś mądrzejszy, niżby można przypuszczać, prawdopodobnie masz rację. Ano, dowiemy się tego w najbliższym dworze albo wsi. Prawdopodobnie w okolicy tej panuje zaraza. Ale puścić cię, mały Robercie, nie mogę. Widzisz, jestem litościwym człowiekiem, mam o wiele za miękkie serce, a kiedy pomyślę, że mogłeś się tam w chacie zarazić, a ja pozwoliłbym ci odejść i położyłbyś się gdzieś w polu, żeby umierać, zupełnie sam, i nikt by ci oczu nie zamknął, nikt nie wykopał grobu

ani nie rzucił garści ziemi - nie, drogi przyjacielu, kiedy o tym pomyślę, dławi mię żal. Więc uważaj i zapamiętaj sobie dobrze, co powiem, nie powtórzę tego po raz drugi: obaj znajdujemy się w jednakowym niebezpieczeństwie, śmierć może spotkać ciebie albo mnie. Więc pozostaniemy razem i obaj razem albo zginiemy, albo uciekniemy przed tą przekłętą zarazą. Gdybyś ty zachorował i umarł, zostaniesz przeze mnie pogrzebany, możesz na to liczyć. A gdyby mnie to spotkało, pochowaj mię albo ucieknij, wszystko mi jedno. Ale do tego czasu, mój drogi, nie wolno zmykać, zapamiętaj to sobie! Będziemy sobie nawzajem potrzebni. A teraz stul buzię, nie chcę nic słyszeć, i poszukaj gdzieś w oborze skopka, żebyśmy mogli nareszcie wydoić krowę.

Tak się też stało, i od tej chwili Złotousty był tym, który rozkazywał, Robert tym, który słuchał, i dobrze im było razem. Robert nie próbował więcej ucieczki. Rzekł tylko pojednawczo:

- Przez chwilę lękałem się ciebie. Nie podobała mi się twoja twarz, kiedy powróciłeś z domu umarłych. Myślałem, że złapałeś zarazę. Ale jeśli to nawet nie zaraza, twarz twoja stała się inna. Czy takie straszne było to, co tam widziałeś?

- Nie było straszne - rzekł Złotousty z wahaniem. - Nie widziałem tam nic innego jak tylko to, co czeka mnie i ciebie, i wszystkich, nawet jeżeli nas nie dosięgnie zaraza.

Gdy ruszyli dalej, niebawem wszędzie poczęli napotykać czarną śmierć, która władała krajem. Niektóre wsie nie wpuszczały obcych, w innych mogli bez przeszkód chodzić po wszystkich drogach. Wiele dworów było opuszczonych, wiele nie pogrzebanych trupów gniło w polu albo w izbach. W oborach ryczały nie wydojone lub wygłodniałe krowy, albo też było biegało dziko po polach.

Wydoili i nakarmili niejedną krowę i kozę, zarżnęli i upiekli na skraju lasu niejedno koźlą i prosię i spijali wino i moszcz z bezpieczeństwa piwnic. Dobrze mieli życie, wszystkiego dostatek. Ale na pół im tylko smakowało. Robert żył w nieustannej trwodze przed zarazą, a na widok trupów robiło mu się niedobrze, często bywał zupełnie nieprzytomny ze strachu; ciągle zdawało mu się, że jest zarażony, długo trzymał głowę i ręce w dymie ogniska - uchodziło to za zbawienne - we śnie obmacywał się nawet, czy na nogach, na ramieniu, pod pachami nie ukazują się guzy.

Złotousty karcił go często, często drwił z niego. Nie podzielał jego lęku ani jego wstretu; siedł w naprężeniu i ponuro przez krainę śmierci, dziwnie pociągany przez widok wielkiego konania, z duszą pełną niezmierzonej jesieni, z sercem ciężkim od pieśni tnącej kosi. Niekiedy ukazywał mu się znowu obraz wiecznej matki, blade, olbrzymie oblicze o oczach Meduzy, z bolesnym uśmiechem pełnym cierpienia i śmierci.

Przybyli kiedyś do małego miasteczka; było ono mocno obwarowane, od bramy biegł po całym murze miejskim krużganek na wysokość domu, ale żadnego wartownika nie było na górze, żadnego w otwartych wrotach. Robert wzbraniał się wejść do miasta i zaklinał też towarzysza, aby tego nie czynił. Tymczasem usłyszeli dźwięk dzwonu, przez wrota wyszedł kapłan, z krzyżem w rękach, a za nim jechały trzy wozy, dwa zaprzężone w konie, a jeden w parę wołów, a wozy te aż do szczytu napełnione były trupami. Kilku pachotków w dziwnych płaszczach, z twarzami ukrytymi głęboko w kapturach, biegło obok i poganiało zwierzęta.

Robert cofnął się z pobladłą twarzą. Złotousty siedł w niewielkim oddaleniu za wozami śmierci; w odległości kilkuset kroków - nie było tam cmen-

tarza - w szczerym polu wykopany był dół, tylko na trzy szpadle głęboki, ale wielki jak sala. Złotousty przystanął i patrzył, jak pacholowie dragami i bosakami ściągali trupy z wozów i spychali je do wielkiego dołu, jak kapłan pomrukując wzniosł nad nimi swój krzyż i odszedł, jak pacholowie ze wszystkich stron płaskiego grobu pozapalali wielkie ogniska i w milczeniu pobiegli z powrotem do miasta, a nikt nie pomyślał nawet o zakopaniu dołu. Spojrzał w grób, leżało tam pięćdziesiąt albo i więcej trupów, rzuconych na kupę, przeważnie nagich. Sztynno i żałośnie sterczało tu i ówdzie w powietrzu ramię albo noga, jakaś koszula słabo powiewała na wietrze.

Kiedy wrócił, Robert błagał go niemal na kolana, aby jak najszybciej poszł dalej. Miał powód do tego błagania; w nieprzytomnym wzroku Złotoustego widział już owo aż nazbyt mu znane zatopienie się w myślach i bezwład, owo odwrócenie się ku zgrozie, ową strasliwą ciekawość. Nie udało mu się powstrzymać przyjaciela. Złotousty poszedł do miasta sam.

Wszedł przez nie strzeżoną bramę, a słysząc echo swych kroków na bruku, uprzytomnił sobie wiele miasteczek i bram, przez które tak wędrował, i przypomniał sobie, jak witały go tam krzyki dzieci, zabawy chłopców, kłótnie kobiet, stuk młotów kowalskich na dźwięcznych kowadłach, turkot wozów i wiele innych dźwięków, delikatnych i ostrych szmerów, których zgiełk spleciony w sieć wieścił różnoraką pracą ludzką, radość i zapobiegliwość. Tutaj, w tych pustych wrotach i na tych bezludnych ulicach, nie brzmiało nic, nie śmiało się nic, nie krzyczało nic, wszędzie panował bezwład śmiertelnego milczenia, w którym pluskająca melodia wody w studziencie brzmiała za głośno i niemal hałaśliwie.

Za otwartym oknem widać było piekarza pośród bochenków i bułek. Złotousty wskazał na jedną z bułek, a piekarz podał mu ją ostrożnie na długiej szufli, zaczekał, aż Złotousty położy mu na szufli pieniądze, i zamknął okienko gniewnie, ale nie złorzecząc, gdy wędrowiec ugryzł bułkę i odszedł nie płacąc. Przed oknami jakiegoś ładnego domu stał szereg doniczek glinianych, w których zwykle kwitły kwiaty, a teraz uschłe liście zwisały z pustych skorup. Z innego domu dochodziło łkanie i zawođenje głosów dziecięcych. Ale w najbliższej uliczce ujrzał Złotousty za oknem ładną dziewczynę, czeszącą włosy; patrzył na nią, aż poczuła jego wzrok i spojrzała w dół, przyglądała mu się zaczerwieniona, a kiedy uśmiechnął się do niej uprzejmie, po jej twarzy przebiegł z wolna słaby uśmiech.

- Czeszesz się? - zawołał w górę.

Z uśmiechem wychyliła jasną twarz z okna.

- Jeszcze nie chora? - zapytał, a ona potrząsnęła głową. - Więc uchodź ze mną z tego miasta umarłych, pójdziemy do lasu i będziemy sobie dobrze żyli.

Zrobiła pytającą minę.

- Nie namyślaj się długo, mówię poważnie - zawołał Złotousty. - Czy jesteś u ojca i matki, czy u obcych ludzi w służbie? - U obcych. - Więc chodź, kochane dziecko; niech starcy umierają, my jesteśmy młodzi i zdrowi i chcemy jeszcze trochę użyć. Chodź, czarnuszek, mówię poważnie.

Patrzyła na niego badawczo, wahając, zdziwiona. Poszedł wolno dalej, wałęsał się po jednej i drugiej bezludnej ulicy i wolno powrócił. Dziewczyna stała jeszcze ciągle wychylona w oknie i uradowała się, że wrócił. Skinęła na niego, Złotousty poszedł dalej, dziewczyna nadeszła niebawem, jeszcze przed wrotami dogoniła go, z małym węzełkiem w rękę, w czerwonej chustce na głowie.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Lena. Idę z tobą. Ach, tak źle jest tu w mieście, wszyscy umierają. Precz stąd, tylko precz!

W pobliżu bramy miasta siedział skulony na ziemi Robert. Zerwał się, gdy Złotousty nadszedł, i otworzył szeroko oczy ujrawszy dziewczynę. Tym razem nie od razu się poddał, lamentował i robił sceny. Że ktoś z tego przeklętego ogniska zarazy zabiera sobie jakąś osobę i że wymaga od niego, aby znosił jej towarzystwo, to bardziej niż szalone, to kuszenie Boga, a on się nie godzi, nie idzie dalej, jego cierpliwość się wyczerpała.

Złotousty pozwolił mu kłąć i skarżyć się, aż przycichł.

- Tak - rzekł - dosyć już tego zawodzenia. Pójdiesz razem z nami i będziesz się cieszył, że mamy taką ładną towarzyszkę. Nazywa się Lena i zostanie ze mną. Ale teraz i tobie sprawię przyjemność, Robercie, słuchaj: będziemy teraz przez pewien czas żyli w spokoju i zdrowiu i schodzili zarazie z drogi. Wyszukamy sobie jakieś ładne miejsce z pustą chatą albo sami sobie chatę zbudujemy, ja z Leną będziemy tam gospodarzem i gospodynią, a ty, jako nasz przyjaciel, będziesz mieszkał z nami. Będzie nam dobrze i miło. Zgoda?

O tak. Robert godził się chętnie. Gdyby tylko nie wymagano od niego, aby podawał Lenie rękę albo dotykał jej sukien...

- Nie - rzekł Złotousty - to nie będzie wymagane. Będzie ci nawet surowo wzbronione dotknąć Leny choćby jednym palcem. Niech ci to nawet na myśl nie przyjdzie.

Ruszyli we troje dalej, początkowo milcząc, potem dziewczyna z wolna zaczęła mówić, jak się cieszy, że znowu widzi niebo i drzewa, i łąki, że tak okropnie było w tym zapowietrzonym mieście, nie do wypowiedzenia. I zaczęła opowiadać i roz-

taczać smutne i okropne obrazy, jakie musiały oglądać. Wiele opowiadała historii, strasznych historii, miasteczko musiało być piekłem. Z dwóch lekarzy jeden umarł, drugi chodził tylko do bogatych, a w wielu domach leżały trupy i gniły, bo nikt ich nie zabierał, w innych zaś domach pachółkowie grabarscy kradli, gwałcili i dopuszczali się wszeteczeństw, a często porywali wraz z trupami także żywych chorych z łóżek i rzucali ich na swoje rakarskie wozy i razem z trupami wrzucali do dołów. Wiele złęgo opowiadała; nikt jej nie przerywał, przerażony Robert przysłuchiwał się pożądliwie, a Złotousty był cichy i obojętny, pozwalał się zgroznie wyładować i nie mówił nic. Bo i cóż można było powiedzieć? Wreszcie Lena zmęczyła się, potok wysechł, zabrakło jej słów. Wówczas Złotousty począł iść wolniej i śpiewać bardzo cicho pieśń o wielu strofach, a z każdą strofą głos jego stawał się pełniejszy; Lena poczęła się uśmiechać, a Robert słuchał uszczęśliwiony i bardzo zdziwiony - nigdy dotąd nie słyszał, aby Złotousty śpiewał. Złotousty umiał wszystko. Oto chodził i śpiewał, jakież to dzielny człowiek! Śpiewał pięknie i czysto, ale głosem stłumionym. Zaś Lena przy drugiej piosence nuciła już cicho, a niebawem przyłączyła się pełnym głosem.

Miało się pod wieczór, daleko za wrzosowiskiem stały czarne lasy, a za nimi błękitne, niskie góry, które jakby od wewnątrz stawały się coraz błękitniejsze. To radośnie, to uroczyście brzmiał w takt kroku śpiew Złotoustego i Leny.

- Taki dziś jesteś zadowolony - rzekł Robert.

- Tak, jestem zadowolony, naturalnie, że jestem dzisiaj zadowolony, znalazłem taką ładną kochankę. Ach, Leno, jak to dobrze, że pachółkowie grabarscy pozostawili mi ciebie. Jutro znajdziemy jakąś małą ojczyznę, będzie nam tam dobrze i ra-

dzi będziemy, że mamy jeszcze całe ciało i wszystkie kości. Leno, czy widziałaś już kiedy jesienią w lesie ten gruby grzyb, który ślimaki tak lubią i który można jeść?

- O tak - zaśmiała się - wiele razy go widziałam.

- Właśnie tak brunatne są twoje włosy, Leno. I tak samo mile pachną. Może zaśpiewamy jeszcze? A może jesteś głodna? Mam jeszcze coś dobrego w tornistrze.

Nazajutrz znaleźli to, czego szukali. W małym lasku brzozowym stała buda z surowych belek, może zbudowana kiedyś przez drwali albo myśliwych. Była pusta, drzwi łatwo dały się wyłamać i Robert nawet uznał, że jest to doskonała buda i zdrowa okolica. Po drodze spotkali kozy, które pasły się bez opieki, i zabrali z sobą jedną.

- No, Robercie - rzekł Złotousty - chociaż nie jesteś cieślą, to jednak byłeś kiedyś stolarzem. Chcemy tu mieszkać, musisz więc zbudować przepierzenie w naszym zamku, abyśmy mieli dwie izby, jedną dla Leny i dla mnie, drugą dla ciebie i kozy. Jedzenia mamy już niewiele, musimy się dzisiaj zadowolić kozim mlekiem, czy go będzie dużo, czy mało. Zbuduj więc ściankę, a my dwoje przygotowujemy posłania dla nas wszystkich. Jutro pójdę po żywność.

Wszyscy zabrali się zaraz do roboty. Złotousty i Lena poszli po ściótkę, po paprocie, po mech na posłania, zaś Robert naostrzył swój noż na polnym kamieniu, aby naciać palików na ściankę. Ale nie mógł się z tym uporać jednego dnia, więc wieczorem poszedł spać do lasu.

Złotousty znalazł w Lenie słodką towarzyszkę, łekliwą i niedoświadczoną, ale pełną miłości. Łagodnie przytulił ją do piersi i czuwał długo jeszcze, i słyszał bicie jej serca, gdy ona dawno już zasnęła,

zmęczona i nasycona. Wąchał jej brunatne włosy, tulił się do niej i myślał zarazem o owym wielkim, płaskim dole, do którego zamaskowane diabły rzucały całe wozy trupów. Piękne było życie, piękne i nietrwałe było szczęście, pięknie i szybko wiodła młodość.

Bardzo ładnie udało się przepierzenie w budzie, ostatecznie pracowali nad nim wszyscy troje. Robert chciał pokazać, co umie, opowiadał z zapamiętaniem, co by to on zbudował, gdyby tak miał warsztat stolarski i narzędzia, i kątownik, i gwoździe. Ale że nie miał nic prócz noża i rąk, zadowolił się tym, że ściał tuzin brzózek i zbudował z nich w budzie mocny, surowy płot. Odstępy zaś między palami - tak zarządził - trzeba było wypełnić plecionką z jałowca. Wymagało to czasu, odbywało się wesoło i szybko, wszyscy pomagali.

Czasem Lena musiała iść na jagody albo zajrzeć do kozy, a Złotousty w krótkich wycieczkach przeszukał okolicę, szperał za pożywieniem, badał sąsiedztwo i przynosił to i owo. Nigdzie w pobliżu nie było ludzi, z czego szczególnie Robert bardzo był zadowolony, nie trzeba było się obawiać zarażenia ani wrogich kroków; miało to jednak tę złą stronę, że mało można było znaleźć jedzenia.

W pobliżu znajdowała się opuszczona chata chłopska, tym razem bez trupów, tak że Złotousty zaproponował, aby ją obrać za kwatery zamiast ich budy z belek, ale Robert wzbraniał się z odrazą i niechętnie widział, że Złotousty wszedł do pustego domu; każdy zaś przedmiot przyniesiony stamtąd musiał być wpierw wykadzony i umyty, zanim go Robert dotknął. Niewiele tego było, co Złotousty tam znalazł, ale jednak dwa zydle, skopek do mleka, kilka naczyń glinianych, siekiere, a któregoś dnia złapał w polu dwie zbiegłe kury. Lena była zakochana i szczęśliwa, a wszystkich

bawiło budowanie i upiększanie co dzień ich małego domu. Chleba nie mieli, natomiast zdobyli jeszcze drugą kozę, znaleźli też półko z rzeżą. Mijał dzień za dniem, pleciona ścianka była gotowa, poprawiono posłania i zbudowano ognisko. Strumień był niedaleko, wodę miał przejrzystą i słodką. Często śpiewano przy pracy.

Pewnego dnia, kiedy wspólnie pili mleko i chwaili swoje życie domowe, Lena rzekła nagle zadumany tonem:

- Ale jak to będzie, kiedy przyjdzie zima?

Nikt nie odpowiedział. Robert roześmiał się, Złotousty dziwnie jakoś popatrzył przed siebie. Z wolna spostrzegła Lena, że nikt nie myślał o zimie, że nikt nie zamierzał poważnie pozostać tak długo w tym miejscu, że dom ten nie był domem rodzinnym, że znajdowała się między włościami. Zwiesiła głowę.

Wówczas Złotousty rzekł swobodnie i zachęcająco jak do dziecka:

- Jesteś córką wieśniaków, Leno, oni wybiegają troskami daleko naprzód. Nie lękaj się, trafisz znowu do domu, kiedy przeminie ten czas zarazy, nie będzie przecież trwała wiecznie. Wtedy pójdziesz do rodziców, czy kogo tam masz, albo pójdziesz znowu do miasta na służbę i będziesz miała utrzymanie. Ale teraz jest jeszcze lato i wszędzie w okolicy włada śmierć, tutaj zaś jest ładnie i dzieje nam się dobrze. Dlatego zostaniemy tutaj tak długo albo tak krótko, jak nam się spodoba.

- A potem? - zapytała Lena gwałtownie. - Po-
tem wszystko się skończy? I ty odejdziesz? A ja?

Złotousty ujął jej warkocz i pociągnął lekko.

- Małe głupie dziecko - rzekł - czy zapomniałaś już o pachółkach grabarskich i o wymarłych domach, i o wielkim dole przed bramą miasta, gdzie palą się ogniska? Bądź rada, że nie leżysz w tym

dole, a deszcz nie pada na twoją koszulkę. O tym powinnaś myśleć, że uciekłaś, że zachowałam jeszcze kochane życie i możesz się jeszcze śmiać i śpiewać.

Nie była jednak zadowolona.

- Ale ja nie chcę odchodzić znowu - skarżyła się - i nie chcę cię puścić od siebie, nie można się przecież radować, kiedy się wie, że wszystko skończy się rychło i ma przeminąć!

Złotousty odpowiedział jeszcze raz, życzliwie, ale z ukrytym tonem groźby w głosie:

- Nad tym, mała Leno, łamali już sobie głowę wszyscy mędrcy i święci. Nie ma szczęścia, które by trwało długo. A jeżeli ci to, co teraz mamy, nie wystarcza i nie sprawia już radości, to podpalę budę w tej chwili, i każde z nas pójdzie swoją drogą. Daj pokój, Leno, nie mówmy już o tym.

Na tym stanęło, a Lena poddała się, ale na radość jej padł cień.

Rozdział czternasty

Zanim jeszcze lato przekwitło zupełnie, życie w budzie skończyło się inaczej, niż sądzili. Pewnego dnia Złotousty długo wałęsał się z procą na ptaki po okolicy w nadziei, że ubije kuropatkę albo jakąś inną zwierzynę, gdyż pożywienie stało się dość skąpe. Lena znajdowała się w pobliżu i zbierała jagody, niekiedy przechodził obok tego odcinka lasu i dostrzegał nad krzakami jej głowę na brunatnej szyi, wystającą z płóciennej koszuli, albo słyszał jej śpiew; raz złasował u niej trochę jagód, potem ruszył dalej i przez pewien czas nie widział jej-

Myślał o niej na wpół czule, na wpół gniewnie, gdyż znowu mówiła o jesieni i o przyszłości i że zdaje się jej, iż jest brzemienna, i że go nie puści od siebie. „Teraz skończy się to niedługo - myślał - niedługo będzie już dość, wtedy pójde sam i zostawię także Roberta, postaram się pod zimę dotrzeć znowu do wielkiego miasta, do mistrza Mikołaja, pozostanę tam przez zimę, a na wiosnę kupię sobie nowe dobre buty i wyruszę w drogę, i przebiję się, aż zajdę do naszego klasztoru do Mariabronn i będę mógł powitać Narcyza - przecież to pewnie dziesięć lat, jak go nie widziałem.

Muszę go znowu zobaczyć, chociażby na dzień lub dwa."

Niezwykły dźwięk zbudził go z zamyślenia, i nagle uświadomił sobie, jak wszystkimi myślami i pragnieniami był już daleko stąd. Począł bacznie nadśłuchiwać, trwożny ów dźwięk powtórzył się, zdawało mu się, że poznaje głos Leny, i poszedł w tę stronę, chociaż nie podobało mu się, że go wołała. Niebawem był już dość blisko, tak, to był głos Leny; w wielkiej trwodze wołała go po imieniu. Podbiegł szybciej, ciągle jeszcze trochę zagniewany, ale przy ponownych jej krzykach litość i niepokój zwyciężyły. Kiedy ją wreszcie mógł ujrzeć, siedziała czy kłęczała na łące w podartej koszuli i krzycząc zmagła się z jakimś człowiekiem, który chciał ją zgwałcić. Długimi susami nadbiegł Złotousty, a cały gniew, niepokój i smutek, jakie w nim były, wyładowały się w obłądnej wściekłości przeciwko obcemu zbrodniarzowi. Skoczył na niego, gdy już zupełnie przyciskał Lenę do ziemi, naga jej pierś krwawiła, nieznajomy obejmował ją pożądliwie. Złotousty rzucił się na niego i wściekłymi dłońmi ścisnął mu gardło, które wydawało się pod palcami chude i żylaste, i porośnięte było wełnistą brodą. Z rozkoszą dusił go Złotousty, aż tamten wypuścił dziewczynę i bezwładnie zwił mu w rękach, dławiąc go dalej włókł bezsilnego i na wpół martwego człowieka aż do kilku szarych skał, nago sterczących z ziemi. Tutaj, mimo całego ciężaru pokonanego, podniósł go dwa, trzy razy do góry i uderzył jego głową o kanciaste skały. Odrzucił ciało ze strzaskanym karkiem, gniew jego nie był jeszcze nasycony, chciałyby się dalej jeszcze pastwić nad nim.

Lena przyglądała się rozpromieniona. Pierś jej krwawiła, drżała na całym ciele i chwytiała powietrze ustami, ale podniosła się szybko i nieprzytom-

nym wzrokiem, pełnym rozkoszy i podziwu, patrzała, jak mocny jej kochanek powłókł napastnika, jak go dusił, jak mu złamał kark i jak odrzucił od siebie jego trupa. Niby zdeptany wąż leżał zabity, bezwładny i skulony, szara jego twarz z kudłatą brodą i rzadkimi, nędznymi włosami zwisała żałośnie do tyłu. Z okrzykiem radości zerwała się Lena i rzuciła się Złotoustemu na serce, ale nagle pobladła, groza przenikała ją jeszcze, zrobiło się jej niedobrze i padła wyczerpana na trawę. Ale niebawem była w stanie wrócić ze Złotoustym do szałas. Złotousty obmył jej pierś, była podrapana, a na jednej piersi miała ranę od zębów potwora.

Robert bardzo był tą przygodą podniecony, gorączkowo wypytywał o szczegóły walki.

- Kark mu skręciłeś, powiadasz? Wspaniale! Złotousty, trzeba się ciebie lękać.

Ale Złotousty nie chciał więcej o tym mówić, ochłódł już, a kiedy odchodził od trupa, pomyślał o biednym fanfaronie Wiktorze i że oto już drugi człowiek zginął z jego ręki. Aby się pozbyć Roberta, rzekł:

- Ale teraz i ty mógłbyś coś zrobić. Idź tam i usuń trupa. Jeżeli będzie za trudno wykopać mu grób, to musisz go zanieść w sitowie nad jezioro albo dobrze nakryć kamieniami i ziemią.

Żądanie to zostało jednak odrzucone, z trupami nie chciał mieć Robert nic do czynienia, nigdy nie można było wiedzieć, czy nie tkwi w którymś jadu zarazy.

Lena położyła się w budzie. Ukąszenie w pierś bolało ją, ale niedługo poczuła się lepiej, wstała, rozdmuchała ogień i ugotowała mleko na wieczór; była w bardzo dobrym humorze, ale została wcześniej wysłana do łóżka. Usłuchała jak owieczka, tak bardzo podziwiała Złotoustego. Złotousty

był milczący i ponury; Robert znał to już, więc pozostawił go w spokoju. Gdy Złotousty kładł się późno na swoje pośłanie, pochylił się nadśluchując nad Leną. Spała. Czuł się niespokojny, myślał o Wiktorze, ogarniał go lęk i przemożna chęć wędrowania, czuł, że skończyła się zabawa w życie osiadłe. Ale zastanowiło go coś szczególnie. Dojrzał wzrok, z jakim Lena patrzyła na niego, kiedy potrząsnął martwym napastnikiem i odrzucił go. Dziwny to był wzrok, wiedział, że nigdy go nie zapomni: z szeroko rozwartych, przerażonych i zachwyconych oczu promieniowała jakaś duma, jakiś triumf, jakaś głęboka, namiętna współrozkosz w zemście i zabijaniu, jakiej nigdy na twarzy kobiecej nie widział ani przeczuwał. Gdyby nie to spojrzenie, myślał, może by później, kiedyś, z latami, zapomniał twarz Leny. To spojrzenie uczyniło jej chłopską twarz wspaniałą, piękną i straszliwą. Od wielu miesięcy oczy jego nie przeżyły niczego, co przeniknęłoby go pragnieniem: „To trzeba by narysować!” Przy tym spojrzeniu odczuł z jakąś zgrozą to pragnienie.

Ponieważ nie mógł spać, wstał wreszcie i wyszedł na dwór. Było chłodno, lekki wiatr igrał między brzoźami. Złotousty przechadzał się w ciemności, usiadł potem na kamieniu i zatonął w zadumie i głębokim smutku. Żał mu było Wiktora, żał mu było tego człowieka, którego zabił dzisiaj, żał mu było straconej niewinności i dziecięctwa swojej duszy. Czy po to odszedł z klasztoru, opuścił Narcyza, obraził mistrza Mikołaja i wyrzekł się pięknej Elżbiety, aby obozować teraz po wrzosowiskach, czatować na zbiegłe bydło, aby tam przy skałach zabić tego biedaka? Czy to wszystko miało sens, czy warto było to przeżyć? Serce ścisnęło mu się z pogardy dla siebie. Przechylił się w tył, leżał rozciągnięty na plecach i wpatrywał się w blade

chmury nocne tak długo, aż opuściły go myśli; nie wiedział, czy wpatruje się w chmury na niebie, czy w posępny świat własnego wnętrza, naraz, w chwili gdy zasypiał na kamieniu, ukazało mu się jak w błyskawicy na mknących obłokach blade i wielkie oblicze, oblicze Ewy o spojrzeniu ponurym i zasnutym mgłą - nagle oblicze rozwarło szeroko oczy, wielkie oczy, pełne rozkoszy i pełne żądzы mordu. Złotousty spał, aż przemoczyła go rosa.

Nazajutrz Lena była chora. Zostawiono ją w budzie, wiele było do roboty. Robert spotkał rano w lasku dwie owce, które zaraz uciekły przed nim, przyszedł po Złotoustego, gonili przeszło pół dnia i złapali jedną z owiec; bardzo byli zmęczeni, kiedy pod wieczór powrócili ze zwierzęciem. Lena czuła się bardzo źle. Złotousty obejrzał ją i zbladł, znalazł guzy dzумы. Ukrył to, ale Robert powziął podejrzenie, gdy usłyszał, że Lena jest jeszcze chora, i nie chciał zostać w budzie. Powiedział, że wyszuka sobie w lesie legowisko, a kozę zabierze także, i ona mogłaby się zarazić.

- Więc wynoś się do diabła - krzyknął nań Złotousty wściekły - nie chcę cię widzieć więcej.

Chwycił kozę i zabrał ją do siebie za przepierzenie. Robert znikł bezszelestnie, bez kozy, niedobrze mu się zrobiło ze strachu, ze strachu przed zarazą, ze strachu przed Złotoustym, ze strachu przed samotnością i nocą. Położył się niedaleko budy.

Złotousty rzekł do Leny:

- Pozostanę przy tobie, nie trap się. Będiesz znowu zdrowa.

Potrząsnęła głową.

- Strzeż się, kochany, abyś i ty nie dostał zarazy, nie wolno ci się do mnie zbliżać. Nie trudź się i nie pocieszaj mnie. Muszę umrzeć, a wolę umrzeć, niż gdybym miała kóregoś dnia zobaczyć,

że posłanie twoje jest puste i że mię opuściłeś. Co rano myślałam o tym i lękałam się. Nie, wolę umrzeć.

Rano było z nią już bardzo źle. Złotousty dawał jej od czasu do czasu łyk wody, w przerwach sypiał po godzinie. Teraz, gdy się rozjaśniło, wyraźnie poznał na jej obliczu bliską śmierć, było już zwiędłe i wiotkie. Wszedł na chwilę z budy, aby zaczerpnąć powietrza i spojrzeć na niebo. Kilka zgarbionych czerwonych pni sosen na skraju lasu połyskiwało już słonecznie, powietrze miało świeży i słodki smak, dalekie wzgórza niewidzialne były jeszcze w mgłę porannej. Uszedł kawałek drogi, przeciągnął zmęczone członki i głęboko zaczerpnął tchu. Piękny był świat tego smutnego poranka. Niedługo rozpocznie znowu wędrówkę. Trzeba się było żegnać.

Z lasu zawołał go Robert. Czy Lenie jest lepiej? Jeżeli to nie zaraza - pozostanie, niech Złotousty nie będzie na niego zły, pilnował tymczasem owcy.

- Idź do diabła, razem ze swoją owcą! - krzyknął mu Złotousty w odpowiedzi - Lena umiera, a ja także jestem zarażony.

Ostatnie słowa były kłamstwem; powiedział je, aby pozbyć się towarzysza. Jeśli nawet ten Robert był poczciwym chłopakiem, Złotousty miał go dosyć, był zbyt tchórzliwy i mały, nie nadawał się do tych wstrząsających czasów, nad którymi ciążyło przeznaczenie. Robert znikł i nie wrócił już więcej. Jasno weszło słońce.

Kiedy powrócił do Leny, spała. I on zasnął znowu, we śnie zobaczył swojego dawnego konia Gwiazdocha i piękny kasztan klasztorny: miał wrażenie, jakby z nieskończonej dali i pustki spoglądał wstecz na utraconą, uroczą ojczyznę, a kiedy się obudził, łzy spływały mu po zarosłych jasną brodą policzkach. Usłyszał słaby głos Leny; zda-

wało mu się, że go woła, więc usiadł na posłaniu, ale ona nie mówiła do niego, bełkotała jakieś pieszczotliwe, to znów obelżywe słowa, potem zaczęła wzdychać ciężko, przełykać i z wolna ucichła znowu. Złotousty wstał, pochylił się nad jej zniekształconą już twarzą, z gorzką ciekawością śledził oczyma linie, które pod koszącym tchnieniem śmierci już się tak żałośnie wyginały i wikłały. Kochana Leno, wołało jego serce, kochane, dobre dziecko, czy i ty chcesz mnie opuścić? Czy już mnie masz dosyć?

Chętnie byłby uciekł. Wędrować, wędrować, chodzić, wdychać powietrze, męczyć się, widzieć nowe obrazy, to by mu może przyniosło ulgę, to by może złagodziło jego przygnębienie. Ale nie mógł, to było niemożliwe, nie mógł zostawić tu tego dziewczęcia i pozwolić mu umierać samotnie. Zaledwie śmiał co parę godzin wychodzić na chwilę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ponieważ Lena nie przyjmowała już mleka, napił się sam do syta, poza tym nic nie było do jedzenia. Kożę także wyprowadził kilka razy, aby się nażarła, napiła wody i zażyła ruchu.

Potem stanął znowu przy posłaniu Leny, szeptał do niej czule, spoglądał nieustannie na jej twarz i beznadziejnie, ale uważnie przyglądał się, jak umierała. Była przytomna, niekiedy zasypiała, a gdy się budziła, otwierała już oczy tylko do połowy, powieki były zmęczone i obwisłe. Wokół oczu i nosa wyglądała dziewczyna z godziny na godzinę starzej, na świeżej młodej szyi tkwiła wędnąca szybko głowa babki. Z rzadka tylko wypowiadała jakieś słowo, mówiła „Złotousty” albo „najdroższy” i usiłowała zwilżyć językiem nabrzmiałe sinawe wargi. Wtedy dawał jej kilka kropel wody.

Następnej nocy umarła. Umarła bez skargi - jedno tylko krótkie drgnienie, potem oddech ustał,

a po skórze przebiegł dreszcz. Na ten widok ścisnęło mu się serce i przypomniał sobie konające ryby, które często widywał na rynku i których żałował: tak właśnie zasypiały, z drgnieniem i z lekkim bolesnym dreszczem, który przebiegał po skórze i zabierał z sobą blask i życie.

Przez chwilę klęczał jeszcze przy Lenie, potem wyszedł i siadł pośród wrzosów. Przypomniała mu się koza, wszedł jeszcze raz do budy i wyprowadził zwierzę, które kręciło się chwilę i położyło na ziemi. Położył się obok niej, z głową na jej boku i spał, aż się rozjaśniło. Teraz po raz ostatni wrócił do budy i za plecioną ściankę, po raz ostatni spojrzął na martwą twarz. Nie mógł zostawić tu zmarłej. Wyszedł i nzbierał naręcze chrustu i zwiędłych gałęzi, wrzucił je do budy, skrzesał ognia i zapalił. Z budy nie zabrał nic prócz krzesiwa. W jednej chwili zapłonęła jasno jałowcowa ścianka. Stał przed budą i patrzył z twarzą okopconą od ognia, aż i dach stanął cały w płomieniach i zapadły się pierwsze krokwie. Łękliwie i żałośnie skakała koza. Słusznie byłoby zabić zwierzę, upiec kawałek mięsa i zjeść, aby nabrać sił do wędrówki. Ale nie mógł tego zrobić; wypędził kozę w pole i poszedł. Aż do lasu ścigał go dym pożogi. Nigdy tak beznadziejnie nie rozpoczęła wędrówki.

A jednak to, co go teraz czekało, było jeszcze gorsze, niżeli się spodziewał. Zaczęło się to przy pierwszych dworach i wsiach i trwało ciągle, i stawało się coraz gorsze, im dalej szedł. Cała okolica, cały rozległy kraj znajdował się pod chmurą śmierci, pod zasłoną grozy, trwogi i zamroczenia ducha, a najokropniejszą rzeczą nie były wymarłe domy, zdechłe z głodu u łańcucha i gnijące psy podwórzowe, nie grzebane trupy, żebrzące dzieci, masowe groby przed miastami. Najokropniejszą rzeczą byli żywi, którzy pod brzemieniem przera-

żenią i trwogi śmiertelnej utracili - zda się - oczy i dusze. Dziwne i przeraźliwe *X**T**g*,*c*,*iy* widział wszędzie i słyszał wędrowiec. Rodzice opuszczali w chorobie dzieci, a mężowie żony. Pachołkowie zarazy i posługacze szpitalni rządzeni jak oprawcy, plądrowali opustoszałe przez śmierć domy, wedle kaprysu swego to pozostawiali trupy nie pogrzebane, to porywali z łóżek umierających, zanim jeszcze oddali ostatnie tchnienie, i rzucali ich na wozy pogrzebowe. Przerażeni zbiegowie błąkali się dokoła samotnie, zdziczali, unikający wszelkiego zetknięcia z ludźmi, gnani lękiem śmiertelnym. Inni wyładowywali się w wyuzdanej, przerażonej żądzy użycia, uprawiali orgie pijackie i urządzeni zabawy taneczne i miłosne, przy których śmierć pociągała smyczkiem. Opuszczeni, w żałobie albo bluźnierstwach, z błędnymi oczyma siedzieli inni przed cmentarzami albo przed swoimi wyludnionymi domami. I co najgorsze: każdy szukał kozła ofiarnego dla tego nieszczęścia nie do zniesienia, każdy twierdził, że zna nikczemników, którzy winni są zarazie, którzy są jej złośliwymi sprawcami. Diabelscy ludzie, powiadano, cieszą się z cudzego nieszczęścia, dbają o rozszerzanie się śmierci: wydobywają z zarażonych trupów jad moru i pocierają nim mury i klamki drzwi, zatruwają nim bydło i studnie. Na kogo padło podejrzenie takiej ohydy, był zgubiony, jeżeli go nie ostrzeżono i nie zdążył uciec; władze albo motłoch karały go śmiercią. Poza tym bogaci zrzucali winę na ubogich i na odwrót; albo też Żydzi mieli być winni, albo Włosi, albo lekarze.

W pewnym mieście patrzył Złotousty ze ściśniętym sercem, jak cała ulica żydowska płonęła, dom przy domu, a dokoła stał wyjący tłum, zaś wrzeszczących zbiegów orężem zapędzano z powrotem w ogień. W obłądzie trwogi i rozgorycze-

nia zabijano wszędzie niewinnych, palono, torturowano. Z wściekłością i wstrętem patrzył na to Złotousty, świat zdawał się zburzony i zatruty, zdawało się, że nie ma już radości, nie ma niewinności, nie ma miłości na ziemi. Często uciekał na szalone uczty tych, co ogarnięci byli żądzą użycia, wszędzie brzmiały skrzypce śmierci, rychło poznał ich dźwięk; często brał udział w rozpaczliwych orgiach, często grał przy tym na lutni albo tańczył w gorączkowej nocy przy blasku smolnych pochodni.

Trwogi nie odczuwał. Raz, niegdyś, zakosztował lęku śmiertelnego owej nocy zimowej pod jodłami, gdy palce Wiktora zaciśnięte były na jego gardle, a także później w śniegu i głodzie niejednego dnia wędrówki. To była śmierć, z którą można było walczyć, przed którą można się było bronić, i bronił się drżącymi rękoma i nogami, ściskającym się żołądkiem, wyczerpanymi członkami, bronił się, zwyciężał i uchodził. Ale z tą śmiercią, którą niosła zaraza, nie można było walczyć, trzeba jej było pozwolić szaleć, trzeba się było poddać, i Złotousty dawno się poddał. Nie czuł trwogi, zdawało się, że nie zależy mu na życiu, odkąd pozostawił Lenę w płonącej budzie, odkąd dzień za dniem kroczył po spustoszonym przez śmierć kraju. Ale potworna jakaś ciekawość gnała go naprzód i utrzymywała w czujności; niezmordowanie przyglądał się Kostusze, przysłuchiwał się pieśni przemijania, nigdy się nie cofał, wszędzie ogarniała go ta sama cicha namiętność, aby być obecnym i z trzeźwymi oczyma odbywać drogę przez piekło. Jadł spleśniały chleb w wymarłych domach, śpiewał i pił wino przy obłądnych orgiach, zrywał wędnące szybko kwiaty rozkoszy, zaglądał w nieruchome, pijane oczy kobiet, zaglądał w nieruchome, otępiałe oczy pijanych, zaglądał w gasnące oczy umierających,

kochał zrozpaczone, gorączkujące kobiety, pomagał wynosić zmarłych za talerz zupy, za dwa grosze pomagał zasypywać nagie zwłoki ziemią. Ciemno i dziko stało się na świecie, wyjąć śpiewała śmierć swoją pieśń. Złotousty słuchał z otwartymi uszami, z pałąką namiętnością.

Celem jego było miasto mistrza Mikołaja, tam ciągnął go głos serca. Długa była droga i pełna śmierci, pełna uwiadu i śmierci. Smutno szedł naprzód, oszołomiony pieśnią śmierci, oddany krzyczącemu głośno bólowi świata, smutno, a jednak płomiennie, z szeroko otwartymi zmysłami.

W pewnym klasztorze ujrzał świeżo namalowany obraz, od którego długo nie mógł oderwać oczu. Na murze wymalowany był taniec umarłych, tańczyła tam blada, koścista śmierć, w tańcu wprowadzająca ludzi z życia: króla, biskupa, opata, hrabiego, rycerza, lekarza, chłopą, żołnierza, wszystkich zabierała, a kościotrupy-muzykanci przygrywali na wydrążonych kościach. Głęboko wchłaniały w siebie ten obraz ciekawe oczy Złotoustego. Oto nieznanego kolega wyciągnął naukę z tego, co on widział, z czarnej śmierci, i donośnie krzyczał w uszy gorzkie kazanie o konieczności umierania. Dobry był ten obraz, dobre to było kazanie, nieźle widział rzeczy ten obcy kolega i nieźle namalował, z jego szaleńczego obrazu szedł kościsty i przeraźliwy dźwięk. Nie było to jednak to, co on sam, Złotousty, widział i przeżył. Wymalowana była tutaj konieczność umierania, surowa i nieubłagana. Ale Złotousty pragnąłby innego obrazu, inaczej zupełnie brzmiała w nim dzika pieśń śmierci, nie kościście i surowo, lecz raczej słodko i uwodzicielsko, kusząco, macierzyńsko. Tam, gdzie śmierć wyciągała swoją rękę w życie, brzmiała jej pieśń nie tylko donośnie i wojowniczo, brzmiała też głęboko i miłośnie, jesiennie i syto,

a w pobliżu śmierci lampka życia płonęła jaśniej i żarliwiej. Jeśli dla innych śmierć była wojowniczym sędzią albo katem, surowym ojcem - dla niego była także matką i kochanką, jej wołanie wabieniem miłosnym, jej dotknięcie miłosnym dreszczem. Gdy Złotousty obejrzał wymalowany tanciec umarłych i poszedł dalej, znów z dawną mocą ciągnąć go poczęło do mistrza i do tworzenia. Ale wszędzie były postoje; zatrzymywały go nowe obrazy i przeżycia, drgającymi nozdrzami wdychał śmiertelne powietrze, wszędzie litość albo ciekawość domagały się od niego godziny, dnia.

Przez trzy dni miał przy sobie małego, płaczącego chłopca wiejskiego, nosił godzinami na plecach na wół zagłodzonego pięcio- czy sześćoletniego malca, który sprawiał mu wiele kłopotu i którego z trudnością się pozbył. Wreszcie żona jakiegoś węglarza zabrała od niego chłopca, mąż jej umarł, chciała mieć znowu żywą istotę przy sobie. Przez kilka dni towarzyszył mu bezpański pies, żarł mu z ręki, ogrzewał go we śnie, ale pewnego ranka zginął znowu.

Żał mu było, przyzwyczał się rozmawiać z psem, po pół godziny przemawiał do psa filozofując o złej naturze człowieka, o istnieniu Boga, o sztuce, o piersiach i biodrach pewnej młodej córki rycerza, Julii, którą znał niegdyś w młodości.

Gdyż w tej śmiertelnej wędrowce stał się Złotousty oczywiście trochę zwariowany, wszyscy ludzie w strefie zarazy byli trochę zwariowani, a wielu nawet zupełnie. Troszeczkę zwariowana była może także młoda Żydówka Rebeka, piękna czarna dziewczyna o płonących oczach, przy której zabił dwa dni.

Znalazł ją w polu przed jakimś małym miasteczkiem, siedziała skulona przy czarnym, zwęglonym stosie gruzów i wyła, biła się po twarzy i szarpała

swoje czarne włosy. Włosy te wzbudziły w nim litość, były tak piękne, pochwycił więc szalejące ręce i przytrzymał je mocno, przemówił do dziewczyny i spostrzegł przy tym, że także twarz jej i postawa były bardzo piękne. Biadała nad swoim ojcem, który wraz z czternastoma innymi Żydami na rozkaz władz spalony został na popiół, ona zaś zdołała uciec, powróciła teraz zrozpaczona i oskarżała się o to, że nie dała się także spalić. Cierpliwie trzymał jej drżące ręce i łagodnie przemawiał do niej, pomrukiwał litościwie i opiekuńczo, ofiarował jej pomoc. Zażądała, aby jej pomógł pogrzebać ojca, i z gorącego jeszcze popiołu zebrali wszystkie kości i zanieśli je w pole, w ukryte miejsce, i nakryli ziemią. Tymczasem zapadł wieczór i Żłotousty wyszukał miejsce na nocleg; w lasku dębowym urządził dziewczynie postanie, obiecał jej, że będzie czuwał, i przysłuchiwał się, jak płakała dalej leżąc i łkała, i zasnęła wreszcie. Potem i on zasnął trochę, a rano rozpoczął swoje namowy. Powiedział jej, że nie może pozostać tak sama, że poznają ją jako Żydówkę i zabiją albo dzicy włóczędzy zgwałcą ją, a w lesie są wilki i Cyganie. On zaś zabierze ją z sobą i ochroni przed wilkami i ludźmi, gdyż żal mu jej i jest jej bardzo życzliwy, gdyż ma oczy w głowie, i wie, czym jest piękność, i nigdy nie ścierpi, aby te słodkie, mądre powieki i te urocze ramiona miały być pożarte przez zwierzęta albo dostały się na stos. Wysłuchiwała go ponuro, zerwała się i uciekła. Musiał ją gonić i schwytać, zanim mógł mówić dalej.

- Rebeko - rzekł - widzisz przecież, że nie mam wobec ciebie złych zamiarów. Jesteś posepna, myślisz o ojcu, nie chcesz teraz słyszeć o miłości. Ale jutro albo pojutrze, albo później zapytam cię znowu, a do tego czasu będę cię ochraniał i przynosił

ci jedzenie, i nie tknę cię. Bądź smutna, póki to konieczne. Możesz być przy mnie smutna albo wesoła, zawsze będziesz robiła tylko to, co ci sprawi przyjemność.

Ale mówił to wszystko na wiatr. Zacięta i wściekła odpowiadała, że nie chce nic, co sprawia przyjemność, chce czynić to, co przynosi ból, nigdy już nie pomyśli o radości, a im szybciej pożre ją wilk, tym lepiej dla niej. Więc niech Złotousty odejdzie, nic nie pomoże, o wiele za dużo już się o tym mówiło.

- Rebeko - rzekł Złotousty - czyż nie widzisz, że wszędzie jest śmierć, że we wszystkich domach i miastach umierają ludzie i wszystko pełne jest bólu? Także wściekłość głupich ludzi, którzy spalili twego ojca, jest tylko niedolą i bólem, pochodzi tylko z nazbyt wielkiego cierpienia. Widzisz, niebawem i nas zabierze śmierć i zgnijemy w polu, a kośćmi naszymi bawić się będą krety. Żyjmy jeszcze przed tym i bądźmy dla siebie dobrzy. Ach, Rebeko, szkoda by było twojej białej szyi i twojej małej stopy! Kochana, piękna dziewczyno, chodź ze mną, nie dotknę cię, będę tylko patrzył na ciebie i troszczył się o ciebie.

Długo jeszcze błagał i nagle uczuł sam, jak bezużyteczne jest zabiegać słowami i argumentami. Zamilkł i smutno spoglądał na nią. Jej dumna, królewska twarz była nieruchoma w odmowie.

- Tacy wy jesteście - rzekła wreszcie głosem pełnym nienawiści i pogardy - tacy wy jesteście, chrześcijanie! Najpierw pomagasz córce pogrzebać ojca, którego twoi ludzie zamordowali i którego najmniejszy paznokciek więcej był wart niż ty, a za ledwie się to stało, dziewczyna ma należeć do ciebie i uprawiać z tobą nierząd. Tacy wy jesteście! Początkowo myślałam, że może ty jesteś dobrym człowiekiem. Ale jakżebyś mógł być dobry! Ach, jesteście nikczemni!

Kiedy tak mówiła, ujrzał Złotousty, że w oczach jej poza nienawiścią żarzy się coś, co go wzruszyło i zawstydziło, i głęboko przeniknęło mu do serca. Ujrzał w jej oczach śmierć, ale nie mus śmierci, lecz wolę, prawo do śmierci, ciche posłuszeństwo i oddanie na zew matki-ziemi.

- Rebeko - rzekł cicho - może masz rację. Nie jestem dobrym człowiekiem, chociaż wobec ciebie miałem dobre zamiary. Wybacz mi. Teraz dopiero zrozumiałem cię.

Zdjął czapkę, pokłonił się jej głęboko jak księżniczce i odszedł z ciężkim sercem; musiał jej pozwolić zginąć. Przez długi czas był zasepiony i nie chciał z nikim mówić. Choć tak były do siebie niepodobne, to jednak to dumne, biedne dziewczę żydowskie przypominało mu w jakiś sposób Lidię, córkę rycerza. Miłość do takich kobiet przynosiła ból. Ale przez chwilę zdawało mu się, że nigdy nie kochał innej, tylko te dwie, biedną, trwożliwą Lidię i płochliwą, gorzką Żydówkę.

Niejeden jeszcze dzień myślał o tej czarnej, płomiennej dziewczynie i śnił niejedną noc o wysmukłej, ognistej piękności jej ciała, które zdawało się przeznaczone do szczęścia i rozkwitu, a jednak było już oddane śmierci. Że też te wargi i piersi staną się łupem nikczemników albo zgniją w polu! Czyż nie istniała moc, nie istniały czary zdolne uratować to drogocenne kwiecie? Owszem, takie czary istniały: będzie ono żyło w jego duszy i zostanie przez niego ukształtowane i zachowane. Ze zgrozą i zachwytem czuł, jak pełna obrazów była jego dusza, jak ta długa wędrówka po krainie śmierci wypełniła go całego postaciami. Jakże prężyła się ta pełnia w jego wnętrzu, jak gorąco pragnął móc w cichości zastanowić się nad nią, pozwolić jej, żeby opadła, i przemienić ją w trwałe posągi! Z coraz większym zapałem, coraz poząd-

liwiej dążył naprzód, wciąż jeszcze z otwartymi oczyma i ciekawymi zmysłami, ale pełen gwałtownej tęsknoty za papierem i kredką, za gliną i drzewem, za warsztatem i pracą.

Lato minęło. Wielu zapewniało, że jesienią, a najdalej z początkiem zimy, zaraza wygaśnie. Niewesoła była to jesień. Złotousty przechodził przez okolice, w których nie było już nikogo, aby zbierać owoce, spadały one z drzew i gniły w trawie, gdzie indziej plądrowały je i marnotrawiły w brutalnych wyprawach zdziczałe hordy, przychodzące z miast.

Wolno zbliżał się Złotousty do swego celu, a w tym ostatnim okresie często ogarniał go lęk, że mogłaby go przedtem dogonić zaraza i musiałby umierać w jakiejś stajni. Nie chciał już teraz umierać, nie chciał umierać, zanim zazna tego szczęścia, że raz jeszcze stanie w pracowni i odda się twórczej pracy. Po raz pierwszy w życiu świat był dlań zbyt rozległy, a państwo niemieckie zbyt wielkie. Najpiękniejsze miasteczko nie mogło go skusić do wypoczynku, najpiękniejsza dziewczyna wiejska nie zatrzymała go dłużej niż przez jedną noc.

Pewnego razu przechodził obok kościoła, gdzie przy portalu w głębokich niszach, wspartych na ozdobnych kolumnkach, stało wiele posągów kamiennych z bardzo dawnych czasów, figur aniołów, apostołów i męczenników, jakie często widywał; także w jego klasztorze, w Mariabronn, było wiele takich figur. Dawniej, jako młodzieniec, oglądał je chętnie, ale bez zachwytu, wydawały mu się piękne i pełne powagi, ale nieco zbyt uroczyste, zbyt sztywne i staroświeckie. Później, kiedy pod koniec swojej pierwszej wielkiej wędrówki tak bardzo przejęty był i zachwycony ową słodką, smutną Matką Bożą mistrza Mikołaja, wydały mu się te starofrankońskie uroczyste figury kamienne zbyt

ciężkie, sztywne i obce, patrzył na nie z niejaką pogardą, a w nowej manierze swego mistrza widział znacznie żywszą, wyrazistszą, bardziej uduchowioną sztukę. Dzisiaj, kiedy powracał ze świata pełen obrazów, z duszą naznaczoną bliznami i śladami gwałtownych przygód i przeżyć, pełen bolesnej tęsknoty do rozmyślenia o nowej twórczości, dzisiaj te prastare, surowe figury nagle wzruszyły go z przemożną siłą. Nabożnie stał przed czcigodnymi posągami, w których żyło nadal serce dawno minionych czasów, a lęki i zachwyty dawno zaginionych pokoleń po stuleciach jeszcze, znieruchomiałe w kamieniu, stawiały opór znikomości. W zdziczałym jego sercu zbudziło się w dreszczu i pokorze uczucie czci i grozy przed własnym roztrwonionym i spalonym życiem. Uczynił rzecz, której nieskończenie dawno już nie czynił, podszedł do konfesjonału, aby wyznać winy i przyjąć karę.

Ale w kościele były wprawdzie konfesjonały, lecz w żadnym nie było kapłana; poumierali, leżeli w szpitalu, pouciekali, bali się zarazy. Kościół był próżny, pusto brzmiało echo kroków Złotoustego w kamiennym sklepieniu. Uklęknął przed jednym z pustych konfesjonałów, przymknął oczy i szeptał w kratkę:

- Mój Boże, patrz, co się ze mną stało. Powracam ze świata, stałem się złym, nieużytecznym człowiekiem, roztrwoiłem swoje młode lata jak rozrzutnik, niewiele mi pozostało. Zabijałem i kradłem, cudzołożyłem, próżnowałem i zjadałem innym chleb. Mój Boże, dlaczego stworzyłeś nas takimi, dlaczego prowadzisz nas na takie drogi? Czyż nie jesteśmy Twoimi dziećmi, czyż Syn Twój nie umarł za nas? Czyż nie ma świętych i aniołów, aby nami kierowali? Czy też są to piękne, wymyslane bajki, które się opowiada dzieciom i z których

księża sami się śmieją? Zawiodłem się na Tobie, Boże Ojczy, źle stworzyłeś świat, źle utrzymujesz go w porządku. Widziałem domy i ulice pełne trupów, widziałem, jak bogacze obwarowywali się w domach albo pouciekali, a biedacy pozostawiali swych braci nie pogrzebanych, jak podejrzewali jedni drugich i zabijali Żydów niby bydło. Widziałem, jak niewinni cierpieli i ginęli, a źli opływali w dostatki. Czy już zapomniłeś o nas i opuściłeś nas, czy stworzenia Twoje zupełnie Ci obrzydły, czy chcesz nas wszystkich zniweczyć?

Z westchnieniem wyszedł przez wysoki portal i ujrzał milczące posągi kamienne, aniołów i świętych, chudych i wysokich; stali w sztywno pofałdowanych szatach, nieruchomi, niedosiężni, nadludzy, a jednak stworzeni dłonią ludzką i z ducha ludzkiego poczęci. Surowi i głusi stali tam w górze na swoich ciasnych piedestałach, niedostępni dla próśb i pytań, a jednak byli bezgraniczną pociechą, byli triumfującym zwycięstwem nad śmiercią i rozpaczą, kiedy tak stali tacy godni i piękni i trwali z jednego umierającego pokolenia na drugie. Ach, gdybyż stała tu także biedna, piękna Żydówka Rebeka i biedna, spalona razem z budą, Lena, i urocza Lidia, i mistrz Mikołaj! Ale oni przetrwają, będą tu kiedyś stali, on ich postawi, a postacie, które dzisiaj oznaczały dla niego miłość i mękę, twogę i namiętność, będą stały przed późniejszymi ludźmi jako bezimienne i nieznane, ciche, milczące symbole życia ludzkiego.



Rozdział piętnasty

Nareszcie cel był osiągnięty i Złotousty wszedł do upragnionego miasta tą samą bramą, którą niegdyś, przed wielu laty wchodził, aby szukać swego mistrza. Ale już w drodze, w miarę jak się do niego zbliżał, dotarła doń niejedna wiadomość z miasta biskupiego: wiedział, że i tam była zaraza, a może i teraz jeszcze panowała, opowiadano mu o zamieszkach i buntach ludu i że przybył namiestnik cesarski, by zaprowadzić porządek, wydać wyjątkowe prawa i zabezpieczyć mienie i życie obywateli. Biskup bowiem opuścił miasto zaraz po wybuchu zarazy i rezydował daleko, w jednym ze swoich zamków na wsi. Wszystkimi tymi wiadomościami mało się wędrowiec interesował. Byle tylko stało jeszcze miasto i warsztaty, gdzie chciał pracować! Reszta nie posiadała dla niego znaczenia.

Kiedy przybył, zaraza wygasła już, spodziewano się powrotu biskupa i radowano się z rychłego odjazdu namiestnika i przywrócenia zwykłego, spokojnego trybu życia.

Gdy Złotousty ujrzał znowu miasto, sercem jego, jak jeszcze nigdy dotąd, owładnęło uczucie swojskości, zrobił niezwykle surową minę, aby się opanować. Ach, to wszystko istniało jeszcze: bra-

my, piękne studnie, stara, przysadzista wieża katedry i nowa, wysmukła kościoła Najświętszej Marii Panny, donośne dzwonicie od świętego Wawrzyńca i wielki, barwny rynek! O, jak to dobrze, że wszystko to czekało na niego! Czyż nie śnił kiedyś po drodze, że przyszedł tutaj i znalazł wszystko obce i zmienione, częściowo zburzone i w gruzach, częściowo nierozpoznawalne z powodu nowych budowli i dziwnych, smutnych znaków?

Bliski był płaczu, kiedy szedł przez ulice, poznając dom po domu. Czyż ostatecznie i osiedli nie zasługiwali na zazdrość w pięknych, bezpiecznych domach, w spokojnym życiu mieszczańskim, w uspokajającym i wzmacniającym poczuciu posiadania ojczyzny, zadomowienia w izbie i warsztacie, pośród żony i dzieci, czeladzi i sąsiadów?

Było późne popołudnie, a po słonecznej stronie ulicy domy, szyldy gospód i cechów, rzeźbione drzwi i doniczki z kwiatami tonęły w gorących promieniach słońca, nic nie przypominało, że i w tym mieście rządziła ludźmi szalejąca śmierć i obłąkana trwoga. Chłodna, jasnozielona i niebieska płynęła pod odbijającymi echo sklepieniami mostu przejrzysta rzeka. Złotousty siadł na chwilę na murze nadbrzeżnym, wciąż jeszcze migały jak cienie na dole w zielonym kryształcie ciemne ryby albo stały nieruchomo, zwróciwszy pyszczki przeciw prądowi, wciąż jeszcze połyskiwał tu i ówdzie z mroków głębiny ów słaby blask złoty, który tak wiele obiecuje i tak bardzo sprzyja marzeniom. I w innych wodach było to samo, i inne mosty i miasta także były piękne, a jednak miał wrażenie, jakby od długiego czasu nie widział już czegoś podobnego i nie doznawał podobnych uczuć.

Dwaj parobcy od rzeźnika ze śmiechem gnali przez wodę cielę, wymieniali spojrzenia i żarty z dziewczyną, która ponad nimi zdejmowała w al-

tance bieliznę. Jak szybko zmieniało się to wszystko! Niedawno jeszcze paliły się tutaj ogniska zarazy i rządzili ohydni pacholkiwie szpitalni, a teraz życie biegło znowu dalej, śmiano się i żartowano; z nim samym działo się nie inaczej: oto siedział i był zachwycony ponownym spotkaniem z miastem i czuł się wdzięczny, i miał nawet sentyment dla osiadłych, jak gdyby nie istniała nędza i śmierć, nie istniała Lena i księżniczka żydowska. Wstał z uśmiechem i poszedł dalej, i dopiero gdy się zbliżył do ulicy mistrza Mikołaja, i poszedł znowu drogą, którą niegdyś latami chodził co dzień do pracy, serce jego poczęło się ścisnąć niespokojnie. Przyśpieszył kroku, chciał jeszcze dzisiaj odwiedzić mistrza i dowiedzieć się wszystkiego, nie cierpiało to zwłoki, wydawało mu się niemożliwością czekać jeszcze do jutra. Czyżby mistrz był jeszcze zły na niego? Tak dawno to było, nie mogło już obecnie mieć znaczenia, a gdyby było inaczej, przewyciężyłby urazę. Jeżeli tylko mistrz istniał jeszcze, i on, i jego warsztat, w takim razie wszystko było dobrze. Szybko, jakby w ostatniej chwili mógł jeszcze czegoś zaniedbać, ruszył ku znajomemu domowi, ujął klamkę i przeraził się bardzo, gdy się przekonał, że brama była zamknięta. Czy mogło to oznaczać coś złego? Dawniej nie zdarzało się nigdy, aby w jasny dzień zamykano drzwi. Z hukiem uderzył młotkiem i czekał. Nagle ogarnęła go silna trwoga.

Wyszła ta sama stara służąca, która przyjęła go niegdyś za pierwszym jego przybyciem do domu. Nie była brzydsza, ale starsza i opryskliwsza, nie poznała Złotoustego. Lękliwym głosem zapytał o mistrza. Spojrzała na niego głupawo i nieufnie.

- Mistrza? Nie ma tu żadnego mistrza. Idźcie dalej, człowieku, nikogo się nie wpuszcza.

Chciała go wypchnąć za bramę, ale Złotousty ujął ją za ramię i krzyknął:

- Gadajże, Małgorzato, na Boga! Jestem Złotousty, czyż mnie nie poznajesz? Muszę się widzieć z mistrzem Mikołajem.

W dalekowzrocznych, na wpół zgasłych oczach nie zabłysło powitanie.

- Nie ma tu już żadnego mistrza Mikołaja - rzekła niechętnie - nie żyje. Idźcie sobie dalej, nie mogę stać tutaj i gadać.

Wszystko załamało się w Złotoustym, odepchnął starą, która pobiegła za nim z krzykiem, i popędził przez ciemną sień w stronę warsztatu. Pracownia była zamknięta. Ścigany przez biadającą i złorzeczącą staruchę, wbiegł po schodach, w mroku ujrzał stojące w znajomej sieni figury, które zebrał Mikołaj. Donośnym głosem wołał pannę Elżbietę.

Otworzyły się drzwi izby i zjawiła się Elżbieta, a kiedy Złotousty - za drugim spojrzeniem - poznał ją, widok ten ścisnął mu serce. Jeżeli wszystko w tym domu, od chwili gdy ku swemu przerażeniu zastał bramę zamkniętą, było upiorne i zaczarowane i działo się jakby w dręczącym śnie, to teraz, na widok Elżbiety, naprawdę dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Z pięknej, dumnej Elżbiety zrobiła się lękliwa, zgarbiona dziewczyna o żółtej, chorowitej twarzy, w czarnej, pozbawionej ozdób sukni, **0** niepewnym spojrzeniu i trwożliwym zachowaniu.

- Wybaczcie - rzekł Złotousty - Małgorzata nie chciała mnie wpuścić. Czyż mnie nie poznajecie? Jestem przecież Złotousty. Ach, powiedzcie mi: czy to prawda, że ojciec wasz umarł?

Ze spojrzenia jej pojał, że poznaje go teraz, i zrozumiał także, że nie zostawił tu po sobie dobrej pamięci.

- Tak. Jesteście Złotousty? - rzekła, a w głosie rozpoznał coś z jej dawnej wyniosłości. - Daremnie trudziście się. Ojciec mój umarł.

- A pracownia? - wyrwało mu się.

- Pracownia? Zamknięta. Jeżeli szukacie roboty, musicie iść gdzie indziej.

Starął się zapanować nad sobą.

- Panno Elżbieto - rzekł uprzejmie - nie szukam roboty, chciałem tylko powitać mistrza i was. Tak mię martwi to, co słyszę! Widzę, że było wam ciężko. Jeżeli wdzięczny uczeń waszego ojca może wam wyświadczyć jaką przysługę, powiedzcie, będzie to dla mnie radością. Ach, panno Elżbieto, serce mi omal nie pęka, że was znajduję w tak wielkiej niedoli.

Cofnęła się do drzwi.

- Dziękuję - rzekła z wahaniem. - Nie możecie mi już wyświadczyć żadnej przysługi, i mnie także nie. Małgorzata wyprowadzi was.

Niemiło brzmiał jej głos, na wpół gniewnie, na wpół lękliwie. Czuł: gdyby miała odwagę, wypędziłaby go obelżywie.

Już był na dole, już stara zatrzaskała za nim bramę i zasunęła rygiel. Usłyszał jeszcze twarde uderzenia obu rygli, zabrzmiały mu niby przybijanie wieka trumny.

Wolno powrócił do muru nadbrzeżnego i usiadł znowu na dawnym miejscu nad rzeką. Słońce zaszło, zimny powiew szedł od rzeki, zimny był kamień, na którym siedział. Uliczka nadbrzeżna ucichła, przy filarach mostu szeleścił prąd, ciemna była głęбина, żaden blask złoty nie przeświecał już przez nią. Ach, pomyślał, obym spadł teraz przez mur i zniknął w rzece! Znowuż świat pełen był śmierci. Minęła godzina, a zmrok przeszedł w noc. Nareszcie mógł płakać. Siedział i płakał, na dłonie i kolana kapały mu gorące krople. Płakał nad

martwym mistrzem, płakał nad minioną pięknoscią Elżbiety, płakał nad Leną, nad Robertem, nad dziewczyną żydowską, nad swoją uwiędłą, roztrwonioną młodością.

Późnym wieczorem przybył do gospody, gdzie niegdyś hulał często z kolegami. Gospodyni poznała go, poprosił o kawałek chleba, dała mu go i uprzejmie nalała mu też kubek wina. Nie mógł przełknąć ani chleba, ani wina. Na ławce w karczmie przespał noc. Gospodyni obudziła go rano, podziękował i poszedł, po drodze zjadł otrzymany kawałek chleba.

Poszedł na rynek rybny, stał tam dom, w którym miał wówczas swoją izdebkę. Obok studni kilka rybiarek sprzedawało swój towar, zaglądał w kadzie do pięknych, połyskujących stworzeń. Często widywał je dawniej, przypomniało mu się znowu, że nieraz litował się nad rybami i wściekły był na kobiety i na kupujących. Niegdyś, przypomniawszy sobie, tak samo włóczył się tu pewnego ranka, podziwiał ryby i litował się nad nimi i bardzo był smutny - wiele czasu minęło od owego dnia i wiele wody upłynęło w rzecę. Był bardzo smutny, to wiedział dobrze, ale co go tym smutkiem natchnęło, tego już nie wiedział. Tak już było: i smutek przemijał, przemijały cierpienia i rozpacz, podobnie jak radość; przemijały, blakły, traciły swą głębię i znaczenie, a wreszcie przychodził czas, gdy nie można już było sobie przypomnieć, co to było, co zadało człowiekowi taki ból. Także cierpienia przekwitały i wędły. Czy i dzisiejszy jego ból zwiędnie kiedyś i straci znaczenie; jego rozpacz, że mistrz nie żyje, że umarł w gniewie na niego i że żaden warsztat nie stał już przed nim otworem, aby mógł zakosztować szczęścia tworzenia i zrzucić z duszy brzemię obrazów? Tak, bez wątpienia i ten ból, i ta gorzka rozpacz zestarzeje

się i zmęczy się, i o niej zapomni. Nic nie było trwałe, nawet cierpienie.

Wpatrzony w ryby i zatopiony w tych myślach, usłyszał jakiś cichy głos, wymawiający przyjaźnie jego imię.

- Złotousty - zawołał ktoś lękliwie, a kiedy się odwrócił, stała przed nim dziewczyna nieco wątpa i chorowita, ale o pięknych, ciemnych oczach. Ona to zawołała go. Nie znał jej.

- Złotousty! Tyżeś to? - rzekł lękliwy głos. - Od kiedy jesteś znowu w mieście? Czy nie poznajesz mnie już? Jestem przecież Maria.

Ale on jej nie poznawał. Musiała mu powiedzieć, że jest córką jego byłego gospodarza i że niegdyś, o świcie owego dnia przed jego odjazdem, ugotowała mu w kuchni mleka. Zaczerwieniła się, kiedy to opowiadała.

Tak, to była Maria, było to owo wątłe dziecko z chorym biodrem, które wtedy tak wdzięcznie i lękliwie zatroszczyło się o niego. Pamiętał już znowu wszystko: owego chłodnego ranka czekała na niego i taka była smutna, że odjeżdżał, ugotowała mu mleka, a on podziękował jej pocałunkiem, który przyjęła tak cicho i uroczyście jak sakrament. Nigdy więcej nie myślał o niej. Wtedy była jeszcze dzieckiem. Teraz wyrosła i miała piękne oczy, ale utykała ciągle jeszcze i wyglądała trochę mizernie. Podał jej rękę. Cieszył się, że ktoś przynajmniej w tym mieście znał go jeszcze i lubił. Maria zabrała go ze sobą, wzbraniał się słabo. W pokoju jej rodziców, gdzie wisiał jeszcze jego obraz i czerwony kielich rubinowy stał na gzymsie kominka, dostał obiad i został zaproszony, aby pozostał z nimi kilka dni, bo wszyscy się cieszą, że go znowu widzą. Tutaj też dowiedział się, co zaszło w domu jego mistrza. Mikołaj nie umarł na zarazę, chorowała na nią tylko piękna Elżbieta;

chorowała śmiertelnie, a ojciec zamęczył się pielęgnowaniem jej i umarł, zanim jeszcze wyzdrowiała. Uratowano ją, ale straciła całą urodę.

- Warsztat jest pusty - rzekł gospodarz - a dla zdolnego snycerza dobry by to był dom i dość pieniędzy. Zastanów się, Złotousty! Nie odmówiłaby. Nie ma już wyboru.

Posłyszał też to i owo, co zaszło w czasie panowania zarazy: że motłoch podpalił najpierw szpital, a potem napadł i spłądował domy kilku bogaczy, że przez pewien czas nie było w mieście spokoju i bezpieczeństwa, gdyż biskup uciekł. Wtedy cesarz, który znajdował się właśnie w pobliżu, przysłał namiestnika, hrabiego Henryka. No tak, dzielny to pan, z kilkoma rajtarami i żołnierzami zaprowadził w mieście porządek. Ale teraz czas już, aby się jego rządy skończyły, spodziewają się powrotu biskupa. Hrabia porządnie dokuczył mieszczaństwu, a i od nałożnicy jego, Agnieszki, ucierpiano niemało, prawdziwa z niej diablica. No, niedługo się wyniosą, gmina dawno już ma ich dość, niemiła to rzecz zamiast poczciwego biskupa mieć na karku takiego dworaka i wojownika, który jest ulubieńcem cesarza i stale przyjmuje poselstwa i delegacje jak jaki książę udzielny.

Z kolei i gościa zapytano o jego przeżycia.

- Ach - rzekł Złotousty smutno - nie ma co o tym mówić. Wędrowałem i wędrowałem, a wszędzie był mór i leżały dokoła trupy, i wszędzie ludzie popadli ze strachu w szaleństwo i złość. Pozostałem przy życiu, może kiedyś zapomnę o tym wszystkim. I oto powracam, a mój mistrz nie żyje! Pozwólcie mi zostać kilka dni i wypocząć, potem pójdę dalej.

Pozostał nie dla wypoczynku. Pozostał dlatego, że był rozczarowany i niezdecydowany, że wspo-

mnienia szczęśliwych czasów czyniły mu to miasto drogim, a miłość biednej Marii niosła mu ukojenie. Nie mógł na nią odpowiedzieć, nie mógł dać dziewczynie nic prócz uprzejmości i litości, ale jej ciche, pokorne uwielbienie rozgrzewało go jednak. Lecz bardziej niż to wszystko trzymało go na tym miejscu palące pragnienie, aby znowu stać się artystą, choćby bez warsztatu, choćby radząc sobie byle jak.

Przez kilka dni nie robił Złotousty nic innego, tylko rysował. Maria postarała mu się o papier i piórka, siedział teraz w swojej izdebce i rysował godziną za godziną, wypełniał wielkie arkusze to bazgranymi pośpiesznie, to znowu wdzięcznymi, delikatnymi figurami, przelewał pełną obrazów księgę swej duszy na papier. Wiele razy rysował twarz Leny, jak po śmierci owego włóczęgi uśmiechała się z zadowoleniem, miłością i żądzą mordu, i twarz Leny, jaką się stała ostatniej nocy jej życia, kiedy zaczynała się już rozpływać w nieokreślony kształt powracając do ziemi. Rysował małego chłopca wiejskiego, którego widział niegdyś, jak leżał martwy z zaciśniętymi piąstkami na progu wiodącym do izby swoich rodziców. Rysował wóz pełen trupów, trzy ciągnące go z wysiłkiem szkapy, a obok pacholek rakarskich z długimi bosakami, zezujących ponuro poprzez szczeliny w czarnych maskach ochronnych. Rysował raz po raz Rebekę, wysmukłą, czarnookie dziewczę żydowskie, jej wąskie, dumne usta, jej twarz pełną bólu i oburzenia, jej wdzięczną, młodą postać, która tak bardzo zdawała się stworzona do miłości. Rysował siebie samego, jako wędrowca, jako kochanka, jako zbiega przed zbliżającą się z kosą w ręku śmiercią, jako tancerza na orgiach, urządzanych w czasie zarazy przez spragnionych życia ludzi. Z oddaniem pochylał się nad białym papierem, kreślił

wyniosłą, stanowczą twarz panny Elżbiety, taką, jaką ją znał dawniej, głowę starej służącej Małgorzaty, oblicze mistrza Mikołaja, które kochał i którego się lękał. Wiele też razy rzucał na papier cienkimi, przeczuwającymi kreskami wielką postać kobiecą, matkę ziemię, siedzącą z rękoma na łonie, z cieniem uśmiechu na twarzy pod melancholijnymi oczyma. Bezgranicznie miłe było mu to zdążanie, to uczucie w rysującej ręce, że staje się panem zjaw. W niewiele dni zarysował wszystkie arkusze, których mu dostarczyła Maria. Od ostatniego arkusza odkroił kawałek i narysował na nim, przejrzyste i niewieloma liniami twarz Marii, o pięknych oczach, zrezygnowanych ustach. Podarował jej to.

Dzięki rysowaniu zelżało i osłabło uczucie ciężkości, przeładowania i przepełnienia w jego duszy. Póki rysował, nie wiedział, gdzie jest, świat jego składał się tylko ze stołu, białego papieru i - wieczorem - świecy. Teraz obudził się, przypomniał sobie ostatnie przeżycia, z nieubłaganą jasnością ujrzał przed sobą nową wędrowkę i począł wałęsać się po mieście z dziwnie rozdwojonym uczuciem na wpół powitania, na wpół pożegnania.

Podczas jednej z takich przechadzek Złotousty spotkał kobietę, której widok ześrodkował na nowo wszystkie jego rozpierzchłe uczucia. Była to kobieta jadąca konno, wysoka, jasna blondynka o ciekawych, nieco chłodnych niebieskich oczach, o mocnych, prężnych członkach i kwitnącej twarzy, pełnej żądzy użycia i władzy, pełnej zrozumiałości i wietrzącej, zmysłowej ciekawości. Nieco wyniosłe i władczo siedziała na gniadym koniu, przyzwyczajona do rozkazywania, ale nie zamknięta lub nieprzystępna, gdyż pod dosyć chłodnymi oczyma ruchliwe jej nozdrza otwarte były na wszelkie wonie świata, zaś duże, pulchne usta zda-

wały się zdolne w najwyższym stopniu do brania i dawania. W tej samej chwili, gdy ją ujrzał, zbudziła się w nim natychmiast czujność i ogarnęło go pragnienie zmierzenia się z tą dumną kobietą. Zdobyć ją wydawało mu się szlachetnym celem, zaś skrócić kark dążąc ku niej nie widziało mu się złą śmiercią. Odczuł natychmiast, że ta jasnowłosa lwica była z jego gatunku, o bogatych zmysłach i duszy, dostępna wszelkim burzom, równie dzika, jak delikatna, świadoma namiętności, z prastarym, odziedziczonym po przodkach doświadczeniem krwi.

Przejechała, spojrzął na nią; między kędzierzawymi jasnymi włosami a niebieskim aksamitnym kołnierzem ujrzał jej kark, mocny i dumny, a jednak obciągnięty najdelikatniejszą skórą dziecięcą. Była - tak mu się zdawało - najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Chciałby móc otoczyć ten kark swymi rękami, a oczom jej wydrzeć błękitną, chłodną tajemnicę.

Kim była, nietrudno było się dopytać. Dowiedział się wnet, że mieszka w zamku i jest Agnieszka, kochanką namiestnika; nie zdziwiło go to, mogłaby być samą cesarzową. Stał przy korycie studni i wpatrzył się w swoje odbicie. Obraz jego pasował świetnie do obrazu jasnowłosej kobiety, był tylko bardzo zdziczały. W tej samej jeszcze godzinie poszedł do znajomego balwierza i dobrymi słowami skłonił go, że przystrzygł mu krótko włosy i brodę i uczesał starannie.

Dwa dni trwał pościg. Agnieszka wyszła z zamku, a nieznajomy blondyn stał już przy bramie i spoglądał jej z podziwem w oczy. Agnieszka jechała konno dookoła wałów, a z olch wyszedł nieznajomy. Agnieszka poszła do złotnika, a gdy opuszczała pracownię, natknęła się na nieznajomego. Spojrzała na niego krótko władczyimi oczyma, nozdrza jej drgały.

Następnego ranka na pierwszej przejażdżce ujrzała go znowu na stanowisku, uśmiechnęła się do niego wyzywająco. Widział też hrabiego, namiestnika; był to okazały i śmiały mężczyzna, należało go traktować poważnie; ale włosy jego zaczęły już siewić, a na twarzy jego widniały troski. Złotousty czuł swoją przewagę.

Te dwa dni uszczęśliwiły go, promieniał odzyskaną młodością. Pięknie to było pokazywać się tej kobiecie i proponować jej walkę. Pięknie było utracić wolność dla tak urodziwej. Piękne i głęboko podniecające było uczucie, że stawia się przy tym życie na kartę.

Rankiem trzeciego dnia Agnieszka wyjechała konno z zamku, a konny sługa jechał za nią. Oczy jej obejrzały się od razu za prześladowcą, żadne walki i nieco niespokojne. Istotnie, był już na miejscu. Odesłała sługę z jakimś poleceniem, sama pojechała wolno naprzód, jechała powoli do dolnej bramy mostowej i przez most. Raz tylko obejrzała się za siebie. Ujrzała, że nieznajomy szedł za nią. Przy drodze do kościoła Św. Wita, słynącego cudami, gdzie o tej porze było pusto, zaczęła na niego. Musiała czekać pół godziny, nieznajomy szedł wolno, nie chciał się zasapać. Świeży i uśmiechnięty nadszedł wreszcie, trzymając w ustach gałązkę jasnoczerwonego głogu. Agnieszka zeszła była z konia i uwiązała go, stała wsparta o bluszcz stromeego muru oporowego i spoglądała ku prześladowcy. Podeszedłszy do niej blisko, Złotousty zatrzymał się na wprost niej i zdjął czapkę.

- Dlaczego włóczysz się za mną? - zapytała
- czego chcesz ode mnie?

- Ach - odpowiedział - daleko bardziej chciałbym ci coś podarować jak wziąć coś od ciebie. Chciałbym ci zaproponować siebie w darze, piękna pani, zrób potem ze mną, co chcesz.

- Dobrze, zobaczę, co można z tobą zrobić. Ale jeżeli sądziłeś, że uda ci się tu za miastem bezpiecznie uszczknąć kwiatuszek, to pomyliłeś się. Potrafię kochać takich tylko mężczyzn, którzy w potrzebie narażają życie.

- Możesz mi rozkazywać.

Wolno zdjęła z szyi cienki złoty łańcuszek i podała mu go.

- Jakże się nazywasz?

- Złotousty.

- Dobrze, Złotousty, skosztuję, czy złote są twoje usta. Słuchaj uważnie: wieczorem pokażesz ten łańcuszek w zamku i powiesz, że go znalazłaś. Nie wypuścisz go z ręki, chciałabym sama otrzymać go od ciebie z powrotem. Przyjdiesz tak, jak jesteś, niech cię uważają za żebraka. Gdyby ofuknął cię ktoś z czeladzi, pozostań spokojny. Wiedz, że mam w zamku dwoje tylko pewnych ludzi: masztalerza Maksa i pokojową Bertę. Musisz dotrzeć do jednego z tych dwojga i kazać się zaprowadzić do mnie. Wobec wszystkich innych w zamku, nie wyłączając hrabiego, zachowaj się ostrożnie, to wrogowie. Ostrzegłam cię. Może cię to kosztować życie.

Wyciągnęła do niego ręce, ujął je z uśmiechem, ucałował czule, ocierając o nie lekko policzki. Potem schował łańcuszek i odszedł ku rzece i miastu. Winnice były już gołe, z drzew spadał jeden żółty liść za drugim. Złotousty z uśmiechem potrząsnął głową, gdy spojrzawszy w dół ku miastu, ujrzał je tak spokojnym i miłym. Przed niewielu jeszcze dniami był tak smutny, smuciło go to nawet, że niedola i cierpienie są także znikome. A teraz minęły już istotnie, opadły jak złote listowie z gałęzi. Miał wrażenie, że nigdy jeszcze miłość nie promieniowała ku niemu tak, jak z tej kobiety, której wysoka postać i jasnowłosa, rozśmiana radość życia przypominały mu obraz jego

matki, jaki nosił w sercu niegdyś, jako chłopiec, w Mariabronn. Przedwczoraj dopiero uważałby za niemożliwe, aby świat raz jeszcze zaśmiał mu się tak radośnie prosto w oczy, aby mógł raz jeszcze uczuć potok życia, radości, młodości, toczący się tak pełną i wartką falą przez jego krew. Co za szczęście, że zachował życie, że podczas tych wszystkich okropnych miesięcy śmierć oszczędziła go!

Wieczorem poszedł na zamek. Na dziedzińcu panowało ożywienie, rozsiodływano konie, gońcy biegali, służba prowadziła mały orszak księży i dostojników duchownych przez bramę wewnętrzną i schody. Złotousty chciał przejść za nimi, ale odźwierny zatrzymał go. Wtedy wydobył złoty łańcuszek i powiedział, iż polecono mu nie oddawać go nikomu, jak tylko samej wielmożnej pani albo jej pokojowej. Przydano mu służącego, długo musiał czekać na korytarzach. Wreszcie zjawiła się ładna, ruchliwa kobieta, która przechodząc obok niego zapytała: - Jesteście Złotousty? - i skinęła, aby poszedł za nią. Cicho znikła za jakimiś drzwiami, po chwili zjawiła się znowu i skinęła, aby wszedł.

Znalazł się w małym pokoiku, gdzie unosił się silny zapach futer i mdłych perfum; pokój zawieszony był sukniami i płaszcami, kapelusze damskie tkwiły na drewnianych kołkach, najrozmaitsze obuwie stało w otwartej skrzyni. Stał tutaj i czekał chyba z pół godziny, wahał pachnące suknie, głaskał futra i uśmiechał się z zaciekawieniem na widok tylu pięknych rzeczy, wiszących dokoła.

Wreszcie otworzyły się drzwi wewnętrzne, i weszła nie pokojówka, weszła sama Agnieszka, w jasnyniebieskiej sukni, obramowanej białym futrem wokół szyi. Wolno, krok za krokiem podeszła do czekającego, poważnie spoglądały na niego chłodne, błękitne oczy.

- Musiałeś czekać - rzekła cicho. - Sądzę, że jesteście teraz bezpieczni. U hrabiego jest delegacja duchownych, je z nimi i pewno długo jeszcze będzie z nimi konferował, posiedzenia z księżmi trwają zawsze długo. Godzina ta należy do ciebie i do mnie. Witaj, Złotousty.

Pochyliła się ku niemu, pożądliwe jej wargi zbliżyły się do jego warg, w milczeniu powitali się wzajem w pierwszym pocałunku. Wolno otoczył ręką jej szyję. Poprowadziła go przez drzwi, do swojej komnaty sypialnej, która była wysoka i jasno oświetlona świecami. Na stole stała przygotowana wieczerza, usiedli, troskliwie nakładała mu chleba i masła, i mięsa i nalewała białego wina do pięknego niebieskiego kielicha. Jedli, pili oboje z tego samego niebieskiego puchara, dłonie ich stykały się w pierwszych próbnych igraszkach.

- Skądżeś ty przyleciał - zapytała go - mój piękny ptaku? Czy jesteś wojownikiem, czy grajkiem, czy tylko biednym włóczęgą?

- Jestem wszystkim, czym chcesz - zaśmiał się cicho - jestem zupełnie twój. Jestem grajkiem, jeżeli chcesz, a ty jesteś moją słodką lutnią, a gdy położę palce na twojej szyi i zagram na tobie, usłyszymy śpiew aniołów. Pójdź, serce, nie przyszedłem, aby jeść twoje dobre ciasto i pić twoje białe wino, przyszedłem tylko dla ciebie.

Lekko ściągnął jej białe futro z szyi i wśród pieszczot zsunął jej suknie z ciała. Niech sobie gdzieś dworacy i klechy odbywają narady, niech służba skrada się, a cienki sierp księżycy znika zupełnie za oknami, kochający nic o tym nie wiedzieli. Dla nich kwitł raj, pociągani wzajem ku sobie i wpleceni w siebie wzajem tonęli w jego wonnej nocy, widzieli brzask jego białych tajemnic kwiatnych, czułymi i wdzięcznymi rękoma zrywali jego upragnione owoce. Nigdy jeszcze grajek nie

grał na takiej lutni, nigdy jeszcze lutnia nie brzmiała pod tak mocnymi i umiejętnymi palcami.

- Złotousty - szeptała mu płomiennie do ucha - o, jakież z ciebie czarodziej! Od ciebie, słodka Złota Rybko, chciałabym mieć dziecko. A jeszcze bardziej chciałabym umrzeć przy tobie. Wypij mię, ukochany, stop mię, zabij mię!

Głęboko w jego krtani odezwał się ton szczęścia, kiedy ujrzał, jak okrucieństwo jej chłodnych oczu topnieje i słabnie. Niby delikatne drzenie i umiarnie przemknął dreszcz w głębi jej oczu, gasnąc jak srebrny dreszcz na skórze konającej ryby, matowo-złoty, jak przebłysk owych czarodziejskich ogników głęboko w rzece. Zdawało się Złotoustemu, że całe szczęście, jakie tylko człowiek może przeżyć, skupiło się w tej chwili.

Zaraz potem, kiedy z zamkniętymi oczyma leżała drżąca, wstał cicho i narzucił ubranie. Z westchnieniem powiedział jej do ucha:

- Piękna kochanko moja, opuszczam cię. Nie chcę umierać, nie chcę być zabity przez twego hrabiego. Raz jeszcze chcę przed tym uczynić ciebie i siebie tak szczęśliwymi, jak byliśmy dzisiaj. Raz jeszcze, jeszcze wiele razy!

Leżała milcząc, aż się ubrał. Teraz nakrył ją ostrożnie kołdrą i ucałował jej oczy.

- Złotousty - rzekła. - Ach, że też musisz odchodzić! Przyjdź jutro znowu! Gdyby było niebezpieczeństwo, każę cię ostrzec. Przyjdź znowu, przyjdź jutro znowu!

Pociągnęła za sznur dzwonka. W drzwiach garderoby przyjęła go pokojowa i wyprowadziła z zamku. Chętnie dałby jej sztukę złota, przez chwilę wstydził się swego ubóstwa.

Koło północy stał na rynku rybnym i spoglądał w górę na dom. Późno było, nikt już pewnie nie czuwa, prawdopodobnie będzie musiał spędzić noc

poza domem. Ku jego zdumieniu brama była otwarta. Wkradł się cicho i zamknął ją za sobą. Droga do jego izdebki prowadziła przez kuchnię. Było tam jasno. Przy maleńkiej lampce oliwnej siedziała Maria przy stole kuchennym. Zdrzemnęła się właśnie, bo czekała już ze dwie, trzy godziny. Przeraziła się i zerwała, kiedy wszedł.

- O - rzekł Złotousty - Mario, nie śpisz jeszcze?

- Nie śpię - odpowiedziała. - Inaczej zastałbyś dom zamknięty.

- Przykro mi, Mario, że czekałaś. Tak późno się zrobiło. Nie gniewaj się na mnie.

- Nie gniewam się na ciebie, Złotousty. Jestem tylko trochę smutna.

- Nie powinnaś być smutna. Dlaczego jesteś smutna?

- Ach, Złotousty, chciałabym bardzo być zdrowa i piękna, i silna. Wtedy nie musiałbyś chodzić po nocy do obcych domów i kochać obce kobiety. Wtedy zostałbyś pewnie nieraz i przy mnie i był trochę i dla mnie miły.

W łagodnym jej głosie nie brzmiała nadzieja, nie brzmiała też gorycz, tylko żałoba. Zakłopotany stał Złotousty obok dziewczyny, było mu jej tak żal, nie wiedział, co powiedzieć. Ostrożną ręką sięgnął jej głowy i pogłaskał jej włosy, a ona stała nieruchomo, z drżeniem czuła jego dłoń na włosach, zapłakała trochę, wyprostowała się znowu i rzekła lekliwie:

- Idź teraz spać, Złotousty. Mówiłam głupstwa, byłam taka senna. Dobranoc.

Rozdział szesnasty

Dzień pełen szczęsnej niecierpliwości spędził Złousty na wzgórzach. Gdyby miał konia, pojechałby dzisiaj do klasztoru, do pięknej Madonny mistra; czuł potrzebę ujrzenia jej jeszcze raz, zdawało mu się też, że w nocy śnił o mistrzu Mikołaju. No, czas na to później. Choćby to szczęście miłosne z Agnieszką miało trwać krótko, choćby miało doprowadzić do czegoś złego - dzisiaj było w rozkwicie, nie wolno mu było zaniedbać go. Nie chciał dziś widzieć ludzi ani być roztargnionym, chciał spędzić ten łagodny dzień jesienny za miasłem, pod drzewami i chmurami. Powiedział Marii, że zamierza przejść się po okolicy i wróci pewnie późno, więc niech mu da spory kawał chleba, a wieczorem niech nie czeka na niego. Nie powiedziała na to nic, napełniła mu kieszeń chlebem i jabłkami, oczyściła szczotką jego starą kurtkę, której dziury w pierwszych zaraz dniach wyłatała, i pozwoliła mu iść.

Przechadzał się nad rzeką i wśród pustych winnic po stromych ścieżkach wiodących schodkami pod górę, wszedł wyżej w las i nie przestał się wspinać, aż dotarł do ostatniego wieńca wyżyny. Słońce przeświecało tam ciepło przez gałęzie nagich

drzew, kosy umykały przed jego krokami w krzaki, siedziały skulone łękliwie i czarnymi, błyszczącymi oczyma wyglądały z gęstwiny, zaś daleko w dole płynęła niebieskim łukiem rzeka i leżało miasto, małe jak zabawka; nie słysząc już było stamtąd żadnego dźwięku prócz dzwonów wzywających na modlitwę.

Tu wysoko były małe, porośnięte trawą wały i wzgórki z dawnych, pogańskich czasów, może szańce, może grobowce. Na jednym z tych wzgórków Złotousty usiadł, tutaj siedziało się na suchej, szeleszczącej trawie jesiennej i widziało się całą rozległą dolinę i po drugiej stronie rzeki wzgórze i góry, łańcuch za łańcuchem, aż tam, gdzie góry i niebo spotykały się w błękitnej igraszce, aby się już nie dać odróżnić. Cały ten rozległy kraj i znacznie dalej jeszcze, niż sięgnąć mogło jego oko, przewędrowały jego nogi; wszystkie te okolice, które teraz były dala i wspomnieniem, niegdyś były poblizem i teraźniejszością. W tych lasach sypiał setki razy, jadł jagody, znosił głód i chłód, po tych grzbietach górskich i połaciach wrzosowisk wędrował, bywał wesoły i smutny, bywał rzeński i zmęczony. Gdzieś w tej dali, po drugiej stronie widzialnych obszarów, leżały spalone kości dobrej Leny, tam gdzieś towarzysz jego Robert wędrował pewnie wciąż jeszcze, jeżeli nie dosięgła go zaraza; tam gdzieś daleko leżał martwy Wiktor i gdzieś także, odległy i zaczarowany, był klasztor jego lat młodzieńczych, stał zamek rycerza z pięknymi córkami, biegała nędzna i szczuta, biedna Rebeka, albo może zginęła już. Wszystkie te liczne, daleko rozsiane miejscowości, te ugory i lasy, te miasta i wsie, zamki i klasztory, wszyscy ci ludzie, czy żyli, czy zmarli, wszystko to obecne było w jego wnętrzu i powiązane z sobą w jego wspomnieniu, w jego miłości, skrusze, tęsknocie.

A gdyby jutro śmierć zabrała i jego, wszystko to zapadłoby się i zgasło, cała ta księga obrazów, tak pełna kobiet i miłości, ranków letnich i zimowych nocy. Ach, czas było jeszcze coś uczynić, stworzyć jeszcze i zostawić po sobie coś, co by go przetrwało.

Z całego tego życia, z tych wędrówek, z tych wszystkich lat od jego wyruszenia w świat mało pozostało do dzisiaj owoców. Pozostało tych kilka figur, które niegdyś zrobił w warsztacie, zwłaszcza święty Jan, a poza tym jeszcze ta księga z obrazami, ten kapryśny świat w jego głowie, ten piękny i bolesny świat wspomnień. Czy uda mu się uratować coś z tego świata wewnętrznego i wydobyć na zewnątrz? Czy też i nadal będzie tylko tak: zawsze nowe miasta, nowe okolice, nowe kobiety, nowe przeżycia, nowe obrazy, natłoczone jedno na drugie, po których nic mu nie pozostawało, jak tylko to niespokojne, równie dręczące jak piękne, przedławianie serca?

Haniebne to było przecież, godne śmiechu i płaczu, jak wykpionym było się przez życie! Kiedy się żyło, pozwalając grać swoim zmysłom, ssało do syta z piersi starej matki Ewy - wtedy doznawało się wprawdzie niejednej wielkiej rozkoszy, ale nie miało się ochrony przed znikomością, było się wtedy jak grzyb w lesie, który dzisiaj pyszni się w pięknych barwach, a jutro gnije. A kiedy szukało się obrony, zamykało się w warsztacie i usiłowało zbudować pomnik przemijającemu życiu - wtedy znów trzeba było zrezygnować z życia, wtedy było się już tylko narzędziem, było się wprawdzie w służbie rzeczy nieprzemijających, ale usychało się przy tym i traciło wolność, pełnię i rozkosz życia. Tak się stało z mistrzem Mikołajem.

Ach, a przecież całe to życie miało sens tylko wtedy, gdy można było osiągnąć jedno i drugie,

gdy życie nie było rozdarte tym suchym albo - albo! Tworzyć, nie płacąc za to ceny życia! Żyć, nie rezygnując jednak ze szlachectwa tworzenia! Czyż nie było to możliwe?

Może istnieli ludzie, dla których to było możliwe. Może istnieli małżonkowie i ojcowie rodzin, którzy mimo wierności nie zostawali pozbawieni rozkoszy zmysłów. Może istnieli osiadli, którym mimo braku wolności i niebezpieczeństw nie zaskorupiało się serce. Może. On jeszcze takich nie widział.

Wszelki byt zdawał się opierać na dwoistości, na przeciwieństwach, albo się było mężczyzną albo kobietą, albo włóczęgą, albo mieszcuchem, albo rozumnym, albo wrażliwym - nigdy niepodobna było przeżyć jednocześnie wdechu i wydechu, męskości i kobiecości, wolności i ładu, popędu i ducha, zawsze trzeba było za jedno płacić utratą drugiego, i zawsze jedno było tak samo ważne i godne pożądania jak drugie. Kobietom było może pod tym względem łatwiej. Natura stworzyła je tak, że rozkosz sama przez się przynosiła swój owoc, a ze szczęścia miłosnego powstawało dziecko. Mężczyzna zamiast tej prostej płodności otrzymał wieczną tęsknotę. Czyż Bóg, który wszystko tak stworzył, był zły lub wrogi, czy śmiał się złośliwie z własnego tworu? Nie, nie mógł być zły, jeżeli stworzył łąnie i jelenie, ryby i ptaki, las, kwiaty, pory roku. Ale przez stworzenie Jego szła rysa, czy to że świat nie udał się i był niedoskonały, czy też że Bóg miał, dopuszczając ów brak i ową tęsknotę bytu ludzkiego, jakiś szczególny zamiar, czy że było to nasienie wroga, grzechu pierwotnego? Ale dlaczego miałyby ta tęsknota i niedostatek być grzechem? Czy nie powstawało z nich wszystko piękne i święte, co człowiek stworzył i oddawał Bogu z powrotem jako ofiarę dziękczynną?

Pod natłokiem tych myśli kierował wzrok ku miastu, odszukiwał rynek i plac rybny, mosty, kościoły, ratusz. I był tam także zamek, dumny pałac biskupi, w którym rządził teraz hrabia Henryk. Pod tymi wieżami i długimi dachami mieszkała Agnieszka, mieszkała jego piękna, królewska kochanka, która wyglądała tak dumnie, a w miłości potrafiła tak bardzo zapomnieć o sobie i tak się oddawać. Z radością myślał o niej, z radością i wdzięcznym sercem wspominał minioną noc. Aby przeżyć szczęście tej nocy, aby móc uszczęśliwić tę cudowną kobietę, potrzeba było całego jego życia, całego wykształcenia przez kobiety, tej całej wędrówki i niedoli, tych wszystkich przewędrowanych nocy śnieżnych i całej przyjaźni i zażyłości ze zwierzętami, kwiatami, drzewami, wodami, rybami, motylami. Potrzeba było na to wyostrzonych w rozkoszy i niebezpieczeństwie zmysłów, bezdomności, całego nagromadzonego w ciągu wielu lat świata obrazów duszy. Póki życie jego było ogrodem, w którym kwitły takie czarodziejskie kwiaty jak Agnieszka, nie wolno mu się było skarżyć.

Cały dzień przepędził na jesiennych wzgórzach, wędrując, wypoczywając, jedząc chleb, myśląc o Agnieszce i wieczorze. O zmierzchu był znowu w mieście i zbliżał się do zamku. Ochłodziło się, a domy spoglądały cichymi, czerwonymi oczyma okien, spotkał mały pochód śpiewających chłopców, niosących na kijach wydrażone rzepy, w których wyrzeźbione były twarze i zatknięte zapalone świece. Mała maskarada niosła z sobą woń zimy, z uśmiechem spoglądał za nią Złotousty.

Długo wałęsał się dokoła zamku. Poselstwo klechów ciągle jeszcze tam było, tu i ówdzie widziało się w oknie jednego z duchownych. Wreszcie udało mu się zakraść do środka i odnaleźć pokojową Bertę. Znowu ukryto go w garderobie, aż zjawiła się Agnieszka i czule

poprowadziła go do pokoju. Czule powitała go jej piękna twarz, czule, ale nie radośnie; była smutna, trapiła się, lękała. Musiał sobie zadać wiele trudu, aby ją trochę rozweselić. Z wolna nabrała pod jego pocałunkami i słowami miłosnymi nieco ufności.

- Potrafisz być taki miły - rzekła z wdzięcznością. - Masz takie głębokie tony w krtani, ptaku mój, kiedy jesteś tkliwy i gruchasz, i gawędzisz. Kocham cię, Złotousty. Gdybyśmy byli daleko stąd! Nie podoba mi się już tutaj, zresztą i tak się to już niedługo skończy, hrabia został odwołany, niebawem powróci ma głupi biskup. Hrabia jest dzisiaj zły, klechy dręczyły go. Ach, Złotousty, żeby cię tylko nie zobaczył! Byłaby to ostatnia twoja godzina. Tak się o ciebie boję.

We wspomnieniu jego odżyły na wpół zapomniane dźwięki - czyż nie słyszał już niegdyś tej piosenki? Tak mówiła do niego kiedyś Lidia, tak miłośnie i trwożliwie, tak czule i smutno. Taka przyszła nocą do jego izdebki, pełna miłości i trwogi, zatroskana, pełna przeraźliwych obrazów strachu. Chętnie słucał tej tklawie smutnej piosenki. Czym byłaby miłość bez tajemnicy! Czym byłaby miłość bez niebezpieczeństwa!

Łagodnie przyciągnął do siebie Agnieszkę, głaszał ją, trzymał za rękę, mrucał jej do ucha ciche zalotne słowa, całował jej brwi. Wzruszało go i zachwycało, że o niego to jest taka niespokojna i zatroskana. Z wdzięcznością przyjmowała jego pieszczoty, niemal pokornie, cisnęła się do niego pełna miłości, ale nie poweselała.

I nagle wzdrygnęła się mocno, usłyszeli w pobliżu trzaśnięcie drzwiami, szybkie kroki zbliżały się do pokoju.

- Na Boga, to on! - zawołała rozpaczliwie - to hrabia. Prędko, uciekaj przez ten pokoił. Prędko! Nie zdradz mnie!

I już wepchnęła go do garderoby, Złotousty stał sam i z wahaniem posuwał się po omacku w ciemnościach. Za drzwiami słyszał głośną rozmowę Agnieszki z hrabią. Przeciskał się między sukniemi do drzwi, bezszelestnie stawiał nogę za nogą. Oto był już przy drzwiach, prowadzących na korytarz; chciał je otworzyć po cichu. I w tej chwili dopiero, ujrawszy, że drzwi były zamknięte z zewnątrz, przeraził się i on, a serce jego poczęło walić dziko i boleśnie. Mógł to być nieszczęśliwy przypadek, że ktoś zamknął drzwi po jego przyjściu tutaj. Ale nie wierzył w to. Wpadł w pułapkę, był zgubiony; ktoś musiał go widzieć, kiedy się tu zakradał. Gardłem za to zapłaci. Dygocąc stał w ciemności i natychmiast przypomniały mu się pożegnalne słowa Agnieszki: „Nie zdradź mnie!” Nie, nie zdradzi jej. Serce tłuło mu się w piersi, ale decyzja uczyniła go silnym, przekornie zacisnął zęby.

Wszystko to stało się w ciągu paru chwil. Teraz otworzyły się drzwi z drugiej strony i z pokoju Agnieszki wszedł hrabia ze świecznikiem w lewej i obnażonym mieczem w prawej ręce. W tej samej chwili Złotousty zgarnął kilka wiszących dokoła niego sukien i płaszczy i przerzucił je sobie przez ramię. Niechaj go uważają za złodzieja, może to go uratuje.

Hrabia dojrzał go natychmiast, zbliżył się wolno.

- Ktoś ty taki? Co tu robisz? Odpowiadaj, albo przebiję.

- Wybaczcie - wybełkotał Złotousty - jestem biednym człowiekiem, a wyście taki bogaty! Oddam wszystko, co wzięłem, panie, patrzcie!

I rzucił płaszcz na podłogę.

- Tak, więc kradłeś tutaj? Niemądrze to było z twojej strony dla starego płaszczka narażać życie. Czy jesteś obywatelem miasta?

- Nie, panie, jestem bezdomny. Jestem biednym człowiekiem, bądźcie wyrozumiali...

- Przestań! Ciekaw jestem bardzo, czy byłeś aż tak zuchwały, aby się ośmielić napastować wielmożną panią. Ale że i tak będziesz powieszony, nie potrzebujemy tego badać. Kradzież wystarcza.

Stuknął mocno w zamknięte drzwi i krzyknął:

- Jesteście tam? Otwierać!

Drzwi otwarto z zewnątrz, trzech pachołkowie stali w pogotowiu z dobytymi pałaszami.

- Zwiążcie go dobrze - zawołał hrabia głosem skrzekliwym, pełnym dumy i szyderstwa. - To włóczęga, który chciał kraść tutaj. Wtrąćcie go do lochu, a jutro rano powieście tego łotra.

Złotousty nie bronił się, gdy mu wiązano ręce. Związanego prowadzono go przez długi korytarz, ze schodów, przez dziedziniec wewnętrzny - służący niósł przodem latarnię. Zatrzymali się przed łukowatą, obitą żelazem bramą piwniczną, rozległy się głosy i przekleństwa, nie było klucza do bramy, jeden z pachołków ujął latarnię, a służący pobiegł z powrotem, po klucz. Tak stali, trzech zbrojni i jeden związany, i czekali przed bramą. Pachołek z latarnią ciekawie poświecił Złotoustemu w twarz. W tej chwili przechodzili dwaj spośród kapłanów, których tak wielu gościło w zamku; nadchodzili z kaplicy zamkowej i zatrzymali się przed grupą, przyglądając się uważnie nocnej scenie: trzem pachołkom i związanemu człowiekowi, stojącym i czekającym na coś.

Złotousty nie zwracał uwagi ani na kapłanów, ani na wartowników. Nie mógł widzieć nic prócz migoczącego lekko światła, które trzymane było tuż przed jego twarzą i oślepiało mu oczy. A poza światłem, w ciemności pełnej zgrozy, widział jeszcze coś, coś bezkształtnego, wielkiego, upiornego: otchłań, koniec, śmierć. Ze znieruchomiałymi oczy-

ma stał, nie widząc nic ani słysząc. Jeden z duchownych szeptem rozmawiał z pachołkami. Kiedy się dowiedział, że człowiek ten ma umrzeć i jest złodziejem, zapytał, czy miał on spowiednika. Nie, powiedziano, został przyłapany na gorącym uczynku.

- Więc raniem przed mszą poranną - rzekł kapłan - przyjdę do niego ze świętymi sakramentami i wysłucham jego spowiedzi. Odpowiadacie mi za to, aby go przed tym nie wyprowadzono. Z panem hrabią pomówię dzisiaj jeszcze. Człowiek ten może być złodziejem, posiada jednak prawo każdego chrześcijanina do spowiednika i sakramentów.

Pachołkowie nie wazyli się sprzeciwiać. Znali duchownego, należał do poselstwa, wiele razy widzieli, jak jadł przy stole hrabiego. I dłaczegóżby się nie miało użyzyć temu biednemu włóczędze spowiedzi?

Duchowni odeszli. Złotousty stał i patrzył nieruchomo. Wreszcie służący nadszedł z kluczem i otworzył. Więznia wprowadzono do sklepu piwnicznego, potykając stoczył się z kilku stopni. Kilka trójnożnych stołków stało tu dookoła i stół - był to przedsiónek piwnicy na wino. Podsunęli mu zydeł do stołu i kazali usiąść.

- Jutro o świcie przyjdzie tu klecha, możesz się wypowiadać - rzekł doń jeden z pachołków. Po-tem odeszli i starannie zamknęli ciężkie drzwi.

- Zostaw mi światło, towarzyszu - poprosił Złotousty.

- Nie, braciszku, mógłbyś narobić czegoś złego. I tak jakoś przebijesz. Bądź mądry i pogódź się z losem. Jak długo zresztą pali się takie światło? Za godzinę i tak by zgasło. Dobranoc.

Teraz pozostał sam w ciemności, usiadł na zydlu i położył głowę na stole. Niewygodnie było tak

siedzieć, a pęta na rękach sprawiały mu ból, ale wrażenia te później dopiero dotarły do jego świadomości. Chwilowo siedział tylko, położywszy głowę na stole jak na pieńku katowskim, czuł potrzebę uczynienia także ciałem i zmysłami tego, co narzucone zostało teraz jego sercu: poddania się temu, co nieuniknione, pogodzenia się z koniecznością śmierci.

Wieczność całą siedział tak, żałośnie skulony, i starał się wziąć na siebie nałożone brzemie, wchłonąć je w siebie, uznać je za słuszne i przyswoić je sobie. Był teraz wieczór, zaczynała się noc, a kres tej nocy przyniesie też kres jego życiu. Musiał spróbować pojąć to. Jutro nie będzie już żył. Będzie wisiał, będzie przedmiotem, na którym siadać będą ptaki i dziobać go, będzie tym, czym był mistrz Mikołaj, czym była Lena w spalonej budzie, czym byli ci wszyscy, których widział leżących w wymarłych chatkach i na napchanych trupami wozach. Niełatwo było pogodzić się z tą myślą i przyswoić ją sobie. Wręcz niemożliwe było pogodzić się z nią. Zbyt wiele było rzeczy, z którymi się jeszcze nie rozstał, z którymi się jeszcze nie pożegnał. Godziny tej nocy dane mu były, aby to uczynić.

Musiał się pożegnać z piękną Agnieszką, nigdy już nie ujrzy jej wysokiej postaci, jej jasnych, słonecznych włosów, jej chłodnych niebieskich oczu, nigdy nie zobaczy słabnięcia i drżenia pychy w tych oczach, nigdy słodkiego puszkę złotego na jej pachnącej skórze. Żegnajcie, niebieskie oczy, żegnajcie, wilgotne, drgające usta! Często jeszcze spodziewał się je całować. Jeszcze dzisiaj na wzgórzach, w późnym słońcu jesiennym, jakże myślał o niej, jak do niej należał, jak tęsknił za nią! Ale musiał się pożegnać i ze wzgórzami także, ze słońcem, z błękitnym niebem o białych obłokach,

pożegnać z drzewami i lasami, z wędrówką, porami dnia i porami roku. Maria czuwała może jeszcze, biedna Maria o dobrych, kochających oczach, utykająca na nogę - siedziała i czekała, zasypiała w kuchni i budziła się znowu, a Złotousty nie wracał już do domu.

Ach, i papier, i kredka do rysowania, i nadzieja na te wszystkie figury, które chciał jeszcze wyrzeźbić! Minęło, minęło! I nadzieja spotkania z Narcyzem, z kochanym uczniem pańskim, Janem - z tej nadziei także musiał zrezygnować.

Pożegnać się musiał z własnymi dłońmi, z własnymi oczyma, z głodem i pragnieniem, z jedzeniem i napojem, z miłością, grą na lutni, ze spaniem i budzeniem się, ze wszystkim... Jutro ptak będzie latał w powietrzu, a Złotousty nie ujrzy go już, dziewczyna będzie śpiewała przy oknie, a on jej już nie usłyszy, potok będzie biegł i płynąć będą nieme, ciemne ryby, wiatr będzie wiał, zmiatając pożółkłe listowie na ziemi, będzie świeciło słońce i gwiazdzisty firmament, młodzieńcy będą szli na tańce, pierwszy śnieg spadnie na dalekie góry - i wszystko będzie się toczyło dalej - wszystkie drzewa będą rzucały cień, wszyscy ludzie będą wesoło i smutno spoglądali swymi żywymi oczyma, psy będą szczekać, krowy ryczeć w oborach wiejskich, a to wszystko bez niego, nic nie będzie już doń należało, od wszystkiego będzie oderwany.

Czuł woń poranną wrzosowiska, czuł smak słodkiego wina i młodych twardych orzechów włoskich; przez udręczone jego serce przemknęło wspomnienie, jasny odblask całego barwnego świata, zapadając się i żegnając rozbłysnęło raz jeszcze w jego zmysłach całe piękne, zawikłane życie - skulił się w gwałtownym bólu i poczuł, jak łąza za łązą spływa mu z oczu. Z łkaniem poddał się tej fali, potokiem napłynęły mu łzy, z rozpaczą zatonał

w bezgranicznym bólu. O, wy doliny, wy lesiste góry, wy strumienie w zielonych zaroślach olchowych, wy dziewczęta, wy wieczory księżycowe na mostach, o ty piękny, promienny świecie obrazów, jakże cię mam opuścić! Płacząc leżał na stole, niby nieutulone dziecko. Z udręki jego serca uniosło się westchnienie i błagalne wołanie: - O matko, matko!

I gdy wymówił to czarodziejskie słowo, odpowiedział mu z głębi wspomnienia obraz, obraz matki. Nie była to postać matki z jego myśli i marzeń artystycznych, był to obraz jego własnej matki, piękny i żywy, jakiego nigdy już od czasów klasztornych nie widział. Do niej skierował swoją skargę, przed nią wypłakał ów ból nie do zniesienia, że musi umierać, jej się zwierzył, jej oddał las, słońce, oczy, dłonie, oddał z powrotem całą swoją istotę i życie w jej matczyne ręce.

I wśród tych łez zasnął; wyczerpanie i sen macierzyńsko wzięły go w ramiona. Spał godzinę, może dwie, pozbywszy się niedoli. Kiedy zbudził się znowu, uczył gwałtowne bóle. Dotkliwie paliły go związane przeguby rąk, szarpiące boleści przebiegały po grzbiecie i karku. Z trudnością wyprostował się, oprzytomniał i uświadomił sobie swoje położenie. Otaczała go zupełna czarna ciemność, nie wiedział, jak długo spał, nie wiedział, ile godzin życia pozostawało mu jeszcze. Może już w następnej chwili przyjdą i zabiorą go na śmierć. Wtem przypomniał sobie, że obiecano mu kapłana. Nie wierzył, aby sakramenty jego mogły mu wiele pomóc. Nie wiedział, czy nawet zupełne rozgrzeszenie i odpuszczenie grzechów zdoła go zaprowadzić do nieba. Nie wiedział, czy istniało niebo i Bóg Ojciec, i sąd, i wieczność. Od dawna utracił w tych sprawach pewność.

Ale czy wieczność istniała, czy nie, nie pożądał jej, nie pragnął niczego, tylko tego niepewnego,

doczesnego życia, tego oddychania, tego bytowania we własnej skórze, nie chciał niczego, chciał tylko żyć. Zerwał się z wściekłością, po omacku dotarł w ciemnościach do muru, oparł się o niego wyprostowany i począł myśleć. Musiał przecież istnieć jakiś ratunek! Może kapłan ten był ratunkiem, może da się przekonać o jego niewinności, wstawi się za nim słowem i dopomoże do odłożenia egzekucji lub do ucieczki? Namiętnie zatapiał się raz po raz w tych myślach. A gdyby to się nawet na nic nie zdało, to jednak nie podda się jeszcze, gra nie jest jeszcze przegrana. Spróbuje więc najpierw pozyskać dla siebie księdza, zada sobie największy trud, aby go oczarować, aby go wzruszyć, aby go przekonać, aby mu schlebić. Ksiądz był jedyną dobrą kartą w jego grze, wszystkie inne możliwości były marzeniami. Bywały co prawda przypadki i zrządenia losu; kat mógł dostać kolek, a szubienica mogła się złamać, mogła się nadarzyć jakaś, niemożliwa do przewidzenia zawczasu, sposobność ucieczki. W każdym razie Złotousty wzbraniał się umierać; daremnie próbował pogodzić się z losem i wziąć go na siebie, nie udało mu się to. Będzie się bronił i walczył do ostatka, podstawí nogę wartownikowi, zwali kata uderzeniem pięści, do ostatniej kropli krwi będzie walczyć o życie. - O, gdyby zdołał nakłonić klechę, aby mu rozwiązała ręce! Nieskończenie wiele zyskałby przez to.

Tymczasem, nie bacząc na bóle, próbował sznurów zębami i palcami. Ze wściekłym wysiłkiem sprawił po nieskończeniu długim czasie tyle, że rozluźniły się nieco. Stał sapiąc pośród nocy swojego więzienia, nabrzmiąte ramiona i ręce bolały go bardzo. Kiedy odzyskał znowu oddech, począł się skradać wzdłuż muru, coraz dalej, badając krok za krokiem wilgotną ścianę piwniczną, czy

nie znajdzie gdzie wystającego kantu. Wtem przypomniały mu się schody, po których potykał się do ciemnicy. Poszukał ich i znalazł. Uklęknął, próbując pocierać postronek o jeden z kamiennych kantów. Trudno mu to szło, ciągle zamiast sznurów trafiały na kamień kostki jego rąk, bolało to jak ogień, czuł spływającą krew. Ale nie ustępował. Gdy między wrotami a progiem ukazała się żałośnie wąska smuga szarego brzasku porannego, osiągnął swój cel. Postronek był przetarty, mógł go zerwać, miał wolne ręce! Ale potem ledwie mógł ruszyć palcem, ręce były nabrzmiąte i obumarłe, a ramiona aż po łopatki zeszywniały w skurczu. Musiał je ćwiczyć, zmuszał je do ruchów, aby krew poczęła znów krążyć. Gdyż powziął teraz plan, który mu się wydał dobry.

Gdyby mu się żadną miarą nie udało sprawić, aby mu ksiądz dopomógł, wtedy, o ile by go na najkrótszą choćby chwilę pozostawiono samego z tym człowiekiem, musiał go zabić. Jednym ze stołków udałoby się to zrobić. Udusić go nie mógł, na to miał za mało siły w rękach i ramionach. Więc zabić go, szybko wdziać jego szatę duchowną i uciec w niej! Zanim odnajdą ciało zabitego, musi opuścić zamek, a potem biec, biec! Maria wpuści go i ukryje. Musiał spróbować. Była to jedyna możliwość.

Nigdy jeszcze w życiu nie wypatrywał tak Złotousty świtu, nie czekał na niego, nie tęsknił za nim i nie lękał się go zarazem, jak w tej godzinie. Drżąc z przejęcia i gotowości, wypatrywał oczyma myślicy, jak nędzna szparka światła pod wrotami stawała się z wolna, z wolna coraz jaśniejsza. Powrócił do stołu i ćwiczył się w tym, aby siedzieć z rękoma w ten sposób ukrytymi na zydłu między kolanami, by nie od razu spostrzec było można, że nie są spętane. Odkąd ręce jego były wolne, nie

wierzył już w śmierć. Był zdecydowany uciec, chociażby cały świat miał się przy tym rozpaść w kawały. Zdecydowany był żyć za wszelką cenę. Nozdrza jego drżały z pożądania wolności i życia. A kto wie, może z zewnątrz nadejdzie pomoc? Agnieszka była kobietą, a potęga jej nie sięgała daleko, może i odwaga także; możliwe było, że go zdradziła. Ale kochała go, może jednak mogła coś zrobić. Może za drzwiami skradała się pokojowa Berta - a czyż nie istniał jeszcze masztalerz, o którym wiadomo było, że można na nim polegać? A gdyby nikt się nie zjawił i nie dano mu znaku, w takim razie przeprowadzi swój plan. Gdyby się nie udał, zabije zydłem wartowników, dwóch czy trzech, czy ilu ich tam przyjdzie. Zdawał sobie sprawę z jednej swojej przewagi: oczy jego przywykły już do ciemnej celi, teraz w mroku rozpoznawał w przybliżeniu wszystkie kształty i wymiary, podczas gdy tamci będą tu początkowo ślepi.

Drżąc z podniecenia siedział teraz przy stole, zastanawiając się dokładnie, co ma powiedzieć kapłanowi, aby pozyskać w nim pomocnika, gdyż od tego trzeba było zacząć. Zarazem obserwował chciwie skromny przyrost światła w szczelinie. Za tą chwilą, której przed kilku godzinami tak się obawiał, tęsknił teraz żarliwie, zaledwie się jej mógł doczekać, nie można było długo znosić tego okropnego naprężenia. A przy tym i siły jego, uwaga, gotowość i czujność musiały stopniowo słabnąć. Wartownik z księdzem musiał nadejść niebawem, póki ta naprężona gotowość, ta zdecydowana wola znajdowała się jeszcze w rozkwicie.

Wreszcie za drzwiami zbudził się świat, wreszcie wróg zbliżył się. Na bruku dziedzińca rozległy się kroki, do dziurki wsadzono klucz, przekręcono go, każdy z tych dźwięków brzmiał po długiej ciszy śmiertelnej jak grom.

A teraz ciężkie drzwi powoli otworzyły się nieco i zaskrzypiały w zawiasach. Wszedł duchowny, bez towarzystwa, bez wartownika. Wszedł sam, niosąc lichtarz z dwiema świecami. Teraz wszystko było znowu inaczej, niż sobie więzień wyobrażał.

I jakże dziwna i wzruszająca rzecz: wchodzący kapłan, za którym niewidzialna ręka zamknęła znowu drzwi, nosił strój zakonny klasztoru Maria-bronn, znajomy, zażyły strój, jaki nosili niegdyś opat Daniel i ojciec Anzelm, i ojciec Marcin! Widok ten dziwnie ukłuł go w serce, musiał odwrócić oczy. Zjawienie się tej sukni zakonnej mogło zapowiadać coś dobrego, mogło być dobrym znakiem. A jednak może nie będzie innego wyjścia jak morderstwo. Zagryzł zęby. Bardzo ciężko by mu było zabić zakonnika.

Rozdział siedemnasty

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekł zakonnik stawiając lichtarz na stole.

Złotousty mruknął odpowiedź, utkwivszy wzrok w ziemi.

Duchowny milczał. Stał czekając i milczał, aż Złotousty zaniepokoił się i badawczo skierował wzrok na człowieka, który stał przed nim.

Człowiek ten - poznał teraz ku swemu zmieszaniu - nosił nie tylko strój ojców z Mariabronn, ale nosił też oznaki godności opata.

A teraz spojrzał opatowi w twarz. Była to chuda twarz, wykrojona twardo i wyraźnie, o bardzo wąskich wargach. Była to twarz, którą znał. Jak zaczarowany spoglądał Złotousty w tę twarz, która cała zdawała się ukształtowana z ducha i woli. Niepewną ręką pochwycił świecznik, podniósł go i zbliżył do obcej twarzy, aby móc dojrzeć jej oczy. Ujrzał je - i świecznik zadygotał w jego ręku, gdy go odstawiał.

- Narcyz! - szepnął ledwo dosłyszalnie.

Wszystko poczęło wirować dokoła niego.

- Tak, Złotousty, byłem niegdyś Narcyzem, ale porzuciłem to imię przed dawnymi już czasami, zapomniałeś pewnie o tym. Od obłóczyn noszę imię Jana.

Złotousty wstrząśnięty był do głębi duszy. Nagle cały świat się odmienił, nagle opadło jego nadludzkie napięcie, grożąc mu uduszeniem; drżał, a w uczuciu zamętu głowa wydawała mu się pustym pęcherzem, żołądek skurczył się. Zaszlochać i paść we łzach, w omdleniu - oto czego pożądał w tej chwili.

Ale z zakłętej przez widok Narcyza głębin wspomnień młodości wykwitło w nim ostrzeżenie: kiedyś, jako chłopiec, płakał i załamał się przed tym pięknym, surowym obliczem, przed tymi ciemnymi, wszechwiedzającymi oczyma. Nie wolno mu było uczynić tego znowu. Oto jak upiór jawił się znowu ten Narcyz w najosobliwszej chwili jego życia, prawdopodobnie, aby mu uratować życie - a on miałby znowu wybuchnąć przed nim łkaniem albo wpaść w omdlenie? Nie, nie, nie. Opanował się. Poskromił swoje serce, ośladnął żołądkiem, wypędził zamęt z głowy. Nie wolno mu było teraz okazać słabości.

Sztucznie opanowanym głosem udało mu się powiedzieć:

- Musisz mi pozwolić nazywać cię wciąż jeszcze Narcyzem.

- Nazywaj mię tak, kochany. A czy nie chcesz mi podać ręki?

Znowu zadał sobie Złotousty gwałt. Chłopięco przekornym i z lekka drwiącym tonem, zupełnie jak dawniej nieraz za czasów uczniowskich, wygłosił swoją odpowiedź.

- Wybacz, Narcyzie - rzekł chłodno i nieco niedbale. - Widzę, że zostałeś opatem. Ja zaś ciągle jeszcze jestem włóczęgą. A poza tym rozmowa nasza, choć tak jest dla mnie upragniona, niestety niedługo będzie mogła trwać. Gdyż widzisz, Narcyzie, jestem skazany na szubienicę, a za godzinę, albo wcześniej, będę już pewnie wisiał. Mówię to tylko, żeby ci wyjaśnić sytuację.

Twarz Narcyza nie drgnęła nawet. Odrobina chłopięcości i fanfaronady w zachowaniu przyjaciela bawiła go bardzo, a zarazem wzruszała. Ale dumę, która kryła się poza tym i która nie pozwalała Złotoustemu paść mu z płaczem na piersi, tę dumę rozumiał i pochwalał najgoręcej. Zaprawdę, i on inaczej wyobrażał sobie spotkanie, ale szczerze godził się na tę małą komedię. Niczym nie mógłby się Złotousty szybciej wkraść znowu w jego serce.

- No tak - rzekł Narcyz, udając także obojętnego. - Zresztą co do szubienicy, mogę cię uspokoić. Zostałeś ułaskawiony. Polecono mi zawiadomić cię o tym i zabrać cię stąd. Gdyż tutaj w mieście nie wolno ci pozostać. Będziemy więc mieli dość czasu, aby sobie wzajem to i owo opowiedzieć. Ale jakże będzie: czy chcesz mi teraz podać rękę?

Podali sobie ręce i długo trzymali je mocno i ściskali, i czuli się głęboko wzruszeni, ale w słowach ich szorstkość i komedia trwały jeszcze przez pewien czas.

- Dobrze, Narcyzie, opuścimy więc to niezbyt szaczone schronienie, i przyłączę się do twego orszaku. Czy jedziesz z powrotem do Mariabronn? Tak? Doskonale, a jak? Konno? Wyśmienicie. Trzeba więc będzie i dla mnie wystarać się o konia.

- Dostaniemy go, *arnice*, i wyjedziemy już za dwie godziny. Ach, ale jakże wyglądają twoje ręce! Na miłość Boga, pokiereszowane i nabrzmiące, i zalane krwią! O Złotousty, jak się z tobą obchodzono!

- Daj pokój, Narcyzie. Sam sobie tak oporządziłem ręce. Byłem przecież związany i musiałem się uwolnić. Powiadam ci, nie było to łatwe. Nawiasem mówiąc, była to z twojej strony wielka odwaga, że wszedłeś do mnie bez eskorty.

- Dlaczego odwaga? Nie było przecież niebezpieczeństwa.

- O, było tylko jedno małe niebezpieczeństwo, że mogłeś zostać przeze mnie zabity. Gdyż tak sobie wszystko ułożyłem. Powiedziano mi, że przyjdzie kapłan. Byłbym go zabił i uciekł w jego sukniach. Dobry plan.

- Więc nie chciałeś umierać? Chciałeś się bronić przed tym?

- Naturalnie, że chciałem się bronić. Że ty właśnie będziesz tym kapłanem, tego oczywiście nie mogłem przeczuć.

- W każdym razie - rzekł Narcyz z wahaniem - był to właściwie bardzo szpetny plan. Czy rzeczywiście zdołałbyś zabić kapłana, który przyśzedłby do ciebie jako spowiednik?

- Ciebie nie, Narcyzie, naturalnie nie, i może żadnego z twoich ojców, gdyby nosił habit klasztoru Mariabronn. Ale jakiegoś innego duchownego, o tak, bądź tego pewien.

Nagle głos jego stał się smutny i ponury:

- Nie byłby to pierwszy człowiek, którego zabiłem.

Milczeli. Obydwaj doznawali przykrego uczucia.

- O tych sprawach - rzekł Narcyz chłodnym głosem - pomówimy przecież później. Możesz się kiedyś wyświadczyć przede mną, jeżeli zechcesz. Albo możesz mi tak tylko opowiedzieć o swoim życiu. I ja mam ci niejedno do opowiedzenia. Cieszę się na myśl o tym - idziemy?

- Jeszcze chwilę, Narcyzie! Coś mi się przypomniało, mianowicie, że cię już raz nazwałem Janem.

- Nie rozumiem cię.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wiesz przecież jeszcze nic. Było to przed wielu laty, nadałem ci wtedy imię Jana i pozostanie ci ono na zawsze.

Byłem mianowicie dawniej rzeźbiarzem i snyce-
rzem posągów i zamierzam zostać nim znowu.
A najlepsza figura, jaką stworzyłem wówczas,
młodzieniec z drewna, naturalnej wielkości, jest
twoim wizerunkiem, ale nie nazywa się Narcyz,
lecz Jan. Jest to uczeń pański Jan pod krzyżem.

- Więc myślałeś jeszcze o mnie? - zapytał Nar-
cycz cicho.

Równie cicho odpowiedział Złotousty:

- O, tak, Narcyzie, myślałem o tobie. Zawsze,
zawsze.

Gwałtownie pchnął ciężką bramę, błądy ranek
zajrzał do lochu. Nie mówili nic więcej. Narcyz
zabrał go do swego pokoju gościnnego. Młody
mnich, jego towarzysz, zajęty tam był przygotowa-
niem bagaży podróżnych. Złotousty dostał jeść,
obmyto mu i opatrzono ręce. Wkrótce przyprowa-
dzono konie.

Kiedy ich dosiedli, Złotousty rzekł:

- Mam jeszcze jedną prośbę. Jedźmy przez ry-
nek rybny, mam tam jeszcze coś do załatwienia.

Odjechali, a Złotousty spoglądał we wszystkie
okna zamku, czy nie ujrzy w nich Agnieszki. Nie
zobaczył jej więcej. Pojechali przez rynek rybny.
Maria bardzo się niepokoiła o niego. Pożegnał się
z nią i jej rodzicami, podziękował tysiącrotnie,
obiecał przybyć znowu kiedyś i odjechał. Maria
stała przed bramą, aż jeźdźcy zniknęli. Powoli,
utykając, wróciła do domu.

Jechali we czterech, Narcyz, Złotousty, młody
zakonnik i uzbrojony pachołek.

- Czy pamiętasz jeszcze mojego konia Gwiaz-
docha - zapytał Złotousty - który stał w waszym
klasztorze?

- Oczywiście. Nie zastaniesz go już i nie spo-
dziewałeś się tego pewnie. Będzie już pewnie sie-
dem albo osiem lat, jak musiał opuścić ten świat.

- Że jeszcze pamiętasz o tym!

- O, tak, pamiętam.

Złotousty nie był zasmucony śmiercią Gwiazdoszka. Cieszył się, że Narcyz tak dobrze pamiętał Gwiazdocha, on, który nigdy nie interesował się zwierzętami i na pewno nigdy żadnego konia klasztornego nie znał z imienia. Bardzo się z tego cieszył.

- Będiesz się ze mnie śmiał - zaczął znowu - że pierwszą istotą w waszym klasztorze, o którą zapytałem, był ten biedny konik. Nie było to ładnie z mojej strony. Właściwie chciałem zapytać o coś zupełnie innego, przede wszystkim o naszego opata Daniela. Ale mogłem się przecież spodziewać, że umarł, jesteś przecież jego następcą. A chciałem początkowo uniknąć mówienia o samych wypadkach śmierci. Chwilowo nierad jestem mówić o śmierci, ze względu na tę minioną noc, a także względu na zarazę, z której aż nazbyt wiele widziałem. Ale doszliśmy jednak do tego tematu, a kiedyś musi się to przecież stać. Powiedz mi, kiedy i jak zmarł opat Daniel, szanowałem go bardzo. I powiedz mi także, czy ojcowie Anzelm i Marcin żyją jeszcze. Jestem przygotowany na najgorsze. Ale rad jestem, że ciebie przynajmniej zaraza oszczędziła. Nigdy co prawda nie myślałem, że mogłeś umrzeć, wierzyłem mocno w nasze spotkanie. Ale wiara może ludzić, przekonałem się o tym niestety. Także mego mistrza Mikołaja, snycerza, nie mogłem sobie wyobrazić martwego, liczyłem z pewnością na to, że go odszukam i na nowo zacznę pracować u niego. A jednak nie żył, kiedy wróciłem.

- Krótkie to dzieje - rzekł Narcyz. - Opat Daniel umarł już przed ośmiu laty, bez choroby i bez bólu. Nie jestem jego następcą, jestem opatem dopiero od roku. Następcą jego był ojciec Marcin, niegdyś nasz przełożony szkoły, zmarł on

w ubiegłym roku, nie dożywszy siedemdziesięciu lat. A ojca Anzelma także już nie ma. Lubił cię, często jeszcze mówił o tobie. W ostatnich czasach swego życia nie mógł już zupełnie chodzić, a leżenie sprawiało mu wielką mękę, umarł na puchlinę wodną. Tak, a zaraza także u nas była, wielu umarło. Nie mówmy o tym! Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Oczywiście, bardzo wiele. Przede wszystkim: skąd się tu wzięłeś w mieście biskupim i u namiestnika?

- Długa to historia i znudziłaby cię; idzie tu o politykę. Hrabia jest faworytem cesarza i w wielu sprawach jego pełnomocnikiem, a między cesarzem a naszym zakonem wiele rzeczy trzeba obecnie załatwić. Zakon przydzielił mi do deputacji, która miała pertraktować z hrabią. Skutek był mały.

Zamilkł. Złotousty nie pytał dalej. Nie trzeba też było, aby się dowiedział, że wczoraj wieczorem, gdy Narcyz prosił hrabiego o życie Złotoustego, życie to opłacone zostało kilkoma ustępstwami na rzecz okrutnego hrabiego.

Jechali. Złotousty uczuł się niebawem zmęczony i z trudnością trzymał się na siodle.

Po długim czasie Narcyz zapytał:

- Czy to prawda, że zostałeś schwytyany na kradzieży? Hrabia twierdził, że wśliznąłeś się do zamku i do komnat wewnętrznych i kradłeś tam.

Złotousty roześmiał się.

- No, mogło się rzeczywiście zdawać, że byłem złodziejem. Ale miałem tam schadzki z kochanką hrabiego; bez wątplenia wiedział o tym. Dziwi mię bardzo, że mimo to wypuścił mnie.

- No, dał ze sobą pogadać.

Nie mogli przebyć zamierzonej drogi dziennej, Złotousty był zbyt wyczerpany, jego ręce nie mog-

ły już dłużej trzymać cugli. Stanęli na kwaterze we wsi, ułożono go do łóżka, gorączkował trochę i przeleżał tam jeszcze następny dzień. Potem mógł już jechać dalej. A gdy niebawem ręce mu się wygoiły, począł się bardzo rozkoszować konną jazdą. Jak dawno już nie dosiadał konia! Odżył, wróciła mu młodość i był ożywiony, ścigał się często z pachołkiem, a w chwilach zwierzeń zasypywał swego przyjaciela Narcyza tysiącami niecierpliwych pytań. Swobodnie i życzliwie przystawał na to Narcyz, znowu oczarowany był Złotoustym, lubił jego tak porywcze, tak dziecięce pytania, tak pełne bezgranicznego zaufania do ducha i mądrości przyjaciela.

- Jedno pytanie, Narcyzie: czy paliliście kiedy Żydów?

- Czy paliliśmy Żydów? Skądże by? U nas przecież nie ma Żydów.

- Racja. Ale powiedz: czy byłąś zdolny palić Żydów? Czy mógłbyś sobie to wyobrazić jako możliwość?

- Nie, dlaczegóż miałbym to robić? Czy uważasz mię za fanatyka?

- Zrozum mię, Narcyzie! Mam na myśli: czy możesz sobie wyobrazić, że w jakimś wypadku mógłbyś wydać rozkaz zabijania Żydów, czy choćby pozwolenie? Tylu przecież książąt, burmistrzów, biskupów i innych władców wydawało takie rozkazy!

- Nie wydałbym rozkazu tego rodzaju. Natomiast mogę sobie wyobrazić wypadek, że musiałbym patrzeć na takie okrucieństwo i znosić je.

- Więc zniósłbyś je jednak?

- Oczywiście, gdybym nie miał mocy przeszkody mu. Widziałeś pewnie kiedyś palenie Żydów, Złotousty?

- O, tak.

- No, i przeszkodziłeś temu? Nie? Widzisz.

Złotousty opowiedział szczegółowo historię Rebece, zapalił się przy tym i mówił namiętnie.

- Więc powiedz - zakończył porywczo - co to jest za świat, w którym musimy żyć? Czy to nie oburzające i ohydne?

- Oczywiście. Świat nie jest inny.

- Tak! - zawołał Złotousty gniewnie. - A jak często twierdziłeś dawniej, że świat jest boski, że jest on wielką harmonią sfer, pośrodku której tronuje Stwórca, że wszystko, co istnieje, jest dobre, i tak dalej. Powiadałeś, że tak napisane jest u Arystotelesa czy też u świętego Tomasza. Ciekaw jestem twego wyjaśnienia tej sprzeczności.

Narcyz roześmiał się.

- Pamięć twoja jest zdumiewająca, a jednak zawiodła cię nieco. Zawsze czciłem Stwórcę jako doskonałego, ale stworzenia nigdy. Nigdy nie zaprzeczałem, że zło na świecie istnieje; że życie na ziemi jest harmonijne i sprawiedliwe i że człowiek jest dobry, tego, mój kochany, nie twierdził jeszcze żaden prawdziwy myśliciel. Przeciwnie, napisane jest wyraźnie w Piśmie świętym, że myśli i zamiary serca ludzkiego bywają złe, i co dzień widzimy potwierdzenie tego.

- Doskonale. Widzę nareszcie, jak wy, uczeni, to rozumiecie. Więc człowiek jest zły, a życie na ziemi brutalne i pełne nikczemności, to przyznajecie. Ale gdzieś poza tym, w waszych myślach i księgach, istnieje sprawiedliwość i doskonałość. Istnieją, można tego dowieść, tylko że nie robi się z nich użytku.

- Wiele nzbierałeś w sobie zawziętości przeciwko nam, teologom, drogi przyjacielu! Ale ciągle jeszcze nie zostałeś myślicielem, mieszasz wszystko ze sobą. Będziesz się musiał jeszcze niejednego nauczyć. Ale dlaczego powiadasz, że nie robimy

użytku z idei sprawiedliwości? Czynimy to każdego dnia i każdej godziny. Na przykład ja jestem opatem i muszę kierować klasztorem, a w tym klasztorze tak samo nie żyje się idealnie i bez grzechu, jak na świecie za jego murami. A jednak wytrwale i nieustannie przeciwstawiamy grzechowi pierwotnemu ideę sprawiedliwości i staramy się mierzyć nią swoje niedoskonałe życie, staramy się korygować zło i stale kształtować nasze życie w zależności od Boga.

- Ach, tak, Narcyzie. Nie mam przecież na myśli ciebie ani tego, że jesteś złym opatem. Ale myślę o Rebecce, o spalonych Żydach, o masowych grobach, o wielkim umieraniu, o ulicach i izbach, w których leżały cuchnące trupy zmarłych na zarazę, o całym tym okropnym spustoszeniu, o opuszczonych, osamotnionych dzieciach, o zdechłych z głodu na łańcuchu psach podwórzowych - a kiedy myślę o tym wszystkim i widzę przed sobą te obrazy, wtedy serce boli mię i zdaje mi się, że matki nasze wydały nas na beznadziejnie okrutny i diabelski świat, i lepiej by było, gdyby tego nie uczyniły, i gdyby Bóg nie stworzył tego okropnego świata, i gdyby Zbawiciel nie dał się za niego bezużytecznie przybić do krzyża.

Życzliwie skinął Narcyz przyjacielowi.

- Masz zupełną rację - rzekł ciepło - wypo-
wiedz to tylko, powiedz mi wszystko. Ale pod
jednym względem mylisz się bardzo: uważasz to,
co mówisz teraz, za myśli. A to są uczucia! Są to
uczucia człowieka, którego trapi groza bytu. Ale
nie zapominaj, że tym posępnym i rozpaczliwym
uczuciom można przeciwstawić zupełnie inne! Gdy
czujesz się dobrze na koniu i jedziesz przez piękną
okolicę albo gdy lekkomyślnie zakradasz się wie-
czorem do zamku, aby zalecać się do kochanki
hrabiego, wtedy świat zupełnie inaczej wygląda dla

ciebie, a wszystkie zarażone domy i wszyscy spaleni Żydzi nie zdołają ci bynajmniej przeszkodzić w tym, abyś szukał rozkoszy. Czy tak nie jest?

- Oczywiście, że tak jest. Ponieważ świat tak jest pełen śmierci i grozy, staram się ciągle pocieszać swoje serce i zrywać piękne kwiaty, które rosną pośród tego piekła. Znajduję rozkosz i na godzinę zapominam o grozie. Niemniej jednak ona jest.

- Bardzo to dobrze sformułowałaś. Czujesz się więc na świecie otoczony śmiercią i grozą, i uciekasz stąd do rozkoszy. Ale rozkosz jest nietrwała, wyrzuca cię znowu na pustynię.

- Tak, tak jest.

- Z większością ludzi tak się dzieje, tylko że niewielu odczuwa to tak silnie i wyraźnie jak ty i niewielu czuje potrzebę uświadomienia sobie tych uczuć. Ale powiedzże: czy prócz tego rozpaczliwego chybotania się między rozkoszą a grozą, prócz tej huśtawki między żądzą życia a poczuciem śmierci - czy nie próbowałaś poza tym jeszcze jakiej innej drogi?

- O, tak, naturalnie. Próbowałem sztuki. Powiedziałem ci już przecież, że między innymi byłem także artystą. Pewnego dnia - byłem wówczas może od trzech lat w świecie i cały niemal ten czas spędziłem na wędrownicy - pewnego dnia ujrzałem w jakimś kościele klasztornej drewnianej Matkę Bożą, która była tak piękna i widok jej przejął mnie tak bardzo, że zapytałem o mistrza, który ją wyrzeźbił, i odszukałem go. Znalazłem go, był to słynny mistrz; zostałem jego uczniem i pracowałem u niego kilka lat.

- Później opowiesz mi o tym więcej. Ale cóż ci sztuka przyniosła i co jej zawdzięczasz?

- Przyniosła mi przewyżczenie doczesności. Ujrzałem, że w błazeńskiej zabawie życia ludzkiego i tańca umarłych powstawało coś, co zdolne

było je przetrwać: dzieła sztuki. Ale i one przeminą przecież kiedyś, spalą się albo zniszczą, albo będą znowu rozbite. W każdym razie trwają przez niejedno pokolenie ludzkie i poza obrębem chwili stanowią ciche królestwo obrazów i świętości. Współpracować z tym wydaje mi się rzeczą dobrą i pocieszającą, gdyż jest to niemal uwiecznienie tego, co znikome.

- Podoba mi się to bardzo, Złotousty. Mam nadzieję, że stworzysz jeszcze wiele pięknych dzieł, zaufanie moje do twoich sił jest wielkie, i spodziewam się, że będziesz przez długi czas moim gościem w Mariabronn i pozwolisz mi urządzić dla ciebie pracownię; klasztor nasz od dawna nie miał artysty. Ale sądzę, że definicją swoją nie wyczerpałeś jeszcze cudowności sztuki. Sądzę, że sztuka polega nie tylko na tym, że coś istniejącego, lecz śmiertelnego zostaje przez kamień, drzewo i farby wydarte śmierci i obdarzone dłuższym trwaniem. Widziałem niejedno dzieło sztuki, niejednego świętego i niejedną Madonnę, o których nie sądzę, że są tylko wiernymi wizerunkami jakichś poszczególnych ludzi, którzy żyli kiedyś i których kształty i barwy artysta utrwalił.

- Masz rację - zawołał Złotousty z zapałem - nigdy bym nie przypuścił, że tak dobrze znasz się na sztuce! Prawzorem dobrego dzieła sztuki nie jest rzeczywistość, żyjąca postać, choć może ona być podniecią do niego. Prawzorem nie jest krew i ciało, prawzór jest z ducha. Jest to obraz, którego ojczyzna leży w duszy artysty. I we mnie, Narcyzie, żyją takie obrazy, które spodziewam się stworzyć kiedyś i pokazać ci.

- Jak to pięknie! A teraz, mój kochany, sam o tym nie wiedząc, wkroczyłeś w filozofię i wypowiedziałeś jedną z jej tajemnic.

- Kpisz sobie ze mnie.

- O, nie. Mówiłeś o prawzorach, więc o obrazach, które istnieją tylko w twórczym duchu, ale które mogą być urzeczywistnione w materii i uczynione widzialnymi. Na długo przedtem, zanim dzieło artysty stanie się widzialne i uzyska rzeczywistość, istnieje ono już jako obraz w duszy artysty! Ten właśnie obraz, ten prawzór jest dokładnie tym samym, co dawni filozofowie nazywają ideą.

- Tak, to brzmi bardzo wiarygodnie.

- Otóż, wyznając wiarę w idee i prawzory, przenosisz się do świata duchowego, do naszego świata filozofów i teologów i przyznajesz, że pośrodku tego zamętu i bolesnego pobjowiska życia, pośrodku tego nieskończonego i bezsensownego tańca umarłych, naszego cielesnego bytu, istnieje również duch twórczy. Widzisz, do tego ducha w tobie zwracałem się zawsze, odkąd przyszedłeś do mnie jako chłopiec. Duch ten nie jest u ciebie duchem myśliciela, lecz artysty. Ale jest to duch, i on to wskaże ci drogę z posępnego zamętu świata zmysłowego, z wiecznego chybotania się między rozkoszą a rozpaczą. Ach, kochany, szczęśliwy jestem, że usłyszałem od ciebie to wyznanie. Czekałem na to od czasu, kiedy opuściłeś swego nauczyciela Narcyza i zdobyłeś się na odwagę, aby być sobą samym. Teraz możemy być na nowo przyjaciółmi.

W owej chwili zdało się Złotoustemu, jakoby życie jego nabrało jakiegoś sensu, jakoby spoglądał na nie znowu z góry i widział wyraźnie trzy wielkie szczeble: zależność od Narcyza i jej ustanie - okres wędrówki i wolności - i powrót, nawrót, początek dojrzałości i żniwa.

Wizja znikła znowu. Ale do Narcyza znalazł teraz stosunek, który mu odpowiadał, już nie stosunek zależności, ale stosunek swobody i wzajemności. Teraz mógł bez upokorzenia gościć u wy-

zszego duchem przyjaciela, gdyż Narcyz uznał w nim równego, uznał twórcę. Ukazać mu się, w dziełach sztuki uczynić dlań widzialnym swój świat wewnętrzny - na myśl o tym radował się w ciągu tej podróży ze wzrastającą tęsknotą. Ale niekiedy opadały go także wątpliwości.

- Narcyzie - ostrzegał - obawiam się, że nie wiesz, kogo właściwie zabierasz do swego klasztoru. Nie jestem mnichem i nie chcę nim zostać. Znam przecież owe trzy wielkie śluby i z ubóstwem godzę się zupełnie, ale nie lubię ani czystości, ani posłuszeństwa; cnoty te nie wydają mi się bardzo męskie. A z pobożności nic mi już przecież nie pozostało, od lat nie spowiadałem się ani modliłem, ani przystępowałem do komunii.

Narcyż pozostał swobodny.

- Zostałeś, zdaje się, poganinem. Ale nie lękamy się tego. Nie potrzebujesz być nadal dumny ze swoich licznych grzechów. Prowadziłeś zwykłe życie ludzi świeckich, jak syn marnotrawny pasałeś świnie, nie wiesz już, co to prawo i ład. Z pewnością byłby z ciebie bardzo zły mnich. Ale nie zapraszam cię przecież wcale, abyś wstąpił do zakonu, zapraszam cię tylko, byś był naszym gościem i urządził sobie u nas warsztat. I jedno jeszcze: nie zapominaj, że wówczas w naszych latach młodości ja byłem tym, co cię zbudził i pozwolił ci wyruszyć w świat. Czy dobrą, czy złą obrałeś drogę, wraz z tobą samym i ja jeszcze ponoszę za to odpowiedzialność. Chcę się przekonać, co się z ciebie zrobiło; pokażesz mi to słowami, życiem, swymi dziełami. A kiedy mi to już pokażesz i gdybym wówczas uznał, że dom nasz nie jest schronieniem dla ciebie, będę pierwszym, który cię poprosi, abyś go znowu opuścił.

Złotousty pełen był zawsze podziwu, ilekroć przyjaciel jego przemawiał w ten sposób, ilekroć występował jako opat, z cichą pewnością siebie

i owym odcieniem drwiny z ludzi świeckich i świeckiego życia, gdyż wówczas uświadamiał sobie, iż Narcyz stał się prawdziwym mężem. Wprawdzie był to mąż ducha i kościoła, o delikatnych dłoniach i twarzy uczonego, ale mąż pełen pewności siebie i odwagi, przewodnik, człowiek, który dźwigał odpowiedzialność. Ten mąż Narcyz nie był już młodzieńcem z owych czasów i nie był żarliwym, łagodnym uczniem pańskim Janem, i tego nowego Narcyza, męskiego i rycerskiego, chciał odtworzyć własnymi rękoma. Wiele posągów czekało na niego: Narcyz, opat Daniel, ojciec Anzelm, mistrz Mikołaj, piękna Rebeka, piękna Agnieszka i tylu innych jeszcze przyjaciół i wrogów, żywych i zmarłych. Nie, nie zostanie ani pobożnym, ani uczonym braciszkiem zakonnym, będzie tworzył dzieła sztuki, czuł się szczęśliwy, że ojczyzna jego młodości będzie ojczyzną tych dzieł.

Jechali chłodną, późną jesienią, a pewnego dnia, kiedy rankiem nagie drzewa pokryły się szronem, jechali przez falistą, rozległą okolicę z pustymi, czerwonawymi połaciami bagien, zaś kontury długich łańcuchów wzgórz wyglądały dziwnie kusząco i znajomo, później nastąpił wysoki las jesionowy i strumień, i stara stodoła, na której widok serce Złotoustego skurczyło się boleśnie w radosnej tęsknocie; poznał wzgórze, przez które niegdyś jechał z córką rycerza Lidią, i wrzosowiska, po których niegdyś, wygnany i bardzo zasmucony, odchodził po cienkiej powłoce śniegu. Wynurzyły się grupy olch, i młyn, i zamek - z dziwnym bólem poznał okno pracowni, w której wówczas, w legendarnej epoce młodości, słuchał opowiadań rycerza o jego pielgrzymkach i korygował jego łacinę. Zajechali do dworu, należał on do wyznaczonych postojów ich drogi. Złotousty poprosił opata, aby nie wspominał tu jego imienia i pozwolił mu jeść razem

z pachółkiem u czeladzi. Tak się też stało. Starego rycerza już nie było, ani Lidii, ale byli jeszcze niektórzy ze strzelców i pachółków, a w zamku mieszkała i rządziła piękna, dumna i władcza pani Julia, u boku swego małżonka. Ciągłe jeszcze była cudownie piękna, bardzo piękna i trochę zła; ani ona, ani czeladź nie poznała Złotoustego. Po posiłku, o zmroku wieczornym wykradł się do ogrodu, obejrzał przez płot zimowe grządki, zakradł się do drzwi stajni i zajrzał do koni. Spał na słomie razem z pachółkiem klasztornym, a brzemię wspomnień leżało mu na piersi; budził się wiele razy. O, jak rozdrobnione i bezpłodne leżało za nim jego życie, bogate we wspaniałe obrazy, ale rozbite na tyle skorup, tak ubogie w wartość, tak ubogie w miłość!

Odjeżdżając rano spoglądał tęsknie ku oknom w górze, czy nie ujrzy może jeszcze raz Julii. Tak samo spoglądał niedawno w okna rezydencji biskupiej, czy nie ujrzy Agnieszki. Nie przyszła, a Julia także nie pokazała się więcej. Wydało mu się, że takie było jego całe życie: żegnać się, uciekać, być zapomnianym, stać z pustymi rękoma i marznącym sercem. Prześladowało go to cały dzień, nie mówił ani słowa, posępnie siedział na siodle. Narcyz pozostawił go w spokoju.

Ale oto zbliżali się już do celu i po kilku dniach osiągnęli go. Zanim ukazały się wieża i dachy klasztoru, przejechali przez owe kamieniste ugory, na których niegdyś - ach, jakże dawno temu! - zbierał dla ojca Anzelma świętojańskie ziele i gdzie Cyganka Liza uczyniła go mężczyzną. A oto przejechali już przez wrota Mariabronn i zsiadli z koni pod włoskim kasztanem. Czule dotknął Złotousty pnia i pochylił się nad pękniętą kolczastą łupiną owocu, która leżała na ziemi brunatna i zwiędła.

Rozdział osiemnasty

Złotousty mieszkał w pierwszych dniach w samym klasztorze, w jednej z cel gościnnych. Potem na jego prośbę urządzono mu kwaterę naprzeciwko kuźni, w jednym z budynków gospodarskich otaczających dziedziniec wielki jak rynek.

Ponowne zetknięcie z klasztorzem przejęło go tak silnym czarem, że sam dziwił się temu niekiedy. Nikt go tu nie znał prócz opata, nikt nie wiedział, kim jest, ludzie tutejsi, zarówno braciszkwowie, jak nowicjusze, żyli w surowej regule i byli stale zajęci, dawali mu więc spokój. Ale znały go drzewa dziedzińca, znały go portale i okna, młyn i koło wodne, flizy korytarzy, uwiędłe krzewy różane na krużganku, gniazda bocianów na spichrzu i refektarz. Z każdego kąta pachniała mu słodko i wzruszająco jego przeszłość, jego pierwszy okres młodości, miłość pchała go do oglądania wszystkiego, do podsłuchiwania wszystkich dźwięków, dzwonów nieszpornych i dzwonów niedzielnych, szmeru ciemnego strumienia młyńskiego między ciasnymi, omszałymi murami, kroków sandałów na płytach kamiennych, wieczornego pobrzękiwania pęku kluczy, gdy brat furtian szedł zamykać bramy. Obok kamiennych rynien, do których z dachu

refektarza laików spadała woda deszczowa, pieniały się ciągle jeszcze te same chwasty, bodziszek i kościeniec, a stara jabłoń w ogrodzie kuźni ciągle jeszcze miała jednakowo wygięte, dalekosiężne gałęzie. Ale silniej, niż to wszystko, wzruszało go za każdym razem, gdy rozlegał się mały dzwonek szkolny i gdy w godzinach wypoczynku uczniowie klasztorni zbiegali po schodach na dziedziniec. Jak młode i głupie, i ładne były ich twarze chłopięce - czyż i on był rzeczywiście kiedyś tak młody, tak głupkowaty, tak ładny i tak dziecięcy?

Ale prócz tego znajomego klasztoru odnalazł też klasztor niemal nieznaną; już w pierwszych dniach pobytu począł mu się on rzucać w oczy, stawał się dlań coraz ważniejszy i z wolna tylko łączył się z dawniej znanym. Bo chociaż tu nawet nic nowego nie przybyło, choć wszystko było zupełnie takie samo, jak za jego czasów uczniowskich i przed stu i więcej laty, to jednak on nie widział tego oczyma ucznia. Widział i odczuwał wymiary tych budowli, sklepienia kościoła, stare malowidła, kamienne i drewniane figury na ołtarzach, w portalach, a chociaż nie widział niczego, czego by i dawniej nie było w tym samym miejscu, to jednak teraz dopiero dostrzegał piękno tych rzeczy i ducha, który je stworzył. Widział starą, kamienną Matkę Bożą w górnej kaplicy; jako chłopiec lubił ją także bardzo i narysował ją, ale teraz dopiero ujrzał ją trzeźwymi oczyma i zobaczył, że była cudownym dziełem, którego on najlepszą nawet i najudatniejszą robotą nigdy by nie zdołał przewyższyć. I takich cudownych dzieł było wiele, a żadne nie stało odosobnione i nie było przypadkowe, lecz każde pochodziło z tego samego ducha i stało pośród starych murów, kolumn i sklepień jako w swojej naturalnej ojczyźnie. Wszystko, co tu od kilku stuleci budowano, rzeź-

biono, malowano, przeżywano, myślano i wykładano, wszystko to było z jednego pnia, z jednego ducha i zgadzało się z sobą, jak zgadzały się z sobą gałęzie jednego drzewa.

Pośród tego świata, tej cichej, potężnej jedności, czuł się Złotousty bardzo mały, a nigdy nie czuł się mniejszy, niż kiedy widział opata Jana, swego przyjaciela Narcyza, kierującego i rządzącego tym potężnym, a jednak tak spokojnym ładem. Jakakolwiek różnica zachodzić mogła między osobami uczonego, wąskowargiego opata Jana a prostego, dobrotliwego, skromnego opata Daniela, to jednak każdy z nich służył tej samej jedności, tej samej myśli, temu samemu porządkowi, zawdzięczał mu swoją godność, składał mu w ofierze swoją osobę. To czyniło ich tak samo podobnymi do siebie, jak upodabniał ich strój klasztorny.

Pośród tego klasztoru stawał się Narcyz w oczach Złotoustego niesamowicie wielki, chociaż nie odnosił się do niego inaczej, tylko jako życzliwy towarzysz i gospodarz. Niebawem nie śmiał już prawie nazywać go Narcyzem.

- Słuchaj, opacie Janie - rzekł kiedyś do niego - z wolna będę się musiał jednak przyzwyczaić do twojego nowego imienia. Muszę ci powiedzieć, że bardzo mi się u was podoba. Niemal miałbym ochotę odbyć przed tobą spowiedź generalną i po odprawieniu pokuty prosić o przyjęcie jako brata laika. Ale widzisz, wtedy przyjaźń nasza skończyłaby się, ty byłbyś opatem, a ja braciszkiem laikiem. A żyć tak obok ciebie i widzieć twoją pracę, a samemu nie być niczym i niczego nie dokonywać, tego dłużej nie zniosę. I ja chciałbym bardzo pracować i pokazać ci, czym jestem i co potrafię, abyś mógł zobaczyć, czy warto było wyprosić mię od szubienicy.

- Cieszę się z tego - rzekł Narcyz i wypowiedział swoje słowa jeszcze dokładniej i precyzyjniej

niż zwykle. - Możesz każdej chwili zacząć urządzić sobie pracownię; natychmiast polecę kowalowi i cieśli, aby byli do twojej dyspozycji. Rozporządzaj wszelkim materiałem do pracy, jaki znajdziesz na miejscu! Sporządź listę tego, co trzeba sprowadzić skądinąd, przez woźniców. A teraz słuchaj, co sądzę o tobie i twoich zamiarach! Musisz mi pozostawić nieco czasu, abym się mógł wyśłowić: jestem uczonym i chcę spróbować przedstawić ci tę sprawę z punktu widzenia mojego świata myśli, nie mam innego języka prócz tego. Wysłuchaj mnie więc jeszcze raz, jak za dawnych lat wysłuchiwałeś mnie często cierpliwie.

- Staram się nadażyć za twoimi myślami. Mów.

- Przypomnij sobie, jak już za naszych szkolnych czasów mówiłem ci niekiedy, że uważam cię za artystę. Wtedy zdawało mi się, że może z ciebie wyrosnąć poeta, przy czytaniu i pisaniu posiadałeś jakąś niechęć do rzeczy pojęciowych i abstrakcyjnych i lubiłeś w mowie szczególnie te słowa i dźwięki, którym właściwe były wartości zmysłowo-poetyckie, więc słowa, przy których można sobie coś wyobrazić.

Złotousty przerwał:

- Wybacz, ale czyż pojęcia i abstrakcje, które cenisz najbardziej, nie są jednak także wyobrażeniami, obrazami? Czyż też potrzeba ci rzeczywiście i lubisz posługiwać się przy myśleniu tylko słowami, przy których nie można sobie nic wyobrazić?

- Dobrze, że pytasz o to! Ależ naturalnie, można myśleć bez wyobrażeń! Myślenie nie ma nic wspólnego z wyobrażeniami. Dokonywa się ono nie w obrazach, lecz w pojęciach i formułach. Właśnie tam, gdzie kończą się obrazy, zaczyna się filozofia. Na ten właśnie temat spieraliśmy się często jako młodzieńcy: dla ciebie świat składał się z obrazów, dla mnie z pojęć. Powtarzałem ci

zawsze, że nie nadajesz się na myśliciela, i mówiłem ci także, że nie jest to wada, gdyż jesteś za to władcą w dziedzinie obrazów. Uważaj, wyjaśnię ci to. Gdybyś był, zamiast uciec wówczas w świat, został myślicielem, mógłbyś sprawić wiele złego. Stałbyś się mistykiem. Mistycy są to, mówiąc krótko i nieco z grubsza, owi myśliciele, którzy nie mogą się wyzwolić z wyobrażeń, więc w ogóle nie są myślicielami. Są oni utajonymi artystami: poetami bez wierszy, malarzami bez pędzla, muzykami bez dźwięków. Bywają wśród nich niezwykle uzdolnione i szlachetne duchy, ale wszyscy bez wyjątku są ludźmi nieszczęśliwymi. Takim i ty mógłbyś być zostać. Ale dzięki Bogu zostałeś artystą i zawładnąłeś światem obrazów, gdzie możesz być twórcą i panem zamiast jako myśliciel pozostać niedoskonałym.

- Obawiam się - rzekł Złotousty - że nie uda mi się nigdy wyrobić sobie pojęcia o twoim świecie myślowym, gdzie się myśli bez wyobrażeń.

- O, owszem, zaraz ci się to uda. Słuchaj: myśliciel usiłuje poznać i przedstawić istotę świata przez logikę. Wie on, że rozum nasz i jego narzędzie, logika, są niedoskonałymi instrumentami - podobnie jak mądry artysta wita doskonale, że jego pędzel czy dłuto nigdy nie zdołają wyrazić idealnie promiennej istoty anioła czy świętego. A jednak próbują tego obaj, myśliciel i artysta, każdy na swój sposób. Nie mogą i nie powinni postępować inaczej. Gdyż dążąc do urzeczywistnienia siebie danymi mu od natury darami, spełnia człowiek rzecz najwyższą i jedynie rozumną, jaką spełniać może. Dlatego dawniej mawiałem do ciebie często: „Nie usiłuj naśladować myślicieli ani ascetów, lecz bądź sobą, staraj się urzeczywistnić siebie!”

- Rozumiem cię tylko na wpół. Ale co to właściwie znaczy: urzeczywistnić się?

- Jest to pojęcie filozoficzne, nie potrafię go inaczej wyrazić. Dla nas, uczniów Arystotelesa i świętego Tomasza, najwyższym z wszelkich pojęć jest byt konieczny. Bytem idealnym jest Bóg. Wszystko inne, co istnieje, jest tylko połowiczne, jest częściowe, jest w stanie stawania się, jest złożone, składa się z możliwości. Ale Bóg nie jest złożony, jest jednością, nie posiada możliwości, lecz cały i zupełnie jest aktem. My zaś jesteśmy przemijający, jesteśmy stającymi się, jesteśmy możliwościami, nie ma dla nas doskonałości, nie ma pełnego bytu. Ale tam, gdzie od możliwości przechodzimy do aktu, od możliwości do urzeczywistnienia, bierzemy udział w prawdziwym bycie, stajemy się o stopień podobniejsi do doskonałości i boskości. To znaczy: urzeczywistnić się. Musisz przecież znać ten proces z własnego doświadczenia. Jesteś przecież artystą i zrobiłeś wiele posągów. Jeśli więc posąg jakiś naprawdę ci się udał, jeśli uwolniłeś wizerunek człowieka od przypadkowości i doprowadziłeś do czystej formy - wówczas jako artysta urzeczywistiłeś ten wizerunek ludzki.

- Zrozumiałem.

- Widzisz mnie, przyjacielu Złotousty, w miejscu i na urzędzie, gdzie naturze mojej niejako łatwiej jest urzeczywistnić się. Widzisz mnie, żyjącego w społeczności i tradycji, które mi odpowiadają i które mi dopomagają. Klasztor nie jest niebem, pełen jest niedoskonałości, a jednak rzetelnie prowadzone życie klasztorne jest dla człowieka mego pokroju nieskończenie korzystniejsze niż życie świeckie. Nie mówię o obyczajności, ale już ze względów wyłącznie praktycznych wymaga czyste myślenie, które uprawiać i którego nauczać jest moim zadaniem, pewnej ochrony przed światem. Było mi więc tutaj, w naszym domu, o wiele łatwiej urzeczywistnić się, niżeli było tobie. Że

mimo to znalazłeś drogę i zostałeś artystą, podziwiam to bardzo. Gdyż było ci przecież o tyle trudniej.

Złotousty zaczerwienił się zmieszany tą pochwałą, a także z radości. Aby zmienić temat, przerwał przyjacielowi:

- Przeważną część tego, co chciałeś mi powiedzieć, zdołałem zrozumieć. Ale jedno jeszcze nie mieści mi się w głowie: to, co nazywasz „czystym myśleniem”, czyli twoje tak zwane myślenie bez obrazów i operowanie słowami, przy których nie można sobie niczego wyobrazić.

- Możesz to sobie uświadomić na przykładzie. Pomyślże o matematyce! Co wyobrażają liczby? Albo znaki plus i minus? Jakie obrazy zawiera równanie? Żadnych! Gdy rozwiązujesz zadanie arytmetyczne lub algebraiczne, nie pomoże ci wyobraźnia, rozwiązujesz w obrębie wyuczonych form myślenia określone zadanie.

- Tak jest, Narcyzie. Jeżeli napiszesz mi szereg liczb i znaków, potrafię się z nimi uporać bez wszelkiego wyobrażenia, potrafię się poddać przewodnictwu plusów i minusów, kwadratów i Zawiasów i tak dalej, i potrafię rozwiązać zadanie. A raczej potrafiłem to niegdyś, dzisiaj dawno już tego nie umiem. Ale nie mogę sobie przecie pomyśleć, aby rozwiązywanie takich określonych zadań posiadało inną wartość, jak tylko ćwiczenie rozumienia uczniów. Nauczyć się liczyć to przecież rzecz bardzo dobra. Ale uważałbym za bezsensowne i dziecinne, gdyby człowiek przez całe życie siedział nad takimi zadaniami rachunkowymi i wiecznie pokrywał papier szeregami liczb.

- Mylisz się, Złotousty. Zakładasz bowiem, że ten pilny rachmistrz rozwiązuje stale nowe ćwiczenia szkolne, jakie zadaje mu nauczyciel. Ale może on sobie także sam stawiać pytania, mogą one

powstawać dla niego jako narzucające się siły. Trzeba wyliczyć i zmierzyć matematycznie niejedną rzeczywistą i niejedną fikcyjną przestrzeń, zanim się człowiek jako myśliciel zbliży do problemu przestrzeni.

- No tak. Ale też problem przestrzeni, jako czyste zagadnienie myślowe, nie wydaje mi się w istocie przedmiotem, nad którym człowiek mógłby trwonić pracę i lata. Wyraz „przestrzeń” nie jest dla mnie wart nic, żadnej myśli, póki nie wyobrażam sobie przy tym jakiejś rzeczywistej przestrzeni, na przykład przestrzeni gwiazdnej, tę przestrzeń obserwować i mierzyć - to mi się oczywiście nie wydaje dziwnym zadaniem.

- Chcesz właściwie powiedzieć - wtrącił z uśmiechem Narcyz - że nie przywiązujesz wagi do myślenia, ale przywiązujesz ją do zastosowania myślenia w świecie praktycznym i widzialnym. Mogę ci odpowiedzieć: sposobności do stosowania naszego myślenia i woli w tym kierunku nie brak nam bynajmniej. Myśliciel Narcyz na przykład setki razy stosował rezultaty swojego myślenia zarówno na swoim przyjacielu Żłotoustym, jak i na każdym ze swoich zakonników, i czyni to w każdej chwili. Ale jakżeby mógł coś stosować, jeśli się dawniej tego nie nauczył i nie wyćwiczył w tym. I artysta ćwiczy stale swoje oko i wyobraźnię, a my uznajemy jego ćwiczenie, chociaż przejawia się ono w niewielu tylko prawdziwych dziełach. Nie możesz odrzucać myślenia jako takiego, a przyjmować jego „zastosowania"! Sprzeczność jest jasna. Więc pozwól mi myśleć i osądź moje myślenie wedle jego przejawów, podobnie jak ja osądzać będę twój artyzm wedle twoich dzieł. Jesteś teraz niespokojny i podniecony, gdyż między tobą a twoimi dziełami leżą jeszcze przeszkody. Usuń je, wyszukaj sobie albo urządź warsztat

i przystap do pracy! Wiele kwestii rozwiąże się przy tym same przez się.

Złotousty niczego więcej nie pragnął.

Znalazł izbę obok wrót dziedzińca, chwilowo pustą i nadającą się na pracownię. Polecił cieśli sporządzić stół rysowniczy i inne sprzęty, które mu dokładnie narysował. Sporządził listę przedmiotów, które woźnice klasztorni mieli mu stopniowo pozwozić z najbliższych miast, długą listę. U cieśli i w lesie obejrzał sobie wszystkie zapasy kłoców, wybrał wiele sztuk i kazał je jedną po drugiej poznosić do ogrodu za swoim warszatem, gdzie rozłożył je do schnięcia i własnymi rękoma zbudował nad nimi dach ochronny. Wiele też miał roboty u kowala, którego syna, marzycielskiego młodzieńca, oczarował i pozyskał sobie zupełnie. Z nim stał teraz po pół dnia przy palenisku, przy kowadle, przy dzieży z wodą do studzenia, przy toczydło, sporządzali najrozmaitsze noże snycerskie, dłuta, świdry i skrobaczki, potrzebne do obrabiania drzewa. Syn kowala, Eryk, młodzieniec może dwudziestoletni, stał się przyjacielem Złotoustego, pomagał mu, brał we wszystkim żywy udział i wszystkiego był ciekaw. Złotousty obiecał nauczyć go gry na lutni, czego chłopiec bardzo pragnął, i obiecał także, że pozwoli mu spróbować snycerstwa. Jeśli Złotousty czuł się niekiedy w klasztorze i przy Narcyzie trochę nieużyteczny i przygnębiony, mógł się odprężyć przy Eryku, który kochał go lęklawie i ccił bez miary. Często prosił, aby mu opowiadał o mistrzu Mikołaju i o mieście biskupim, niekiedy czynił to Złotousty chętnie i potem dziwił się nagle, że oto siedzi tutaj i jak starzec opowiada o podróżach i czynach przeszłości, gdy przecież życie jego miało się właściwie dopiero zacząć.

Że w ostatnich czasach zmienił się bardzo i postarzał ponad swoje lata, tego nikt wiedzieć nie

mógł, gdyż nie znali go przecież przedtem. Niedostatki wędrówki i niestałego życia dawały mu się z pewnością już dawniej we znaki, potem okres zarazy i jej niezliczone grozy, a ostatnio uwięzienie u hrabiego i owa okropna noc w piwnicy zamkowej wstrząsnęły nim do głębi i pozostawiły niejednen ślad: siwe włosy w jasnej brodzie, cienkie zmarszczki na twarzy, okresy bezsenności i niekiedy jakieś znużenie w głębi serca, jakieś osłabienie żądz i ciekawości, jakieś szare, ciepławe uczucie nasycenia, uczucie, że ma już dość. Podczas przygotowań do swojej pracy, w rozmowach z Erykiem, przy pracy u kowala i cieśli odżywał znowu, stawał się rzeński i młody, wszyscy podziwiali go i lubili, ale nierzadko siedział pół godziny czy godzinę zmęczony, uśmiechnięty i rozmarzony, oddany apatii i obojętności.

Bardzo ważnym było dla niego pytanie, od czego ma rozpocząć swoją pracę. Pierwsze dzieło, które chciał tutaj wykonać i odpłacić nim za gościnność klasztoru, nie powinno być przypadkowym, takim jakie się ustawia gdzieś dla ozdoby, ale podobnie jak stare dzieła tego gmachu należeć musiało zupełnie do budowli i do życia klasztoru, być jego częścią. Najchętniej byłby zrobił ołtarz albo ambonę, ale ani na jedno, ani na drugie nie było miejsca ani potrzeby. Znalazł natomiast coś innego. W refektarzu ojców była wzniesiona nisza, w której podczas posiłków któryś z młodszych braci czytywał *Złotą legendę*. Nisza ta nie była niczym ozdobiona. Złotousty postanowił wyjście prowadzące do pulpitu i sam pulpit zaopatrzyć w drewniane ozdobne pokrycie na kształt ambony, z kilkoma luźno niemal stojącymi postaciami. Opowiedział o tym planie opatowi, który pochwalił pomysł i chętnie go powitał.

Gdy praca mogła się wreszcie zacząć - śnieg leżał na dworze, minęło już Boże Narodzenie - ży-

cie Złotoustego zmieniło się do gruntu. Zniknął dla klasztoru, nikt go już nie widywał, nie czekał już pod koniec lekcji na gromadę uczniów, nie wążsał się po lesie, nie przechadzał po krużganku. Jadał teraz u młynarza - nie był to już tamten, którego jako uczeń tak często niegdyś odwiedzał. A do pracowni nie wpuszczał nikogo prócz pomagającego mu Eryka, a i ten przez cały dzień niekiedy słowa od niego nie usłyszał.

W długich rozmyślaniach ustalił taki plan swego pierwszego dzieła, owego podium dla lektora: z dwóch części, z których składało się dzieło, jedna miała przedstawiać świat, druga słowo Boże. Dolna część, schody, wyrastające z silnego pnia dębowego i wijące się dookoła niego, wyobrażać miały stworzenie świata, obrazy przyrody i prostego życia patriarchów. Górna część, poręcz, nosiłaby obrazy czterech ewangelistów. Jednemu z ewangelistów zamierzał dać postać opata Daniela, drugiemu nieboszczyka ojca Marcina, jego następcy, a w postaci Łukasza uwiecznić chciał swego mistrza Mikołaja.

Natknął się na wielkie trudności, większe, niż się spodziewał. Sprawiały mu one kłopoty, ale były to słodkie kłopoty, walczył o to dzieło z zachwytem i rozpaczą jak o dumną kobietę, zмагаł się z nim zaciekle i czule, jak rybak zмага się z wielkim szczupakiem, wszelki opór pouczał go i czynił subtelniejszym. Zapomniał o wszystkim innym, zapomniał o klasztorze, zapomniał niemal o Narcyzie. Narcyz zjawił się kilka razy, ale nie zobaczył nic prócz rysunków.

Natomiast zaskoczył go Złotousty pewnego dnia prośbą, aby wysłuchał jego spowiedzi.

- Dotychczas nie mogłem się na to zdobyć - wyznał - wydawałem się sobie zbyt mały, czułem się wobec ciebie dość już upokorzony. Teraz jest mi lepiej, mam teraz swoją pracę i nie jestem już

niczym. A że już żyję w klasztorze, chciałbym się zastosować do jego porządku.

Czuł się teraz dojrzały do tej godziny i nie chciał z tym zwlekać dłużej. Zaś w kontemplacyjnym życiu pierwszych tygodni, w zapamiętaniu powitania i wspomnień młodości, a także w opowiadaniach, o jakie prosił go Eryk, jego spojrzenie wstecz na własne życie pozyskało niejaki ład i jasność.

Narcyz z prostotą przyjął go na spowiedzi. Trwała około dwóch godzin. Z niewzruszoną twarzą wysłuchiwał opat przygód, cierpień i grzechów przyjaciela, zadawał pytania, nie przerywał i wysłuchiwał obojętnie także tej części spowiedzi, w której Złotousty wyznał zanikanie swojej wiary w dobroć i sprawiedliwość Boga. Przejęty był niektórymi wyznaniem spowiadającego się, widział, jak miotało nim i przerażało go życie i jak bliski bywał niekiedy zguby. Potem znowu musiał się uśmiechnąć, wzruszony był zachowaną przez przyjaciela naiwną dziecięcnością, gdyż widział go zatroskanym i skruszonym z powodu niepobożnych myśli, które były niewinne w porównaniu z jego własnymi wątpliwościami i otchłaniami myśli.

Ku zdumieniu, ba, rozczarowaniu Złotoustego spowiednik potraktował właściwe jego grzechy niezbyt surowo, natomiast zganił go i karmił bezwzględnie za zaniedbywanie modlitwy, spowiedzi i komunii. Za pokutę nakazał mu, aby przed przyjęciem komunii przez cztery tygodnie żył umiarkowanie i cnotliwie, co rano wysłuchiwał pierwszej mszy porannej i co wieczór odmawiał trzy *Ojcze nasz* i jedno *Zdrowaś Maria*.

Potem rzekł do niego:

- Napominam cię i proszę, abyś pokuty tej nie traktował lekko. Nie wiem, czy pamiętasz jeszcze dokładnie tekst mszy. Musisz go śledzić słowo za słowem i wczuwać się w jego sens. *Ojcze nasz* i kilka

modlitw dziś jeszcze sam z tobą odmówię i dam ci wskazówki, na jakie słowa i ważne szczegóły musisz zwrócić najpilniejszą uwagę. Nie mów i nie słuchaj świętych słów tak, jak się mówi i słucha słów ludzkich. Ilekroć przyłapiesz się na tym, że będziesz te słowa klepał tylko, a zdarzy się to częściej, niż sądzisz, wtedy masz sobie przypomnieć tę chwilę i moje napomnienie, masz zacząć od początku i wymawiać słowa w ten sposób i w ten sposób wpuszczać je do swego serca, jak ja ci to pokażę.

Czy był to tylko piękny przypadek, czy też znajomość duszy sięgała u opata tak daleko, dość że ze spowiedzi tej i pokuty wykwitł dla Złotoustego okres zadowolenia i spokoju, który go głęboko uszczęśliwił. Pośród swej wytężonej, w troski i przyjemności obfitej pracy doznawał co rano i co wieczór dzięki łatwym, ale spełnianym sumiennie ćwiczeniom duchowym wyzwolenia po podnieceniach dnia i całą istotą cofał się do wyższego ładu, który wyrwał go z niebezpiecznej samotności twórcy i wprowadzał go jako dziecko do królestwa Boga. Jeśli walkę o swoje dzieło toczyć musiał zupełnie samotnie i poświęcać jej całą namiętność swoich zmysłów i duszy, to jednak godzina nabożeństwa wiodła go znowu z powrotem do niewinności. Podczas pracy płonąc często z wściekłości i niecierpliwości lub zachwycony aż do ekstazy - przy pobożnych ćwiczeniach zanurzał się jakby w chłodnej wodzie, która zmywała z niego zarówno pychę zapału, jak i pychę rozpacz.

Nie zawsze mu się to udawało. Niekiedy po płomiennych godzinach pracy nie znajdował wieczorem spokoju i skupienia, kilka razy zapomniał o praktykach, a często, gdy się wysilał na kontemplację, przeszkadzała mu i dręczyła go myśl, że odmawianie modlitw jest ostatecznie dziecinnym zabieganiem o łaski Boga, którego wcale nie ma,

albo który jemu przynajmniej nie może pomóc. Żalił się na to przed przyjacielem.

- Czyń nadal swoje - rzekł Narcyz - przyrzekłeś to i musisz dotrzymać. Nie powinieneś zastanawiać się nad tym, czy Bóg, jakiego sobie wyobrażasz, w ogóle istnieje. Nie powinieneś też zastanawiać się nad tym, czy wysiłki twoje są dziecinne. W porównaniu z Tym, do kogo zwracają się nasze modlitwy, wszystkie nasze czyny są dziecinne. Musisz sobie zupełnie zabronić tych dziecinnych myśli w czasie praktyk duchownych. Musisz odmawiać *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maria* i oddawać się słowom modlitwy i wypełniać się nimi podobnie, jak na przykład przy śpiewie lub grze na lutni także nie oddajesz się jakimś mądrym myślom lub spekulacjom, lecz wydobywasz, jak możesz najczyściej i najdoskonalej, jeden ton po drugim, wykonywasz jeden ruch palców po drugim. Kiedy się śpiewa, nie myśli się o tym, czy śpiew jest użyteczny, czy nie, lecz śpiewa się. Tak samo musisz się modlić.

I znowu udało się. Znowu zgasła jego naprężona i pożądliva jaźń pod wielkim sklepieniem porządku, znowu czcigodne słowa przepływały ponad nim i przez niego jak gwiazdy.

Z wielkim zadowoleniem widział opat, że Złotousty, po skończeniu okresu pokuty i przyjęciu komunii świętej, uprawiał nadal codzienne modły, tygodniami, miesiącami.

Tymczasem dzieło jego posuwało się naprzód. Z grubego wrzeciona schodów wyrastał mały, płynący wartko świat postaci roślin, zwierząt i ludzi, pośrodku nich ojciec Noe między listowiem winnym i gronami, obraz i pochwała stworzenia i jego piękności, igrający swobodnie, ale ujęty w tajemny porządek i karby. Przez cały ten szereg miesięcy nikt nie widział dzieła prócz Eryka, który pomagał

przy tym i marzył tylko o tym, by zostać artystą. W niektóre dni nie wolno mu było wchodzić do warsztatu. W inne dni Złotousty interesował się nim, pouczał go i pozwalał mu próbować, rad, że ma wyznawcę i ucznia. Gdy dzieło będzie gotowe i udane, zamierzał wyprosić go od ojca i wykształcić na swego stałego pomocnika.

Nad figurami ewangelistów pracował w najlepsze swoje dni, gdy wszystko było w harmonii i nie zamraczały go żadne wątpliwości. Najlepiej, sądził, udała mu się postać, której dał rysy opata Daniela, lubił ją bardzo, z twarzy jej promieniowała niewinność i dobroć. Z figury mistrza Mikołaja mniej był zadowolony, chociaż Eryk ją właśnie najbardziej podziwiał. Postać ta zdradzała rozterkę i boleść, wydawała się pełna dostojnych planów twórczych, a zarazem rozpaczliwej świadomości, że twórczość jest marnością, wydawała się pełna smutku po utraconej jedności i niewinności.

Kiedy opat Daniel był skończony, kazał Złotousty Erykowi wymieść pracownię. Resztę dzieła zawiesił chustami i tylko tę figurę ustawił na światło. Potem poszedł po Narcyza, a że był on zajęty, zaczekał cierpliwie do następnego dnia. W południe zaprowadził przyjaciela do pracowni i przed figurę.

Narcyz stał i patrzył. Stał i nie śpieszył się, z uwagą i starannością uczonego obserwował postać. Złotousty stał za nim milcząc i starał się pohamować burzę w swoim sercu.

„Ach - myślał - jeżeli teraz jeden z nas dwu nie wytrzyma próby, będzie źle. Jeżeli dzieło moje nie jest dość dobre albo jeżeli on go nie potrafi zrozumieć, w takim razie cała moja praca tutaj nic nie była warta. Powinienem być jednak czekać jeszcze.”

Minuty wydawały mu się godzinami, myślał o owej chwili, gdy mistrz Mikołaj trzymał w rę-

kach jego pierwszy rysunek, w naprężeniu splótł gorące i wilgotne ręce.

Narcyz odwrócił się do niego, i Złotousty natychmiast doznał ulgi. Ujrzał, jak na wąskiej twarzy przyjaciela wykwitło coś, co od lat chłopięcych już nie zakwitało: uśmiech, lękliwy niemal uśmiech na tej twarzy pełnej ducha i woli, uśmiech miłości i oddania, błysk, jakby samotność i duma tej twarzy na chwilę zostały przełamane i nie promieniało z niej już nic prócz pełnego miłości serca.

- Złotousty - rzekł Narcyz bardzo cicho, nawet i teraz odważając słowa - nie spodziewasz się po mnie, abym się nagle stał znawcą sztuki. Nie jestem nim, wiesz o tym. Nie mogę o sztuce twojej powiedzieć nic, co nie wydałoby ci się śmieszne. Ale pozwól mi powiedzieć to jedno: na pierwsze wejście poznałem w tym apostołe naszego opata Daniela, i nie tylko jego, ale wszystko, co on dla nas wówczas oznaczał: godność, dobroć, prostotę. Tak jak nieboszczyk ojciec Daniel stał wobec nas, pełnych czci młodzieńców, tak stoi tutaj znowu przede mną, a wraz z nim wszystko, co było dla nas wówczas święte i co nam czyni czasy te niezapomnianymi. Hojnie obdarowałeś mię tym widokiem, przyjacielu, nie tylko przywróciłeś mi znowu naszego opata Daniela, ale zarazem, po raz pierwszy, rozwarłeś przede mną zupełnie siebie. Wiem teraz, kim jesteś. Nie mówmy o tym więcej, nie wolno mi. O Złotousty, że też nadeszła dla nas ta chwila!

Cicho było w tej wielkiej izbie. Złotousty widział, że przyjaciel jego przejęty był do głębi serca. Zakłopotanie ścisnęło mu oddech.

- Tak - rzekł krótko - cieszę się z tego. Ale czas już chyba, żebyś poszedł do stołu.

Rozdział dziewiętnasty

Dwa lata pracował Złotousty nad tym dziełem, a począwszy od drugiego roku Eryk był mu na stałe przydzielony jako uczeń. W rzeźbie schodów wyobraził mały raj, z rozkoszą tworzył powabną gęstwinę drzew, listowia i ziela, z ptakami i gałęźmi, a zewsząd wynurzały się ciała i głowy zwierząt. Pośrodku tego rozrastającego się spokojnie praogrodu przedstawił kilka scen z życia patriarchów. Rzadko doznawało to pracowite życie przerwy. Rzadko przytrafiał się dzień, kiedy nie mógł pracować, kiedy niepokój lub przesyt obrzydzały mu własne dzieło. Wtedy dawał robotę uczniowi, szedł albo jechał konno w okolicę, wdychał w lesie kuszącą woń wolności i wagantowego życia, odwiedzał gdzieś jakąś córkę chłopską, chodził też na polowanie i godzinami leżał w trawie, wpatrując się w sklepienie wierzchołków leśnych i w panoszące się gęstwiny paproci i janowca. Nigdy nie pozostawał poza klasztorem dłużej jak dzień lub dwa. Potem z nową namiętnością brał się do dzieła, z rozkoszą rzeźbił pieniaące się jak chwasty rośliny, delikatnie i ostrożnie wydobywał z drzewa głowy ludzkie, silnym ruchem wycinał usta, oko, falistą brodę. Prócz Eryka znał dzieło tylko Narcyz,

przychodził tu często, pracownia stawała się dlań niekiedy najmiłszym miejscem. Oto rozkwitało wszystko, co przyjaciel jego nosił w swoim niepokojnym, przekornym i dziecięcym sercu, oto wzrastało i kwitło stworzenie, mały tryskający świat: zabawa może, ale z pewnością nie gorsza niż zabawa logiki, gramatyki i teologii.

W zadumie powiedział kiedyś:

- Uczę się od ciebie wiele, Złotousty. Poczynam rozumieć, czym jest sztuka. Dawniej zdawało mi się, że w porównaniu z myśleniem albo wiedzą nie zasługuje, aby ją traktować zbyt poważnie. Myślałem tak mniej więcej: „Ponieważ człowiek jest niezbadaną mieszaniną ducha i materii, ponieważ duch otwiera przed nim poznanie wieczności, zaś materia ściąga go i przykuwa do rzeczy znikomych, powinien wyzwalać się od zmysłów i dążyć ku rzeczom duchowym, aby uszlachetnić swoje życie i nadać mu sens.” Przyznawałem wprawdzie, że cenię sztukę, przyznawałem z przyzwyczajenia, ale właściwie byłem pyszny i spoglądałem na nią z góry. Teraz dopiero widzę, jak wiele istnieje dróg do poznania i że droga ducha nie jest jedyną, może nawet nie najlepszą. Jest to moja droga, niewątpliwie; pozostanę na niej. Ale widzę, jak ty na przeciwnej drodze, przez zmysły, równie głęboko ujmujesz tajemnicę bytu i wyrażasz ją daleko żywiej niż większość myślicieli.

- Pojmujesz teraz - rzekł Złotousty - że nie mogę zrozumieć, czym jest myślenie bez wyobrażeń?

- Pojąłem to dawno. Myślenie nasze jest nieustannym abstrahowaniem, odwracaniem się od zmysłowości, próbą zbudowania czysto duchowego świata. Ty zaś przyciskasz do serca właśnie to, co najmniej trwałe i najśmiertelniejsze, i wieścisz sens świata właśnie w tym, co znikome. Nie od-

wracasz się od tego, oddajesz się mu, a przez twoje oddanie staje się ono czymś najwyższym, symbolem wieczności. My, myśliciele, usiłujemy zbliżyć się do Boga, odsuwając od niego świat. Ty zbliżasz się do Niego, kochając Jego stworzenie i tworząc je na nowo. Jedno i drugie jest dziełem ludzkim, więc niedoskonałym, ale sztuka jest bardziej niewinna.

- Nie wiem, Narcyzie. Ale uporać się z życiem, obronić przed rozpaczą - to zadanie udaje się snadź wam myślicielom i teologom lepiej. Dawno już nie zazdrozczę ci twojej wiedzy, przyjacielu, ale zazdrozczę ci twego spokoju, twojej równowagi, twego pokoju.

- Nie powinieneś mi zazdrościć, Złotousty. Nie ma takiego pokoju, jaki masz na myśli. Istnieje pokój, oczywiście, ale nie taki, który trwa w nas stale i nie opuszcza nas nigdy. Istnieje tylko pokój, który się ciągle zdobywa w nieustannych zmaganiach i który z dnia na dzień na nowo trzeba zdobywać. Nie widzisz mnie, jak walczę, nie znasz moich zmagania przy studiach ani moich zmagania w celi na modlitwie. Dobrze, że ich nie znasz. Widzisz tylko, że mniej niż ty podlegam nastrojom, uważasz to za pokój. Ale to jest walka, walka i ofiara, jak wszelkie prawdziwe życie, jak i twoje.

- Nie spierajmy się o to. I ty nie widzisz wszystkich moich walk. I nie wiem, czy potrafisz zrozumieć, jakiego doznaję uczucia, kiedy pomyślę, że dzieło to będzie niebawem gotowe. Zostanie wówczas wyniesione i ustawione, otrzymam pochwały, a potem powrócę do swego gołego, pustego warsztatu, zasmucony tym wszystkim, co się w moim dziele nie udało i czego wy widzieć nie możecie, a w głębi duszy będę tak pusty i obrabowany jak mój warsztat.

- To jest możliwe - rzekł Narcyz - i żaden z nas nie może drugiego pod tym względem zupełnie zrozumieć. Ale wspólne jest wszystkim ludziom dobrej woli to jedno: że dzieła nasze wprawiają nas ostatecznie w zawstydzenie, że ciągle zaczynać musimy na nowo, że ofiara ciągle na nowo musi być składana.

W kilka tygodni później wielka praca Złotoustego została ukończona i ustawiona. Powtórzyło się to, co kiedyś już przeżywał: dzieło jego przeszło w posiadanie innych, było oglądane, krytykowane, chwalone; sławiono Złotoustego i czczono, ale serce jego i pracownia stały pustką, a nie wiedział już, czy dzieło warte było tej ofiary. W dniu odsłonięcia zaproszony był na obiad do zakonników, była to uczta z najstarszym winem klasztoru; Złotousty łykał dobre ryby i dziczyznę, a bardziej niż stare wino rozgrzewało go zainteresowanie i radość, z jaką Narcyz przyjął jego dzieło i okazywaną mu cześć.

Nowa praca, upragniona i zamówiona przez opata, była jeszcze w projekcie: ołtarz dla kaplicy Marii Panny w Neuzell, która należała do klasztoru i której kapelanem był jeden z zakonników z Mariabronn. Dla tej kaplicy chciał Złotousty zrobić figurę Marii i chciał w niej uwiecznić jedną z niezapomnianych postaci swojej młodości, lękliwą córkę rycerza Lidię. Poza tym zlecenie to wydawało mu się niezbyt ważne, ale uważał je za odpowiednie do tego, aby Eryk wykonał przy nim swoją sztukę czeladniczą. Jeśli Eryk wywiąże się z tego zadania, będzie w nim miał zawsze dobrego współpracownika, który go będzie zastępował i pozostawiał mu wolny czas na te prace, które mu jeszcze leżały na sercu. Wyszukiwał teraz z Erykiem drzewo na ołtarz i kazał mu je przyrządzać. Złotousty zostawiał go często samego, zaczął zno-

wu wążęsać się po rozległych lasach; kiedy pewnego razu nie było go przez wiele dni, Eryk doniósł o tym opatowi, a opat zaniepokoił się, czy Złotousty nie wyniósł się z klasztoru na zawsze. Ale on powrócił, pracował przez tydzień nad figurą Lidii, po czym znowu zaczął się włóczyć.

Miał zgryzoty; od ukończenia wielkiego dzieła życie jego popadło w nieład, zaniedbywał mszy porannej, był bardzo niespokojny i niezadowolony. Wiele rozmyślał teraz o mistrzu Mikołaju i czy on sam nie stanie się niebawem taki, jakim był Mikołaj, pilny i dzielny, i wprawny w robocie, ale niewolny i niemłody. Niedawno drobne przeżycie wprawiło go w zadumę. Podczas włóczęgi swojej spotkał młodą dziewczynę wiejską imieniem Franciszka, która mu się bardzo spodobała, tak że zadał sobie trud, aby ją oczarować, i stosował wszystkie swoje dawne sztuczki zalotnicze. Dziewczyna chętnie słuchała jego gawędy, śmiała się uszczęśliwiona z jego dowcipów, ale zaloty jego odpychała i Złotousty wyczuł po raz pierwszy, że wydaje się młodej kobiecie stary. Nie poszedł tam więcej, ale nie zapomniał tego. Franciszka miała rację, stał się inny, czuł to sam, a nie szło tu o kilka przedwczesnych siwych włosów ani o kilka zmarszczek wokół oczu, szło tu raczej o coś w usposobieniu i charakterze: czuł się stary, czuł się niesamowicie podobny do mistrza Mikołaja. Z niechęcią obserwował siebie samego i wrzusał nad sobą ramionami; nie był wolny, był osiadły - nie był już orłem ani zającem, stał się zwierzęciem domowym. Jeśli włóczył się po okolicy, to szukał raczej zapachu przeszłości, wspomnienia dawnych wędrowek i nowej wolności, szukał tego tęsknie i nieufnie, jak pies, który zgubił wiatr. A gdy był dzień lub dwa w drodze, gdy trochę pohulał i poświętował, powracał niechętnie, miał nieczyste su-

mienie, czuł, że warsztat czeka, czuł się odpowiedzialny za rozpoczęty ołtarz, za przygotowane drzewo, za pomocnika Eryka. Nie był już wolny, nie był już młody. Mocno sobie postanowił: gdy Lidia-Maria będzie gotowa, wyruszy w podróż i raz jeszcze spróbuje życia wędrownego. Niedobrze było żyć tak długo w klasztorze wśród samych mężczyzn. Dla mnicha mogło to być dobre, dla niego nie. Z mężczyznami można było rozmawiać pięknie i mądrze, i mieli też zrozumienie dla pracy artysty, ale wszystko inne, gawędzenie, czułość, igraszki, miłość, bezmyślne miłe uczucie zadowolenia - wszystko to nie kwitło wśród mężczyzn, na to trzeba było kobiet i wędrownki, i włóczenia się, i coraz nowych obrazów. Wszystko wokół niego było tu nieco szare i poważne, nieco ciężkie i męskie, zaraziło go to, przeniknęło mu w krew.

Myśl o podróży pocieszyła go, zabrał się żywo do pracy, aby być czym prędzej wolnym, a gdy z drzewa występowała ku niemu z wolna postać Lidii, gdy szlachetne jej kolana odziały w surowe fałdy sukni, przejęła go żarliwa i bolesna radość, tęskne zakochanie w obrazie, w pięknej łękliwej postaci dziewczęcej, we wspomnieniu owych czasów, wspomnieniu pierwszej miłości, pierwszych podróży, młodości. Ze skupieniem pracował nad delikatną postacią, czuł jej ścisły związek z tym, co było w nim najlepszego, ze swoją młodością, ze swoimi najczulszymi wspomnieniami. Szczęściem było rzeźbić jej pochyloną szyję, jej życzliwe smutne usta, jej wytworne ręce, długie palce, pięknie sklepione paznokcie. I Eryk także, gdy tylko miał trochę czasu, z podziwem i pokorną miłością wpatrywał się w figurę.

Kiedy była już prawie gotowa, Złotousty pokazał ją opatowi. Narcyz rzekł:

- Jest to twoje najpiękniejsze dzieło, kochany, nie mamy w całym klasztorze niczego, co dorównałoby tej figurze. Muszę ci wyznać, że w ostatnich miesiącach nieraz trapiłem się o ciebie. Widziałem, że byłeś niespokojny i cierpiący, a gdy znikaałeś na dłużej niż dzień, myślałem niekiedy zatroskany: „Może on już nie wróci.” A oto zrobiłeś tę cudowną figurę! Rad jestem z ciebie i jestem z ciebie dumny.

- Tak - rzekł Złotousty - figura ta wyszła bardzo dobrze. Ale posłuchaj mnie, Narcyzie! Aby ta rzeźba wyszła dobrze, potrzeba było na to całej mojej młodości, mojej wędrówki, mojego zakochania, mojego zabiegania o wiele kobiet. To jest źródło, z którego czerpałem. Źródło to będzie niebawem puste, sucho mi się staje na sercu. Dokończę tę Marię, ale potem zwolnię się na spory czas, nie wiem, na jak długo, i będę szukał znowu mojej młodości i tego wszystkiego, co mi niegdyś było drogie. Czy możesz to zrozumieć?... No tak. Wiesz, że byłem twoim gościem i nigdy nie brałem zapłaty za swoją pracę tutaj...

- Często ci ją proponowałem - wtrącił Narcyz.

- Tak, a teraz przyjmuję ją. Każę sobie zrobić nowe ubranie, a kiedy będzie gotowe, poproszę cię o konia i kilka talarów i pojedę w świat. Nie mów nic, Narcyzie, i nie trap się. Nie sądź, aby mi się tu nie podobało; nigdzie nie mogłoby mi być lepiej. Idzie o coś innego. Czy spełnisz moją prośbę?

Niewiele już o tym mówiono. Złotousty kazał sobie zrobić proste ubranie do konnej jazdy i buty, a gdy lato przybliżyło się, skończył Marię; wykańczał z miłosną starannością dłonie, twarz, włosy, jakby to było jego ostatnie dzieło. Mogło się nawet wydawać, jakby zwlekał z odjazdem, jakby rozmyślnie dawał się przez te ostatnie delikatne prace nad figurą nieco zatrzymywać. Mijał dzień za

dniem, a on ciągle jeszcze miał coś do wykończenia. Narcyz, chociaż boleśnie odczuwał czekające go rozstanie, uśmiechał się niekiedy nad zachowaniem Złotoustego, który nie mógł się oderwać od swojej figury Marii.

Ale potem Złotousty zaskoczył go pewnego dnia, przychodząc się pożegnać. W ciągu nocy powziął decyzję. W nowym ubraniu, w nowym berecie przyszedł do Narcyza na pożegnanie. Przed jakimś czasem spowiadał się już i komunikował. Teraz przyszedł pożegnać go i prosić o błogosławieństwo na drogę. Obydwu trudno się było rozstać, a Złotousty udawał swobodniejszego i obojętniejszego, niż był naprawdę.

- Czy zobaczę cię jeszcze? - zapytał Narcyz.

- O tak, jeżeli twój piękny rumak nie skreśli mi karku, na pewno mię jeszcze zobaczysz. Beze mnie nie byłoby tu przecież nikogo, kto by cię nazywał Narcyzem i sprawiał ci troski. Bądź spokojny. A nie zapomnij też czuwać nad Erykiem. I żeby mi nikt nie tknął mojej figury! Pozostanie w mojej izdebce, jak powiedziałem; nie wypuszczaj klucza z ręki!

- Cieszysz się na myśl o podróży?

Złotousty mrugnął oczyma.

- No, cieszyłem się na myśl o niej, tak już jest. Ale teraz, kiedy mam wyruszyć, wydaje mi się to jednak mniej wesołe, niżby się można było spodziewać. Wyśmiejesz mnie, ale wcale niełatwo mi się rozstawać, a zależność ta nie podoba mi się. Jest to jak choroba, młodzi i zdrowi ludzie nie przeżywają tego. Mistrz Mikołaj także był taki. Ach, nie gadajmyż niepotrzebnych rzeczy! Pobłogosław mię, kochany, chcę odjechać.

Odjechał.

Narcyz w myślach zajmował się wiele przyjacielem, troskał się o niego i tęsknił za nim. Czy po-

wróci do niego ten zbiegły ptak, ten kochany lekkomyślny Złotousty? Oto ten dziwny, ukochany człowiek ruszył znowu swoją krętą drogą, gdzie oczy poniosą, oto wałęsał się znowu, chciwy wrażeń i ciekawy, po świecie, idąc za swymi silnymi, tajemnymi popędami, gwałtowny i nienasycony, niby wielkie dziecko. Oby Bóg czuwał nad nim, oby powrócił zdrow. Oto latał znowu zygzakiem barwny motyl, oto grzeszył znowu, uwodził kobiety, folgował swoim zachciankom, może znowu popełnił zabójstwo, popadł w niebezpieczeństwo i więzienie i zginął w nim. Ileż trosk sprawiał człowiekowi taki jasnowłosy chłopak, który skarżył się, że się starzeje, a takie dziecięce miał spojrzenie. Jakże się trzeba było lękać o niego. A jednak z całego serca radował się nim Narcyz. Podobało mu się właściwie, że to przekorne dziecko tak trudno było poskromić, że miało takie kaprysy, że znowu wyrwało się i przyciera sobie rogów.

Co dzień o jakiejś godzinie powracały myśli opata z miłością i tęsknotą, z wdzięcznością i troską, niekiedy także pełne skrupułów i wyrzutów, do przyjaciela. Czy nie powinien był okazać przyjacielowi nieco więcej, jak bardzo go kochał, jak mało pragnął, aby Złotousty był inny, jak bogatym stał się dzięki niemu i dzięki jego sztuce? Mało mu o tym powiedział, może o wiele za mało - kto wie, czy nie zdołałby go zatrzymać?

Ale nie tylko bogatszy stał się dzięki Złotoustemu. Stał się też przez niego uboższy i słabszy, a z pewnością było dobrze, że nie okazał tego przyjacielowi. Świat, w którym żył i był zadomowiony, jego świat, jego życie klasztorne, jego urząd, jego uczoność, jego pięknie rozczłonkowany gmach myśli - wszystko to mocno nieraz bywało przez przyjaciela zachwiane i stawało się wątp-

liwe. Zapewne, z punktu widzenia klasztoru, z punktu widzenia rozumu i moralności własne jego życie było lepsze, było właściwsze, stałsze, bardziej uporządkowane i bardziej wzorowe, było to życie ładu i surowej służby, trwała ofiara, coraz to nowe dążenie do jasności i sprawiedliwości, o wiele czystsze było i lepsze niż życie artysty, włóczęgi i uwodziciela kobiet. Ale widziane z góry, widziane z wysokości Boga - czyż rzeczywiście lepsze były ład i rygor wzorowego życia, wyrzeczenie się świata i szczęścia zmysłowego, unikanie brudu i krwi, uciekanie w dziedziny filozofii i pobożności niż życie Złotoustego? Czy człowiek naprawdę na to był stworzony, aby prowadzić regularne życie, którego godziny i czynności oznajmiały dzwony wzywające na modlitwę? Czy człowiek naprawdę na to był stworzony, aby studiować Arystotelesa i Tomasza z Akwinu, uczyć się greki, zabijać swoje zmysły i uciekać od świata? Czyż nie był stworzony przez Boga ze zmysłami i popędami, z krwawymi otchłaniami ciemności, ze zdolnością do grzechu, do rozkoszy, do rozpacz? Dokoła tych pytań krążyły myśli opata, gdy rozmyślał o swym przyjacielu.

Tak, i może było nie tylko bardziej dziecięce i ludzkie prowadzić życie Złotoustego, może było także odważniejsza i bardziej wielkoduszna poddawać się prądowi i zamętowi, popełniać grzechy i brać na siebie ich straszliwe skutki niżeli na uboczu od świata, umywając ręce, wieść czysty żywot, chronić się do pięknego ogrodu myśli pełnego harmonii i bezgrzesznie przechadzać się między jego starannie utrzymanymi grządkami. Trudniej było może, zuchwałiej i szlachetniej wędrować w podartych butach po lasach i gościńcach, znosić słońce i deszcz, głód i niedostatek, igrać radościami zmysłów i płacić za nie cierpieniem.

W każdym razie pokazał mu Złotousty, że człowiek przeznaczony do rzeczy wysokich może się bardzo daleko zanurzyć w krwawe, pijane grzędawisko życia i bardzo zbrudzić pyłem i krwią, nie stając się jednak małym ani ordynarnym, nie zabijając w sobie boskości, że może błąkać się po głębokich mrokach, nie gasząc w sanktuarium swej duszy boskiego światła i siły twórczej. Głęboko zajrzał Narcyz w zawikłane życie swego przyjaciela i ani jego miłość dla niego, ani szacunek nie zmniejszyły się. O nie, a odkąd ujrzał, jak spod splamionych rąk Złotoustego wychodziły te cudowne, ciche i żywe, rozświetlone wewnętrzną formą i porządkiem posągi, te żarliwe dusze o jasnych obliczach, te niewinne rośliny i kwiaty, te błagalne lub obdarzone łaską dłonie, wszystkie te śmiałe i łagodne, dumne i święte ruchy, od tej chwili wiedział, że w tym niestałym sercu artysty i uwodziciela żyje pełnia światła i łaski Bożej.

Łatwo mu było wydawać się w rozmowach wyższym od przyjaciela, przeciwstawiać jego namiętność swojemu opanowaniu i uporządkowaniu myśli. Ale czyż każdy drobny ruch figur Złotoustego, każde oko, każde usta, każda gałązka i fałdka szaty nie były czymś więcej, nie były bardziej prawdziwe, żywsze, bardziej niezastąpione niż wszystko, czego mógł dokonać myśliciel? Czy ten artysta, którego serce tak pełne było sprzeczności i udręki, nie stworzył dla niezliczonych ludzi, dzisiejszych i przyszłych, symbolów ich niedoli i ich dążeń, postaci, do których zwracać się mogła pobożność i cześć, lęk serdeczny i tęsknota niezliczonych rzesz i znajdować w nich otuchę, potwierdzenie i wzmocnienie?

Z uśmiechem i smutkiem przypomniał sobie Narcyz wszystkie owe sceny od wczesnej młodości, w których pouczał przyjaciela i prowadził. Wdzię-

cznie przyjmował to przyjaciel, godził się zawsze na jego wyższość i przewodnictwo. A w zupełnej ciszy stworzył dzieła zrodzone z burzy i cierpienia swego utrapionego żywota: nie słowa, nie nauki, nie wyjaśnienia, nie napomnienia, lecz prawdziwe, wzniosłe życie. Jak ubogi okazał się wobec tego on sam ze swoją wiedzą, ze swoim rygiorem klasztor-nym, ze swoją dialektyką!

To były pytania, wokół których krążyły myśli Narcyza. Tak jak on niegdyś przed wielu laty wtargnął w młodość Złotoustego, wstrząsnął nim, napominał i przeniósł życie jego w inne sfery, tak obecnie od czasu swego powrotu przyjaciel zaprzątał go sobą, wstrząsnął nim, zmusił go do wątpliwości i badania siebie. Był mu równy; niczego mu nie dał Narcyz, za co nie zostałyby w zamian tysiącrotnie obdarowany.

Przyjaciel odjechawszy z klasztoru pozostawił mu czas na te rozmyślenia. Tygodnie mijały, dawno zakwitł kasztan, dawno pociemniało i stwardniało mleczne, jasnozielone listowie bukowe, dawno wysiedziały bociany jaja na wieży nad bramą i wywiodły pisklęta, i nauczyły je latać. Im dłużej nie było Złotoustego, tym wyraźniej widział Narcyz, co w nim posiadał. Miał w klasztorze kilku uczonych ojców, jednego znawcę Platona, jednego doskonałego gramatyka, jednego czy dwóch subtelnych teologów. Miał pośród mnichów kilka wiernych, uczciwych dusz, które poważnie traktowały swoje życie. Ale nie miał nikogo równego sobie, nikogo, z kim mógłby się naprawdę zmierzyć. Tę niezastąpioną rzecz dawał mu tylko Złotousty. Było mu teraz ciężko obywać się bez tego. Z tęsknotą myślał o nieobecny.

Często chodził do warsztatu, zachęcał ucznia Eryka, który pracował dalej nad ołtarzem i tęsknił bardzo za powrotem swego mistrza. Niekiedy ot-

wierał opat izdebkę Złotoustego, gdzie stała Maria, ostrożnie unosił z figury chustę i siadał przy niej. Nie wiedział nic o jej pochodzeniu; Złotousty nie opowiedział mu historii Lidii. Ale Narcyz wszystko wyczuwał, widział, że ta postać dziewczęca długo żyła w sercu jego przyjaciela. Może ją uwiódł, może zdradził i porzucił. Ale w duszy zabrał ją z sobą i zachował, wierniejszy niż najlepszy małżonek, i ostatecznie, może po wielu latach, podczas których nie widział jej więcej - stworzył ten piękny, wzruszający posąg dziewczęcy i zawarł w jej twarzy, w jej postawie, w jej dłoniach całą tkliwość, podziw i tęsknotę kochającego. Także w postaciach ambony w refektarzu czytał niejedno z historii swego przyjaciela. Była to historia włóczęgi, człowieka, którym rządziły popędy, bezdomnego i niewiernego; ale wszystko, co z niej tutaj pozostało, było dobre i wierne, pełne żywej miłości. Jak tajemnicze było to życie, jak mętnym i rwącym nurtem toczyły się jego wody, a jak szlachetne i jasne były wyniki.

Narcyz walczył. Opanował się i nie sprzeniewierzył swojej drodze, nie zaniedbał niczego w swojej surowej służbie, ale cierpiał nad stratą i cierpiał nad tym, jak bardzo serce jego, które powinno przecież należeć tylko do Boga i do sprawowanego urzędu, przywiązane było do przyjaciela.

Rozdział dwudziesty

Lato mijało, maki i chabry, kąkole i astry więdły i znikały, ucichły żaby w stawach, a bociany latały wysoko i gotowały się do pożegnania. I oto Złotousty wrócił!

Przybył pewnego popołudnia, w lekki deszcz i nie poszedł do klasztoru, tylko natychmiast od bramy ruszył do swego warsztatu. Przybył pieszo, bez konia.

Eryk przeraził się, kiedy go ujrzął. Poznał go wprawdzie od pierwszego wejrzenia, a serce jego zabiło ku niemu, a jednak wydało mu się, że to zupełnie inny człowiek: nieprawdziwy Złotousty, starszy o wiele lat, z przygasłą, zakurzoną, szarą twarzą, z zapadłymi rysami - chorymi, cierpiącymi rysami, na których wypisany był jednak nie ból, lecz raczej jakiś uśmiech, jakiś dobroduszny, starczy, cierpliwy uśmiech. Szedł z wysiłkiem, włókł się, musiał być chory i bardzo zmęczony.

Dziwnie spojrzął ten zmieniony, obcy Złotousty w oczy swego młodego pomocnika. Nie robił wielkich ceregieli ze swego powrotu, zachowywał się, jakby przychodził z sąsiedniego pokoju i jakby przed chwilą jeszcze był w pracowni. Podał Erykowi rękę i nie rzekł nic na powitanie, o nic nie zapytał ani co opowiadał. Powiedział tylko:

- Muszę iść spać.

Wydawał się okropnie zmęczony. Odesłał Eryka i przeszedł do swojej izdebki obok warsztatu. Zdjął tam czapkę i upuścił ją, zdjął buty i podszedł do łóżka. W głębi pokoju ujrzał stojącą pod chustami swoją Madonnę: skinął jej głową, ale nie zbliżył się do niej, nie zdjął chust, aby ją powitać. Zakradł się tylko do okna, ujrzał zakłopotanego Eryka i krzyknął na niego:

- Eryku, nie mów nikomu, że przyszedłem. Jestem bardzo zmęczony. Zaczekaj z tym do jutra.

Potem w ubraniu położył się do łóżka. Po pewnym czasie, nie mogąc zasnąć, wstał, podszedł ociężale do ściany, gdzie wisiało małe lustro, i zajrzał w nie. Uważnie przyglądał się owemu Złotoustemu, który spoglądał na niego z lustra: zmęczonemu Złotoustemu, postarzałemu i zwiędłemu człowiekowi o mocno posiwiałej brodzie. Z mętnej powierzchni zwierciadła spoglądał na niego stary, nieco zaniedbany mężczyzna, ta znajoma twarz, ale teraz już obca, należała snadź do przeszłości, niewiele go już obchodziła. Przypominała mu tę i ową z twarzy, które znał dawniej, trochę mistrza Mikołaja, trochę starego rycerza, który mu niegdyś kazał uszyć paziowski strój, trochę także świętego Jakuba z kościoła, starego, brodatego świętego Jakuba, który pod swoim pielgrzymim kapeluszem wyglądał tak prastaro i tak szaro, a jednak wesoło i dobrotliwie.

Starannie czytał z twarzy odbitej w lustrze, jakby mu zależało na otrzymaniu informacji o tym obcym człowieku. Skinął mu głową i rozpoznał go: tak, to był on sam, wizerunek odpowiadał uczuciu, jakie miał o sobie samym - bardzo zmęczony i nieco otepiały stary człowiek powrócił z podróży, niepozorny człowiek, nie należało się z nim bardzo liczyć, a jednak nie miał nic przeciwko niemu,

a jednak podobał mu się: miał w twarzy coś, czego dawny, piękny Złotousty nie posiadał, przy całym zmęczeniu i ruinie jakiś rys zadowolenia albo może i obojętności. Uśmiechnął się do siebie nieznacznie i ujrzał, jak odbicie uśmiechnęło się także: oto jakiego zucha przyprowadził z podróży do domu! Oto jaki rozbity i zmarnowany powrócił z tej małej wycieczki, nawet konia stracił i sakwę podróżną i swoje talary, stracił też co innego jeszcze, opuściły go młodość, zdrowie, zaufanie do siebie, rumieniec na twarzy i siła spojrzenia. A jednak obraz ten podobał mu się: ten stary, słaby człowiek w zwierciadle miłszy mu był niż ów Złotousty, którym był tak długo. Był starszy, słabszy, żałośniejszy, ale był też niewinniejszy, bardziej zadowolony, łatwiej się z nim można było uporać. Uśmiechnął się i opadła mu jedna z pomarszczonych powiek. Potem położył się znowu do łóżka i teraz dopiero usnął.

Nazajutrz siedział w swojej izdebce pochylony nad stołem i usiłował rysować trochę, gdy przyszedł go odwiedzić Narcyz. Zatrzymał się w drzwiach i rzekł:

- Opowiadano mi, że powróciłeś. Dzięki Bogu! Radość moja jest wielka. Ponieważ tyś mnie nie odwiedził, to ja przychodzę do ciebie. Czy przeszkadzam ci w pracy?

Zbliżył się, Złotousty podniósł się znad papieru i wyciągnął do niego rękę. Chociaż Eryk przygotował go, Narcyz przeraził się jednak na widok przyjaciela. Złotousty uśmiechnął się do niego życzliwie.

- Tak, jestem znowu. Witaj, Narcyzie, nie widzieliśmy się sporo czasu. Wybacz, że cię nie odwiedziłem.

Narcyz spojrział mu w oczy. I on zobaczył nie tylko zgasty blask i żałosny uwiad tej twarzy, ale

także owo coś innego, ów dziwnie miły rys równowagi, ba, obojętności, poddania i dobrego humoru starczego. Doświadczony w czytaniu w twarzach ludzkich, widział także, że ten tak obcy teraz i zmieniony Złotousty nie jest już całkowicie obecny, że albo dusza jego oddaliła się bardzo od rzeczywistości i kroczy drogami marzenia, albo stoi już przed furta, wiodącą na tamten świat.

- Czy jesteś chory? - zapytał troskliwie.

- Tak, chory jestem także. Zachorowałem już na początku swojej podróży, już w pierwszych dniach. Ale rozumiesz, że nie chciałem wracać od razu. To byście mnie wyśmieli, gdybym powrócił tak szybko i zdjął znowu buty do konnej jazdy. Nie, tego nie chciałem. Poszedłem dalej i włóczyłem się jeszcze trochę, wstydiłem się, że podróż mi się nie udała. Zanadto się przechwalałem. Tak, więc wstydiłem się. Rozumiesz to przecież, jesteś takim mądrym człowiekiem. Wybacz, pytałeś o coś? Diabelska to sprawa, zapominam stale, o co właściwie idzie. Ale co do matki mojej, to dobrze zrobiesz. Bolało to porządnie, ale...

Mruczenie jego przeszło w śmiech.

- Wyleczymy cię znowu, Złotousty, nie będzie ci niczego brakowało. Ale że nie wróciłeś od razu, kiedy się poczułeś chory! Przed nami zaprawdę nie potrzebowałeś się wstydić. Powinieneś być natychmiast wracać.

Złotousty roześmiał się.

- Tak, teraz wiem o tym. Nie śmiałem tak zwyczajnie powrócić. Byłaby to przecież hańba. Ale teraz przyszedłem. Czuję się znowu dobrze.

- Czy wielkie miałeś bóleści?

- Bóleści? Tak, mam bóleści. Ale widzisz, bóleści to rzecz bardzo dobra, przywróciły mi rozum. Nie wstydzę się już teraz nikogo, nawet ciebie. Wtedy, kiedy odwiedziłeś mię w więzieniu, aby mi

uratować życie, musiałem bardzo zagryzać zęby, bo wstydziłem się ciebie. Teraz przeszło to zupełnie.

Narczyz położył mu rękę na ramieniu, Złotousty zamilkł natychmiast i z uśmiechem przymknął oczy. Zasnął spokojnie. Stropiony pobiegł opat po lekarza klasztornego, ojca Antoniego, aby zajrzał do chorego. Kiedy powrócili, Złotousty siedział śpiąc przy stole rysunkowym. Zanieśli go do łóżka, lekarz pozostał przy nim.

Uznał go za beznadziejnie chorego. Przeniesiono go do jednej z izb chorych, Eryka przydano mu do stałej opieki.

Cała historia jego ostatniej podróży nigdy nie wyszła na jaw. Niektóre szczegóły opowiedział, inne można było odgadnąć. Często leżał zubożniały, niekiedy gorączkował i majaczył, niekiedy był przytomny i wtedy za każdym razem wołano Narcyza, dla którego te rozmowy ze Złotoustym były bardzo ważne. Niektórych ułamek opowiadania i wyznań Złotoustego dostarczył Narcyz, innych Eryk.

- Kiedy zaczęły się bóle? Było to jeszcze na początku mojej podróży. Jechałem lasem i wywróciłem się razem z koniem, wpadłem do strumienia i przeleżałem całą noc w zimnej wodzie. Tam w środku, gdzie sobie połamane żebra, mam od tego czasu bóle. Wtedy nie byłem jeszcze bardzo daleko stąd, ale nie chciałem wracać, było to dziecinne, ale myślałem, że powrót mój byłby śmieszny. Pojechałem więc dalej, a kiedy już nie mogłem jechać, gdy zanadto mię bolało, sprzedałem konika, a potem długi czas leżałem w szpitalu.

Zostaję teraz tutaj, Narcyzie, koniec z jeźdźnictwem konno. Koniec z wędrowaniem. Skończyło się z tańcem i z kobietami. Ach, gdyby nie to, pozostałbym tam jeszcze długo, jeszcze lata całe.

Ale kiedy zobaczyłem, że nie ma tam już dla mnie nic radosnego, pomyślałem: zanim szczerę, chcę jeszcze trochę porysować i zrobić kilka figur, jakąś przyjemność trzeba przecież mieć w życiu.

Narcyż powiedział:

- Tak się cieszę, że powróciłeś. Tak bardzo mi ciebie brakowało, co dzień myślałem o tobie, a często lękałem się, że nie będziesz chciał już nigdy wrócić.

Złotousty pokiwał głową:

- No, strata byłaby niewielka.

Narcyż, którego serce płonęło z bólu i miłości, pochylił się ku niemu wolno, i oto uczynił, czego podczas wielu lat ich przyjaźni nie uczynił nigdy, dotknął wargami włosów i czoła Złotoustego. Najpierw zdumiony, potem przejęty, spostrzegł Złotousty, co się stało.

- Złotousty - szepnął mu przyjaciel do ucha - wybacz, że nie mogłem ci tego wcześniej powiedzieć. Powinienem ci to być powiedzieć, kiedy cię wówczas odwiedziłem w twoim więzieniu w rezydencji biskupiej albo kiedy ujrzałem twoje pierwsze posągi, albo kiedykolwiek indziej. Pozwól, że ci to dzisiaj powiem, jak bardzo cię kocham, czym byłeś dla mnie, jak bogatym uczyniłeś moje życie. Nie będzie to miało dla ciebie wielkiego znaczenia. Jesteś przyzwyczajony do miłości, nie jest ona dla ciebie niczym rzadkim, tak wiele kobiet kochało cię i rozpieszczało. Ze mną jest inaczej. Moje życie było ubogie w miłość, brakowało mi tego, co najlepsze. Nasz opat Daniel powiedział mi kiedyś, że uważa mię za wyniosłego, prawdopodobnie miał rację. Nie jestem niesprawiedliwy wobec ludzi, staram się być sprawiedliwy i cierpliwy w obcowaniu z nimi, ale nie kochałem ich nigdy. Z dwóch uczonych w klasztorze uczeńszy jest mi miłszy, nigdy nie kochałem na przykład słabego

uczonego mimo tej jego słabości. Jeżeli jednakże wiem, czym jest miłość, to jedynie ze względu na ciebie. Ciebie potrafiłem kochać, ciebie jednego spośród wszystkich ludzi. Nie możesz pojąć, co to oznacza. Oznacza to źródło na pustyni, kwitnące drzewo w samotni. Tobie jednemu zawdzięczam, że serce moje nie uschło, że pozostało we mnie miejsce, do którego dotrzeć może łaska.

Złotousty uśmiechnął się radośnie, nieco zakłopotany. Cichym, spokojnym głosem, jaki miewał w chwilach przytomności, powiedział:

- Kiedy uwolniłeś mnie wówczas od szubienicy i jechaliśmy do domu, zapytałem cię o mego konia Gwiazdocha, a ty udzieliłeś mi o nim wiadomości. Wtedy przekonałem się, że ty, który z ledwością odróżniałeś jednego konia od drugiego, troszczyłeś się o konika Gwiazdocha. Zrozumiałem, że czyniłeś to ze względu na mnie, i bardzo byłem z tego uradowany. Teraz widzę, że rzeczywiście tak było i że rzeczywiście mnie kochasz. I ja cię zawsze kochałem, Narcyzie, połowa mego życia była zabieganiem o twoje względy. Wiedziałem, że i ty mnie lubisz, ale nigdy się nie spodziewałem, że mi to kiedy powiesz, ty dumny człowieku. Teraz powiedziałeś mi to, w tej chwili, gdy nie mam już nic innego, gdy wędrówka i wolność, świat i kobiety porzuciły mię. Przyjmuję to, dziękuję ci za to.

Lidia-Madonna stała w izdebce i przyglądała się.

- Ciągłe myślisz o śmierci? - zapytał Narcyz.

- Tak, myślę o niej i o tym, co stało się z moim życiem. Jako młodzieniec, gdy byłem jeszcze twoim uczniem, pragnąłem być takim człowiekiem ducha jak ty. Tyś mi pokazał, że nie jestem do tego powołany. Wtedy rzuciłem się na drugą stronę życia, na zmysły, a kobiety ułatwiały mi znajdowanie tam rozkoszy, takie są chętne i pożądliwe. Ale nie chciałybym mówić o nich pogardliwie,

ani też o rozkoszy zmysłowej; bywałem często bardzo szczęśliwy. I miałem też to szczęście, iż przeżyłem świadomość, że zmysłowość może też być uduchowiona. Powstaje z tego sztuka. Ale teraz oba płomienie zgasły. Nie posiadam już zwierzęcego szczęścia rozkoszy zmysłowej i nie miałbym go nawet, gdyby kobiety biegały za mną dzisiaj jeszcze. Zaś tworzyć dzieł sztuki także już nie pragnę, dość wyrzeźbiłem posągów, nie idzie o ilość. Dlatego czas na mnie, aby umierać. Jestem skłonny do tego i ciekaw tego.

- Dlaczego ciekaw? - zapytał Narcyz.

- Ano, to pewnie trochę głupio z mojej strony. Ale rzeczywiście jestem tego ciekaw. Nie tamtego świata, Narcyzie, nad nim mało się zastanawiałem, a jeżeli mam szczerze powiedzieć, nie wierzę już w niego. Nie ma tamtego świata. Uschłe drzewo jest martwe na zawsze, zmarły ptak nigdy już nie powróci do życia i tak samo nie powróci do życia człowiek, jeżeli umarł. Można o nim myśleć jeszcze przez pewien czas, gdy go nie ma, ale i to nie trwa długo. Nie, ciekaw umierania jestem dlatego tylko, że ciągle jeszcze jest moją wiarą czy moim marzeniem, że znajduję się w drodze do matki. Spodziewam się, że śmierć będzie wielkim szczęściem, szczęściem tak wielkim, jak szczęście pierwszego spełnienia miłości. Nie mogę się rozstać z myślą, że zamiast śmierci z kosą matka zabierze mię ze sobą i poprowadzi z powrotem w niebyt i niewinność.

W czasie jednych ze swych ostatnich odwiedzin, po kilku dniach, w ciągu których Złotousty nic już nie mówił, zastał go Narcyz znowu przytomnego i rozmownego.

- Ojciec Antoni sądzi, że musisz mieć wielkie bóleści. Jak ty to robisz, Złotousty, że znosisz je tak spokojnie? Zdaje mi się, że znalazłeś teraz pokój.

- Czy masz na myśli pokój z Bogiem? Nie, tego pokoju nie znalazłem. Nie chcę z Nim pokoju. Źle stworzył świat, nie potrzebujemy Go chwalić, a Jemu też pewnie mało na tym zależy, czy ja Go sławię, czy nie. Źle stworzył świat. Ale z bólami w mej piersi zawarłem pokój, to prawda. Dawniej nie umiałem znosić bólu, a chociaż byłem niekiedy zdania, że umieranie przyjdzie mi łatwo, to jednak był to błąd. Kiedy miało naprawdę dojść do tego, owej nocy w więzieniu hrabiego Henryka, okazało się przecież: po prostu nie mogłem umrzeć, byłem jeszcze o wiele za silny i dziki, każdy mój członek musieliby dwa razy zabijać. Ale teraz jest inaczej.

Mówienie męczyło go, głos jego stał się słabszy. Narcyz poprosił go, aby się oszczędzał.

- Nie - rzekł Złotousty - chcę ci to opowiedzieć. Dawniej wstydzilem się powiedzieć ci to. Będiesz się śmiał. Kiedy mianowicie dosiadłem wtedy swojej szkapę i odjechałem stąd, nie stało się to zupełnie bez podstawy. Słyszałem pogłoski, że hrabia Henryk jest znowu w kraju, a jego kochanka Agnieszka znajduje się z nim. No dobrze, tobie się to wydaje nieważne, i mnie także wydaje się to dziś nieważne. Ale wtedy wiadomość ta zapaliła mię potężnie, nie myślałem o niczym innym, tylko o Agnieszce, była najpiękniejszą kobietą, jaką znałem i kochałem, chciałem ją ujrzeć znowu, chciałem jeszcze raz być z nią szczęśliwy. Pojechałem, a po tygodniu znalazłem ją. Tam, w ciągu jednej godziny, zaszła we mnie zmiana. Znalazłem więc Agnieszkę, nie była mniej piękna, znalazłem ją i znalazłem sposobność pokazania się jej i mówienia z nią. I pomyśl, Narcyzie, nie chciała o mnie więcej słyszeć! Byłem dla niej za stary, nie byłem już dla niej ładny i pociągający, nic nie obiecywała już sobie po mnie. Na tym się właściwie moja podróż skończyła. Pojechałem jed-

nak dalej, nie chciałem wracać do was taki rozczarowany i śmieszny, a kiedy tak jechałem, opuściły mnie już zupełnie siły i młodość, i rozum, gdyż spadłem z koniem do wąwozu i do strumienia i połamałem sobie żebra i leżałem w wodzie. Wtedy poznałem po raz pierwszy prawdziwe bóle. Od razu przy upadku uczułem, że coś mi się w piersi złamało, a złamanie to ucieszyło mnie, rad byłem, gdy je uczułem, byłem z niego zadowolony. Leżałem tam w wodzie i wiedziałem, że muszę umrzeć, ale wszystko było zupełnie inaczej niż wtedy w więzieniu. Nie miałem nic przeciwko temu, śmierć nie wydawała mi się już zła. Czułem te gwałtowne bóle, które od tego czasu często miewałem, i miałem przy tym sen czy zjawę, jak to chcesz nazwać. Leżałem, a w piersi mojej szalał palący ból, i broniłem się, i krzyczałem, ale nagle usłyszałem jakiś głos, śmiejący się głos, którego od dzieciństwa już nie słyszałem. Był to głos mojej matki, głęboki głos kobiecy, pełen rozkoszy i miłości. I wtedy ujrzałem, że to była ona, że matka była przy mnie i trzymała mnie na łonie i że otworzyła mi pierś i wsadziła mi palce głęboko między żebra, aby mi wyjąć serce. Kiedy to ujrzałem i zrozumiałem, nie czułem już bólu. I teraz także, kiedy te bóle powracają, nie są to bóleści, nie są to wrogowie, są to palce matki, które wyjmują mi serce. Pilnie pracuje ona nad tym. Niekiedy przyciska i jęczy jakby z rozkoszy. Niekiedy śmieje się i bełkocze pieszczotliwe dźwięki. Niekiedy nie ma jej przy mnie, ale jest w górze na niebie, między obłokami widzę jej twarz, wielką jak obłok, tam szybuje i uśmiecha się smutno, a smutnej uśmiech wysysa mię i wyciąga mi serce z piersi.

Wciąż na nowo mówił o niej, o matce.

- Czy pamiętasz jeszcze? - zapytał jednego z ostatnich dni. - Kiedyś zapomniałem swojej matki, a ty mi ją znowu wyczarowałeś. I wtedy

bolało to bardzo, jakby paszcze zwierzęce zżerały człowiekowi trzewia. Byliśmy wtedy jeszcze młodzieńcami, byliśmy pięknymi chłopcami. Ale już wówczas matka wołała mię, a ja musiałem iść za nią. Ona jest wszędzie. Była Cyganką Liżą, była piękną Madonną mistrza Mikołaja, była życiem, miłością, rozkoszą - była też trwogą, głodem, instynktem. Teraz jest śmiercią, wsadziła palce do mojej piersi.

- Nie mów za wiele, kochany - prosił Narcyz - zaczekaj do jutra.

Złotousty spojrział mu w oczy z uśmiechem, z tym nowym uśmiechem, który przywiózł ze swojej podróży, który wyglądał tak staro i ułomnie i który niekiedy wydawał się nieco głupkowaty, a czasami promieniał samą dobrocią i mądrością.

- Kochany mój - szepnął - nie mogę czekać do jutra. Muszę się z tobą pożegnać, a na pożegnanie muszę ci jeszcze wszystko powiedzieć. Posłuchaj mnie jeszcze chwilę. Chciałem ci opowiedzieć o matce, i że wraziła palce w moją pierś. Od kilku lat było moim najmiłszym i najtajniejszym marzeniem, aby stworzyć posąg matki, była ona dla mnie najświętszą ze wszystkich postaci, zawsze nosiłem jej obraz w sobie, tę postać pełną miłości i pełną tajemnicy. Niedawno jeszcze nie zdołałbym znieść myśli, że mogę umrzeć nie wyrzeźbiwszy tej figury; całe życie moje wydałoby mi się nieużyteczne. A oto patrz, jak dziwnie się ze mną stało: miast tego by moje ręce miały ją lepić i kształtować, ona to mnie kształtuje. Dłonie jej otaczają moje serce i wyjmują je i czynią mię pustym, ona to uwiodła mię w śmierć, a wraz ze mną umiera też moje marzenie, piękna figura, posąg Ewy-Matki. Widzę go jeszcze i gdybym miał siłę w rękach, mógłbym go stworzyć. Ale ona nie chce tego, nie chce, abym tajemnicę jej uczynił widzialną. Raczej woli, abym

umarł. Umieram chętnie, ona sprawia, że przychodzi mi to lekko.

Przerażony słuchał Narcyz tych słów, musiał się głęboko pochylać nad twarzą przyjaciela, aby móc je jeszcze zrozumieć. Niekiedy słyszał tylko niewyraźnie, niekiedy słyszał wprawdzie słowa, ale sens ich był dla niego zakryty.

I oto chory raz jeszcze otworzył oczy i patrzył długo w twarz przyjaciela. Oczyma żegnał się z nim. I z takim ruchem, jakby chciał pokiwać głową, szepnął:

- Ale jakże ty umrzesz kiedyś, Narcyzie, jeżeli nie masz matki? Bez matki nie można kochać. Bez matki nie można umrzeć.

Wszystko, co szeptał potem jeszcze, nie było już zrozumiałe. Ostatnie dwa dni siedział Narcyz przy jego łóżku dzień i noc i patrzył, jak gasł. Ostatnie słowa Złotoustego płonęły w jego sercu jak ogień.

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 2003 r.

Wydanie trzecie

Ark. wyd. 14,9; Ark. druk. 21

Skład wykonał: Fotoskład EWA, Warszawa, ul. Nowy Świat 41

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne im. KEN S.A.

Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 1, fax (052) 321-26-71

Nr zam. 54/03

Narcyz i Złotousty (1930) to opowieść osnuta wokół przyjaźni średniowiecznego mnicha ascety z bezdomnym włóczęgą, rzeźbiarzem, szukającym natchnienia w miłosnych przygodach. Fabuła jest pretekstem do ukazania odwiecznego konfliktu aspiracji duchowych i świata zmysłów, rozumu i uczucia, oraz ciągłego poszukiwania recepty na szczęście.

ISBN 83-06-02900-3